



Aleksandr Szakiłow

"Wojna kretów"

Tłumaczenie: Leo0502

ADNOTACJA

"Metro 2033" Dmitrija Głuchowskiego - kultowa powieść fantasy, najczęściej omawiana rosyjska książka ostatnich lat. Nakład - pół miliona, tłumaczenia na dziesiątki języków i wspaniała gra komputerowa! Ta postapokaliptyczna historia zainspirowała całą rzeszę współczesnych pisarzy i teraz razem będą tworzyć "Uniwersum Metro 2033", serię książek na motywach znanej powieści. Bohaterowie tych nowych historii wyjdą w końcu poza moskiewskie metro. Ich przygody na powierzchni Ziemi, prawie unicestwionej przez wojnę jądrową, przewyższają wszelkie oczekiwania. Teraz walka o przetrwanie ludzkości będzie się toczyć wszędzie!

"Wojna kretów" - pierwsza książka serii nie o Rosji. Miejsce akcji - postatomowy Kijów. Czas akcji - rok 2033. Bohater - człowiek, którego prawdziwa przygoda wyciągnie ze spokojnego życia, a na planszy znajduje się spokój jego stacji, życie bliskich i los całego Kijowskiego metra...

Zacieranie granic

Notka objaśniająca Dmitrija Głuchowskiego

Ta chwila nadeszła. Od teraz "Uniwersum Metro 2033" to nie tylko Rosja.

Miejszem akcji powieści Aleksandra Szakiłowa jest postatomowa Ukraina, dawne miasto Kijów oraz, oczywiście, jego metro. Kijowskie metro nie ustępuje znacznie moskiewskiemu - jedynie rozmiarami i rozgałęzieniem. We wszystkich innych aspektach jest tym samym, co państwowe bunkry atomowe. Przychodzi wojna jądrowa, kijowianie chowają się w nim tak samo, jak moskwianie w swoim.

W moim "Metro 2033" bohaterowie rozmyślają, czy nie przetrwał ktoś w innych miastach byłego ZSRR, w których było metro. Aleksandr Szakiłow w swojej "Wojnie kretów" wyjaśnia: przetrwał! Życie bohaterów jego książki jest ciężkie. W każdej sekundzie grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale braterski naród ze swoimi sposobami przeżycia i dostosowania się jeszcze będą mieli nad nami przewagę.

Oczywiście, na ukraińskiej ekspansji "Uniwersum Metro 2033" nie skończymy. "Metro 2033: Britannia" Anglika Granta McMastera jest już dopisana. Dopiero co skończyłem ją czytać i wysłałem do tłumaczenia. Książka wyjdzie po rosyjsku w marcu i odsłoni nam mapę Wielkiej Brytanii roku 2033.

Książka będzie zaskakująca i bardzo angielska: bohater będzie trzymał obronę starych zamków i kościoła przed potworami i barbarzyńcami, podróżować razem z cygańskim taborem, kochać zakazaną miłością, siedzieć w jedynym ocalałym w całej Brytanii pociągu - wszystko, żeby dotrzeć do mrocznego i zagadkowego Londynu, dokąd łowcy niewolników porwali jego rodzinę.

W projekcie chcą wziąć udział autorzy z Indii, Szwajcarii, Ameryki i Japonii. I, jak wiadomo, będziemy kontynuować wydawanie powieści o Moskwie i innych rosyjskich miastach.

"Metro 2033: Wojna kretów" jest jubileuszową, dziesiątą książką w naszej serii. A ile ich będzie w sumie, zdecydujecie wy. Przecież "Uniwersum Metro 2033" nie ma granic!

Dmitrij Głuchowski

Rozdział 1

Bob Dylan

- Zjem cię! - wyszczerzył się Nigeryjczyk, dysząc Sieriodze w twarz.

Zęby włóczęgi były nieprzyzwoicie białe. W odróżnieniu od mordy, jakby wysmarowanej smołą.

Na chwilę Sajgon - tak nazywano Sierioę na Swiatoszynie - pozazdrościł mu. W metrze jest tylko jeden stomatolog, a ten obsługuje pacjentów szczypcami i ręcznym wiertłem. Kat, a nie uzdrowiciel. I mieszka na Dworcowej, a spróbuj się tam dostać, do tego jeszcze jest to terytorium błogosławionego starszka Lonczika Kosmosa...

No nie, Sajgon odczy murzyna chwalenia się użębieniem, niech tylko raz przyłoży. No dawaj, jeden niewłaściwy ruch. No już, no!...

Szkoda, że włóczęga nie spieszył się do popełniania głupot. Wręcz przeciwnie - palce na gardle jeńca jakby przemieniły się w pręty zbrojeniowe. Jeszcze dwóch Afrykanów trzymało Sajgona za ręce. I dwóch za nogi. Są z plemienia Joruba i czczą Oguna. Przed tym jak Sajgona zbili z nóg, zobaczył na maczetach i łańcuchach przybyłych znaki boga wojny.

Imigranci, niech was paciuk zeżre! Poprzyjeżdżali! Znaleźli schronienie w metrze, kiedy trzy i pół miliona rodaków Sajbona umarło z powodu choroby popromiennej i broni bakteriologicznej! Co jak co, ale tego draństwa wróg Kijowowi nie pożałował.

- Zjem! - ponownie stuknęły idealne zęby.

Na fermie Sajgon rządził sam, więc nie było nikogo, kto mógłby przyjść z pomocą, króliki i chomiki w klatkach się nie liczą - żadni z nich wojownicy. I powiedzcie, gdzie spogląda ochrona stacji? Na odprowadzane w przypadku święta panny? Na szaszłyki z króliczego mięsa i miski z marynowanymi grzybami? Przeoczyli Nigeryjczyków, ech, przeoczyli!

Dobrze, że chociaż Swietka, najdroższa żona, i syn Andriuszka są na dole, na peronie. Cieszą się - wokół plastikowej choinki trwają tańce. Trzydziesty pierwszy grudnia w końcu jest, wszyscy odpoczywają. Jeden tylko Sajgon... No kto jemu, pracocholikowi, winien, że nie lubi on śpiewów i zabawy? Siedziałby teraz na uboczu, popijając samogon albo zacier ziemniaczany. Więc nie, poleciał do bramek, gdzie wiele lat temu wybił miejsce dla zwierząt!...

Palce Nigeryjczyka zacisnęły się mocniej. Sajgon zdążył nabrać powietrza w pierś, ale oczy już zakryła purpurowa zasłona. Kiedy stanie się biała, Sajgona nie będzie.

- Zjem cię! - usłyszał jakby z daleka.

Sajgon nie był w stanie nawet ruszyć ręką, w żaden sposób! Pozostało poczekać i czekać na śmierć. Ale nie potrafił się poddawać. W pierwszych dniach w podziemiach stało się jasne: upadłeś - podnieś się, nie możesz się podnieść - pełnij, rób cokolwiek. I nie wiąż losu z głupotą i lenistwem.

Starzy mawiają, że śmierć jest staruchą w kapturze i z kosą w artretycznych gnatach. Nic podobnego. Śmierć jest mleczno-śnieżną równiną, do której nie sięga wzrok.

Nigeryjczycy nawijali coś w swoim języku, a Sajgon myślał o tym, dokąd trafi, kiedy zdechnie. Do piekła, którego w ogóle nie ma pod ziemią? Piekło ma inną siedzibę już od dwudziestu lat: na powierzchni planety. Czy zdarza się teraz nad miastem tęcza? Pewnie nie...

Jakieś kiepskie te myśli przed śmiercią, prawda?

To dlatego, że Sajgon nie zamierza normalnie umrzeć.

Uścisk na gardle osłabł. Joruba odpuścili zdobyczy, podnieśli się. Stwierdzili, że duch hodowcy zwierząt zmienił zameldowanie i dołączył do przodków. Wygląda na to, że Sajgon ich rozczarował - zbyt szybko zszedł, słabeusz.

Zmierzając do drzwi fermy, kanibale pokłócili się o dalszy los zdobyczy. Zwyczajnie podzielić trupa i przygotować do spożycia nie można było, potrzebny był rytuał. Ale to jest niebezpieczne: a jeśli ktoś nagle się pojawi i podniesie alarm? Sajgon nie znał ani słowa w ich języku, ale nie trzeba być poliglotą, żeby się domyślić, o czym mowa. W metrze obce dialekty szybko stawały się zrozumiałe. Wszyscy ludzie są braćmi. Fenomen, nie?

Sajgon otworzył usta, zachłannie wciągnął tak najwięcej powietrza. Żeby tylko nie zakaszleć! I chociaż póki co nie zwracają na niego uwagi, to nie można się wydać zbyt wcześnie!

Nigeryjczyków było pięciu. Chudych. Cały ubiór stanowiły przepaski na biodrach z brudnej, gnijącej tkaniny. Uzbrojeni w łańcuchy i maczety. Broni palnej nie mieli. Tak jakby nie mieli. Ale lepiej trzymać się faktu, że mają. Optymiści żyją szczęśliwie, ale niedługo, a Sajgon zamierza jeszcze opiekować się wnukami i wpaść w starczy marazm.

Na fermie królował półmrok. Ekonomia zasobów lamp, centralne oświetlenie odcinali tu na cztery godziny na dobę. Karbidówki zupełnie wystarczały, żeby zajmować się zwierzętami. A Nigeryjczycy najwyraźniej przywykli do obchodzenia się bez latarek. Nauczyli się widzieć w ciemności? No, no. Zechcesz przeżyć w mroku tuneli i się nie pozbierasz...

W klatkach zaniepokojone zamarły chomiki, króliki stanęły na tylnych łapach. Jakby poczuły, że wkrótce zaczniesz się zadyma. Przybłądy już-już rzucali się w tańce nad poległym przeciwnikiem. Ogun zgłodniał, potrzebował krwi.

Dopóki Nigeryjczycy świętowali, Sajgon przesunął rękę do trzeciej klatki po prawej. Puszysty, biały królik odskoczył, o mało nie przewracając miski z wodą. Pod klatą coś leżało.

Powoooli.

Powoli, niech się paciuk zeżre!

Żeby kanibale nie zauważyli...

No już, noo!...

W końcu palce wyczuły chłód metalu, przesunęły się wzdłuż ostrza i chwyciły za rękojeść. I jakby zadziałała sprężyna - Sajgon gwałtownie pociągnął w swoją stronę nóż, który chował tutaj na wszelki wypadek. Ciało odpowiedziało bólem. Tak mu zdrowo przetrzebili boki, parę żeber zapewne połamali. No cóż, Sajgon spłaci dług z odsetkami!

Zaskakujące, ale jego zmartwychwstanie pozostało niezauważonym. Cóż, tym gorzej dla przybłąd.

Zachrypawszy, zamachnął się i rzucił nożem w Nigeryjczyka, który był o głowę wyższy od pobratymców. Ten wydawał się Sajgonowi być najbardziej niebezpiecznym. A może się uda zmniejszyć liczebność obcych. A jak nie, to ochrona z pewnością usłyszy okrzyk bólu.

- Aaach! - zawył Nigeryjczyk, wyciągając z ramienia zakrwawione ostrze.

W zasadzie to Sajgon celował w gardło i bardzo zdenerwowało go chybiecie.

Raniony przybłąda odrzucił ręce na boki - w jednej maczeta, w drugiej kawałek łańcucha.

Wyszczerył się i zahuczał. Z zębami było u niego gorzej niż u tej szumowiny, co obiecał zjeść Sajgona. Od brwi do podbródka twarz rozciąła poszarpana blizna, brakowało jednego oka. Przystojniaczek!

Sajgon powoli, jakby bojąc się zwrócić uwagę, podniósł się.

Kanibale zamarli, już mieli rzucać się na ofiarę, która nagle wróciła z krainy przodków. Kilka lat temu Sajgon uczestniczył w obławie na psy, co się licznie rozprzestrzeniły w tunelu pomiędzy Swiatoszynem i Żytomierską. I te psy, uzależnione od ludzkiego mięsa, zachowywały się dokładnie tak samo jak Nigeryjczycy: zamrzeć przed skokiem - to była ich ulubiona technika. Psów wtedy pozbyto się wspólnym wysiłkiem dwóch stacji. Z przybłądami będzie dokładnie tak samo. Ranny zamachnął się na farmera. Łańcuch świsnął nad głową - Sajgon ledwo zdążył się uchylić. I wtedy przy skroni błysnęło ostrze maczety. I znowu łańcuch - tym razem Nigeryjczyk bił po nogach. Sajgon podskoczył, ogniwa wskrzesiły fontannę iskier z kamiennej podłogi. Na długo przed wojną maleńki Sierioża bywał z ojcem w cyrku. Szczególnie spodobał mu się akrobaci. A teraz Sajgonowi tylko rajstop brakowało, żeby przypominać cyrkowca. Ale długo tak skakać mu się nie udało - Nigeryjczyk w końcu go dopadnie. Sajgon szybko obejrzał się w poszukiwaniu wyjścia i o mało nie uniknął uderzenia. Z trzech stron ściany z klatek, z czwartej drzwi z kraty i wyznawcy Oguna. Trzeba było zamknąć za sobą drzwi, kiedy przyszedł na fermę, czemu nie zamknął? Raczej Nigeryjczycy nie pozwolą mu przejść obok albo wspiąć się na górę.

Wysoki Nigeryjczyk zwrócił uwagę na jego rozkojarzenie i roześmiał się. Nie spieszył się z zabiciem przeciwnika. To taniec na cześć boga wojny, zrozumiał Sajgon. Pobratymcy radośnie się zaśmiali, dopingując jednookiego olbrzyma. Swiatoszyńczyk sam w ogóle nie był karłem: metr osiemdziesiąt pięć, szerokie bary. Ale Nigeryjczyk wyglądał bardziej imponująco. Głód i utrata krwi, oczywiście, robiły swoje, ale i tak włóczęga poruszał się z szybkością wściekłego paciuka. Udo jakby oparzone wrzątkiem - łańcuch trafił nieco powyżej kolana. Sajgon wrzasnął. I wtedy objął Nigeryjczyka, niczym brata - przez chwilę do tego, jak domowej roboty maczeta o mało nie rozcięła jego czaszki. Z rozpędu uderzył czołem w spłaszczony nos kanibala. Bryzgnęła krew. Jednooki cofnął się, trzęsąc głową, ale Sajgon nie zamierzał mu odpuszczać - z chrzęstem przejechał pięścią po grdyce. Nigeryjczyk zastygł w miejscu, z jego rąk wypadła broń, a on sam, charcząc i bulgocząc, opadł na podłogę.

Minus jeden. Sajgon chwycił maczetę i przeniósł się do ściany z klatek, tak, żeby wrogowie nie obeszlili go od tyłu. Wstrząsał nim nerwowy dreszcz. Nigdy nie lubił zabijać ludzi, nawet jeśli są skończonymi draniem.

I wtedy kanibale jakby się zmieszali. Ten włóczęga, który groził zjedzeniem Sajgona, ocknął się pierwszy. Wybąknął coś w swoim języku, wymachując rękami. Bracia, mówił, rozproszmy się i załatwmy gada, zemsta jest naszym świętym obowiązkiem, a potem opuścimy tę stację, zanim Swiatoszyńcy nas nie ukatrupią. Jego włosy były wygolone na skroniach, na górnej wardze zjeżyła się szczecina. Na piersi, kończynach i zapadniętym brzuchu zdrzały paskudne blizny. To niezrozumiałe, jak człowiek, otrzymawszy takie rany, w ogóle zdołał przeżyć, nie wspominając już o tym, żeby samodzielnie się przemieszczać.

- Tylko do mnie podejdź - ostrzegł Sajgon, - a przeliczę twoje piękne ząbki!

Na dole, na peronie, dało się słyszeć krzyki. Sajgon rozróżnił głosy Bolta i Kaszki, którym właśnie przypadała służba. Pomoc już jest w drodze. Wytrzymać tylko... Ile? Pół minuty?

Dłużej? Jak szybko chłopaki przejdą przez tańce, obiegną oddzielające ich marmurowe kolumny i pokonają dwa razy schody, każde po dwanaście stopni?

Zębaty Nigeryjczyk - nowy lider - dał rozkaz swoim ludziom. Ci zaraz rozproszyli się w mroku, oddzielającym fermę od stacji.

Na granicy światła lider obrócił się.

- Najlepszego z okazji Nowego Roku! - wyszczerzył się i, szeroko zamachnąwszy się, rzucił maczetę tam, skąd Sajgon oczekiwał nadejścia pomocy.

Histerycznie wrzasnął Kaszka. Huknęły wystrzały. Sajgon zaraz rozpląszczył się na podłodze. Bolt - oczywiście strzelał on - nigdy nie był snajperem. Raczej na odwrót - o jego porażającej "celności" opowiadano anegdoty. Strzały ucichły. Bolt głośno zaklął w ślad za przeklętymi cwaniakami, których kule nie trafiają.

Sajgon podskoczył. Oświetlając karbidówką drogę, przecisnął się przez bramki. Kaszka ścisnął rozcięte ramię, z którego lał się szkarłat, nad nim krzątał się Bolt, nie tyle pomagając, co przeszkadzając towarzyszowi w opatrzeniu rany.

- Gdzie oni są? - Na Sajgona któryś raz zważyło się zmęczenie - odzywało się dzięki napięcie ostatnich minut.

- Do tunelu poszli. - Bolt odsunął się od Kaszki. Ten wypomniał mu wszystko, co myśli o pierwszej pomocy bezręcznych idiotów. - Niech idą. Niebezpiecznie jest się pchać. No i święto jest.

Sajgon skinął.

- Mam trupa na fermie. Zabrać by się przydało... Powiesz, że ci się udało, jestem świadkiem.

- Organizujemy! - Bolt wiedział, że go ukarzą. Kaszka został ranny w boju i dlatego Bolta spytają o dwóch, przepuścił obcych, winny. Dlatego z początku się ucieszył - będzie jak się usprawiedliwić. A potem skrzywił się: - Ty draniu! Nie chcesz sobie ubrudzić rączek to łapówkę dajesz?

Niczego innego Sajgon od niego nie oczekiwał. Uśmiechnąwszy się zszedł w dół:

- Nie ma za co. Karbidówka jest twoja, potem oddasz. Bo, jak sądzę, nawet latarki nie zabrałeś, strażniku.

Na spotkanie, przeskakując po trzy stopnie, leciał syn Andriuszka, mający jasne loki po matce i błękitne oczy po ojcu. Zadyszał się, zrobił się czerwony.

- Co ty tu robisz? - Sajgon podniósł syna i przycisnął do piersi.

Szybko biło maleńkie serduszko.

- No przecież napadli... Uratować... - ledwo wydyszał Andriuszka.

- A nóż chociaż masz? - spytał miękko Sajgon, żeby nie smucić chłopaka, który dopiero skończył osiem lat.

Syn zamrugał, zdawszy sobie sprawę, że głupio postąpił:

- No nie...

- Żartujesz sobie? - Swietka podkradła się niezauważona, kiedy Sajgon seplenił z synem. - A mówiłeś, że będziesz pracował.

No jak w drakę bez niej? Pojawiła się na ratunek, niosąc strzelbę - u Mitki Kompasza ukradła, nie inaczej. I topór w worku za pasek.

Sajgon skrzywił się: topór dobra rzecz, a do tego strzelba... Mogła się zaciąć w najgorszym momencie albo coś innego. No i w ogóle Sajgon nie przepadał za bronią palną: dużo hałasu, kule rykoszetują od ścian, latają gdzie chcą...

Wymuszenie zmarszczył brwi, patrząc na żonę:

- Po coś przyszła? Święto się skończyło?

Swietka wzruszyła ramionami. Nabrzmiałe piersi zakotyły jej się przy tym tak, że farmera ścisnęło w środku - jakby po raz pierwszy widział taką piękność.

Swietka odrzuciła za ramię niesforny kosmyk włosów.

- No przecież chłopak rzucił się tatusiowi na ratunek, a ja lecę za nim. Myślisz, że ja po ciebie tu biegnę? To się grubo mylisz!

Na dole zebrał się już tłum. Ludzie ze strachem patrzyli na Sajgona. Palce zacisnęły się na kawałkach kabli, czerniały lufy pistoletów. Młotki i noże, łuki domowej roboty... Sajgon doliczył się dwóch karabinów. Delikatnie mówiąc, Swiatoszynczycy nie wyglądali zbyt bojowo. Włóczędzy zaglądają tu rzadko, przed zwierzętami, urzędującymi w tunelach, zawsze udawało się obronić, tak więc...

Grzech się skarżyć, zapewne. Jedzenia starcza: królicze mięso, grzyby, ślimaki, ziemniaki, nawet pseudo herbatę z pleśni - i to jest! Życie przez wiele lat jakoś poukładali. Dlatego też populacja stacji z każdym rokiem zwiększa się, już teraz nie starcza miejsca, a co będzie później?

Przez długi czas ze Swietką nie udało się posiąść dziecka. A oni starali się i dniem, i nocą - na nic, figa. Zdesperowany Sajgon wybrał się na stację Akademgorodok do starej guślarki po błogosławieństwo. Jej zasługa czy tak wyszło, ale Andriuszka, ojcowskie szczęście, urodził się zdrowiutki.

Tłum rozstąpił się. Pojawiła się zgarbiona postać w "aladynie". To Mitka Kompas. Kiedyś w młodości z kompanią szabrowników wybrał się raz na powierzchnię. Od tamtej pory Mitka stracił połowę zębów, wszystkie włosy, ledwie chodzi, ale sądzi o sobie nie wiadomo co: twierdzi, że nie ma fajniejszego gościa na stacji od niego.

Kompas zrobił krok do przodu i wymamrotał:

- A wy tu czego? Co się w ogóle dzieje, he?

Sajgon chciał opowiedzieć, co myśli o ochronie stacji, ale, ku swojemu szczęściu, oznajmił następująco:

- Tuzin królików. Poczęstuję. Święto w końcu jest!

Mitce Kompasowi aż opadła szczęka. Nigdy dotąd Sajgon nie dawał prezentów. Widać na fermie stało się coś niespotykanego, że akurat skąpiec zrobił się hojny.

Tłum gwałtownie cofnął się, kiedy Sajgon zszedł na peron z Andriuszką na rękach. Swietka z gracją prześlizgnęła się obok. W każdej chwili była gotowa chwycić za topór. Latem po kojowego życia nie udało się wymazać z niej strachu pierwszych dni w podziemiu. Szczupła sylwetka, okrągłe biodra... Tyle lat razem, aż od samej ewakuacji, a Sajgon ciągle nie napatrzył się na małżonkę.

I nagle przed oczami mignęło: koreański dżip korki na drogach, wykrzywione ze strachu twarze...

Koreański dżip, zmontowany w Krzemieńczuku, puł po chodniku.

Jelena Władimirowna, nauczycielka rosyjskiego i literatury, przeklinając, naciskała klakson. Obecność uczniów jej nie przeszkadzała. Oszały tłum uciekał spod kół.

Sierioża raz za razem zamykał oczy, bojąc się, że nauczycielka potrąci nieostrożną babcię albo matkę z wózkiem. Przyciskał do piersi klatkę z królikiem Stiepaszką. Obok, na jednym fotelu z Sieriożą, siedziała Swietka, najpiękniejsza dziewczyna w szkole. Jej pozwolono ewakuować grubego, wiecznie śpiącego chomika Kuźmę. Pozostałe dzieci z koła przyrodników rozsiadły się z tyłu. Uratowaniu podległy również rybki w akwarium, węże, które zdążono wepchnąć do trzylitrowego baniaka, i papugi.

Dżip gwałtownie skręcił, potrącając kosz: odpady, niedopałki, puszki po piwie. Kawałek zderzaka przetoczył się po asfalcie. Jelena Władimirowna, która po lekcjach prowadziło kółko, mocniej chwyciła kierownicę i przygryzła pulchną, pomalowaną wargę. W końcu to chodnik! No a gdzie jechać, skoro drogi są zamknięte przez wojsko?! Niech jej policjanci wlepią mandat i nawet niech zabiorą prawo jazdy! Ale to potem, a teraz...

Na wejściu na stację metra Swiatoszyn wpatrywały się w korek lufy automatów. Sierioża naliczył tuzin czołgów, obwieszonych dynamiczną obroną. Na zbroi najdalszego z prawej T-8 stał siwy mężczyzna w kamuflażu i pewnym głosem mówił przez megafon, że ludność cywilna powinna zachować spokój, powstrzymać panikę, że to tylko ćwiczenia. Po twarzy mężczyzny ściekały strużki potu, a ręce drżały tak mocno, że było jasne - kłamie jak z nut, to wcale nie są ćwiczenia.

A przecież poranek tak dobrze się zaczął! Pyszne śniadanie na stole. Ojciec przysłał list, matka obiecała oddać kopertę po szkole: "Pokażesz choć jedną piątkę w dzienniczku i list jest twój!" Już na

pierwszej lekcji przeczytał z zapalem "Testament"¹, nawet go pochwalili. A potem nagle zawyły syreny obrony cywilnej...

Jelena Władimirowna, do której Igneła cała męska część szkolnej społeczności, nagle dała po hamulcach. Pisk opon. Dżip przejechał po asfalcie i stuknął w bok BWP, który wyskoczył skądś z prawej. Momentalnie napęłniły się poduszki powietrzne, przyciskając nauczycielkę i Sieriożę ze Swiatką do foteli. To nie było przyjemne.

- Wsiadajcie z samochodu! Ruchy!!! - krzyczała Jelena Władimirowna. - Biegnijcie do metra!!!

Drzwi od strony kierowcy zaklinowały się, za nimi dało się usłyszeć szcęk zamków. Więcej Sierioździe nie było dane zobaczyć rybek, papug i węży, a razem z nimi Maksa z równoległej klasy, Marinki Iwanienko i jasnowłosego Jarika...

Marinka całą drogę próbowała skontaktować się z rodzicami. Ale nie udało jej się: "Brak dostępu. Sieć przeciążona. Prosimy spróbować wysłać do abonenta wiadomość sms lub zadzwonić później."

- Nie stójcie! Do metra! Szybko!!!

Seria z automatów zagłuszyła ryk klaksonów. Wybuchł samochód transportowy - żółty jak cytryna, "bogdańczyk" czarno dymił, krzyczeli ludzie, sypały się odłamki szkła... Swietka zaplątała się w pasach bezpieczeństwa. Sierioża przypadkiem przywarł nosem do jej ramienia i poczuł smakowity zapach. Chyba truskawki.

- Pomóc? - zagrzmiało w pobliżu.

Drzwi otworzyły się. Silne ręce wyciągnęły na zewnątrz Swietkę, a za nią Sieriożę. Jelena Władimirowna zwinnie ruszyła ich śladem. Z tyłu BWP wyskoczyli uzbrojeni ludzie i natychmiast rozproszyli się - rozkaz: odciąć zbuntowanych ludzi od metra. Tłum akurat przerwał łańcuch milicjantów z pałkami i tarczami.

Zagrzmiały automaty. Swietka krzyknęła. Po twarzy Jeleny Władimirownej ściekły czarne od tuszu łzy. Muskularny facet w mundurze desantowca złapał ją za rękę i pociągnął ze sobą. Nie wrywała się, tylko żałośnie zawodziła, żeby dzieci wzięli na dół, one powinny przeżyć. Desantowiec nagle się zatrzymał, zmarszczył brwi i, uśmiechnąwszy się do Swietki, skinął. Sieriożę z jakiegoś powodu od początku nie spodobał się ten uśmiech.

A potem długo biegli. Wokół rzucali się ludzie. Staruszki z siatkami zakupów siedziały na schodach i zmęczone patrzyły w pustkę. Zakrywała niebo stacja kolejowa. Migotało światło w zawity, podziemnym przejściu... Żołnierze, niewiele starsi od Sierioży, nie chcieli wpuścić ich do metra, rozkaz, nie pozwolono. Trzask skróconego karabinu, cętkowane postacie padają...

I oto peron.

Ludzie - nie precisną się. Jelena Władimirowna zgubiła się. Śmiejąc się, desantowiec złapał Swietkę i dokądś pociągnął. Taranował tłum, niczym atomowy lodolamacz wbijający się w Arktykę. Sierioża ruszył jego śladem, bijąc go po plecach pięściami. Wojak kopnął w tył, trafił w miękki brzuch...

Padając na peron Sierioża widział, jak na desantowca napada Jelena Władimirowna, psyknęła mu w oczy gazem pieprzowym. Rzucając się, żołnierz wypuścił Swietkę i sięgnął po AKSU. Zdążył wystrzelić na ślepo długą serię - trafił pięć osób, a potem postrzelił go mężczyzna w mundurze z majorskimi gwiazdami na pagonach.

Złapawszy się za brzuch, Sierioża myślał o tym, co się stało. Czemu nauczycielka rosyjskiego pomaga jemu i Swietce? Samotnej pięknej kobiecie łatwiej jest się uratować. Ale ona pociągnęła za sobą cudze dzieci, a potem nie pozwoliła skrzywdzić Swietki. I ryzykowała przy tym życiem... Dlaczego?!

Major, zastrzeliwszy desantowca, nagle skierował pistolet na Sieriożę i całą wieczność mrużył oczy, celując. Ale i tak nie nacisnął na spust. Przemysłał.

A Sierioża nagle zachciał, żeby ojciec, silny i odważny, pojawił się obok i uratował go przed przerażająco brutalnymi ludźmi, ściskających się w podziemiu. Ojciec nie pozwoliłby go skrzywdzić.

Prawda, Sierioża słabo go pamiętał, w końcu ojciec odszedł z rodziny, kiedy syn miał pięć, może sześć lat i po tym matka spaliła wszystkie fotografie męża. Ale ojciec na pewno był wysoki i uśmiechnięty. Grał na harmonijce bluesa, który wyciskał łzy i przestawano tańczyć. Gdzie jesteś, tato?

Mamo, a ty?

Peron zatrzęsł się. Światło zgasło.

W grobowej ciszy ktoś oznajmił ochryple:

¹ «3anoeim» - wiersz Tarasa Szewczenki (przyp. aut.)

- No i tyle. Wojna. Atomowa.

Trzynastoletniemu chłopcu o imieniu Sierioża Kim zamarło serce. Wiedział, że matka została na górze i już nigdy więcej jej nie zobaczy, ponieważ pokojowy atom przestał być pokojowym i miasto zostało zniszczone...

Wtedy Siergiej jeszcze nie wiedział, że minie dwadzieścia lat z hakiem, zanim ponownie zobaczy niebo.

Oczy oślepiło światło słoneczne. Z trudem przebijało się przez grubą warstwę chmur. Sajgon zamrugał. Silnie zawiął wiatr, pchając w plecy, jakby wskazując dokąd trzeba iść. Do tego ekspressem.

Na moment Sajgon zaufał wiatrowi i zrobił krok w stronę tunelu, ale... Jaki jeszcze wiatr na stacji?! Skąd tu jest światło słoneczne?! Pokręcił głową, przeganiając przewidzenie.

Ostatnimi czasy często się tak z nim działo. Nagle, ni stąd ni zowąd zamiast sufitu - gwiazdy i księżyc. Albo słońce na tle błękitnej nieskończoności. I jeszcze prawie każdej nocy Sajgonowi śnił się ojciec...

To nie wróżyło dobrze.

- A ty gdzie się zmywasz? - zawołała go Swietka.

Burknął coś w odpowiedzi i pokornie powłókł się za nią.

Na samym środku peronu stała choinka zdobyta przez Mitkę Kompasą w czasie jednego z jego wypadów na powierzchnię. Kiedy pozostali szabrownicy wykonywali rozkazy mieszkańców podziemi, Mitka, jeszcze z zębami i z jakimiś perspektywami, przeszukiwał magazyn supermarketu, gdzie znalazł plastikowe drzewko w polietylenowym opakowaniu. W czasce Kompasą doszło do krótkiego spięcia, dzieciństwo w tym samym miejscu zagrało i zaciągnął błyskotkę na dół, zapominając o nadmuchiwanym materacu dla Sajgona.

Pamięta, że Major (ten mężczyzna, który prawie zastrzelił Sieriożę w pierwszym dniu wojny) konkretnie złał nowicjusza za zawalony wypad i na zawsze zakazał zabierania "tego smarkacza" na górę. Najdziwniejsze jest to, że szefostwo Swiatoszyna Mitce Kompasowi za choinkę podziękowało. Dziękujemy ci, drogi towarzyszu, mówili. A kiedy zdrowie nieudanego szabrownika zaczęło się pogarszać w wyniku napromieniowania (tak twierdził Mitka), przyznano mu dożywotnio Specpajok².

Przez lata plastik nie wyblakł, choinka była, można powiedzieć, wiecznie zielona. Major podarował potem stacji całe pudełko ozdób i bawelnianego Dziadka Mroza. Nikt w choince nie miał choinki, nikt nie świętował Nowego Roku, a na Swiatoszynie uważano go za najważniejsze święto. Korzystając z okazji (Specpajok! dożywotnio!), wielu szabrowników próbowało wcisnąć swiatoszyńskiemu szefostwu flagi na Pierwszego Maja, życzenia z okazji Dnia Zwycięstwa i ósmego marca, ale - niestety.

- No i jesteśmy w domu! - radośnie oznajmiła Swietka na progu chatki z płyt kartonowo-gipsowych z dwoma pokojami. Lepsze apartamenty na Swiatoszynie miał tylko naczelnik, Matwiej Aleksiejewicz.

Sajgon skrzywił się i odwrócił się.

Żonie się to świetnie udało - cieszyć się codziennymi sprawami. Kupiła u karawaniarzy globus dla Andriuszki, żeby wiedział, jaka jest u nich planeta okrągła - i zadowolona. Palec poparzyła, robiąc nad piecem elektrycznym - śmieje się, mówi, do wesela się zagoi! Zazwyczaj Sajgonowi podobała się ta cecha charakteru małżonki. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj wszystko go drażniło. I nie dawał spokoju dziwny wiatr popychający w plecy.

Czy on, Siergiej Kim nazywany Sajgonem, traci rozum?...

Opuścił syna na peron.

- Kolacja gotowa? - zapytał Swietkę, która podejrzliwie na niego spoglądała.

Poczuła coś. Żony nie oszukasz, ona go widzi na wskroś nie gorzej od aparatu rentgenowskiego.

- Zostało tylko rozłożyć miski. I nalać.

- Więc zajmij się ty. A ja szybko. - Sajgon ruszył z powrotem do schodów.

- Czemu? Ty gdzie? - zmrużyła oczy Swietka.

- Popatrz. Muszę. - Sajgon w sumie sam nie wiedział, czemu ciągnęło go, żeby dokądś pójść, przecież kanibale uciekli, a po walce nie można rzucać nożami. A jednak...

² CneqnaeK - marka wódki (przyp. tłum.)

Wiatr, tak?

Psychol jesteś, Sieriożeńka, naturalnie.

No i psychol! Tłoki szwankują, kolego! Na tablicy czerwienią się cyfry - 23:55. Prawie Nowy Rok. Szybko rozejrzeć się co, gdzie jest i pędź na chatę, na łono rodziny. Swietka obiecała pieczeń z ziemniaków, grzybów i króliczego mięsa. A jak ona gotuje - palce lizać...

Z każdym krokiem tunel zbliżał się. Sajgona mamała czarna otchłań, zamieszkała przez duchy tych, którzy umarli w metrze. Tak mówią starcy. Sajgon w ten szajs nie wierzył, ale czasami...

Zacisnął powieki i, uszczypnąwszy się w udo, zaklął. Normalnie jakaś halucynacja. Niechący przypomniała mu się piosenka z radzieckiego jeszcze filmu animowanego: "Mówią, że w Nowym Roku, czego sobie nie życzysz, wszystko zawsze się dzieje, wszystko zawsze staje się prawdą!"³

- A ty tu czego?

Sajgon zaskoczony wzdrygnął się.

Mitka Kompas, kołyszac się, podał mu wojskową manierkę w brezentowym pokrowcu:

- Masz, gołnij sobie! Święto mamy!

Za kolumną Mitka się chował, czy co?...

Kompas nie posiadał żadnej rodziny. Radiacja i męskość dosyć słabo się ze sobą łączyły. Za to Sajgon miał i żonę, i syna... No powiedzcie, czego on tu zapomniał, kiedy ukochane osoby na niego czekają, niepokoją się?!

- Później, Mitia, Później. - Odwrócił się i pobiegł do domu, lawirując pomiędzy łózkami, namiotami i zwyczajnie siedzącymi na peronie ludźmi.

Tak już było, że najpopularniejszym zamówieniem u szabrowników było łóżko. Ludzie musieli na czymś spać. Mało kto myślał o tym podczas ewakuacji. I dlatego śmiali szabrownicy często wychodzili na powierzchnię, żeby przynieść z najbliższego, nierozgrabionego domu pancerne siatki i inne, na czym można było spać.

Obok wystrzeliły imprezowe puszki, obsypując Sajgona konfetti. Potknąwszy się o czyjąś nogę, o mało nie zorał nosem o podłogę. Ale jednak zdążył.

- Nalewaj, mamuska! - Wpadł do sypialni, gdzie na łózkach siedzieli Andriuszka i Swietka, a w przejściu ustawily się w kolejce aż trzy taborety - oto i jest świąteczny stół: garnek, miski, widelce, dwa kieliszki. Plastikowa butelka z samogonem leżała na łóżku obok Swietki.

- Już. - Swietka mrugnęła do męża.

Stuknęli się. Na zewnątrz, na peronie, zagrzmiało jednogłośnie "Hurrraaa!!!"

- I przyszedł nowy rok dwa tysiące trzydziesty trzeci. A my nadal żyjemy. Wbrew wszystkiemu. - Swietka momentalnie się upiła.

My nie dość, że żyjemy, to jeszcze dobrze żyjemy, pomyślał Sajgon.

- No, syneczku, pomyślałeś życzenie? - Swietka zmierzwiła Andriuszce włosy.

Ten odsunął się. Rośnie chłopak, rodzicielskie czułości już mu się nie podobały. A przecież jeszcze tak niedawno...

- Pomyślałem. Ale nie powiem. Żeby się spełniło, nie można nikomu powiedzieć. Nawet wam.

- I bardzo dobrze! - Swietka nalała do kieliszka. - A ty, mężulku, pomyślałeś?

"Mówią, że w Nowym Roku, czego sobie nie życzysz..."

- Mhm. - Sajgon jednym haustem wlał w siebie trunek.

I faktycznie pomyślał.

Jedno głębokie pragnienie.

* * *

Kiedy butelka się opróżniła, wybrał się "poodychać świeżym powietrzem". Zamienić dwa słowa z sąsiadami, potem Mitka Kompas zatoczył się, potem Kaszka z opatrzonym ramieniem, potem...

W ogóle, Sajgon sam nie rozumiał, jak znalazł się koło tunelu. Cyfry na zegarze migaly czerwona, zamazaną plamą. Stał na skraju peronu i gapił się w ciemność. Ile tu sterczał, nie wiadomo.

Od picia trochę go mdliło. Trzeba łyknąć sobie wody i kłaść się spać. Jutro pół stacji będzie miało kaca i wolny dzień, ale nie Sajgon. Jego zwierzętom obce są problemy poza spaloną żarówką - muszą żreć codziennie, bez wyjątków na święta.

Z sąsiedniego namiotu unosił się słodkawy dym konopi. Ogólnie narkotyki na Swiatoszynie są zakazane, ale z okazji święta szefostwo patrzy na wybryki przez palce.

³ S. Michałków "W Nowym Roku" («nod Hoebiu ^o^») (przyp. aut.)

I jak ten towar trafia na stację, przecież są kordony, kontrola bagaży i ogólnie surowo? Złodzieje z Dworcowej znają się na rzeczy, nie ma o czym dyskutować. Wszystkie narkotyki w metrze są od nich: dzień i noc starają się podopieczni Lonczika Kosmosa, którym bajkami straszą dzieci. Przy czym straszą ci, którzy nigdy bliżej niż na trzy stacje nie zbliżyli się do Dworcowej.

Rozpalone popitką twarze musnęło chłodne powietrze. Wiatr? Znowu?! Chmiel odjęło jak ręką, aż złapał oddech.

A tam, nonsens, zwyczajny przeciąg!

Sajgon spojrzął na swoją rękę, konkretnie na diodową latarkę, którą trzymał. I kiedy ją z kieszeni wyciągnął? Latarkę zawsze ze sobą nosił. Nawet w nocy pod poduszkę chował. Ale na co mu latarka teraz? Z okazji święta światło będzie się palić całą noc.

I nagle Sajgon zrozumiał, że już od dawna nie znajduje się na peronie. Jest w tunelu. A wokół jest ciemno, jak w tyle u kanibala, którego odprawił dziś do praoców.

Jak to się mogło stać?! Co się dzieje, hę?!

Sajgon zastygł w miejscu. W mroku coś było. Nie ruszać się! Nie oddychać!

Albo rzucić się za siebie, póki nie jest za późno?

Coś czaiło się w pobliżu. Sajgon dobrze o tym wiedział. Ale co? Paciuk? Albo jeszcze jakiś twór radiacji i mgły tuneli? Sajgon wsłuchał się i zrozumiał: nic żywego mu nie zagrażało. Żywego nie. Czy to znaczy, martwego?!...

Głośno odetchnąwszy, nacisnął na guzik na latarce. Żółty snop zamigał oświetlając szyny, podkłady, sklepienie... Niczego nie ma, wszystko jest zwyczajne.

A potem coś błysnęło pod nogami.

Sajgon cofnął się, wzdłuż kręgosłupa jakby chluśnięto wodą ze studni. Odwrócił się i głośno odetchnął z ulgą. Do wyjścia z tunelu było tylko trzydzieści metrów. W skroniach głośno stuknęło. Podniósł przedmiot, który tak go nastraszył.

To była ustna harmonijka Hohner z wygrawerowanym na nierdzewnym boku autografem Boba Dylana.

Serce Sajgona o mało nie eksplodowało.

Poznawał ten instrument.

Rozdział 2

Wielki biały człowiek

- Dokąd się wybierasz w nocy? - zdziwiła się Swietka.
- Bob Dylan, mamuśka. Słyszałaś o takim? - Sajgon wsadził do plecaka worek z żetonami.
- Profesor z Uniwersytetu? - ziewnęła Swietka.
- Coś w tym rodzaju, kurna. Coś w tym rodzaju... - PM, który wiele lat temu podarował mu Major,

Sajgon wetknął za pas pod połataną kurtkę wojskową. Tylko jeden magazynek miał do niego, tylko jeden, za to miał amunicję smugową, żeby, strzelając po ciemku, dokonywać korekcji ognia. Do kieszeni na piersi świetnie pasowały zębatki z zaostrzonymi zębami. Tak, teraz nóż. Krótki, taki ostry, że z tubingu można odcinać warstwy i, jak masło, rozmazywać... na czym? Nie na chleb oczywiście. Nie na Swiatoszyński chleb, masła nawet nie ma. Po prostu słowo wrosło w pamięć. Syn Andriuszka już nie rozumie, w czym idea żartu, jest z drugiego pokolenia, prawdziwy kret.

Plecak na plecy. Zdjąwszy ze ściany kołczan ze strzałami i łuk, Sajgon pochylił się nad żoną, pocałował w usta:

- Śpij, kochanie. Niedługo wrócę.
- Daleko?
- Niedaleko. Tu i z powrotem.
- Na polowanie? Mocno cię pobili, prawda?
- Tak, mamuśka, śpij.
- Jeśli do jutra nie wrócisz, wygrzebię cię nawet spod ziemi. - Małżonka żartuje. Czyli wszystko w

porządku.

- Cii! Obudzisz Andriuszkę. - Zamknął za sobą skrzypiące drzwi - naoliwić by się przydało - i ponownie zanurzył się w atmosferze napiętej wesołości.

Święto trwało. Wokół choinki tańczono, zadzierając spódnice i przykucając na podobieństwo Hopaka⁴. Wielobarwnie migotały girlandy, rzucając refleksy na boki bombek. Przy bawelnianej figurce Dziadka Mroza stał kieliszek pełny siwej, mętnej cieczy. Żalony widok.

A wczoraj był radosny?

A przedwczoraj ?...

Czym jest dla ciebie rodzinna stacja, co, Sieriożeńka? Czym jest dla ciebie Swiatoszyn? Podoba się biała, kafelkowa płyta z ornamentem na środku ścian przy torach? Rozgrabione bankomaty wywołują w tobie jakiegokolwiek uczucie? A pozostałości systemu oświetlenia nad krótko ostrzyżoną głową? Albo czy inspirują cię rzędy łóżek, zasłanych kołdrami z króliczych skór?

Milczysz, farmerze? No i dobrze: milcz...

- W końcu się zdecydowałaś? - Mitka Kompas pociągnął Sajgona za rękaw. - Potrzebujesz pomocy? Nie jestem, po prawdzie, wędrowcem, ale dzieci mogą się drzeć. Bolt pójdzie i jeszcze kto...

Sajgon pokręcił głową - mówiąc, że sam da sobie radę, nie przeszkadzaj chłopakom w spacerach.

- No, jak wiesz...

"Dokładnie. Jak wiem"

Wtedy, na samym początku, wszyscy byli pewni, że jedzenia nie wystarczy na długo. Zabijali za suche pieczywo, za konserwę szprotek w sosie pomidorowym. Szczególnie niepowstrzymani bojownicy, zawalił się u nich całkowicie dach, złamało się coś ważnego w ludziach. Prawdopodobnie doświadczyli poczucia winy przed wojskowymi: nie dali rady ochronić, przysięgając, wszystkich spraw. Wojna jest przecież ich pracą. Ale reakcją na winę nie była w żadnym razie skrucha. Strzelali we wszystko, co się ruszało, aż nie zdali sobie sprawy, że nie zostanie więcej naboju, a zapasów amunicji nie ma jak uzupełnić. Cała amunicja została na górze. Z kawałków kabla przesyłowego zrobili porządne pałki. Poręcze z wagonów też się nadały. Metal zaostrzyli na marmurze. Krew lała się strumieniami.

Wszyscy jakby stracili rozum. Sierioża też.

I teraz miał takie przeczucie, jakby te czasy wróciły. Albo wrócą niedługo.

Mijając kolejną kompanię pijanych wsunął rękę w kieszeń, wyszukał wypolerowany bok harmonijki. Szkoda, Sajgonowi daleko od muzyka. Było jeszcze takie powiedzenie o niedźwiedziu, chyba... Nie, nie przypomni sobie, ale dobra, to nieistotne.

Hopak - ukraiński taniec ludowy (przyp. tłum.)

- Na paciuka wybierasz się, wujku Sierioż? - zawołano głośno, dziecięco z tyłu.
- Na paciuka. - Nie oglądając się, Sajgon wkroczył w mrok tunelu i jakby cofnął się o pół godziny do tyłu.

...Serce o mało nie wybuchło.

Harmonijka!

Bob Dylan!

Kropka w kropkę na takim instrumencie grał ojciec Sajgona. Tylko jeszcze było zarysowanie na kształt litery "A"... Przyjrzał się - równo, gładko. Obrócił harmonijkę na drugi bok i zamarł.
"A".

Powstrzymawszy jakoś dreszcz, uważnie zbadał podłoże tunelu w pobliżu i odnalazł maczetę kilka metrów od miejsca znaleziska. Znak Oguna na metalu. I plama krwi obok - widocznie Bolt trafił kogoś z przybyłych. Nieźle, trafił w cel, pomimo, że Sajgon zakrył nieporządnego strażnika.

Tak więc nie ma wątpliwości: Sajgon dzierży harmonijkę ojca, a zgubił ją Nigeryjczyk, jeden z czterech, którym udało się uciec ze Swiatoszyna.

Dalej Sajgon działał nie zastanawiając się. Wrócił do domu, wziął broń, wrzucił do plecaka jedzenie, wodę, żetony i parę drobiazgów. Plan był prosty: znaleźć kanibali i od serca sobie z nimi porozmawiać - wyjaśnić, skąd mieli instrument. To nie powinno zająć dużo czasu, ale Sajgon zawsze brał tyle ekwipunku, jakby miał dwa razy przejść przez linię Swiatoszyńsko-Browarską. Mało to się może zdarzyć? Strzeżonego nawet paciuki mijają z boku...

Teraz, pół godziny później, Sajgon za rękojeść ze stopu magnezu trzymał przed sobą łuk. Na dakronowej cięciwie leżała eastonowa strzała⁵. Ramiona łuku - klon, włókno szklane i włókno węglowe. Clicker Sajgon zdjął, żeby nie brzęczał - dodatkowe dźwięki w podziemiu nie są potrzebne. Przede wszystkim nie broń, a żalobna pieśń po zmarłej wysokiej technologii. Niech tylko pojawi się wróg, a już Sajgon nie odpuści, możecie być pewni.

Drogę oświetlał latarką. Baterie są teraz szalenie drogie, ale dla własnego bezpieczeństwa się nie oszczędza. Gdyby to był zwyczajny wypadek, Sajgon, jak wszyscy, używałby miseczki z knotem w króliczym tłuszczu albo oleju silnikowym. Ale nie tym razem. Tym razem ma dwa zapasowe komplety baterii. Za nie mógłby nawet zabić, w końcu warte są fortunę.

Łuk, pistolet, sprzęt i nóż... A jeśli Nigeryjczycy poddadzą się bez walki? Sajgon prychnął, doceniając własny żart. Pogoni nie było, wrogowie skryli się gdzieś w pobliżu. Tym lepiej: nie trzeba będzie biegać za kanibalami po całym metrze.

Nieoczekiwanie ciemność przed nim zgęstniała. Dało się słyszeć ochrypty wdech. Sajgon gwałtownie zatrzymał się i wyłączył latarkę. To był błąd. Katastrofalny błąd, który niemal pozbawił go życia.

Łańcuch z dzwonieniem chlasnął po żebrach, wyrzucając z płuc powietrze. Ostatnim razem kości zachowały się całe - teraz Nigeryjczycy postanowili dokończyć robotę.

Upadając, Sajgon upuścił latarkę. Jeśli się rozbiła, to... Części zapasowych nie ma i nie kupisz nowej na najbliższym bazarku. Już od dwudziestu lat nie tworzą laterek ledowych. Tak jak i każdych innych!

Zawibrowała cięciwa, strzała świsnęła w mrok. Obok. Sajgon nie usłyszał charakterystycznego dźwięku, z jakim grot wbija się w ciało. Na co on liczył, kiedy w pojedynkę wyruszył do tunelu? Nigeryjczycy doskonale widzą w ciemności, a Sajgon jest ślepy jak kret.

Bo przecież jest kretem! Doskonale przystosował się do podziemia i nie marzy o spacerowaniu pod słońcem. Poddaj się instynktom, krecie! No już! No!

Poddał się - przetoczył się na prawo, boleśnie uderzając łokciem o szynę - w ciągu długiej sekundy przed tym, jak łańcuch z dzwonieniem śmignął tam, gdzie dopiero co znajdował się Sajgon.

Nigeryjczyk widzi go, a kret powinien wyczuwać wroga. Powinien!

Łatwo powiedzieć.

Ból zapłonął - Sajgon dopiero co zaczął podnosić się i ponownie ryknął, upuszczając łuk i łapiąc się za uszkodzone kolano. Do goleni, nieco powyżej buta, były przymocowane noże. Gdyby tylko się do nich...

To ma sens!

⁵

Amerykańska firma "Easton" - największy producent strzał na świecie (przyp. aut.)

Plastikowo stukając, potoczyła się latarka. Sajgon jęknął w duchu: jeśli latarka nie rozbiła się od razu, to cholerni Nigeryjczycy na pewno ją zniszczą. Znowu chrypiące westchnienie. Z nożem w ręce Sajgon rzucił się na dźwięk.

Na co on liczył, co? Na to, że głową powali włóczęgę i, przyciskając nos do mostka, w pełni poczuje aromat niemytego ciała? Albo że nóż przy pierwszym uderzeniu minie żebra i przebije serce Nigeryjczyka, jak ukąszenie komara dziecięcą skórę?

Kanibal zabalgotał i upadł pod ciężarem Sajgona.

- Jestem kretem! Słyszysz - kretem!!! - Nóż jeszcze raz wbił się w nieporuszające się ciało, i jeszcze. Sajgon nie mógł pozwolić włóczędze, jak złoczyńcy w przedwojennych kryminałach, ocknąć się i od tyłu zaatakować głównego bohatera, dziarsko maszerującego ku happy endowi.

Gdyby ktoś nie zrozumiał, głównym bohaterem jest Sajgon.

Wydawało się, że całą wieczność czuł podłogę wokół. Jego umysł wypełniła panika. Na zawsze pozostanie w mroku! Nie zdoła wydostać się stąd! Zginie tutaj!

Dopiero kiedy palce wczepiły się w latarkę, która okazała się być w jednym kawałku, Sajgon przypomniał sobie, że w plecaku ma miseczkę, a w stalowym, hermetycznym termosie tyle tłuszczu, że wystarczy do dojścia do Dworcowej i z powrotem.

- Wstyd, bracie, wstyd! - splunął ze złością Sajgon.

Nie wybaczał sobie słabości. Nigdy.

Prawdopodobnie włóczędzy odesłali jednego ze swoich, żeby wyjaśnił, jak mają się rzeczy na stacji. Upici Swiatoszyńczycy nie okażą sprzeciwu. Na miejscu włóczęgów Sajgon schowałby się, poczekał na zwiadowcę, a potem... Ostatnia walka zmusiła farmera do przyjrzenia się swojej taktyce. Zwycięstwo możliwe jest tylko w jednym przypadku - jeśli ruszy im na przeciw. Głośno tupiąc. Jasno oświetlając drogę. I - najważniejsze! - celnie strzelając.

- Ej, Joruba, gdzie jesteście, au?! Zabiłem jeszcze jednego z waszych! Drugiego już! Au!!!

To było wyzwanie.

I mgła przed nim odpowiedziała wściekłym wyciem.

Sajgon przyciągnął do siebie włóczęgów: żadnej zasadzki, pobiegli do głosu wroga.

Chcieli rozerwać go na strzępy, wykorzystując do rytualnego tańca.

I wszystko byłoby dobrze, wszystko zgodnie z planem, ale Sajgon wiedział, że hałas przyciągnie nie tylko kanibali. Kogo jeszcze? Mało to mieszka w tunelach, gdzie, uzbrojeni po zęby, chodzą tylko karawaniarze?

Lekki wiaterek musnął policzki. Znowu?! Latarka w lewej ręce, prawą wyciągnął zza pasa pistolet. Kret nie widzi nawet własnego nosa - poza granicę światła latarki, za to pozostałe zmysły rozwinęły się u niego.

Bez mała sześć gramów straciła lufa. Wściekły świetlik z rykiem przeszył mgłę, powietrze wypełniło się prochowym dymem i krzykami. Trafił, a jakże. Oto co znaczy być prawdziwym kretem!

Bolesny dźwięk uderzenia, krzyki ucichły. Dobijamy swoich, żeby nie cierpieli? Jebani humaniści!

Na Sajgona nagle wyskoczył czarny niczym mrok kanibal. Wrzeszczał coś, rozwijając nad głową łańcuch. Pytanie, dlaczego? Milczenie jest przecież złotem, prawda? Sajgon zaraz uczynił włóczęgę złotym, czyli milczącym - kula w twarz w zupełności mu wystarczyła.

Do tunelu ociekło czterech kanibali, teraz jest dwóch mniej. W sumie, jaki jest bilans? Najważniejsze, nie wpaść w szal, trzeba przecież dowiedzieć się o harmonijce. Bob Dylan, chłopaki. Wiecie, kto to taki Bob Dylan? Maleńka podpowiedź: to nie jest profesor z Uniwersytetu.

- Zjem cię - szepnęła do Sajgona mgła.

Znana śpiewka. Powtórzenie matką uczenia się?

Pistolet drgnął w ręce. Po uszach uderzył wystrzał.

- ZJEM!!!

Obok. Bywa. Znowu wystrzelił.

Wychudzone ciało pokazało się na granicy światła. Niestety, nie jest to chłopak z hollywoodzkim uśmiechem. Zamach, maczeta poszła w ruch. Punkt docelowy - głowa Sajgona. I uniknąć się nie da!

Palec pociągnął za spust. Kula trafiła w zuchwę Nigeryjczyka.

Maczeta dosłownie zastygła w powietrzu. Sajgona owładnęło przecucie śmierci. Oczy zrobiły się wilgotne. Wybacz, Swietka. Wybacz, synku.

Ostrze przy samej twarzy. Dotykając policzka, kłusząc ucho...

I znowu wszystko zakręciło się w szaleńczym tańcu. Sajgon bez sił opadł na podłogę, obadał twarz. Wiązka światła, z wciśniętej między kolana latarki, niknęła w głębi tunelu. Na policzku mokro, lepko. I płata jakby nie ma.

Udało się. Łatwo poszło.

Ale wszystko dopiero się zaczęło. Wstawaj, bracie, nie ma się zasiadywać!

- Ej, głodomorze! Gdzie jesteś? Chodź do mnie, pytanie mam! Obiecuję: nie zabiję cię.

Cisza w odpowiedzi. Nie wierzy kanibal, schował się. Ale na próżno. Sajgon naprawdę pragnie porozmawiać - na początek, a potem już zależnie od okoliczności.

Jeszcze troszkę - i zwycięzcą uznamy wojownika Swiatoszyna? A nie trzeba wcześniej terminu. Sajgon coś wyczuł, ale zareagować nie zdążył - walnął mordą o szynę, w oczach wybuchała barwność fajerwerków. Nigeryjczyk zaszedł od tyłu i zdzielił po potylicy. Jak czaszka wytrzymała to?

- Zjem... - warknęła zadowolona mgła.

- Zadławisz się. - Sajgon odwrócił się na plecy, podciągnął kolana do klatki piersiowej i ze wszystkich sił kopnął ciemność.

I sam się zdziwił, że trafił.

Ciemność chrupnęła, pociągnęła nosem i usiadła. Nie tracąc czasu, Swiatoszyńczyk popęzł za latarką, która walała się pomiędzy podkładami, oświetlając tubing na ścianach.

Włóczęga padł bez świadomości. Sajgon rozbił mu nos i delikatnie uszkodził zgryz. Cienkim, miedzianym drutem związał Nigeryjczykowi nadgarstki, a następnie kostki. W plecaku ma linę, ale drut jest pewniejszy. Teraz można odpocząć.

Ale farmerowi potrzebny był odpoczynek, skoro sam o mało nie stracił przytomności. Bolało całe ciało, w głowie się kręciło. Odzywały się uderzenia i upadki, a i na święcie nie mało wypił. Szlag by wziął te publiczne wydarzenia!

Sajgon nagle nastroszył się: nie podobał mu się oddech Nigeryjczyka. Poświecił w twarz jeńca. I oczywiście włóczęga obudził się i próbował przegryźć zębami druty - pociął sobie dziąsła i rozciął wargi. Trzeba było związać ręce za plecami.

- Przesłuchasz mnie? - zapytał uwięziony Nigeryjczyk.

Sajgon wzruszył ramionami:

- To zależy od ciebie.

Nigeryjczyk głośno zadyszał.

- Nie rzucaj się tak. Po prostu powiedz, skąd wzięłeś ten przedmiot. - Swiatoszyńczyk poświecił na harmonijkę. Z trudem okiełznał drżenie w głosie. - I przestań żreć drut, nie jest smaczny.

Kanibal prychnął oburzony. Wtedy Sajgon podniósł się i leniwie szturchnął jeńca czubkiem buta w zębra.

W ogóle z obuwiem trzeba być ostrożnym. Nowego nie znajdziesz na górze, w końcu minęło dwadzieścia lat. Szczury i czas surowo obeszły się z butami na obcasie i tenisówkami znanych firm. Buty Sajgona były przedmiotem pałacej zazdrości wśród wszystkich mieszkańców Swiatoszyna, wliczając niezmiennego naczelnika Matwieja Aleksiejewicza.

Cóż, cel uświęca środki. Uderzenie było słabe, ale język Nigeryjczyka rozwiązał się:

- Kilka dni temu ukradłem to jednemu wielkiemu, białemu człowiekowi na Bieriestiejskiej. Nie kradniemy, tak ustalono, ukrywałem to przed swoimi. Taki strasznie piękny przedmiot, nie wytrzymałem!

Sajgon mocno zacisnął powieki. Tak po prostu: przywłaszczył sobie drobiazg, pożyczył od wielkiego, białego człowieka...

Czyli Bieriestiejska? Najpierw dość do stacji Niwki, gdzie baby ustawiły się, a stamtąd do Bieriestiejskiej rzut beretem. W trzy doby można wrócić, a nawet szybciej.

Sajgona przeszedł dreszcz. Udało się, złapał akurat tego włóczęgę. Trzech Sajgon zostawił na pożarcie paciukom, a jednego, który wiedział o losie harmonijki, spętał i przepętał. Pan Tuneli cofnął rękę, uratował włóczęgę.

- Nie zabijaj!

- Nie zabiję. - Sajgon wytarł z czoła pot. - Przecież obiecałem.

Po co brudzić ręce, skoro paciuki same się wspaniale spisują? Tunele się od nich roją. Tyle lat ludzie męczą się z paciukami (a może paciuki z ludźmi?), ale bez skutku.

- Ej, a rozwiążesz?! - zawołał do Sajgona Nigeryjczyk.

- A tego nie obiecałem. Wybacz, stary.

W odpowiedzi Nigeryjczyk zaklął w swoim języku. Prawdopodobnie posłał gdzieś dalej.

Sajgon podniósł łuk, poprawił skórzaną rękawicę na rękę i powoli ruszył przed siebie. Trzeba pomyśleć, co i jak teraz. Wyj aśnił, skąd kanibal miał ustną harmonijkę. I?... Wrócić na Swiatoszyn, nie zobaczywszy się z ojcem, który, być może, jest całkiem blisko?! Ile lat Sajgon marzył o tym spotkaniu, a teraz, kiedy pojawiła się realna szansa... Przecież jest niedaleko. Obróci w ciągu kilku dni... Swietka, oczywiście, będzie wściekła, ale potem się uspokoi. Jeśli teraz do niej wróci - wyruszając nie pozwoli mu na to. Baby mają swoją logikę, stwierdza, zapewne, że nie za ojcem się wyprawia, a za kimś innym... A tak - normalnie. Poprzeżywa, przemyśla sobie co chce, a potem wróci do domu cała i zdrowa, ona ze szczęścia zapomni. Andriuszka... To Sajgon, oczywiście, postępuje teraz jak dupek, który porzuca żonę i syna na dwa dni, który strzępi nerwy. Wybaczcie, kochani. Naprawdę muszę.

Postanowione: dotrzeć do Bieriestiejskiej, znaleźć ojca. Znaleźć ojca!

Lekki wiaterek musnął po potylicy Sajgon wiedział: to znak, trzeba iść.

Ale w pojedynkę dreptać po tunelach jest równoznaczne samobójstwu. I dobrze jest przy samej stacji, gdzie wszystko zbadane wzdłuż i wszerz, gdzie znasz każdą dziurę i każdy orwany kabel na ścianie. A im dalej w mrok, tym grubsze paciuki... A przy tym: Nigeryjczyk ukradł instrument kilka dni temu. Plus czas, który zajmie przyjscie. Ojciec sto razy zdąży zaginać w podziemiach...

I nie mogło być mowy o tym, żeby wrócić na Swiatoszyn i zabrać ze sobą niezawodnych kompanów. No i kogo wezwać? Mitkę Kompassa, Bolta i Kaszkę? Pozostali są jeszcze gorsi - pierwszorocznicy i ci, którzy są starsi, wszyscy są chorzy, o mało nie rozleca się idąc. Kolej podziemna nie jest najlepszym miejscem dla przywykłych do nieba ludzi. Młodzież? Ci się w pełni przystosowali, ale wojowników pośród nich nie ma - dzieci wyrosły w pokoju i bezpieczeństwie.

Sajgon jest jedynym takim: i wojownik, i kret zarazem. Niewielu godzi się z tym, że nie zobaczy już więcej tęczy nad Dnieprem - kret powinien radować się z tego powodu. Kretowi dobrze jest w podziemiach, czuje się tu jak ryba w czystej wodzie. To jest jego świat, ma w nim wszystko. Żeby tylko znaleźć ojca!...

Przerazający krzyk echem uderzył w sklepienie, odbił się od ścian. Gardło zdzierał Nigeryjczyk, nikt inny nie mógł tego zrobić. Szybko działają paciuki.

Sajgon zatrzymał się. Co on robi, co?! To w stylu Majora i jego bandy, ale nijak nie pasuje do zamożnego farmera ze stacji Swiatoszyn!

Kiedyś Sajgon chciał być podobny do Majora: zapuścić brodę, spać z automatem w rękach i wychodzić na górę, nawet jeśli nie ma zleceń. Major nie mógł bez nieba nad skażonym miastem, gdzie pośród obłoków poruszał się Łybid, najstraszniejszy mutant Kijewa... Te czasy już dawno minęły, Sajgon nie jest już chłopcem. Naciskać na spust AK i oddychać przez filtr maski przeciwga zowej - to nie jego marzenie. Dziękuję, postoję.

Zacisnąwszy zęby, pobiegł do przodu. Lepiej poderżnąć kanibalowi gardło, niż pozwolić paciukom pożreć go żywcem. Jak on mógł tak postąpić? Co go naszło?!... Z przodu tliły się na czerwono kilkadziesiąt węgli - to oczy mutantów. Średnich rozmiarów stado, mogło być i gorzej.

Zwyczajnych szczurów z każdym rokiem było coraz mniej. Paciuki różnią się od nich rozmiarami i jakimiś szczegółami anatomii. Średni paciuk w kłębie sięga Sajgonowi do biodra. Ale zdarzają się egzemplarze znacznie większe, karawaniarze opowiadają bajki o stworzeniach wielkości cielaka.

Łapy paciuków są nieproporcjonalnie długie - w porównaniu do normalnych szczurów. Dzięki temu mutanty są w stanie szybko biegać i świetnie skaczą. A do tego mają jeszcze dosyć dużą czaszkę, podobną do ludzkiej. I po co paciukom tyle mózgu?

Zwyczajne szczury wolno jeść. Sajgon jest przeczulony, ale u wielu Swiatoszyńczyków szczurzyna jest niemal podstawą diety, przecież to nic wielkiego. A mięso paciuków to trucizna. Ale, mówią, uczeni z Uniwersytetu znaleźli sposób, jak sprawić, żeby mutanty nadawały się do spożycia. Pewnie kłamstwo.

W stadzie paciuków istnieje ścisła hierarchia. Najpierw powoli nasycy się lider. Powolność jest spowodowana układem trawiennym: zaskakująco mały żołądek, czy coś w tym rodzaju. Potem żywi się samica lidera. Po niej kolejny rangą samiec, jego samica i tak dalej. Tylko to uratowało Nigeryjczykowi życie. Gdyby mutanty zwały się grupą, włóczęga zostałby obgryziony do kości.

Oczy-węgielki są doskonałym celem.

Pierwszą strzałę Sajgon posłał liderowi między oczy. Jeśli nie chcesz kłopotów, strzelaj, żeby zabić - w mózg. Ranny paciuk wciąż jest hemoroidem. A śmierć lidera w konkretny sposób ułatwi strzelcowi życie: samce, ignorując zewnętrzne zagrożenie, natychmiast rzucą się sobie do gardeł.

Tak stało się i tym razem.

Kły i pazury - najlepszy program kampanii wyborczej. Ciała, pokryte szarymi kłaczkami sierści, splotły się w ryczące kłębowisko. W tym boju zginie kilku samców, tak że lepiej się nie wtrącać. A uwagę trzeba skierować na samice.

Było ich sześć.

I od razu zaatakowały Sajgona.

Grube stworzenie z obwisłymi sutkami naskoczyło na kanibala.

Nie dostawszy się do Sajgona o jakieś półtora metra, zniknął z oświetlonej strefy. Swiatoszyńczyk cofnął się, latarkę wetknął w mocowanie na uchwycie łuku. Mocowanie wstawił w miejscu zdjętego stabilizatora. To, oczywiście, wpływało na celność strzelca, za to manewrowanie w wąskich przejściach stało się prostsze.

Spiesząc się zająć człowieka z tyłu, jeszcze jedna samica, kulawa, przeszła szerokim łukiem. Starła się trzymać z daleka od światła latarki. Sajgon przestrzelił jej bok, czym tylko rozzłościł zwierzę - palec drgnął na cięciwie, kiedy ostre kły wbiły się w jego łydkę. To tłusciutki stworzonko uwielbia ludzkie mięso.

Walić między oczy? Nie ma problemu! Właśnie tam Sajgon wepchnął tłusciuchowi nóż. Jak można było przewidzieć, ostrze zatrzymało się, a szczeka samicy nie otworzyła się - zawisła na nodze, która nazywa się środkiem ciężkości, obciążonej dwoma dziesiątkami kilogramów.

Pojęczawszy, ranna kaleka obróciła się w miejscu, zębami wyciągając z boku strzałę. Podbiegła do niej nie szara, a siwa samica. Sajgonowi wydało się, że pojawiła się na pomoc przyjaciółce, która ma kłopoty. Świsnąwszy, strzała na wskroś przebiła szyję współczującej staruszki i wbiła się między żebra rannej, tym samym łącząc je ze sobą.

A pozostałe stwory?

Niska, żylasta samica podeszła tak blisko, że trzeba było strzelać pod presją. Między oczy, oczywiście!

Dwie pozostałe samice pozostały pod ochroną samców, którzy już ustalili, który będzie prowadził stado. Jak należało oczekiwać, mutanty doszły do konsensusu tylko z pomocą trupa. Jednego, szkoda.

Tak więc Sajgon ma przeciw sobie dwóch samców i trzy samice.

Świst strzały - jeden samiec, trzy samice.

Paciuki są agresywne, ale tchórzliwe. Poczuvszy, że nie dają sobie rady z przeciwnikiem od razu podwijają ogon. Wkrótce ponownie nabiorą śmiałości i zaatakują na nowo, ale w zapasie Sajgon ma parę minut.

Dwukrotnie raniona kaleka ciągnęła za sobą zdechłą, przyszpiloną przyjaciółkę. Sajgon dobił kalekę - wcale nie z miłosierdzia, a dlatego że nie chciał tracić dwóch strzał. Gdzie je potem dostanie, eastonowe?

Z minutę się siłował, wyciągając nóż z czaszki samicy, która zawisła na nodze. Potem rozerwał jej szczękę. Wyrwanie strzał z trupów także zajęło trochę czasu. Nigeryjczyk przy tym błagał go o wypuszczenie, krzyczał, że go boli i groził krwawą zemstą.

Sajgon powoli się uśmiechnął:

- Jeśli cię wypuszczę, od razu mnie zabijesz? Dobrze zrozumiałem?

Uświadomiwszy sobie, że wypalił za dużo, włóczęgę zatkało. Teraz tylko z ukosa spoglądał na farmera.

...Lepiej poderżnąć kanibalowi gardło, niż pozwolić paciukom pożreć go żywcem...

Nasunął się jednoznaczny wniosek.

Z nożem w ręce Sajgon ruszył w stronę Nigeryjczyka.

Rozdział 3

Brak częstotliwości⁶

- Co ty tu w ogóle robisz, co? Jak znalazłeś się w metrze?

Sajgon jednym ruchem rozciął przewód na nadgarstkach włóczęgi - nie ma czasu na rozplątywanie ich.

W mroku tunelu zapalały się i gasły oczy-węgielki mutantów. Paciuki już się podkradają. Wygląda na to, że dołączyło do nich jeszcze jedno stado. Nie można powiedzieć, żeby spodobało się to Sajgonowi.

- Przyjechałem uczyć się. Powiedzieli: "Ukraina to dobre miejsce, żadnych skinheadów, ludzie są mili, a barszcz pyszny". - Wspominając o miejscowej kuchni, Nigeryjczyk rozmarzony przewrócił oczami. Mówił on z ledwie dostrzegalnym, jakby nadbałtyckim akcentem.

- Tak było. - Swiatoszyńczyk oswobodził nogi więźnia. - Mama gotowała świetny barszcz. Nawet ojciec, któremu ciężko było dogodzić, wychwalał jej kuchnię.

Dawno temu Sajgon zmusił się do zapomnienia o jedzeniu, którego nie ma pod ziemią. Na przykład o tłuszczu. Do metra dostały się króliki i chomiki - dzieci nie chciały się rozstawać ze zwierzątkami domowymi. Ale dlaczego ani jeden prawdziwy chochoł⁷ nie pomyślał o zabraniu ze sobą pary wieprzy różnej płci?!

- Było, ta... - echem odezwał się Nigeryjczyk. - Byli mili. I barszcz był.

Sajgon wyobraził sobie, jak to jest znaleźć się tysiące kilometrów od rodziny, pod warstwą ziemi i betonu, pośród obcych ludzi, którzy nienawidzą cię tylko za kolor skóry.

- Jak się nazywasz, bracie? - zapytał nagle.

- Lektor. Bandyci tak nazwali. Na cześć jednego bohatera kina. Znasz takiego?

Sajgon wzruszył ramionami. Lektor to Lektor. Nie widział takiego filmu.

- Na Dworcowej trzymali mnie przez dziesięć lat. W klatce. - Nigeryjczyk pochwycił wzrok Swiatoszyńczyka. - Jestem Lektor. Innych imion nie mam, nie jestem ich godzien.

- Dranie - burknął Sajgon, żeby tylko nie milczeć.

Według systemu Majora to, co zrobił (wrócił, uratował i wypuścił więźnia) postrzegane jest jako słabość. Prawie jak babskie marudzenie. Prawdziwy szabrownik powinien być silny, a siła oznacza okrucieństwo nie tylko względem siebie.

- Dranie! - powtórzył nagle Sajgon.

Ani razu nie żałował tego, że wrócił do Swietki, porzuciwszy naukę. Major strasznie cierpiał, porzucony bez kochanego nowicjusza, i wkrótce zmarł. Chodziły słuchy, że pożarł go łybid. Sajgon nawet wyrwał się na górę, żeby... co? Co on mógł zrobić w ruinach Kijowa? Schwytać legendarnego mutantu i wskrzesić Majora?

Właśnie wtedy Sajgon został kretem. A bycie kretem, uwierzcie, jest bardzo fajne.

- Wziąłeś instrument od wielkiego białego człowieka. Rozpoznasz go, jeśli go spotkasz? - Sajgon w zamyśleniu podrzucił na dłoni ustną harmonijkę.

Kanibal kiwnął tak pewnie, że Sajgon zrozumiał: dusza Majora może spać spokojnie, nawet nie pachnie tu słabością: wyrwanie się do związanego Nigeryjczyka jest aktem podyktowanym przez trzeźwą kalkulację, Sajgon potrzebuje tego, kto pokaże mu ojca, a przewodnik też nie zawadzi.

- Dobra, Lektor, pokażesz mi wielkiego białego człowieka - a ja cię wypuszczę. Pasuje? Będziemy kwita.

Nigeryjczyk pokręcił głową. Sajgon stwierdził, że to znak zgody i pomógł mu wstać:

- To ruszaj się, koleś. Drugiego starcia z paciukami nie przetrwamy.

Lektor mocno ścisnął dłoń farmera:

- Uratowałeś mnie. Odplacę się.

I pobiegli tak, jakby goniło ich tysiąc diabłów, jakby pod bosymi nogami mieli rozżarzoną stal, a w plecy dźgała ich setka ostrych noży. Powietrze w piersi Sajгона bulgotało jak wrzątek w czajniku. W metrze zwyczajnym mieszkańcom nie często przychodzi biegać. To szabrownicy są szkoleni według

⁶ Brak częstotliwości - zatrzymujący ruch i wymuszający zatrzymanie sygnał «OH» na ALSN (automatyczna sygnalizacja nieprzerwanej pracy lokomotywy; ros. AfICH - ABTOMaTMHeckKan ^OKOMOTMBHaa Cnmann3a^nfI HenpepbiBHoro flencrBna) w kabinie sterowania pociągiem (przyp. aut. i tłum.)

⁷ Chochoł - pogardliwe określenie osób posługujących językiem ukraińskim, używane przez Rosjan (przyp. tłum.)

specjalnej techniki, żeby później, w prawdziwych warunkach, maksymalnie szybko przemieszczać się po zrujnowanej stolicy. A prostym ludziom, tym, którzy nie wystawiają nosa spod ziemi, ćwiczenia nie są potrzebne.

Powietrze rysowało płuca.

I nagle tunel przed nimi został pomalowany przez jasny rozbłysk. Ale Sajgon nawet nie myślał zwalniać kroku. Jego i Lektora śledziły mutanty, których było więcej, niż strzał w kołczanie. Dlatego też w podróż wyruszały karawany liczące przynajmniej dziesięć osób - z taką liczbą ludzi istnieje szansa odparcia paciuków oraz innych stworzeń.

Dziwne światło nagle przybliżyło się. I nic dziwnego, przecież Sajgon gnał do niego ile sił w nogach. Jeszcze krok - i farmer wpadł w błyszczący miraż. I zatrzymał się.

Znalazł się na peronie Swiatoszyzna. Lektora nigdzie nie było. Za to wzdłuż linii ograniczającej ciągnęły się rzędy łóżek. Futrzane kołdry, narzucone na materace, podarły się. Stare namioty, strzępy na zardzewiałym szkielecie. Gotowało się jedzenie na piecach elektrycznych z tu i tam przepalonymi spiralami... A oto i Swietłana. Jak zwykle kłóciła się z Tatianą, małżonką Bolta. Andriuszka w kompanii rówieśników słuchał przemówień Mitki Kompas. Niedoszły szabrownik uwielbiał "przekazywać doświadczenie następnemu pokoleniu". Tyle razy Sajgon mówił synowi, żeby trzymał się jak najdalej od starego kłamcy...

Ale dlaczego jest tak cicho?! Dlaczego nie słychać głosów?!

Nagle stację okryła mgła, a kiedy mgła opadła, Sajgon zobaczył siebie, całkiem małego, około pięcioletniego, nie więcej. Śmiesznie wyglądał. Ojciec, w koszuli z zakasnymi rękawami, siedział na kanapie i grał bezdzwięcznego bluesa na ustnej harmonijce. Polerowany bok instrumentu błyszczał, sprawiając, że chłopiec mrużył oczy, a on tak chciał dostrzec twarz rodzica, tak chciał!...

- A ty co?! - Pchnięcie w ramię.

Sajgon podskoczył:

- A co ja?!

- Stałeś jak idiota, oczy wytrzeszczyłeś i coś tam szepczesz. A nas mutanty doganiają.

Nawet nie odwracając się, Sajgon wiedział: paciuki zostały w tyle. Po prostu wiedział, i tyle.

- Nie ma tam nikogo. Zostały w tyle.

Lektor wyszczerzył się w, od niedawna szczerbatym, uśmiechu:

- No to dobrze!

- Jak to powiedzieć... - mruknął Sajgon, wpatrując się w ciemność przed nim. - Nie podoba mi się to...

* * *

Choć pęka na pół!

Był rozdarty pomiędzy dwoma pragnieniami. Pierwsze - chciał wrócić do żony i syna, w końcu Pan Tuneli nie bez powodu pokazał mu rodzinną stację. A drugie: znaleźć ojca - cenione marzenie! Jak Sajgon zamierza dalej żyć, wiedząc, że dał ciała w obliczu pierwszego niebezpieczeństwa i wizji, żartu przemęczonego mózgu?...

Droga nie będzie długa, Bieriestiejska jest niedaleko, zapewnił siebie.

A potem z powrotem, na kolanach błagać żonę o przebaczenie. Kochana, jestem winny, spacer się przeciągnął, poznałem wspaniałego faceta, on, co prawda, nie gardzi ludzina, ale...

- Gardzę.

- Co? - Sajgon ocknął się z transu.

Zbyt często w ostatnim czasie wypada z rzeczywistości. W metrze tylko samobójca zachowuje się w ten sposób, a Siergiej Kim nie jest skłonny do popełnienia samobójstwa, to pewne.

- Gardzę! - Lektor ciężko dyszał, nozdrza rozszerzały mu się. - Zmusili mnie!

- Kto zmusił? - Zmrużywszy oczy, Sajgon zachichotał. - Duchy przodków? Głos Oguna we łbie i z kac?

Lektor, wydawało się, nie zauważył zaczepki.

- Ja... opierałem się... długo, bardzo długo. A potem... Głód. Wiesz, czym jest głód?! - Nigeryjczyk zacisnął pięści.

Na chwilę Sajgonowi wydało się, że włóczęga rzuci się na niego, ale ten nagle zwiotczał, niczym pluszowy miś, o ile, oczywiście, misie zdarzają się czarne i z chudymi, pokrytymi bliznami łapami.

Głód? Sajgon przekonał się o tym na własnej skórze. I dlatego nie potępił Lektora. Prawda, ludzkiego mięsa jednak nie próbował. Chwała Panu Tuneli, nie doszło do skrajności. A zabijać za konserwę tuszonki Sajgonowi zdarzało się. Minęło wiele lat, a on usilnie próbował o tym nie wspominać.

- Ten facet, wysoki, zabiłeś go na stacji... - Lektor poruszył rozbitymi wargami, patrząc obok Sajgona. - Bandyci nazywali go Otello. Trzymali w sąsiedniej klatce. Czasami przyprowadzali do niego dziewczynki. Miał ją spytać: "Modliłaś się za noc, Desdemono?", a potem ją udusić. Boss Dworcowej bardzo lubił na niego patrzeć.

Sajgon skrzywił się i splunął. Słyszał o okrucieństwach bandziorów.

Mówiono, że swoim położeniem władza na Dworcowej jest związana z buntem w jednym z kijowskich więzień. Bunt ten miał miejsce dosłownie na godzinę, jeśli nie wcześniej, przed rozpoczęciem wojny. Skazańcy, oszalali z wolności, wlecieli do metra. Prowadził ich zwierzęcy instynkt, nie inaczej...

Przestępców Sajgon nie uważał za ludzi z powodu pogłosek o okropieństwach, które działy się na Krytej, jak ci nazywali swoją stację. Oczywiście wierzenie w plotki jest jak oszukiwanie siebie. Ale już zbyt wiele ich było, tych plotek... Mówiono, że skazańcy oswiają paciuki i napuszczają je na ludzi. Niczym psy pasterskie. Mówi się, że na początku paciuki wykorzystywali przy regularnych obchodach tuneli - zamiast czujników metanu. Mutanty są wrażliwe na wycieki gazu. Ale Kosmos zakazał zatruwania "słodkich zwierzątek" i teraz przy obchodach wykorzystuje się niewolników. Rozwijają od kołnierza pięćdziesiąt metrów łańcucha - i naprzód, szczękając ogniwami, jak duch z Canterbury, tup i głośno oddychaj.

Czy to prawda, czy nie, Sajgon nie mógł stwierdzić. Pewne jest jedno: wyrzutki przedwojennego społeczeństwa złożyły się na wspólnotę Dworcowej. Sajgon tam nie bywał, chociaż sprzedał pięć klatek ze zwierzętami staremu Azerowi, szanowanemu bandycie. Innych związków z kryminałem nie miał.

A mówiono jeszcze, że Lonczik Kosmos - stary boss - przed wojną był burmistrzem Kijowa, tak jakby godnym człowiekiem. Dzisiaj zupełnie utracił wszelakie podobieństwa do ludzi - przez narkotyki. Tym bajkom Sajgon w żadnym razie nie wierzył. Takie coś trzeba wymyślić!...

- Kim. - Potrasnął ręką Nigeryjczyka.

- Co?

- Mam na nazwisko Kim, a na imię Siergiej. Zwą mnie Sajgon.

Samemu nie rozumiejąc dlaczego, powiedział włóczędzie, że swoje przezwisko zawdzięcza nazwisku - jeden chłopak z kompanii Majora powiedział, że jest koreańskie. Tak w ogóle miasto Sajgon nie ma żadnego związku z żadną z Korei, dawno je już przemianowano na Ho Chi Minh i nie jest faktem, że przetrwało atomową zagładę. Skąd Światoszyńczyk je zna? A dlatego, że w szkole szanował geografę. Bardzo. I zwierzątka kochał. Właśnie ta miłość ocaliła mu życie...

- Dobra, to głupstwo. - Sajgon pokręcił głową, przeganiając senność.

Zmęczył się i dużo krwi stracił. Żebra, kolano, potylicy...

Rozbolała noga - dobrze złapała tłuszczochę. Ślina paciuków zawiera anestetyk, jego działanie się skończyło - dopóki cię jedzą, nie boli, a potem... Trzeba opatrzyć. Wyciągnąwszy z plecaka manierkę z samogonem i paczkę cienkich, materiałowych pasów, dokładnie zszytych ze sobą, Sajgon zajął się bandażowaniem rany. Z uwagą wpatrywał się w czarną pustkę z przodu. Gdzieś tam jest stacja Niwki. Jak go przyjmą?...

I jeszcze jedna myśl niedająca spokoju: coś w końcu spłoszyło paciuki, coś zmusiło mutanty do zostawienia pewnej zdobyczy.

Co, hm?!

- Wielki biały człowiek, którego szukasz, on... - powiedziałwszy to, Lektor zamilkł.

Sajgon zaciekawiał się:

- Co z nim?

- On jest dziwny.

- To znaczy? Ma na głowie rogi i szczeka? Ty, stary, wyjaśnij, bo to trochę niezrozumiałe.

Lektor uśmiechnął się, oceniając poczucie humoru Światoszyńczyka:

- On na Bieriestiejskiej zbierał oddział.

- Oddział?

Nigeryjczyk skinął:

- Żeby przejść na Dniepr. Tylko nikt nie zechciał z nim pójść. Nalegał, żetony proponował - i mi, i

wszystkim naszym, a potem zaczął przeklinać. Chcieli go nawet wygnać ze stacji.

Sajgon przyczepił koniec ręcznie zrobionego bandaża agrafką.

- Dobrze usłyszałem: oddział, żeby przejść na Dniepr? Na tę samą stację Dniepr?
- On jest dziwny, twój wielki biały człowiek...

No dobra, udało się włóczędze zaniepokoić. I dlaczego ojciec wybrał się tam, gdzie diabeł mówi dobranoc? Co on tam zgubił, na ostatniej ocalałej stacji nitki?.. O Dnieprze nie ma w ogóle żadnych wieści. Oprócz tego, że stacja do tej pory istnieje. W pewnym sensie. I jeszcze wiadomo (komu wiadomo, kto tam był?), że metromost zawalił się i połączenie z Hydroparkiem i resztą nitki nie istnieje.

- A dlaczego wcześniej milczałeś? - Sajgon wziął łyk z manierki. Dezynfekcja organów wewnętrznych to same pozytywy.

- Nie było powodu.
- A teraz się pojawił?
- Nie-e. - Lektor rozciągnął rozbite wargi w uśmiechu.

Każda rura na wewnętrznej powierzchni tyłu była oznaczona znakiem fabrycznym i numerem stopu, tak samo ludzie są oznaczeni demonami swoich rodziców. Sajgon chciał spytać Nigeryjczyka, czy jest podobny do wielkiego białego człowieka, ale powstrzymał się.

- Chodźmy, stary. Wystarczy tego siedzenia.

"Sygnalizacje świetlne automatycznej blokady pokazują cyfry, sygnalizacje działające półautomatycznie - litery i cyfry" - wypłynęło nagle z głębi pamięci. Sajgon wiele rzeczy podłapał w obozie szabrowników, położonym w strefie zbiorowej ochrony pasażerów. Współrzędnych obozu Sajgon nie wyda nawet na torturach. Przysiągł - nikomu!...

Z przodu nagle zaświeciło na czerwono oko sygnalizacji świetlnej. To znaczyło: "Stać! Zabrania się przejeżdżania sygnału!"

- Zabrania się przejeżdżać? - Wydaje się, że Lektor zna zasady ruchu kolejowego w metrze. Na prawo zdawał, czy co, na maszynistę?

- Aha - skinął Sajgon. - Ale nas to nie obowiązuje. My sygnał przejdziemy.
- Zaledwie powiedział to, a nieco bardziej z lewej zapaliło się jeszcze jedno czerwone oko.
- Teraz są dwa - stwierdził melancholijnie Nigeryjczyk.

Sajgon umiał liczyć nie tylko do dwóch, znał też tabliczkę mnożenia, o czym chciał poinformować Lektora, ale przemilczał to. Coraz mniej podobał mu się układ. Na powtarzającej sygnalizacji - tej z lewej - tabliczka z jednym pochylonym pasem była tak przekrzywiona, jakby ktoś złapał za nią i nie starczyło siły, żeby wyrwać, metal tylko się wygiął. Kiedy wędrowcy podeszli bliżej, Sajgon poświecił na tabliczkę i pospiesznie skierował światło na bok, zauważywszy ślady... kłów? pazurów?

Albo zuwaczki?!

Co to za cholerstwo? Dlaczego sygnalizatory działają? Wszędzie są martwe już od dwudziestu lat, a tutaj świecą, niczym ślepie demona rodem z piekła!

- Hej, Kim - podniósł głos Nigeryjczyk, - oddałbyś mi łańcuch.
- Trzymaj kieszeń szerzej, bracie. - Sajgon nie uzbroiłby kanibala, choćby napadł na nich łybid. - Czerwone światło, przejścia nie ma. A tak w ogóle, mów do mnie "szefie".

Nastrój zaraz się poprawił. I olać stare urządzenie elektryczne, w którym doszło do zwarcia. Poprawiwszy plecak, Sajgon ruszył przed siebie.

- Stój!!! - ryknął Nigeryjczyk.
- Swiatoszyńczyk zastygł tak z podniesioną nogą.
- Weź poświeć w dół, szefie.

Sajgon poświecił. I od razu zrozumiał, czemu paciuki porzuciły kuszący łup: beton, podkłady a nawet szyny, wszystko było pokryte norami robactwa.

Nory te były grube na palec - nie zauważysz ich od razu. A staniesz na taką dziurkę - w najlepszym przypadku zostaniesz bez nogi. Czerw-mutant niczym kula przebijie stopę i zaraz z ogromną szybkością zacznie cię pożerać i się rozmnażać. Natychmiastowa amputacja kończyny jest jedynym ratunkiem.

Sajgon ostrożnie odsunął nogę na skrawek ziemi wolny od nor. Jeszcze kroczył w tył, jeszcze... Sajgon odetchnął. Tu już czysto.

Lektor dostrzegł zagrożenie i powiedział o nim. Miły gest. Przecież kanibal mógł to przemilczeć w

nadziei, że Sajgon da się złapać, zwalniając go z obowiązków. Powstaje pytanie, dlaczego uprzedził? Z wdzięczności za uratowanie przed paciukami? Ale przecież właśnie Sajgon zostawił go na pożarcie mutantom...

- Dzięki, chłopie. Jesteśmy kwita. - W uszach szumiało od napięcia.

- Nie ma za co, szefie. Pójdziemy drogą ewakuacyjną. Jest czysta.

Drogi ewakuacyjne, siedemdziesiąt centymetrów szerokości, ciągną się od stacji do stacji. Projektanci przewidzieli je na wypadek, gdyby pociąg zatrzymał się na odcinku i trzeba byłoby prowadzić pasażerów swoim przejściem.

Faktycznie, nie było tu ani jednej nory robaków, to Lektor dobrze zauważył. Dalej szli gęsiego. Nigeryjczyk z przodu, Sajgon świecił po bokach, będąc przerażonym tym, że ściany były tu podobne do gąbki - z powodu niezliczonej ilości dziur. Namnożyły się czerwie, czują się tu swobodnie.

Kiedy Sajgon wróci na Swiatoszyn, obowiązkowo zorganizuje tu ekspedycję. Trzeba pozbyć się tego paskudztwa, bo to odetnie stację od świata zewnętrznego. A i tunel może zawalić się... Kwasem je wytępić, czy co?

- Jadają je - odezwał się Lektor. - Smaczne, szczerze mówiąc. Jeśli dobrze je przyrządzić. Ja potrafię.

Sajgon skrzywił się. Żreć śliskie, czarne jak smoła robaki długie na łokieć? W żadnym razie!

A jak kwestia ślimaków, Sieriożeńka? W metrze przecież ślimaki wyrastają do rozmiarów pięści. Czasem trafiają się egzemplarze wielkości piłki futbolowej. To pokarm dla ubogich, dla tych, którzy nie mogą zapłacić nie tyle za chomika czy królika, ale nawet za szczura. Fakt, Sajgon sam z chęcią chrupie pieczone ślimaki. Tylko prosi żonę o przygotowanie ich tak, żeby nikt nie dowiedział się o jego kulinarnych upodobaniach...

- Z jakiej jesteś stacji? - spytał go, żeby nie iść w ciszy. W ciemności w ogóle ciężko jest zachować milczenie, a po doświadczonej stresie jeszcze bardziej. - Przed Dworcową przecież gdzieś żyłeś?

- Z Darnicy jesteśmy - odpowiedział z roztargnieniem Lektor. Idąc obgryzał paznokcie. Też zajęcie.

- Skąd?! - Sajgon stwierdził, że włóczęga drwi z niego.

Ale na dalsze pytania Lektor odmówił odpowiadać. Kategorycznie.

A jeśli to prawda o Darnicy? Ale tak nie może być! Metromost jest zniszczony. Czy jednak ocalał? Do tego Darnica jest przecież na powierzchni! Czy nie?... W każdym razie Lektor czegoś nie dopowiada. Czy może jednak drwi?...

Sajgon tak się zamyślił, że nie od razu zauważył światło z przodu.

Nad podkładami wznosił się pasiasty statyw. Na statywie stała zapalona karbidówka.

- Znowu "Stać! Zabrania się przejeżdżania sygnału!"" - zapytał Lektor.

Sajgon skinął:

- Żart opowiedziany dwa razy przestaje być śmieszny. Byli tu ludzie. Karbidówka sama się nie zapali. Ale kto to zrobił i w jakim celu?

Sygnalizacja świetlna ostrzegała przed niebezpieczeństwem. Czy dalej należy ufać wskazówkom anonimowych sympatyków? Albo krwawego wroga? Życiowe doświadczenie w metrze podpowiadało, że nikt nie robi niczego ot tak - za wszystko trzeba płacić. A Sajgon nie kupuje, nie znając ceny. Dobre uczynki są przecież towarem, prawda?

- Jak zebra. - Lektor zbliżył się do statywu, jakby mając nadzieję, że stanie on na tylnych łapach i skoczy daleko, daleko.

Sajgon uśmiechnął się: ciągnie tego gościa do pampy, czy co on ma w rodzinnych stronach.

Po pięćdziesięciu metrach drogę zagroził i jeszcze jeden statyw, tym razem z prostokątną tabliczką, na której było napisane: "Stać! Szyna kontaktowa pod napięciem!"

- Lubią panienki chłam podbierać - stwierdził Lektor. I dodał: - Niwki są niedaleko.

Sajgon zaklął w myślach. Pewnie, niech paciuk pożre! Droga jest nowa tylko dla niego, a Nigeryjczyk przeszedł metro wzdłuż i wszerz. W tunelach czuje się lepiej, niż Sajgon na rodzinnej stacji.

Nagle z ciemności rzuciło się w ich stronę coś czarnego i bezkształtnego.

Sajgon chwycił za łuk, ale Lektor popchnął jego łokieć - i strzała poleciała do góry. Szukaj jej teraz!

- Opuść broń, szefie! - wyszeptał włóczęga. - Życie ci niemiłe?!

- Brak częstotliwości! - krzyknęło coś.

I uderzyło Sajgona kolbą w pierś.

Rozdział 4 Amazonki

Zadziałała sygnalizacja ochronna. Tyle ma lat, a do tej pory działa.

Ze stacji Niwki już spieszyły posiłki, brzęcząc metalem, tupiąc butami i oświetlając drogę miseczkami z tłuszczem... A na Swiatoszynie sygnalizacja odmówiła długiego życia w niepamiętnych czasach, w przeciwnym wypadku Nigeryjczycy nie przedostaliby się niezauważeni.

- Ej, ostrożniej! - zezłościł się Sajgon. Nie podobało mu się, kiedy go biją.

I wtedy oberwał kolbą w brzuch. A po chwili pod sklepieniem tunelu zabrzączał reflektor. Na jakiś czas Sajgon osłępl. Później, kiedy oczy przestały łzawić, rozejrzał się.

Czarne coś okazało się być dziewczyną w bluzie i chuście. Twarz dziewczyny była wymazana sadzą. Z bandoliera na okrągłej piersi sterczały zapasowe magazynki do karabinu snajperskiego, na pasie wisiały noże z imponującym tasakiem. I najważniejsze - we wzroku dało się odczytać stanowcza chęć wykorzystania arsenału zgodnie z jego przeznaczeniem. To jest prawdziwa ochrona stacji, a nie Bolt i Kaszka!

- Dziewczyno, kochana, nie ma potrzeby się bić! - poprosił Sajgon, na poważnie już stwierdziwszy, że jeśli jeszcze raz...

- Milcz, zwierzę! - Z jakiegoś powodu farmer od razu zrozumiał, że mieszkańcy Niwek nie przestrzegają dobrych manier. Źle zaczęła się znajomość.

W ogóle na Niwkach Sajgon ma znajomych. Pamięta, jakieś dziesięć lat wcześniej pojawiła się u niego panienska z rozpuszczonymi włosami prawie do kolan. Nazywała się Naina, dziwne imię... Towarzyszyły jej dwie dziewczyny w hidżabach, młodsze i najwyraźniej dobrze uzbrojone: u każdej z nich pod warstwami ubrań można było ukryć po RPG i Wintoriezie.

Zachowywała się Naina jawnie wyzywająco. Zażądała, żeby Sajgon przekazał jej zwierzęta zdolne do produktywnego rozmnażania się. Tak powiedziała: "produktywne rozmnażanie". Nie poprosiła, nie upadła do nóg, a właśnie zażądała! Sajgon od razu zauważył, że w sukience gościowi jest niekomfortowo. Była dla niej za mała, czy co?... Na chwilę Sajgonowi wydało się, że panna zaraz rzuci z siebie znienawidzoną tkaninę. Poczuvszy, że coś jest nie tak, Swietka nie opuszczała męża na krok.

Sajgon zażądał od Nainy trzy razy tyle i naliczył jej srogi procent za używanie określenia "Kim i syn". A trzeba było nosa nie zadzierać.

Ku jego zdziwieniu, pieniądze z Niwek napływały regularnie. W przeciwieństwie do tej samej Dworcowej.

- Nazywam się Siergiej Kim. No, króliki i chomiki! Mięso! To dzięki mnie! Powinniście wiedzieć...

- Upewnimy się - leniwie rzuciła dziewczyna w bluzie.

Po minucie podróżników okrążyły kobiety w mundurach kamuflujących niepierwszej świeżości. Niektóre nosiły wytarte berety specnazu i wiązane buty. W Sajgona i Lektora skierowały lufy karabinów z bagnetami. Broń u kobiet była w lepszym stanie niż ubrania.

Wędrowców zaprowadzono na stację, poganiając kolbami. Dobrze chociaż, że nie bagnetami... Kilka razy Sajgona bardzo boleśnie dźgnięto w krzyż. Z tyłu raz po raz rozlegał się chichot. Miało się wrażenie, że zadawanie mężczyzną bólu sprawia kobietom przyjemność. Taka u nich rozrywka.

Sajgon zacisnął zęby, żeby nie zacząć kłąć. Nie trzeba pogarszać swojej sytuacji. Łuk, pistolet, zębatki i nóż zabrali mu. Plecak oddał chudej Amazonce, na policzkach której czerwieniał nastoletni trądzik. Dziewczyna okazała się nie być z tych ciekawskich, do plecaka nie zajrzała, a wtedy płakałyby oszczędności Sajgona. I zabawnym jest: z Lektorem obchodziły się delikatniej - dlatego że włóczęga nie miał broni. Źle pachnąca przepaska na biodrach nie liczy się.

- A to jakim prawem, tak właściwie?! - oburzył się Sajgon. - Między stacją Swiatoszyn i suwerenną stacją Niwki istnieją pewne porozumienia, a ja...

Jego monolog przerwano masażem nerek wykonanym kolbą.

Im bliżej stacji, tym weselej. Wydawało się, że kobietom zaraz znudzi się zabawa - i rozlegnie się huk i kula przebijie Sajgonowi kręgosłup i podstawę czaszki. Albo przedziurawi potylicę. Albo... Ze zdziwieniem zrozumiał, że jeńcy i eskorta wyszli już na peron.

Na stacji było ciemno, chociaż wszystko wskazywało, że nastał już poranek. Pora włączyć już centralne oświetlenie zamiast ledwie dostrzegalnego awaryjnego.

Co Sajgon wie o Niwkach? To, co i wszyscy: płytko położona, peron typu wyspowego. Wszystko kropka w kropkę, jak opowiadali o niej karawaniarze, ci roznosiciele chorób i plotek. Na stacji są dwa podziemne westybulie, gdzie zapewne położone są fermy i inne obiekty gospodarcze. Przeszedłby się tam Sajgon, rozejrzał się. Ale przecież panienki nie puszcza... Ciemno. Rzędy śpiących wprost na podłodze i na cienkich matach. Co oni, nie słyszeli tutaj o istnieniu łóżek?

- Szefie, u nich wszystko jest na odwrót - wyjaśnił Lektor, zauważywszy zmieszanie Sajgona. - Inaczej ustawiły czas na zegarach. Na stacji dopiero co nastąpiła noc. A łóżka uważają za symbol niewolnictwa. Mężczyźni wiele lat wykorzystywali kobiety w łóżku, prawie że gwałcili. Łóżko na tej stacji jest tematem tabu.

Sajgon zaklął w myślach. Niech paciuk poźre! Nic u tych bab nie jest jak u ludzi!

- Siadźcie tutaj. Wstawanie i samodzielne przemieszczanie się jest zabronione. Głośne rozmawianie jest zabronione. - Podeszła do nich kobieta mająca około czterdzieści lat, od głowy do nóg owinięta w szmaty. Chusta nieco się uniosła, było widać, że głowa kobiety jest ogolona. Przyniosła podróżnikom ciepłą, lekko słonawą wodę w butelce z przezroczystego plastiku. Paznokcie na palcach miała obcięte "do mięsa".

Eskorta, jak na komendę, zdjęła nakrycia głowy i rozpięła kurtki kamuflujące, zwinnie operując pomalowanymi paznokciami. Męskiemu wzrokowi otworzył się przyjemny widok. W końcu pod kurtkami szczupłych kobiet nie było ani ubrania, ani bielizny, za to Matka Natura hojnie obdarowała je wdziękami. Wprost kwiaty życia rozwijające się pod ziemią. Oto gdzie Andriuszka powinien wybierać żonę, kiedy dorośnie. Na Swiatoszyńce nie ma takich piękności.

Sajgon zjeżył się, wyobraziwszy sobie eskortującą dziewczynę w roli swojej synowej. Dziękuję, postoję. Lepiej niech syna uwiedzie swiatoszyńska prostytutka: z wyglądu nie strasze, najważniejsze, żeby człowiek był dobry...

Eskorta usadowiła się niedaleko jeńców. Panny rozsiadły się na składanych krzesłach z wygiętych rur i materiału - chyba nazywają się leżaki. Ciekawe, dlaczego one nie są zakazane? Jak przez mgłę przypominała się scena z przedwojennej opery mydlanej, gdzie mężczyzna siedzi na leżaku przy basenie, a nad nim pochylał się służący oferując kieliszek z napojem. Oto dlaczego nie jest tabu, pochylał się i proponuje.

Na stacji było bardzo gorąco, wręcz duszno. Problemy z wentylacją?...

- One nazywają się Amazonkami, szefie.

- Jest taka rzeka, Amazonka - skinął w zadumie Sajgon. - W Ameryce Południowej. Albo była. Indianie, piraci, anakondy...

Wydaje się, że załapał podstawowe zasady tutejszego życia.

Mają system kastowy. Niższe istoty w miejscowej hierarchii są jak kobieta, która przyniosła wodę. A te, które zaplatają warkocze i obchodzą się bez biustonoszy są lepsze od łysych w chustach. A jeśli pomyśleć o kobietach, którym sprzedał franczyzę, to logiczne jest założenie, że istnieje śmietanka towarzyska - pełna nagości i długich, rozpuszczonych włosów. Dlatego na stacji jest gorąco, żeby można było chodzić gołym i nie kichać. Albo odwrotnie - gołym, dlatego że jest gorąco.

Sajgon zauważył na ścianie plakat propagandowy. Skupiwszy wzrok, rozróżnił białe litery na czerwonym tle: "Kobiety wszystkich stacji, łączcie!"

- Ej, zwierzęta! Czego siedzicie? Rozbierać się! - rozkazała ta sama dziewczyna, która wzięła ich w niewolę. Zmyła już sadzę z twarzy i ściągnęła chustę. Wbrew oczekiwaniom, włosy miała na miejscu - ognisto-rudy warkocz opleciony wokół głowy. Zielone oczy z zaciekawieniem obserwowały Sajgona, kiedy ten zdejmował z siebie kurtkę i buty.

Eskorta także nie ściągała wzroku z jeńców.

- Spodnie ściągaj, zwierzaku, czego stoisz!

- Po co to? - sprzeciwił się Sajgon.

Ukradkiem rozglądał się na boki, zastanawiając się, co można wykorzystać w zastępstwie broni. W sumie okazało się, że nic. No i eskorta rozstrzelałaby więźniów wcześniej, zanim Sajgon zrobiłby choć jeden gwałtowny ruch.

Czyli jak na razie nie ma potrzeby kołysania łodzią. No nic, Sajgon na pewno odplaci się za poniżenie. Wybaczenie i nadstawianie drugiego policzka nie było w jego stylu.

- Ściągaj, powiedziałam!

Stacja Niwki jest terytorium, gdzie wygrał matriarchat, jeśli ktoś jeszcze nie zauważył. Na każdego mężczyznę patrzą tutaj z obawą, nienawiścią i pogardą. Czasami z pożądaniem. W przypadku rudej możliwa jest ostatnia opcja: Sajgon spodobał jej się. Nie było w tym nic zadziwiającego, przywykł do

tego, że przy jednym spojrzeniu na niego z niektórymi osobami dzieje się diabeł wie co. Nie ma już w metrze tak wielu wysokich, silnych mężczyzn.

- Łuska, ty znowu swoje? Zobaczysz, doigrasz się! Ogolimy cię na łyso! - dało się słyszeć ze strony półnagich dziewczyn na leżakach.

Coś jak żart, a może i groźba. Sądząc po tym, że miła twarzyczka rudej wykrzywiła się w grymasie nienawiści, z humorem na Niwkach nie ułożyło się.

Laleczkowate, pomyślał Sajgon. Żona Swietka nazywała takie twarze, jak ta u rudej, laleczkowatymi. Barbie - tak w myślach ochrzcił niespokojną dziewczynę.

Szyna kontaktowa zakryta jest osłoną, dlatego ludzie powinni ubierać się, a nie paradować po stacji jak Pan Bóg stworzył. Tak tłumaczą dzieciom, urodzonym w metrze, dlaczego potrzebne są takie rzeczy jak ubrania. Przecież wszystko u wszystkich na widoku. Wszyscy wiedzą, kto jak z kim śpi, czym oddycha, o czym myśli. Obnażenie dusz. Więc po co skrywać ciała, skoro jest ciepło?

Ruda Barbie nie miała więcej niż osiemnaście lat. Myśli jak dziecko. Tylko że obnażać powinni się inni.

- Hej, przystojniaku, a weź się obróć!

Przystojniak, co? Nie zwierzę - to już coś.

- Do lasu przodem, do ciebie zadem? - Sajgon zagotował się. Wszystko ma swoje granice! Zaraz wyleje swoją skrywaną urazę. A jeśli ktoś się oparzy, to nie jego wina

- Co ci, szefie... - Lektor zobaczył szramy na plecach Sajgona.

Powiedzmy, że jego plecy przedstawiały ciekawy widok. Między łopatkami i wzdłuż kręgosłupa ciągnęła się bielejąca płatanina blizn, która układała się w słowa "Ocal i ochroń". Przy czym litery były wryte po mistrzowsku, bardzo podobnie do starosłowiańskich.

- Co to, szefie?

- Błąd młodości. - Sajgon zły spojrzał na Barbie. - Wieczna pamięć o rzeczach, które dawno przeminęły, kiedy wydawało się, że cały świat...

...Sajgonowi wydawało się wtedy, że cały świat należy do niego.

Sam jeden wolny rządził swoim losem. A jeśli się postarać, to i losami innych mieszkańców metra. Jedyne co należało zrobić - wyciągnąć ręce, wziąć Pana Tuneli nieco pod pępek, ścisnąć mocniej i wyraźnie ogłosić swoje warunki. Przez głupotę - przez swoją niezmierną arogancję! - trafił pod skalpel fanatyka religijnego. Stało się to na Żytomierskiej. Przy czym Sajgon, jak twierdził, oczywiście, cierpiał za nic. On tylko rękę wyciągnął, dotknąć chciał, nic wielkiego, a jego, biedaka, skrzywdzono i poniżono...

To było tak. Przez metro przeszła plotka, że na Żytomierskiej jest broń idealna - łuk, który ze stu metrów trafia paciuka w ślepię. A właścicielem tego łuku jest sam patriarcha Całego Metra ojciec Nikodim, obrońca prawdziwej wiary. Ten siwy staruszek w przeszłości sprawował stanowisko czy to generała wojsk powietrznych, czy to pułkownika SBU i w wolnym czasie zajmował się strzelaniem z łuku, nawet mistrzem sportu był. U Majora właśnie zamówił sprzęt sportowy najwyższej klasy. A w zamian obiecał odpuszczenie za życia grzechów i trzy paczki amunicji. Przez pół roku dzień w dzień Major wychodził na powierzchnię w poszukiwaniu potrzebnego przedmiotu. To już stało się kwestią zasad, a nie zarobku, ale Major wypełniał polecenie ojca Nikodima.

Zaledwie sława łuku dotarła do uszu Sajgona, od razu postanowił osiąść taki sam. I dlatego poszedł oddać hołd Majorowi, który wtedy jeszcze mieszka na Swiatoszynie. Major wysłuchał chłopaka i odpowiedział, że nie ma niczego niemożliwego. Sajgon musi tylko ukończyć kurs szkoleniowy. "Masz zadatki. Złość, gniew - wszystko masz. Wychodź na górę i bierz co chcesz!" - tak odpowiedział szabrownik głupiemu chłopakowi o nazwisku Kim.

Chłopaka powierzył Majorowi i całkowicie oddał się nauce.

Jednak nie na długo.

Później, na zawsze opuściwszy obóz szabrowników, podjął się odważnej próby kradzieży legendarnego łuku. Oczywiście z tej chęci nic dobrego nie wyszło - schwytano go z kołczanem w rękach. Patriarcha osobiście brał udział w torturach, pouczając katów, jak boleśniej zrobić klientowi, przynosząc przy tym minimalne szkody dla cennego zdrowia. Ojciec Nikodim zrobił wszystko, co mógł, żeby odważny złodziej cierpiał tak długo, jak to możliwe.

Na początku patriarcha chciał wryć na plecach złodzieja ostrzeżenie "Nie kradnij", ale,

zastanowiwszy się, postanowił, że za późno jest na wychowywanie zbłąkanej owieczki, za to jest właściwy czas na proszenie o zbawienie duszy. Na środku Żytomierskiej stała szubienica, która rzadko była pusta. To z jej pomocą Siergiej Kim powinien był opuścić próżny świat. Cudem - to inna smutna historia - zdołał uciec.

A pięć lat później niski Azer z Dworcowej przyniósł Sajgonowi istic królewski podarunek - taki sam łuk. To była opłata za franczyzę. Po tygodniu ojciec Nikodim umarł. Mówią, że nie zniósł rozłąki z ukochaną bronią...

I tak łuk, dla którego Sajgon ryzykował życie, walał się po peronie Niwek, niczym obgryziona kość, nikomu niepotrzebna - nadepnąć, zmiążdżyć, nie szkoda. Serce Sajgona stukało, jak koła na torach, kiedy patrzył na swoją zdobytą z takim trudem broń.

- No, przystojniaku, obróć się, nie wstydz się - Barbie prawie że oblizala się patrząc na ciało Sajgona: ani grama tłuszczu, wały mięśni, pasy blizn.

- Niepotrzebnie tracisz czas. - Skrzyżował ręce na piersi. - Nie przyjmuję zalotów. Wybacz, mam żonę i bardzo ją kocham.

Ruda zastygła wtedy w miejscu. Twarz jej zbladła, po czym pokryła się szkarłatnymi plamami. Wyciągnął z noży na pasie tasak, którym łatwo można byłoby przeciąć człowieka na pół i zrobiła krok w stronę Sajgona. Ostrze przywarło do jego jabłka Adama. Pojękując, Barbie przywarła całym ciałem do farmera.

W pachwinie Sajgona nagle zrobiło się gorąco, ledwie zdołał zachować ręce przy sobie - tak chciało się objąć piękność. Nie po to zaczął wyprawę, żeby zmienić żonę... Nie po to...

Krótkie, ale bardzo bolesne uderzenie w nadgarstek, potem w łokieć - nadgarstek dziewczyny natychmiastowo zdrętwiał, nóż wypadł. Sajgon złapał go w locie i zaraz przystawił do gardła rudej.

Jeszcze nie zapomniał nauki Majora.

- No co, Barbie, zagramy w twoją gierkę na odwrot? Uważaj, teraz ja prowadzę!

- Nie trzeba, szefie! - krzyknął Lektor, ale Sajgon zignorował jego radę.

Nie mieli nic więcej do roboty na Niwkach. Tak, Sajgon planował odwiedzić miejscową fermę i nawet zjeść coś na koszt firmy. Tym bardziej, że możliwość podobnej wizyty i usług jest określana osobno przy sprzedaży franczyzy. No ale dobra, nie tym razem.

- Oddajcie moją broń. - Odwracając się do dziewczyn z eskorty, Sajgon zrobił najokropniejszy grymas, jaki był w stanie wymyślić. Jest przecież zwierzęciem. - I plecak! Wszystko ma zostać na swoim miejscu albo ona zginie!

- Kim ty jesteś? - wychrypiła ruda. Wygląda na to, że przestraszyła się nie na żarty.

Sajgona to jedynie zachęcało:

- Jestem farmerem ze stacji Swiatoszyn.

- I wszyscy mężczyźni u was tacy są? - W głosie Barbie zabrzmiała żywa ciekawość.

Przed oczami Sajgona przeleciały twarze Mitki Kompas, Bolta i Kaszki...

- Wszyscy! Z nami nie ma żartów i...

Mógłby jeszcze wiele powiedzieć, ale jego ciało ogarnęła niemoc.

I upadł.

Fale Dniepru uniosły, grożąc obróceniem, łódkę z przegniłymi, gdzieniegdzie nadłamanymi burtami. Wiosła raz za razem odgarniały powietrze, kiedy łódkę zarzuciło w górę. Wiatr, wypełniony odłamkami lodu, z wyraźną ochotą chłastał po gołych plecach - nijak nie mogłeś się ogrzać, rąk już nie czuleś, głowa pękała z zimna - wydawało się, że zasypiały w niej gorące, żeliwne kulki i porządnie wstrząsały się.

Nieco z przodu w przerwie we mgle czerniał kontur jeszcze jednej łódki. I jeszcze jedna z tyłu, o ile w ogóle do tej pory pływała. Na dnie chlupała woda, twój towarzysz, nagi, tak jak tu, płakał, wybierał ją rękami. Bezskutecznie Wody było coraz więcej i więcej. Nie dopłyniecie. Zginiecie. Wy...

No i dobra! Drogi z powrotem i tak nie mam! Hydropark jest gorszy od śmierci, jest...

Do tego po prostu nie ma słów. Lepiej utonąć w otchłani starożytnego Borysthenu⁸ niż stać się JEGO zdobyczą!

Trzeci wasz towarzysz jest nieprzytomny. Błagał, żeby nie zostawiać go w Hydroparku. To był ciężar, ale ty wzięłaś na siebie zdrętwiałe ciało, chociaż było już pewne - nie przeżyje. Dobra. Ciało nie można zostawić, inaczej zawładnie nim ON.

Ołów, gumowe kombinezony, maski przeciwgazowe i skafandry ochronne? Nie śmieszne. Najważniejszym jest uciec. Uciec, dokąd sięga wzrok, dokąd nogi zdolne są ponieść. Niezwykle wam się poszczęściło - znaleźliście łódki. I wszystkie pływały! Toż to prawdziwy cud! Dar losu...

Tylko że ten dar jest już w połowie zatopiony. Ale nie można dać za wygraną, trzeba szybciej wiosłować i szybciej wybierać wodę.

Prędzej! Żwawiej! Szybciej!!!

...Więcej siły nie ma, nie jesteś ze stali. Jesteś zwykłym człowiekiem. Twój towarzysz podciąga nogi do klatki piersiowej, obejmuje rękami w ostatniej nadziei na ogrzanie. Na trzeciego nie patrzysz. Jest już daleko stąd, przodkowie klepią go już po ramionach, wyciągają włócznie. Tam, gdzie teraz jest, zawsze jest ciepło i jest co jeść.

I nadal wiosła raz za razem pogrążyły się w czarnej otchłani. Raz za razem, równomiernie, utrzymać tempo, utrzymać!...

Wiatr gwałtownie się nasila, słyszysz trzaski nad głową, ale na spojrzenie w górę brakuje siły. Oddałeś się jednemu ruchowi - opuścić wiosła i pociągnąć ku sobie, opuścić i pociągnąć, i znowu, i raz jeszcze...

Kompan jest przerażony, zakrywa się rękami. Niebezpieczeństwo jest w powietrzu. Zbyt blisko. Ale w górę nie wolno patrzeć - wybijesz się z rytmu, a wtedy...

Nagle szarpnięcie rzuca łódkę dziesięć metrów do przodu. W locie nieco się przechyla, woda wylewa się, potem uderzenie, chlust, jesteś przy wiosłach, cały, kompan krzyczy coś, nie wiadomo co.

Powinieneś się bać, ale nie, jesteś szczęśliwy, ponieważ łódka popłynie teraz łatwiej - wody w niej mniej, a i was zostało dwóch. A gdyby tylko jeden... Przeganiaasz tę podłą myśl. Ktoś powinien rządzić, a ktoś wybierać wodę. Rządzić i wybierać. Rządzić i...

Ponownie wiatr i trzaski nad głową.

Towarzysz już nie krzyczy, jego usta są otwarte, podobny jest do ryby wyrzuconej na brzeg przez sztorm. Wie, kto jest następny. Na twarzy swojej ma coś na podobieństwo uśmiechu, tak jakby cię przeproszał.

I wtedy ty rzucasz wiosła.

I podnosisz oczy.

I widzisz swoją śmierć, jej szeroki, kościsty uśmiech.

Ale na chwilę przed tym, jak ogromne szpony miały cię złapać, okropne uderzenie z dołu przelamuje łódkę na dwie części. Ty zapadasz się w cienkim lodzie, on nakrywa cie z głową. Krzyczysz ze strachu i zimna, chcesz żyć, ale nie udaje ci się.

Zimno ślizga się po krtani, wdziera się do płuc. Widzisz koło siebie coś dużego, czarnego i w górzystych naroślach. Długie, grube wąsy - czy to węże?! - kołyszą się przy ogromnej paszczy, która bez trudu połknie cię w jednym kawałku. Lewiatan jest potężny, jego ogon - skrzydło samolotu, oczy - półkule w siatce żył. A w oczach tych ciekawość. Lewiatan nie widział dotąd takich, jak ty.

A ty idziesz na dno, nie umiesz pływać.

Ty nie umiesz oddychać pod wodą!

Chwila - a lewiatan jest już blisko, można go dotknąć. I nie chcesz, nie, ale ciało postanawia inaczej, ręce chwytają za płetwę potwora. A on wtedy wypływa na górę.

Przebijasz głową granicę cienkiego lodu. Wiatr obiega twarz. Mgła jest daleko, druga łódka wiele metrów od ciebie.

Wykonujesz ochryply wdech i...

Sajgon obudził się w zimnym pocie. Czy obudził się! Przecież, zdaje się, stracił obecność...

⁸

Borysthene - starożytna (grecka) nazwa Dniepru (przyp. tłum.)

Sen był na tyle realistyczny, że Sajgon przez pięć minut nie był w stanie pozbyć się przekonania, że to on uczestniczył w tych wydarzeniach: oblewająca zimna woda, wielki potwór, najpewniej sum - mutant, kompani, którzy ledwie zaciągnęli do łódki jego na wpół martwe ciało...

We śnie kąpał się nago, miał czarną skórę, jego towarzyszy także nie dało się nazwać albinosami. To nie Sajgon, to kanibal zwany Lektorem płynął przez Dniepr i tonął... Właśnie! Nigeryjczyk! Ten koszmarny sen jest epizodem z przeszłości Lektora, nie inaczej. No cóż, nie chciałby Sajgon znaleźć się na miejscu włóczęgi. Ale przecież znalazł się?

Jak to możliwe?!

- Gdzie jestem? Co się, do jasnej cholery, ze mną dzieje?! - spytał Sajgon ciemność, która go otaczała. Otwórz oczy, zamknij oczy - bez różnicy, widoczność zerowa.

Jego ostatnim wspomnieniem jest, jak obejmuje rudowłosą kokietkę, a potem...

Potem znajduje się w łódce po środku potężnej rzeki.

A dalej - to.

Cholerne Amazonki! Co one z nim zrobiły? Dokąd zniosły? Sprawdzając podłogę - kamienna, równa - Sajgon na czworakach ruszył przed siebie i niemal od razu uderzył głową w kratę. Stał, gruba, nie wygniesz, nie złamiesz. Mięśnie odpowiedziały bólem, kiedy wyprostował się, próbując wyrwać pręty. Za nic. Obszedł celę po obwodzie i upewnił się, że krata odgradza go od reszty świata z czterech stron. Do sufitu nie dosięgnął nawet w podskoku...

A potem coś usłyszał. Jakiś dźwięk... dziwny. Jak każdy kret potrafił odróżnić kroki szczura - samicy od stapania szczura-samca. Nie pytajcie jak, po prostu potrafił, sprawdzone. A tutaj... Sajgon nigdy nie słyszał niczego podobnego.

Przestał oddychać, wsłuchał się w mrok.

Hm, cicho... Czyli w ogóle nic nie ma. Przewidziało się? Ale kiedy Sajgon stwierdził, że to z powodu przemęczenia, dźwięk powtórzył się - na lewo od niego. Sajgon odwrócił się, będąc przygotowanym na spotkanie niebezpieczeństwa twarzą w twarz, ale wtedy odezwało się znowu - z tyłu. I znów - z lewej. I znowu - z prawej. Sajgon kręcił się jak bąk. Nieznani wrogowie okrążali go! Już okrążyli!

Oszalawszy ze strachu, wczepił się w kratę i chciał zawołać pomoc, ale nie zdołał wydobyć z siebie żadnego dźwięku! Gotów był pełznąć na kolanach, modląc się do Amazonek o litość...

I nagle ciemność ciężko zadyszała zaraz przy jego twarzy:

- Nie bój się, przystojniaku. To ja.

Cofnął się, chociaż głos wydawał się znajomy. Barbie, przecież to Barbie! W życiu nie pomyślałby, że tak ucieszy się na spotkanie rudej Amazonki. A to przez nią Sajgon trafił do tego dołu!

- A ja i tak się nie boję, Barbie. Skąd ty się wzięłaś? - Zdolność mówienia powróciła równie łatwo, co odeszła.

- Tu jest taka akustyka, że każdy narobi od szurania kroków. I nie jestem Barbie, mam na imię Gilza! - Ciemność zasapała oburzona.

- A normalne imię ty masz?

- Ono jest normalne. - Urodzeni w metrze odnosili się bez czci do FIO.⁹ W przeciwieństwie do starszego pokolenia, które ze wszystkich sił przylegało do fundamentów przeszłości.

Sajgon szczegółowo wyobraził sobie dziewczynę. Osiemnaście lat, niedużego wzrostu, nie chuda, ale i nie przy kości. Wszystko u niej, skóra nadmiernie jasna, jest jak u wszystkich, którzy urodzili się pod ziemią...

W ciemności umysł cierpi z powodu braku informacji. Żeby nie zwariować, trzeba się mocno postarać. Tego sposobu Sajgon nauczył się w obozie szabrowników. Trzeba bardzo dokładnie odtworzyć w pamięci obraz i wprawić go w ruch, dodając dźwięki i zapachy.

Spróbujemy? Sajgon przeniósł myślami Amazonkę do siebie na fermę i w świetle karbidówki zaczął powoli rozbierać się i pieścić. Małeńka zemsta za spowodowane przez rudą niedogodności.

- Jesteś przystojny. Od razu mi się spodobałeś.

- Kontynuuj! - mruknął Sajgon, z zaciekawieniem przyglądając się w myślach wyginającemu się młodemu ciału.

- Jesteś tak podobny do mojego męża...

⁹

FIO - skrót od nazwisko, imię, otczestwo (imię odojcowskie) (OMO - ^aMMawN, MMA, ornecko) (przyp. tłum.)

Na wyobrażonej fermie niespodziewanie pojawiła się Swietka, zmierzyła wzrokiem Gilzę i zaraz dała mężulkowi pięścią w oko. Wyobrażenie Sajgona zadziało tak mocno, że dosłownie przewrócił się na plecy, złapał się za twarz. No, to teraz będzie siniak!

Ferma razem z rudą bestią zniknęła w ciemności.

- Mój mąż... on zginął. - Gilza ucichła, wydaje się, że udała się do własnego świata, tak jak dopiero co zrobił to Sajgon. Jedyna różnica jest taka, że on śnił na jawie, a ona wróciła do własnej przeszłości. - I... stałam się inna. Uciekłam od paskudnych mężczyzn, którzy zabijają się nawzajem. Na Niwkach są tylko kobiety, tutaj są pokój i sprawiedliwość. Cieszą się z każdej dziewczyny jak z rodzonej siostry. Tak mi mówiono. A ja uwierzyłam! Nie wyobrażasz sobie, przez co musiałam przejść, żeby się tutaj znaleźć. Ale pomyliłam się. Nie mogę dłużej znieść obecności tych zbrojców! To nie miejsce dla mnie! Duszę się, chcę odejść, rozumiesz?! - Gilza szeptała z takim zapalem, że Sajgon o mało znowu nie przeniósł jej na fermę. W ostatnim momencie zastanowił się. Nie ośmielił się. Ze względu na małżonkę.

- To odejdz, skoro tak ci tu źle.

- Sama boj się! Coś czai się w tunelach po obu stronach Niwek! Niebezpiecznie! Ludzie przepadają. Przejść można tylko z karawaną...

Co się dzieje w tunelu na Swiatoszyn, Sajgon już wiedział. A jeśli chodzi o drogę na Bieriestejką - to nowość. I nowość niezbyt przyjemna.

- Czego ode mnie chcesz, Barbie?

- Nie jestem Barbie, przystojniaku! Mam na imię Gilza. I mogę wypuścić cię z klatki albo mogę nie wypuścić. Mogę przeprowadzić przez stację i wszystkie pułapki za nią, a mogę nie robić tego... - Dziewczyna zamilkła.

Sajgon nie wytrzymał:

- Czego ode mnie chcesz, Gilza?

- Poprzysięgniesz swoją żonę, którą tak kochasz, że odprowadzisz mnie na Bieriestejką.

- Przysięgam! - wypalił zaraz i sam zdał sobie sprawę, że dał słowo zbyt pochopnie. Pośpiech w takich sytuacjach nie daje wiarygodności. Odchrząknawszy, dodał: - Obiecuję zrobić wszystko co w mojej mocy, żebyś ty, Gilzo, trafiła na stację Bieriestejewska.

Jakiś czas dziewczyna milczała, jakby nie ona Sajgonowi, a on jej złożył propozycję i teraz musi dokładnie ją przemyśleć, rozważyć wszystkie za i przeciw.

W końcu zadzwonił pęk kluczy. Sajgon westchnął z ulgą.

- Zamknij oczy. Poświecę.

Zaszurała zapałka. Błysk raził po oczach nawet przez powieki. Rozległ się szcęk zamka, drzwi skrzypnęły. Wolność! - Rozłożywszy ramiona, Sajgon wyszedł z ciemności.

I wtedy coś rzuciło się z ciemności na Gilzę.

Rozdział 5

Dwudziestego drugiego czerwca

Błysnęło ostrze noża.

Ryzykując trafieniem w zaostrzony metal, Sajgon popchnął dziewczynę i złapał rękę zabójcy, który zaraz wyrwał się i zrobił krok do tyłu. Udało się - końcówka ostrza tylko drasnęła szyję Amazonki, pojawiła się szkarłatna kropla. Zapałka zgasła. I wtedy zapłonęła nowa. Napadnięcie było nieoczekiwane, ale Gilza nie wpadła w panikę. Bez ognia nie ma jak. Walka w ciemności z tym, co posiada noktolię¹⁰ jest czystym samobójstwem. I stąd od razu druga zapałka. Sajgon to docenił. Teraz wystarczy, żeby dziewczyna wyjęła pistolet i wycelowała w wysoką, czarną postać... Ale, wydaje się, Gilza jest nieuzbrojona - oddała arsenał po służbie wojskowej, takie praktyki są na wielu stacjach, na Swiatoszyne także.

- Nie trzeba - powiedział cicho Sajgon, obracając się do ciemnej postaci, która rzeczywiście była czarna. Jeśli jesteś na wrogiej stacji, lepiej nie zwracaj na siebie uwagi głośnymi dźwiękami, prawda?
- To Lektor, mój współnik - przedstawił dziewczynie Nigeryjczyka. - A to, proszę, poznaście się, komsomolka, sportsmenka i prawdziwa piękność. Nazywa się Gilza. Pójdzie z nami na Bieriestiejewską. Takie rzeczy, bracie.

Lektor (bo to on o mało nie odesłał Amazonki do praocjów) wyciągnął rękę:

- Lektor.
- Gilza. Miło cię poznać.

Uścisk dłoni był niekobieco silny - wstrząśnięta ręka, Lektor ledwie zauważalnie skrzywił się. Ponownie zadziwił Sajgona: najpierw uprzedzenie o czerwiałych-mutantach, później pojawił się na ratunek współnikowi, chociaż nie ma z tego żadnych korzyści, jedynie kłopoty.

- Czym mnie załatwiliście? - zapytał Sajgon. - Bach - i leżę.

- Paralizatorem. - Lektor odsunął się poza granicę światła kolejnej zapałki. Dało się słyszeć znajomy szmer. - Dziewczynom, które robią zasadzkę, wydają paralizatory. Na wypadek bliskiego kontaktu z wrogiem. Chciałem uprzedzić, ale...

- Dobra. Sam jestem sobie winien - przygryzł wargę Sajgon.

Gilza zapaliła nową zapałkę od poprzedniej i podmuchała na poparzone palce.

- Nie marudź. Musimy jak najszybciej opuścić stację.

Zbyt radośnie zużywała towar deficytowy, wyprodukowany w Bałabanowie. A przecież pudełeczko żetonów na dwadzieścia wystarczy, a to i tak dużo. Sajgonowi nigdy nie podobały się rozrzutne dziewczyny.

- Zgadza się - poparł Amazonkę Lektor. - Musimy stąd spadać.

- Bez plecaka i broni nigdzie nie pójde! - Sajgon był pewny: nie zostawi mieszkankom Niwek zdobytego z takim trudem dobytku.

Nigeryjczyk w ciszy podał mu nóż. Ten sam, z jego buta. Zaostrzony tak, że kartkę można w locie przeciąć. Inna sprawa, że Sajgon za nic nie zmarnuje w ten sposób celulozy, jest przecież warta tyle żetonów...

- To za mało. - Sajgon wsadził ostrze z powrotem do samodzielnie wykonanej pochwy na goleni.

- Wszystko jest tutaj. - Buty i ubranie, plecak, łuk z kołczanem, pistolet i zębaki powróciły do farmera. - Ale łańcuch sobie zostawię. Jeśli nie masz nic przeciwko, szefie.

Sajgon był zaskoczony:

- Nie... To znaczy nie mam nic przeciwko... Ale jak udało ci się to wszystko zdobyć?!

Lektor uśmiechnął się:

- Kuglarstwo, szefie. I żadnego oszustwa.

Na prawej ręce zieleniała róża. Na prawej rumianek. Wspaniale wykonane tatuaże. Profesjonalista się postarał, wysokiej klasy spec, a nie ziomek z sąsiedniej ekipy, nawalony dla odwagi połową puszeki "białej".

¹

0 Noktoliopia - zdolność widzenia w ciemności (przyp. aut.)

Wił się dymek, wesoło potrzaskiwał płomień. Sajgon niespiesznie dokładał do ogniska spróchniałe deski znalezione przez Nigeryjczyka w bocznej gałęzi tunelu - to był szalunek; budowlańcy betonowali coś jeszcze przed wojną.

Gilza siedziała na przeciwko ze skrzyżowanymi nogami. Na szyi ma długi pasek torebki, w której zmieściły się wszystkie rzeczy dziewczyny. Drzemiała w oczekiwaniu na czy to kolację, czy to śniadanie - z czasem w metrze jest kompletny bałagan, a Sajgon przyglądał się jej i tworzył spekulacje na temat przeszłości gilzy. Na postoju nie było nic do roboty, więc dlaczego by nie porozmyślać o tym i owym?...

Czy to jest dama rodem z Dworcowej i tam jest jej zameldowanie przed ostatnim dzwonkiem? To by wiele wyjaśniało - nawyki, podejrzenie skłonności do feminizmu... Wszyscy mieszkańcy Dworcowej są gangsterami, umalowani niczym matrioski: od tyłu głowy do kości ogonowej, od paznokci do cebulek włosów. Patrząc na skórzane pokrywy - najlepsi artyści w historii od bizona do Barbizon nie przysiądą się obok. Na przykład ten złodziej z zasadami, który przyniósł Sajgonowi łuk, miał na piersi wybitą Monę Lisę, a klasyczne tło dopełniał sobór bez krzyży. Nie, serio: uśmiech imbecyla, skromna suknia, wszystkie te sprawy. Wypisz, wymaluj, reprodukcja z podręcznika kultury zagranicznej - niezła kalka, klasa!...

- Czego się gapisz? Spodobały ci się moje tatuaże? - Okazuje się, że Gilza wcale nie spała.
- Coś w tym rodzaju - zasmucił się z jakiegoś powodu Sajgon.
- To kwiaty - wyjaśniła Gilza jak małemu dziecku. - Przed wojną rosły wszędzie na powierzchni. To róża, a to... - Zamilkła, szukając odpowiedniego słowa. - A to baranek. Tak, baranek.
- Rumianek - nie zastanawiając się, poprawił Sajgon i zauważył, jak źle błysnęły oczy Amazonki.
- Dla ciebie może i rumianek, a dla mnie baranek!
- Przepraszam. - Odwrócił się, zdawszy sobie sprawę, że Gilza nigdy kwiatków nie wahała i bukietów jej nie dawano, przecież urodziła się w podziemiu, a ze wszystkiego, co tu rośnie, kwiatami można nazwać zaledwie grzyby i ziemniaki, co, oczywiście, w gruncie rzeczy jest błędne. - Namieszałem, zapewne. Po prostu widziałem kiedyś podobny kwiatek i tak właśnie się nazywał.
- Naprawdę widziałeś? - Oczy Gilzy zaokrągliły się.
- Naprawdę. - Sajgonowi wydało się, że w głosie dziewczyny przebijał się szacunek.
- Rumianek... - Amazonka poobracała to słowo na języku. - Rumianek, tak?
- Aha - skinął Sajgon.

Opowieść o słupkach i pręcikach trochę go zmęczyła. Rozdawszy jedzenie i ugościwszy wędrowców wodą, wsunął rękę pod plecak, a łuk położył tak, żeby w dowolnym momencie można było go użyć. Prawie że zasnął, kiedy Gilza szepnęła mu do ucha:

- A naprawdę wszędzie?
Sajgon nie razu pojął, o czym mowa.
- A. No tak, wszędzie. Na łąkach. I w domach, i na samochodach, i... W skrócie wszędzie.
- Wiedziałam! - Policzki Sajgona musnęły kosmyki rudych włosów. - Wiedziałam o tym! No, cóż!
W metrze też będą rosły kwiaty! Zgadzasz się?
- Aha... - odparł Sajgon i zapadł w sen.

...Cieszył się, że trójka bez problemu opuściła Niwki.

Za ostatnią zasadzką, gdzie Gilza długo o czymś szeptała z wysoką, chudą kobietą, Sajgonowi z jakiegoś powodu rzuciła się w oczy sygnalizacja świetlna, na której namalowano dwa paski. Sygnalizacja zepsuła się jeszcze przed początkiem wojny, o tym mówił znak-krzyż. Sajgonowi, jak i wielu mieszkańcom podziemia, wydawało się, że przed wojną wszystko było idealne, a tutaj proszę - zniszczony sygnalizator. Niby bzdura, ale jednak. Nie bogowie, nie, zwyczajni ludzie tutaj żyli.

Zupełnie jak teraz...

Sieci oświetleniowe na stacjach i w oddzielających je tunelach steruje się zdalnie - z punktów wysyłkowych. O tym się nie mówi, ale wszyscy wiedzą. Jeśli władza będzie miała taki kaprys, to pozbawiona światła stacja zginie. O tym każdy wie. Dlatego do stanowisk oświetleniowych dopuszcza się tylko sprawdzonych, zrównoważonych ludzi. Sajgonowi stanowisko rządzącego Swiatoszynem oczywiście nie groziło. Chociaż...

W "gabiniecie" Matwieja Aleksiejewicza, naczelnika stacji Swiatoszyn, jest telewizor. Każdego dnia Matwiej Aleksiejewicz włącza go na dwie godziny, nie więcej. Ekran niezmiennie pokazuje śnieżycę, dźwięk popsuł się już dawno, ale Matwiej Aleksiejewicz nikomu nie pozwala dotykać telewizora, tak więc o naprawie też nie mogło być mowy. Atena wyciągnięta jest na powierzchnię. Matwiej Aleksiejewicz do tej pory ma nadzieję. Dwadzieścia lat z hakiem minęło, a on każdego dnia

zasiada przed "pudełkiem" i przez dwie godziny gapi się w ekran. A jeśli?
I po tym naczelnik Swiatoszyna jest osobą zrównoważoną?
Szaleństwo, oto na co choruje całe metro.

* * *

Wstali, zjedli i ruszyli w drogę.

Szli w ciszy tylko dlatego, że nie było o czym rozmawiać. Zbyt wielu różnych ludzi zabrał już Pan Tuneli. Raz za razem poprawiając plecak, Sajgon wspominał, jak pewnego razu do Majora przybył nowy rekrut z Uniwersytetu, całkiem mądry gość, który w pełni korzystał z tamtejszej biblioteki, ale nie jej części naukowej, a zbioru rozrywkowej fikcji - fantastyki, kryminałów, historii miłosnych i komiksów...

- "Stalkerzy? - Major spojrział na młodzieńca pogardliwym wzrokiem. - No jacy my, niby, stalkerzy?! Jesteśmy szabrownikami. Sza-bro-wni-cy. Rozbieramy trupy, mieszkania rozgrabiamy. Słowem: kradniemy. Chcesz być stalkerem czy kim tam jeszcze - poszedł mi stąd, u mnie w oddziale nie ma miejsca dla takich! Są pytania?"

Młody głośno przełknął i, poprawiwszy okulary na nosie, szybko zaczął kręcić głową na boki.

- "Pytań nie ma - uśmiechnął się Major i poklepał się po plamistym kolanie. - Wspaniale. Więc w tym momencie stwierdzamy: sza-bro-wni-cy. Jesteśmy łotry i dranie. Ale pozostali, czyści i szlachetni, bez nas nie dadzą rady. Jesteśmy im potrzebni. Tak to wygląda..." Sajgon natychmiast wynurzył się ze wspomnień, usłyszawszy, jak cienki, dziecięcy głosik przenikliwie rozbrzmiewa pod zawodzenie akordeonu:

Dwudziestego drugiego czerwca,
Dokładnie o czwartej godzinie,
Kijów zbombardowano, nam powiedziano,
Że zaczęła się wojna.¹¹

- Co za cholera? Słyszycie?! - Sajgon obrócił się w miejscu, próbując określić, z której strony dochodzi dźwięk.

Lektor pokręcił głową. Gilza w ogóle nie uraczyła Sajgona swoją uwagą.

- No ale jak to?! Dziecko śpiewa. Słyszycie?!

Gilzą nagle wstrząsnęło, zęby jej głośno zastukały, odwróciła się, jawnie zamierzając uciec stąd.

- Ej, co ty robisz? - Lektor złapał ją za ramię.

- To.. to... to... - Gilza umierała ze strachu.

Sajgon podszedł do niej i dzielił po twarzy. Pomogło. W oczach dziewczyny błysnęły łzy.

- Na Niwkach, jeśli urodzi się dziecko z defektem to je... to je... - Dziewczyna rozplakała się.

Sajgon słyszał, co robią z takimi dziećmi na Niwkach. Odnoszą je po prostu do tunelu, czyli skazują na śmierć w łapach paciuków. A że z Amazonkami najczęściej mają do czynienia karawaniarze, którzy szlajają się po całym metrze i taszczą ze sobą radioaktywne przedmioty, to...

- Mówią, że dusze tych dzieci wędrują po tunelu. I kiedy dusz będzie dostatecznie dużo, to przyjdą na Niwki i...

- Ale, ale, uspokój się. - Lektor objął dziewczynę i pogładził ją po plecach. - Uciekłaś z Niwek, nic ci nie grozi.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdził Sajgon.

Nie słyszał dłużej dziecięcego głosu. Pewnie zwidy. A mało to może się zacząć w mroku pod ziemią?..

Sajgon dobrze pamięta datę, dzień tygodnia i rok, kiedy zaczęła się wojna jądrowa-bakteriologiczna. To wcale nie stało się dwudziestego drugiego czerwca. Ale najzabawniejsze jest to, że pozostali mieszkańcy metra pamiętają inaczej. I mało tego - każdy ma swoją datę, a nawet własny

¹ Piosenka "Dwudziestego drugiego czerwca, dokładnie o czwartej", słowa Borys Kowyniew do muzyki popularnego walca Jerzego Petersburskiego "Błękitna chusteczka" (przyp. aut.)

rok. I niby nic - pomyślisz, stracili rozum, masowa psychoza - ale Swietka! Swietka była przecież z Sajgonem w dziupie nauczycielki rosyjskiego Jeleny Władimirownej. Wydaje się, że małżonka powinna pamiętać to samo, co on, prawda? Ale nie! Niezgodność była nie tylko w dniach, ale i w porze roku! Jeszcze jeden fenomen podziemnego życia.

Mniej więcej tak samo w metrze ludzie różnej narodowości bez trudu rozumieją się nawzajem. Włączyły się jakieś specjalne, nikomu niezrozumiane mechanizmy ludzkiej natury. Globalna katastrofa jest wszystkiemu winna. Kto zna wszystkie czynniki działające podczas wybuchu jądrowego? Ach, w podręcznikach obrony cywilnej napisano, punkt po punkcie? Mądre, prawda? A jajogłowi - idioci ze stopniami naukowymi - podkulali nogi, rozumiejąc, że z każdym rokiem dowiedzą się coraz więcej i więcej i ta świadomość nie poprawiała im humoru...

O impulsie elektromagnetycznym dowiedziano się kilkadziesiąt lat po wybuchu pierwszej głowicy jądrowej. "Zimę atomową" wymyślili jeszcze później. Potrzebne kolejne przykłady?

- No niech ci będzie, szefie, nie gorączkuj się tak! Któż wiedział, że Chińczycy w nas przywałą? - przerwał jego rozmyślenia Lektor. Sajgon nawet nie zauważył, kiedy zaczął myśleć na głos.

- Czemu niby Chińczycy? - Gilza nagle uspokoiła się. - Amerykanie! To oni wojnę zaczęli!

- Po jaką cholere my potrzebni Ameryce i Chińczykom? - Sajgon wyciągnął z plecaka manierkę samogonem i nieco upił, żeby uspokoić nerwy. - Ruscy, nikt inny. To Moskwa w nas walnęła. Aby uśmiercić nieposłusznych chochołów.

- Albo Pakistańczycy. Od dawna już grozili, szefie. Jeśli się od nich nie odczepią, to...

- Ja jeszcze słyszałam, że niby Korea Północna zaczęła. Koreańczycy zatopili czyjś lotniskowiec albo jacht, nie pamiętam, a wtedy wmieszała się Ameryka, niby zamierzała prowadzić ćwiczenia przy brzegu. Tak Koreańczycy ostrzegali, ostrzegali, a potem walnęli. No i się zaczęło...

- Iran jeszcze miał program jądrowy.

- Indie ciągle groziły Pakistanowi wojną...

- A terroryści...

- W Iraku jeszcze szukali broni masowego rażenia...

- Ale przecież nie znaleźli, szefie. Chińczycy, oni są wszystkiemu winni!

Pod nogami Sajgona chlupnęło coś mokrego.

- Stop! - ryknął. - Woda!

Gilza zaraz sięgnęła po zapalki, Lektor cofnął się w ciemność, światło przeszkadzało mu w widzeniu tego, co dzieje się dalej w tunelu.

To bardzo źle, jeśli jest woda - gasząca pragnienie, świeża - nie w rurach, a tak sama z siebie, przy torach. Małeńka kałuża jest zapowiedzią wielkiego nieszczęścia. Otwiera się źródło - tunel wali się, a to zatopi go wraz z najbliższymi stacjami. W ten sposób kiedyś stacja Swiatoszyn o mało nie stała się zbiorową mogiłą, takim podziemnym "Titanicem", tak więc Sajgon nie ze słyszenia jest świadom, jakim niebezpieczeństwem grozi chlupotanie pod butami. Poza tym, butom woda także nie służy.

Dalej szli pojedynczo w kolumnie. Troje to już przecież kolumna? Sajgon z latarką z przodu. Kałuża ciągnęła się dalej i dalej, i nawet powietrze jakby przenikała wilgoć.

- Co to? Czemu woda? - zapytał Sajgon Nigeryjczyka. - W końcu już tu przechodziłeś?

- Dawno, szefie. Wtedy było tu sucho. Dawno. Teraz jest inaczej.

To akurat pewne. Inaczej.

Teraz to nie zwyczajna kałuża, a przed nimi jest ciągle, pozbawione mielizn jezioro. Nie rzeka, dlatego że nie ma przepływu - Gilza rzuciła do wody płonąca zapalke, nie poniosło jej. Nie ma odpływu. To dobrze czy źle? Nie pytajcie Sajgona, on nie wie.

- I jak teraz przejdziemy, szefie?

Pożyjemy - zobaczymy. - Sajgon powiódł latarką po ścianie na skraju wody.

Na poziomie klatki piersiowej wiązka światła trafiła na napis stworzony białą farbą: "Taxi. Usługa płatna". Na początku pomyślał, że to po prostu głupi dowcip karawaniarzy. Oni całe doby nie wyłazą z ciemnych tuneli, jest tu dach i jedzenie, tak się bawią. Ale potem zauważył nad wodą rozciągnięty kabel, którego jeden koniec był przymocowany do wkrętu w ścianie, a drugi ginął w mroku nad jeziorem. A może to jednak rzeka?...

Usługa płatna? Oplaca się! Sajgon chwycił za kabel i pociągnął za niego kilka razy, na szczęście ten zwisał wzdłuż ściany. W oddali dało się słyszeć brzęczenie - jakby do kabla przywiązano kilka pustych puszek, które, zderzając się, wytwarzały brzęczący dźwięk.

- A może pójdziemy, szefie?

- Za późno. Zadzwońm już po taksówkę.

Ciemność nad wodą nagle ryknęła niczym ranne zwierzę. Gilza cofnęła się. Poza stacją Niwki nie kandydowała już do roli nieustraszonej wojowniczką. A tak pewnie się zachowywała, zapalki paliła...

Sajgon naciągnął łuk.

Nigeryjczyk rozwinął nad głową łańcuch.

Z ciemności, bezdźwięcznie sunąc po wodzie, zbliżało się do nich coś dużego.

- A farbę skąd wziąłeś?

- Skąd wziąłem, tam już nie ma.

Sajgon od razu nazwał go Charonem. Dla siebie, oczywiście. A jak inaczej nazwać dwumetrowego faceta ubranego od stóp do głowy w kombinezon ochronny. Przecież nie Wasilijem Pietrowiczem Iwanowym czy jeszcze jakimś imieniem z paszportu, w którym sensu jest obecnie nie więcej, niż w instrukcji hodowania orchidei. Charon fajnie brzmi i jest związane z zawodem.

- Już nie? Żartowniś?

- Aha. - Zatrzęsła się trąba maski przeciwgazowej, która zakrywała oblicze przewoźnika.

Jak się wyjaśniło, duże i ciche, które sunęło po wodzie z ciemności jest samą taksówką - tratwą złożoną z kilką pontonów całych w latach. Guma i jeszcze raz guma. Każda łódka wyposażona była w własną pompę, przy czym wszystkie one były od różnych producentów, którzy nie chcieli wprowadzić jednego standardu. A ryk rannego zwierza imitowała przechodząca przez łódkę piszczałka kibica, plastikowy, dwukolorowy cylinder. Futbolu od dawna nie ma, a piszczałki zostały. Niesamowicie słyhać ją w ciemności, Sajgon był pod wrażeniem. I nie tylko on.

- Ile za trzy osoby?

- Naboje macie? - Charon nie spieszył się ze wpuszczeniem klientów na pokład. Opierając się na bosaku, zatrzymał tratwę około pięć metrów od brzegu.

Sajgon wsadził strzałę z powrotem do kołczanu.

- Żetonami się rozliczymy.

- To po dwadzieścia za osobę.

- Po dziesięć.

- Po piętnaście.

- Dwanaście. Więcej nie dam - ogłosił Sajgon. Zawsze był dumny ze swojej zdolności targowania się.

Bosak odbił się od dna, tratwa zaczęła powoli się oddalać.

- Hej, a ty dokąd?!

- Wezwij inną taksówkę.

- Dobra, piętnaście!

- Dwadzieścia pięć.

- Dobra! - Sajgon wyciągnął z plecaka woreczek i odliczył potrzebną ilość żetonów.

- My i tak dobrze wyszliśmy - szepnął Lektorowi. - A gdyby ten dusigrosz wołał po trzydzieści?...

Tak, tak, Sajgon był dumny w tego, że potrafi obniżyć cenę.

Przedwojenne żetony służące do zapłaty za przejazd w metrze są uniwersalną walutą na wszystkich stacjach linii Swiatoszyńsko-Browarskiej. Hrywny, dolary, euro... to wszystko nie przetrwało. W szaleństwie pierwszych dni po wojnie ludzie wykorzystywali banknoty jako papier toaletowy i rozpalali przy ich pomocy ogniska. Później pojawiła się potrzeba wykorzystania w formie waluty nabo. Ale te zużywały się zbyt szybko i same w sobie stały się towarem deficytowym. A żetonów w metrze znalazło się dostatecznie dużo.

Sajgon nie wiedział, jak rzeczy mają się na pozostałych stacjach, a na Swiatoszyńsku postąpiono sprawiedliwie. Zniszczyli kołowrotki i automaty wydające żetony. Sprawiedliwie rozdali pomiędzy wszystkich, którzy znajdowali się na stacji, po równo. Matwiej Aleksiejewicz tylko na tym zyskał - zarządzał akcją. Wdzięczny lud wybrał go na naczelnika stacji. Jednogłośnie. Przy czym głosowano zanim Aleksiejewicz wydał rozkaz wydania obywatelom ich przydziału. Co tu dużo mówić, Aleksiejewicz głupi nigdy nie był. Jedynie telewizor jest jego dziwactwem. No tak, wszyscy w metrze z tymi swoimi dziwactwami w głowach...

- Musimy się dostać na tamtą stronę. Gdzie jest sucho.

Lektor i Gilza zgodnie pokiwali głowami, podtrzymując prośbę Sajgona.

- A ja myślałem, że w połowie drogi wysiądziecie. Utopić się chcecie, czy co tam jeszcze. Mam

rację?

Sajgon uważnie przyjrzał się przewoźnikowi. Żartuje? Swego rodzaju czarny humor? A może serio? Ale maska przeciwgazowa skrzętnie zakrywała oblicze Charona.

- Żartuję, oczywiście. Żetony do przodu.

Sajgon z ulgą odetchnął i podał zapłatę za przejazd. Pierwszy wkroczył na pokład podziemnego liniowca pierwszej klasy. I o mało nie wpadł do wody - gumowa konstrukcja okazała się być skrajnie niestabilna. Gilza i Lektor dołączyli do Sajgona z większą gracją.

Tratwa odbiła.

Zdjąwszy plecak i położywszy obok niego łuk, Sajgon spostrzegł, że jezioro jest niegłębokie, najwyżej do pasa:

- I po co płacić, skoro można przejść w bród?

Przewoźnik wzruszył ramionami:

- Choć teraz zwrócę żetony. I krzyżyk na drogę.

Po dwadzieścia pięć za osobę, w sumie - siedemdziesiąt pięć. W pewnym sensie spora suma, szkoda rozstawać się z nią przy zdrowym życiu. Ale z drugiej strony - coś tu jest nie tak, skoro Charon gotów jest zwrócić pełną zapłatę. Tylko to powstrzymało Sajgona od tego, żeby ruszyć na własnych nogach. Czyżby w bezpiecznej z pozoru wodzie czaiło się prawdziwe niebezpieczeństwo?

Przez jakiś czas Sajgon bezskutecznie wpatrywał się w gładką, czarną powierzchnię, gdzieś w tłuste rozerwanie. Żeby chociaż jakaś podpowiedź!... Jednakże nic nie wskazywało kłopotów i właśnie to najbardziej niepokoiło Sajgona.

Ale wszystko okazało się zwyczajne. Zauważywszy jego cierpienie, Gilza sięgnęła do wyniszczonej torebki po plastikowe pudełko z ekranem LCD z boku i włączyła je. Sprawdząwszy poziom promieniowania, spakowała dozometr z powrotem. Przy tym zadrżała jak z ziemi. Ciekawe, skąd Amazonka ma taki drogi sprzęt?...

- Tak też myślałam.

Jezioro bezwstydnie zafalowało, co w ogóle nie jest dziwne: to tu, to tam przeciekało sklepienie tunelu - małe strużki były podobne do deszczu. Woda z powierzchni, dlatego przewoźnik tak się wyposażył. To znaczy, że jemu nie są potrzebne dobry psychiatra i psychotropy, on zna się na tym, co robi. Tym gorzej dla podróżnych.

Sajgon schmurzył się.

- Aha - potwierdził Charon. - Woda tu uzdrawiająca. Nalewaj do butelek i sprzedawaj.

- I kąpać się w niej przydałoby się nie tylko do chrztu - niewesoło rozwinął temat Sajgon.

- O właśnie, przyjacielu, gadasz z sensem. No to jak, zysk po połowie?

Bosak raz za razem odbijał się od dna, przesuając tratwę po tunelu. Im dalej odpływali od "suszy", tym głębiej zagłębiał się bosak. Tunel znacznie niższy się. Wkrótce Charon zagłębił rękę po łokieć, żeby posunąć tratwę dalej. I kiedy z przodu pojawił się kabel, pod kątem rozciągnięty między ścianami, pół metra od wody, przewoźnik z ulgą zasapał w trąbkę maski przeciwgazowej. Złapawszy za kabel, Charon zaczął ciągnąć - mocno musiał się wysilić, ale nie prosił o pomoc. Cóż, człowiek za to żetony wydaje, i to niemałe, stwierdził Sajgon. Wkrótce, przycisnąwszy tratwę nadmuchiwanym bokiem do ściany, Charon złapał przedłużenie kabla, które ciągnęło się do drugiej ściany. Takim zygakiem tratwa posuwała się dalej już bez pomocy bosaka. Prędkość znacząco wzrosła. I jeszcze... Czy tylko Sajgonowi wydawało się, że z każdym przebytym metrem sufit zbliżał się do wody?...

Tak właśnie było. Nawet przy bardzo silnych chęciach Sajgon i jego ekipa nie przeszliby jeziora w bród. Wkrótce woda podniosła się tak wysoko, że musieli schylić głowy, żeby nie nabici sobie guza o sklepienie tunelu. Mroczne miejsce. I jeszcze z góry kapie.

Parasolem całym w kwiaty, Charon zakrył karbidówkę, która oświetlała kurs. Obok przepłynął pomarańczowy kask budowlany, Lektor chciał go zabrać, ale z jakiegoś powodu zamyślił się. Sajgon w zadumie powiódł wzrokiem za kaskiem.

Następnie sufit powoli, ale nieprzerwanie zaczął się podnosić. Niedługo skończył się ostatni kabel, ciągnący się od ściany do ściany i Charon ponownie odbijał się bosakiem.

Jego pasażerowie wyraźnie się rozweselili.

- Są takie mapy, na nich obiekty z systemu metra są naniesione na plan miasta. Skala jeden do pięćdziesięciu - burknął Sajgon, samemu nie wiedząc czemu. Z pewnością chciałby powiedzieć coś lepszego. - Na tych mapach pokazano wszystko, co jest przy wyjściach z metra, przy każdym szybie wentylacyjnym. Wyjdiesz tutaj - trafisz do supermarketu, tam - do szpitala.

- No i co? - ziewnęła Amazonka. Niewątpliwie była bardzo ciekawa poznać odpowiedź na swoje

pytanie.

- Jak to co? Dzięki tej mapie władacie wszystkimi bogactwami powierzchni! No, prawie władacie. Mówiono, że mapa należała do Majora, jednak przepadła razem z właścicielem. Może i tak jest, ale ani razu nie widziałem u niego niczego podobnego...

- Piękna bajka, szefie.

- To nie jest bajka!

- Co za różnica, szefie? Na powierzchni w ciągu dwóch dekad mało co się ostało. Z każdym rokiem szabrownicy przynoszą coraz mniej i mniej wartościowe przedmioty. Tak mówią, szefie.

Sajgon nie miał powodu, żeby temu zaprzeczać.

- Mogę opowiedzieć anegdotkę, chcecie? Na temat? - Lektor, nie doczekawszy się zgody, zaczął: - Idą raz tunelem Aleksiejewicz, Kosmos i Major, a na ich spotkanie...

Z przodu, za granicą sektora oświetlonego karbidówką, rozległ się cichy plusk. Lektor zamilkł. Gilza zastygła z otwartymi ustami. A Sajgon wpatrzył się w przewoźnika, który jak gdyby nigdy nie posuwała łódź dalej. Na wodzie pokazał się jeszcze jeden pomarańczowy kask. On mówił wręcz: "No już! Weź mnie, weź! Mogę ci się przydać!"

Sajgon pokręcił głową, przeganiając zwiady.

I wtedy zobaczył, jak w wodzie przemknęło coś białego i długiego. Ledwie zdążył otworzyć usta, żeby zapytać o stworzenia zamieszkujące tutejsze wody, kiedy jego ramię przeszył ból. Ostre szarpnięcie - i wbił się w powietrze, oderwawszy się od gumy tratwy. A w ostatniej chwili razem z głową pogrążył się w wodzie. I wtedy otworzył oczy.

Woda było ku zaskoczeniu przezroczysta i światło karbidówki na tratwie w zupełności wystarczyło, żeby zobaczyć dwa potwory pływające obok. Odpychając się ogonami przez wodę, jakby określając, gdzie najlepiej ugryźć człowieka, który wtargnął na obce terytorium.

To odmieńcowate, pojął Sajgon, tylko zbyt duże i nadmiernie aktywne. I ślepe. Stworzeniom żyjącym w podziemnych rzekach oczy nie są do niczego potrzebne... Jednak nie na darmo uczęszczał na kółko przyrodnicze.

Woda zafalowała. Ktoś jeszcze opuścił tratwę z nie swojej woli. Odmieńcowate nagle uciekły w bok, znikając z pola widzenia Sajgona. Wypuszczając przez nos bańki powietrza obrócił głowę, obawiając się, że mutanty zajdą go od tyłu albo nadejdą z dołu. Druga opcja, jak się okazało, nie groziła mu - poślądkami opierał się o tory. Zdawszy sobie sprawy, że dosięga dna jeziora, Sajgon stanął na nogi. Woda do podbródka, już łatwiej.

Obok szamotała się Gilza. Z jej oczu dało się wyczytać dzikie przerażenie. Raz za razem głową znikająca w wodzie, zaraz wynurzała się, kaszląc i plując, i ponownie zanurzała się. Mokre, rozpuszczone włosy oblepiły jej twarz.

Na tratwie, wstawszy na pełną wysokość, rzucili się sobie do gardeł przewoźnik i Nigeryjczyk. Dwoje Charonowi udało się zrzucić do wody, ale z Lektorem nie tak łatwo sobie poradzić. Może i chudy, ale krzepę ma.

Oszukał! Charon skierował pięść w stronę skroni Nigeryjczyka. Sajgon wstrzymał oddech. Od takiego uderzenia osobiście wyzionąłby ducha. Ale nie, Lektor nie osłabił uchwytu, chociaż jego spojrzenie zmętniało. Jeszcze jeden cios - upadł na kolana, ciągnąc za sobą Charona. Przechyliwszy się, tratwa nabrała wody. Charon starał się oderwać od gardła ręce włóczęgi - bezskutecznie. Wtedy przewoźnik ponownie zamachnął się, ale siły wydawały się go opuszczać. Zaraz złamie opór kanibala. W dodatku złamie go w dosłownym sensie.

A to znaczy, że Lektorowi potrzebna pomoc. Pilnie!

Ale i Gilza jest w wodzie. Ono nie tylko tonęła tam, gdzie utonięcie jest niemożliwe, ale i piszcziała z bólu. Co się stało?! Woda wokół dziewczyny zaczerwieniła się szkarłatem. Nad powierzchnią mignęło wygięcie białych pleców. Na Gilzę napadła odmieńcowate i sama sobie z nimi nie poradzi!

Lektor?...

Gilza?...

Komu jest bardziej potrzebna pomoc Sajgona?!

Niech was paciuk zażre! Odbiwszy się od dna, Sajgon ruszył ku dziewczynie, przeklinając się za drogocenne sekundy zmarnowane podczas wyboru. Oczywiście przecież, że najpierw powinien uratować rudą bestię, obiecał przecież odstawić ją na Bieriestiejską. A swoich obietnic Sajgon dotrzymuje na przekór wszystkim przeciwnościom losu.

- Mamo!!! Pomocy!!! - Dziewczyna klaskała dłońmi o wodę.

Sajgon zanurkował i przepłynął kilka metrów pod wodą, odganiając odmieńcowatego, który już

szkował się do ataku na Amazonkę. I wystarczyło Sajgonowi tylko pojawić się obok Gilzy, tak wbiła mu się paznokciami w kark, że sam o mało nie wrzasnął z bólu:

- No co ty robisz, Barbie?!

Puściwszy mimo uszu komentarz, dziewczyna wdrapała się na Sajgona, jakby nie był on człowiekiem, a drabiną. Po chwili stała już mu na ramionach. Dziewczyna z radością wskoczyłaby na głowę farmera, ale tu jest problem - mokasyny zsunęły się.

Na ramionach... Zaczepiwszy o Sajgona bosakiem, przewoźnik wyrzucił go za burtę. Ale ramię już prawie nie bolało. Z pewnością dlatego, że hak go tylko drasnął. A w starej kurtce wojskowej pojawiła się tylko dodatkowa dziurka.

- Trzymaj się mocniej, głupia! - Sajgon złapał Amazonkę za kostki i ruszył ku tratwie.

Trzeba oddać dziewczynie hołd, wspinała się balansowała na ramionach. Tak bardzo nie chciała do wody, do odmieńcowatych!

Zauważywszy zbliżających się pasażerów, których wyrzucił za burtę, Charon szeroko zamachnął się bosakiem. Na jego nieszczęście nie miał do czynienia z gospodynią domową siedzącą na szyi swojego mężczyzny, ale z Amazonką stojącą na ramionach faceta może i pożądanego, ale obcego. Bosak świsnął w powietrzu. Ledwie nie przewracając się w głębinę, Gilza gwałtownie kucnęła. I zdarzył się cud - zwinnie złapała zakończenie bosaka. I mocno pociągnęła do siebie.

Drzewiec wyslizgnął się z rąk Charona, z zaskoczenia upadł. Pomyślnie upadł - obok Lektora, który zwyczajnie nie mógł odpuścić takiej okazji i od razu wczepił się w gardło przewoźnika.

Z Gilzy ciekła zabarwiona krwią woda. Sajgon znajdował się akurat w centrum różowej kałuży na powierzchni jeziora Krew na pewno przyciągnie mutanty...

Patrzył jak na wodę.¹²

To znaczy on naprawdę patrzył w wodę przed sobą - i dlatego od razu zobaczył dwa gibkie ciała sunące ku niemu.

I wtedy Amazonka ponownie pokazała cuda zwinności. Rzuciła zdobyczny bosak. Ostrze przebiło się przez mutanta. Odmieńcowaty zadrzał w agonii, podnosząc fontannę bryzgów. Straciwszy równowagę, Gilza z krzykiem wpadła do wody. Drugi mutant raczył na dobre zniknąć w podziemnych głębinach.

I tak nie udusiwszy przewoźnika, Lektor zaczął bić go pięściami po gumowej masce.

- Wystarczy, stary! No wystarczy, mówię! - Sajgon pomógł Gilzie wspiąć się na tratwę i, ciężko dysząc, wszedł tyłem.

Lektor opuścił pięści.

Ale ledwie Sajgon odwrócił się, żeby sprawdzić, czy są na miejscu jego broń i plecak, jak Nigeryjczyk zerwał z Charona maskę przeciwgazową. Cios w nos, bryzgnęła krew. Palce Lektora wbiły się w gardło przewoźnika. Ten już nie miał sił się przeciwstawiać. Jedyne, na co ich wystarczyło, to przetoczenie się do krawędzi i próba wypadnięcia za burtę w nadziei, że tam już czarny diabeł zostawi go w spokoju. Ale tak się nie stało. Nigeryjczyk nie pozwolił mu tak łatwo odejść. Twarz Afrykańczyka zbieleła ze złości.

- Zostaw go! Słyszysz, zostaw! - Sajgon wykonał niemały wysiłek, żeby odciągnąć palce Lektora od gardła przewoźnika.

Charon, tak przy okazji, miał dwadzieścia lat z kawałkiem w krzepie. A okazało się, że w rzeczywistości jest znacznie starszy. Oto co znaczy rozmawiać przez "trąbę" i patrzeć na świat przez szkła.

- Zabiję go, szefie!!! Nie przeszkadzaj mi!!! Zabiję go!!! Zabiję!!!

- Nie. Zakazuję ci tego robić - spokojnie, jakby nic się nie stało, powiedział Sajgon.

Lektor uspokoił się, ale nozdrza mu się jeszcze rozszerzyły:

- Dobrze, szefie..

Sajgon chciał wyjaśnić, że tak właściwie robi to nie z miłości do ludzkości, że sam wyrwałby Charonowi serce i nakarmił nim odmieńcowate, ale... przemilczał. Długo tłumaczyć, że "koni w czasie przeprawy się nie zmienia". Że nie pokonali jeszcze całego zatopionego odcinka tunelu, że mało to nieprzyjemności czeka na podróżników przed nimi, a przewoźnik jest zaznajomiony, co i jak. Czy to nie powód, żeby na razie zachować Charona przy życiu?

- No i w porządku, bracie.

Powiedziawszy to, Sajgon dostrzegł w ręce Gilzy widelec. Dziewczyna zdecydowanie chciała go

Frazeologizm oznaczający "czytać jak z otwartej księgi", jednak takie tłumaczenie gubi grę słów (przyp. tłum.)

wbić Charonowi w brzuch.

- Barbie!!! Chcesz się wykąpać?!

Ruda zaraz rzuciła sztucę za plecy i ułożyła wargi w dzióbek:

- Nie, nie, przystojniaku, no co ty? Już się kąpałam. No chyba że z tobą...

Nie bardzo udało jej się kokietować po tym, jak zmokły jej warkocze w radioaktywnej wodzie i prawie nakarmiła sobą "ryby". Powiedzmy, że uśmiech na trzy, żadnej chęci objęcia i tulenia.

Sajgonowi nigdy nie podobały się dziewczyny z trójzębami w rękach.

Zwrócił się do przewoźnika, który ledwo oddychał:

- Zachowam cię przy życiu, pod warunkiem, że dowiesz nas w jednym kawałku.

Charon zmrużył i ledwo zauważalnie uśmiechnął się. Nie wierzył w ani jedno słowo

Swiatoszyńczyka.

- Ja nie żartuję. - Sajgon pomógł mu się podnieść. - To twój bosak.

Rozwiązawszy łańcuch, Lektor uważnie śledził każdy ruch przewoźnika. Nawet jeśli Sajgon ryzykował, to minimalnie. Znowuż widelec Gilzy...

- Skąd one się wzięły? - Lektor wiercił wzrokiem kark Charona, raz za razem zanurzającego bosak w wodzie. - Te białe... jak one?...

- Odmieńcowate? - podpowiedział Sajgon.

Nie obracając się, Charon wzruszył ramionami:

- Nie wiem. Przywiało je.

Opowiedział, że mutanty często nie jedzą, ale i tak potrzebują jedzenia. Jeśli nie nakarmi się ich na czas, to wychodzą na ląd i... Sajgon zadrżał, kiedy wyobraził sobie, jak po Swiatoszynie, przebijając krótkimi łapkami, łązą białe stworzenia i napadają na ludzi, siejąc panikę... Niech już lepiej przewoźnik je dokarmi. Kimkolwiek. Tylko nie Sajgonem i jego bliskimi.

Obok tratwy pokazał się kask z pomarańczowego plastiku.

- Daj no bosak - zażądał Sajgon.

- Po co? - Charon zmarszczył brwi.

- Daj, mówię.

Charon niechętnie się zgodził.

Sajgon zaczął hakiem o kask i przyciągnął do łodzi - woda zaraz wzburzyła się, koniec bosaka złapały ostre zęby. Posmakowawszy żelaza, odmieńcowaty wypluł go i wrócił w głębinę.

- Spójrz - Sajgon był pod wrażeniem, - one tak wabią zdobyczą! Łowią na kaski. Wyciągniesz rękę - i cię mają!

Lektor głośno przełknął. Zdawszy sobie sprawę, że prawie został bez nadgarstka. I to w najlepszym przypadku.

Przed nimi pokazał się "brzeg"...

- Przyjemnej podróży! - Charon naciągnął na twarz maskę przeciwgazową i oddalił się, ledwie podróżni zeszli z tratwy.

- Miłego pływania - skinął na pożegnanie Sajgon.

Lektor i Gilza milczeli.

Jakaś myśl migotała na skraju świadomości, ale Sajgon nie śmiał jej schwytać. Coś zrobił nie tak, popełnił błąd... Żetony? Zapewne. Trzeba było odebrać od przewoźnika żetony.

Jak on mógł się nie domyślić od razu, żeby to zrobić?! Z poirytowania Sajgon prawie zaczął wyc. No trudno, on tak czy inaczej zrekompensuje swoje straty!

- Jedna chwila, moi drodzy. - Staną na drodze Gilzy i Nigeryjczyka. - Zapłaciłem za was przejazd. I chcę dostać swoje. Tak więc, dziewczyno, wisicie mi dwadzieścia pięć żetonów. Tyle wystarczy.

Gilza, która idąc rozczesywała mokre włosy, pokazała Sajgonowi uniesiony środkowy palec:

- Obejdiesz się. Wyciągnęłam twój piękny tyłek z więzienia, a w zamian obiecałeś doprowadzić mnie na Beiriestijską. No to doprowadzaj. A jak - mnie mało rzeczy rusza. Choćbyś cały tunel kupił.

- Lektor?...

- Bez problemu, szefie - szeroko uśmiechnął się Nigeryjczyk. - Będę zobowiązany.

Sajgon popatrzył na jego opaskę biodrową i ciężko westchnął.

Rozdział 6

Comandante

Bieriestiejewska przywitała wędrowców pstrokatymi ubraniami i krzykami handlarzy, łapiących za ręce i na wszelkie sposoby namawiających do kupienia ich towaru.

A towarów - najróżniejszych! - było całe mnóstwo. Czy warto się narażać, ryzykować życiem i prawie nakarmić sobą paciuków i wodnych mutantów, żeby zobaczyć całe te wspaniałości?

Tak, warto! Sajgon był tego pewien na sto procent.

Tych stacji, które odwiedził wcześniej, nie można w żaden sposób porównywać do Bieriestiejskiej. Bywał już tutaj, ale od tamtej pory minęło czy to dziewiętnaście, czy to osiemnaście lat - wieczność dla mieszkańców podziemia. Ciekawe, komu do głowy przyszła taka myśl - całą stację zmienić w targowisko otwarte dla ludzi przez całą dobę? Tutaj nie ma nocy, tutaj jest zawsze jasno. A dla tych, którzy przywykli do spania po ciemku, mają czarne opaski na oczy. Załóż - i już masz noc.

A ludzie? Ludzie tutaj po prostu błyszczeli życzliwością. Spieszyli się z przeprosinami, bez końca uśmiechali się, kłaniali...

Na stację ciągle przybywały karawany. Zwiesiwszy nogi z peronu i popijając świeżą wodę artezyjską - zimną, aż zęby boją, Sajgon przyglądał się handlarzom, którzy ledwie-ledwie wyszli z tunelu. Ich oblicza zmieniały się z każdym krokiem: pewność zabicia wszystkich i wszystkiego w mroku zniknęła, złość tonęła w głębi jasnych widoków, zmarszczki na czołach prostowały się. Tym ludziom, obładowani ogromnymi torbami, nawet wzrost rósł.

A czego to nie było w torbach!

Parę kroków od Sajgona handlarz mający około czterdzieści lat, ściągnąwszy z twarzy maskę przeciwgazową, zaczął organizować witrynę na składanym stoliku. Pierwszy na brezent wylądował młynek do mięsa. Dalej - metalowa zabawka; farba nieco się złuszczyła, dzcip "Hummer", otwierane drzwi. Andriuszka marzył o takim, Sajgon sięgnął po żetony, ale w ostatniej chwili zastanowił się. Nieść dodatkowy ładunek na plecach... W tym czasie na stoliku znalazły się widelce, odświeżacz powietrza w sprayu, śruby w oleju, a nawet wkrętarka z wymienianymi akumulatorami.

Na Bieriestiejkiej można kupić wszystko, co się zapragnie. A jeśli potrzebnego towaru nie ma - zamówić u karawaniarzy lub szabrowników. Sajgon przyuważał kilka osób w kombinezonie ochronnym i skórzanych kurtkach, jakby bezcelowo spacerujących po peronie, ale w rzeczywistości demonstrujących swój wygląd zewnętrzny. Mówią: patrzcie, krety, jacy jesteśmy silni i odważni, możemy przynieść z góry wszystko, czego wam potrzeba. Wszystko, za co możecie zapłacić.

- Ile za maskę przeciwgazową? - usłyszał Sajgon obok siebie.

- Czterdzieści.

- Czterdzieści?!

- Czyżbym mówił za cicho?

- Za czterdzieści to ja bym rodzoną matkę sprzedał!

- Chcieć, to jeszcze nie sprzedać. Kto tutaj potrzebuje staruszki?

Zawrzała walka. Ale obyło się bez użycia noży, dzięki milicji Bieriestiejkiej, która podobne nieporozumienia dusi w zarodku. I skąd się w ogóle pojawił ten rumiany młodzieniec w dresie? Machnął gumową pałką i spór natychmiast się skończył.

- Grzywna! - oznajmił wesoło milicjant handlarzowi.

Przyjąwszy żetony od zasmuconego kupca, milicjant złapał pod łokieć kupującego:

- A pan dokąd? Pan też. Za zakłócanie porządku publicznego.

Niewysoki mężczyzna z manierami mieszkańca Akademgorodka oznajmił, że nie będzie płacić i wtedy zwałił się na kolana, dostawszy pałką przez łeb. Młodzieniec w dresie podniósł niskiego człowieka i pociągnął, znikając w tłumie. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Sajgon zastanawiał się, czy miało to miejsce naprawdę.

Handlarz maskami, łysy i brodaty, mrugnął do niego:

- Skąpy dwa razy płaci. Albo umiera.

Prezentowana życzliwość gości i mieszkańców Bieriestiejkiej opierała się na sile, nietolerującej nawet cienia buntu. Sajgonowi coraz mniej i mniej podobała się ta stacja. Na Swiatoszynie rzeczy toczą się uczciwiej, czy coś.

- A co tam w ogóle jest? - Sajgon kiwnął głową w stronę tłumy na środku peronu.

- Kaźń. Dwóch na stosie spalono, jednego za narkotyki. - Handlarz zademonstrował prościutką

maskę, w której Sajogn nie ryzykowałby oddychaniem niczym, oprócz czystego powietrza. - Nie chciałby pan kupić?

- Czterdzieści?

Łysy uśmiechnął się:

- Panu oddam za dwadzieścia pięć!

Sajgon grzecznie odmówił.

Towary, handel, towary... Można tu kupić warzywa z rolniczej stacji Politechnika - jeśli znasz język ukraiński. Nacjonaliści-Kozacy są bardzo wrażliwi na tym punkcie, inaczej nie sprzedadzą zieleniny obcokrajowcom. Dziewczęcą albo męską miłość jest znacznie łatwiej kupić. Przy transakcji najważniejsze jest nie bać się chorób wenerycznych... Zegarki na rękę, fosforyzujące tak, że lepiej ich nie nosić. Worki z ziemią - też mocno radioaktywnej. Podrapane książki i lśniące pisma, na kolorowe zdjęcia, w które nie da się wpatrywać bez łez: palmy, plaże, fale piękności w bikini, na twarzach uśmiechy szczęścia... Wszystko można kupić i sprzedać. Za wyjątkiem broni i narkotyków. Te towary są tu zakazane. Za nabój albo kapelusz muchomora groziły tortury - poćwiartują.

Już torturowali. Tłum na środku perony zaczął się rozstępować.

Obok Sajgona opadł Lektor i głodnym wzrokiem wodził za Tadżykiem w tiubietejce, który zachwalał swoje szaszłyki ze szczurzyni.

- No co?! - Sajgon pierwszy nie wytrzymał.

Lektor wymownie spojrział na oddalającego się Tadżyka.

- No co?!

Żadnej odpowiedzi.

- Ej, kochanieńki! Tak, ty! - Sajgon zawołał mężczyznę w tiubietejce i kupił u niego zwęglone mięso na metalowym rożnie. - Stój! To nie wszystko! - Złapawszy wzrok handlarza masek przeciwgazowych ("Skąpy dwa razy płaci. Albo umiera"), Sajgon poprosił o jeszcze jedną porcję.

Lektor jadał niespiesznie, dokładnie, jakby nie był głodny. Głupi przykład jest zaraźliwy - Sajgon sięgnął do plecaka z domowymi zapasami, ale pojął, że kęs nie przejdzie mu przez gardło, dopóki nie wysłucha Nigeryjczyka.

- Widziałem Gilzę. Szuka tu pracy. - Lektor zewnętrzną stroną dłoni wytarł tłuste wargi.

- Do diabła z nią, z Gilzą!!! - wybuchnął Sajgon.

- Jak uważasz, szefie.

Na Bieiriestiejskiej drogi Amazonki oraz Sajgona i Lektora rozchodzą się. Dziewczyna postanowiła spróbować szczęścia na tętniącej życiem stacji. "Znajdę pracę" - powiedziała, całując Nigeryjczyka w policzek. - "Albo wyjdę za mąż" - wymownie spojrziała na Sajgona, jakby liczyła, że jej odpowie. "Powodzenia" - burknął Sajgon i odwrócił się. To dziwne, ale Sajgonowi było smutno z powodu odejścia dziewczyny: wyciągnęła go z mroku na Niwkach, a potem bosakiem przebiła odmieńcowatego. I w ogóle jakoś tak zaczął do niej przyzwyczajając się, czy coś...

- Po co cię posyłałem?! - syknął Sajgon.

- Znaleźć wielkiego białego człowieka, któremu zabrałem harmonijkę.

- Któremu ukradłeś...

- Ciszej, szefie. - Lektor rozejrział się przestraszony. - Złodziei też tu torturują.

- Ja sam cię poćwiartuję, jeśli mi teraz nie powiesz, czy udało ci się znaleźć...

- ...wielkiego białego człowieka - podłapał Lektor. - Tak, szefie.

Serce Sajgona prawie wyrwało się z piersi - tak mocno biło. Po potylicy jak zwykle musnął wiaterek.

Czyli Sajgon jest na właściwej drodze.

Na czarne z natury ramię bezceremonialnie usiadła papużka falista i dziabnęła Nigeryjczyka w ucho. "Należy ci się" - pomyślał Sajgon.

Dłoń Lektora złapała maleńkie żółto-zielone ciało. Na twarzy kanibala pojawił się drapieżny wyraz.

Teraz przyszła kolej Sajgona na banie się. Nie przywiódł Pan Tuneli, ktoś zobaczył. Na wszelki wypadek odsunął się od Lektora. Jakby co, nawet się nie znają.

- Papugi na Bieriestiejskiej są czymś w rodzaju świętych zwierząt - przypomniał kanibalowi.

- W rodzaju świętych ptaków. - Lektor jakby mocniej ścisnął palce.

Sajgon przygryzł wargi.

- No, no. To... Stary, nie wolno krzywdzić papug. Tutaj za takie coś...

- ...ćwiartują - uśmiechnął się Nigeryjczyk. - Jestem w temacie, szefie.
- Pokazał pustą dłoń. Gdzie zniknął ptak, Sajgon nie zauważył.
- Kuglarstwo i żadnego oszustwa?
- Dokładnie, szefie.

Na Bieriestiejskiej latały tysiące wolnych papug. Do metra trafiały równie często, co króliki, chomiki i koty - razem z dziećmi, niechęcącymi rozstawać się z domowymi pupilami. Z całej podziemnej fauny papugi okazały się być największymi szczęściarzami. W historycznej ojczyźnie, w Australii, uważano je za szkodniki, zagrożenie dla zbiorów. A na Bieriestiejskiej każda papuga jest talizmanem przynoszącym szczęście.

Według legendy wszystko zaczęło się od tego, że na stację przybył samotny handlarz, który, oprócz zwyczajnego towaru, miał klatkę z ptakami - papugami. Małeńka córeczka naczelnika stacji, zobaczywszy ptaszki, poprosiła ojca o kupienie ich. Handlarz oddał klatkę za darmo, ale z jednym warunkiem - od czasu do czasu będzie odwiedzał papugi. Wkrótce znowu odwiedził Bieriestiejską, ale już nie sam, a w towarzystwie kolegów-przedsiębiorców. Na stacji przyjęli ich jak swoich. Od tamtej pory na Bieriestiejskiej karawany handlowe stały się częstymi gośćmi - a życie na stacji rozkwitło. A papugi, rozmnożywszy się, siadały na głowach, paskudziły i bez końca śpiewały. Ale nikt nie śmiał ich obrazić. W końcu Pan Tuneli darował stacji pierwszeństwo w handlu - w podziękowaniu za schronienie ofiarowane tym ptakom...

- Kiedy Lektor rozprawiał się z drugim szaszłykiem, Sajgon podniósł się:
- Idziemy. Chcę zobaczyć wielkiego białego człowieka.

Z początku wszyscy szukali swoich krewnych. Wydawało się, że jest najważniejsze - znaleźć ukochaną teściową w tłumie ocalałych. Dlatego notatki chodziły od stacji do stacji. W doręczaniu wykazali się ruchliwi, młodzi ludzie - byli to pierwsi karawaniarze kijowskiego metra. A jeszcze na każdej stacji była ściana, na której wieszano ogłoszenia, mówiące, że szuka się babci, dziewczyny, ojca... Ściana płaczu, tak nazywała się na Swiatoszynie. Sajgon często osądzał niechlujne bazgroły na kartkach, wyszukując cennego listu od ojca. Jeśli stary Kim przeżył, to na pewno szuka synka Sieriożkę!...

A potem jakby ucięto. Ludzie godzili się z utratą. Trzeba żyć dalej. Dlatego odrzucili swoich najbliższych, próbując wbić się klinem w bok. Ale co to za życie?...

Życie!

Sajgon dobrze to zna. Nie da się narzekać na krzywy los. Ci, którzy zostali na powierzchni, już go nie mają. Za to jest podejrzenie, że kijowskie metro nie jest jedynym miejscem na Ziemi, w którym ludzie przetrwali apokalipsę. Były przecież jeszcze miasta z rozwiniętymi podziemiami: Tokio, Moskwa, Londyn, a nawet taki Charków!...

- Drań!!! Kanalia!!! - krzyczano przy pasiastym namiocie widocznym z daleka.

Sajgon rozpoznał głos. Zdjąwszy plecak i przycisnąwszy go obiema rękami do piersi, ruszył przez tłum w ślad za Lektorem. Tak, złodziei torturują tu, ale z jakiegoś powodu nie zrobiło się ich mniej. Z całego metra - nie wspominając o Dworcowej - złażą się na Bieriestiejską, gdzie jest wstęp wolny dla wszystkich.

- To krzyczy Gilza! - obrócił się do Sajgona Nigeryjczyk i spojrzał z ukosa na facetów w dresach - ci także przebijali się do pasiastego namiotu.

Zrozumieli się bez słów.

- Odciągnij milicjantów! - rozkazał Sajgon i silniej rozepchał się łokciami.

Zdążył na czas. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby zrozumieć, w czym rzecz. Dziewczyna szukała pracy. Raczej nie marzyła o błyskawicznej karierze sprzątaczkii, awansowanej do mycia podłóg w najbrudniejszym kącie stacji. Chciała wszystkiego od razu i żeby nie musiała palcem kiwnąć. Na nieszczęście, za piękne oczy i rude warkoczki niezbyt spieszyli się płacić - dopóki Gilza nie znalazła się przy wspomnianym namiocie. Tutaj jej wygląd zewnętrzny ocenili z godnością...

I tu zaczęły się problemy. Dziewczyna jest przecież ze stacji, gdzie wygrał feminizm. Wmówili jej tam, że jest szczytem ewolucji, a mężczyźni są tylko dodatkiem, niezbędnym do reprodukcji, do niczego więcej. A karawaniarze, którzy zatrzymywali się na Bieriestiejskiej, w całej swej okazałości byli mężczyznami. A mężczyźni ciągnie do kobiet... Pracę Barbie zaproponowali odpowiednią.

Sajgon wdarł się w krąg przy namiocie. Gapie byli rozbawieni, patrząc na rudą dziewczynę. Ta karciała rosnącego faceta, całego pokrytego tatuażami. Sprzedają miłości na Bieriestiejskiej zajmowali się nie chrześcijanie z Żytomierskiej, a bandyci z Dworcowej. A oni mieli swoją tradycję prowadzenia biznesu. Charakterystyczną.

- Gilza! - Sajgon dotknął łokcia dziewczyny.

Zaraz, nie patrząc, wymierzyła mu policzek. A trzeba przyznać, że Amazonka rękę miała ciężką - Sajgon ledwo ustał, oczy mu zaszczyły mgłą.

- Musimy uciekać! Milicja! - Dopiero po tych słowach uraczyła go swoją uwagą.

W tym momencie około dziesięć metrów od namiotu rozgrywał się drugi akt dramatu. W roli głównej - Nigeryjczyk Lektor, mistrz słowa i czynu.

Lektor rzucił się na nogi szefa milicji - najgrubszego, jak później wyjaśnił. Złapawszy kolana grubasa, Nigeryjczyk zawodził żałośnie, błagając o udzielenie mu azylu politycznego na stacji Bieriestiejskiej, perle kijowskiego metra. Ot takiego okazywania czułości grubas zmieszał się: trzy sekundy dochodzi do tego, co by to znaczyło i jak ma się zachowywać. Właśnie wtedy Sajgon dostał policzek i przekonał Gilzę do wybaczenia alfonsowi wszystkich jego grzechów. W rezultacie Lektor dostał pałką po głowie, sprawił wrażenie, że stracił przytomność, ale grubasa nie wypuścił. Goście w dresach musieli się nieźle natrudzić, żeby rozdzielić Nigeryjczykowi palce. To dziwne, że niczego mu nie złamali.

- Wybaczam ci! - Gilza mrugnęła do alfonsa.

A w odpowiedzi - wygięte w szeroki uśmiech usta, otoczone przez węże. Przy czym wytatuowane gady jak jeden mąż rozwarły paszcze. Wyglądało to bardzo obraźliwie. But Gilzy wbił się w krocze złodzieja. Jęknąwszy, byk padł na peron.

Sajgon odruchowo zakrył plecakiem swoje męskie przyrodzenie.

- Nie bój się - oznajmiła dziewczyna, - ciebie nie skrzywdzę. Możesz się przydać.

- Za mną - zakomenderował Sajgon i wmieszał się w tłum.

Po chwili dziewczyna pojawiła się obok. W jej oczach dało się wyczytać strach. Ostygła już i pojęła w co wdepnęła. Na Bieriestiejską łatwo się dostać, ale zakłócające porządku publicznego nie są tu mile widziani i kara wymierzana za występki jest jedna. Mówią, że taką sztywną politykę wprowadziła ta sama córka dowódcy stacji, która wypuściła papuzki na wolność. Dziewczynę, która władzę odziedziczyła, zmęczył spis licznych kar, który przyniesiono jej do podpisania. Ziewnąwszy, postanowiła nie zajmować się więcej takimi głupotami. "Co jest tam pierwsze? Ćwiartowanie? Niech będzie we wszystkich punktach. A ja jestem zajęta, muszę nakarmić lalkę Daszę".

Przebijając się przez tę ludzką dżunglę, Sajgon kupił Amazonce dosyć gustowną chustę, jakby uszyta z nici pajaków-mutantów. Co to za pajaki? Sajgon o niczym podobnym nie słyszał. Zresztą, to nie miało w ogóle żadnego znaczenia.

- Schowaj się. Twoją rudą czuprynę widać z daleka.

Gilza posłuchała, dając towarzyszowi miążdzące spojrzenie.

I tak, pomimo wszelakich sztuczek, nie udało im się uciec milicji. Faceci w dresach wręcz wyniuchali poszukiwanych. Wskoczyli z tłumy niewiele metrów od uciekinierów. Sajgon zdążył popchnąć dziewczynę w dół i usiadł obok.

- A ty co?! - krzyknęła, plasnąwszy na tyłek.

- Nic. - Sajgon na czworakach ruszył do najbliższego namiotu, ogromnej konstrukcji, w którym można było stanąć wyprostowanym. Sajgona przywiodło to, że baldachim był odkryty. Sypnąć żetonów gospodarzom - i przesiedzieć, aż milicja przejdzie obok. A dalej... A dalej się zobaczy.

- Wchodź! - Skierował dziewczynę do namiotu, zatrzymując się na sekundę, żeby zauważyć: tyłek ma niczego sobie.

Na wejściu Sajgon obejrzał się.

I natrafił na wzrok grubasa.

Tego samego, którego Lektor ciągnął za kolana.¹³

Sajgon wpełzł do namiotu i, wyciągnąwszy nóż, skoczył. Niech tylko młodzieńcy w dresach wejda, już jednemu z drugim potłucze śledziona. Czy tam była, czy nie była!

- Wiedziałem, szefie, że znajdziesz drogę - usłyszał głos Lektora i obejrzał się. Oprócz Nigeryjczyka, Amazonki i jego samego, w namiocie siedziały cztery osoby.

- Schowaj nóż, szefie. Nie trzeba.

Coś takiego było w głosie Lektora, przez co Sajgon, choć niechętnie, zgodził się. Nie godzi się chodzić w gości z bronią w rękę. Mogą niewłaściwie zinterpretować.

Otworzył się baldachim, do środka wdarło się pięciu milicjantów z grubasem na czele. I nadal w namiocie nie było ciasno.

- I tak wiedziałem - wyszeptał grubas, patrząc na Lektora.

Nigeryjczyk wzruszył ramionami: mów, wasza przenikliwość, główny obywatelu, godny wszelakich pochwał. I w ogóle, całe nasze życie jest grą, a my wszyscy jesteśmy aktorami. Więc nie ma co narzekać, główny obywatelu.

- Witaj, Borys. - Od czwórki gospodarzy namiotu oddzielił się wysoki, szczupły mężczyzna z lekko skośnymi oczami i zadbaną siwizną. - Miło cię widzieć, wchodź, siadaj i czuj się jak u siebie w domu. Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

Grubas - do niego właśnie zwracał się wysoki - pozostał na miejscu:

- Dziękuję za propozycję, comandante Fidel. Łatwo być w cudzym namiocie, prawda? Nadal nie zapomniałeś, draniu, że to wszystko jest własnością stacji Bieriestiejskiej?

Nozdrza grubasa drżały z podniecenia. Jego podwładni zachowywali grobową ciszę, z zaciekawieniem, niczym żuki, którym za chwilę wyrwie się nóżki, obserwowali Sajgona i Gilzę. Sajgon poczuł się nieswojo od tych spojrzeń.

Fidel milczał, skrzyżowawszy ręce na piersi. Na ustach błędził uśmiech pewnego siebie człowieka, którego od ważnej roboty odciągnął dzieciak z sąsiedztwa: i posłać dalej nie ma gdzie, i z nocnikiem nie chce się bawić.

- Ta dwójka... - Borys zakrztusił się, kiedy Lektor, kaszlnąwszy, zwrócił na siebie ich uwagę. - Ta trójka. Zakłócili porządek publiczny. Zgodnie z prawem stacji Bieriestiejska...

- Borys, mój drogi, nie ma co się bardziej napinać. - Wysoki, którego grubas nazwał comandante Fidel, wyprostował kołnierz swojej kraciastej koszuli. - To moi ludzie, Borys. Sądzę, iż rozmowa jest zakończona?

Szef milicji głośno zgrzytnął zębami. Twarz mu poczerwieniała.

- W twoim wieku źle jest się tak zachowywać, Borys. Kim byłeś na górze?

- Służyłem w drogówce... - Wydawało się, że grubas za chwilę dostanie wylewu.

- Widać - wtrącił się do rozmowy Sajgon, - że w drogówce.

I wtedy grubas wybuchnął. Rzucił gromami i błyskawicami, przysięgał, że podda torturom całą obecną tu trójkę, a czterech murzynów rzuci na pożarcie szczurom, a potem szczury sprzeda na szaszłyki. Wyrażał się tak zawile, że Sajgon nawet zaczął słuchać, starając się zapamiętać najcelniejsze obelgi. Swiatoszyńczyka wypełnił prawdziwy szacunek dla Borysa. Niewątpliwie milicjanci z Bieriestiejskiej są najlepiej klnącymi ludźmi w kijowskim metrze.

- Borys, czyżbyś zapomniał, co powiedziała królowa? - zapytał spokojnie Fidel, kiedy grubas w końcu uspokoił się.

- Cesarzowa, comandante. - Grubas wytarł dłonią pot z czoła. - Nazwanie jej inaczej jest wielką obrazą.

- Proszę cesarzową o ulaskawienie mnie. Przez ostatni rok zdążyła pobyć hrabiną Bieriestiejską, księżną i królową. Ostatni jej tytuł jakoś wyleciał mi z pamięci, co, oczywiście, w żadnym stopniu nie umniejsza mojej winy. Żądam audiencji, żeby osobiście przeprosić cesarzową!

Grubas szybko dyszał:

- To nie jest konieczne, comandante.

- Ale przecież ktoś powinien przeproszać, prawda? - słodko uśmiechnął się Fidel.

Grubas zadrżał.

- Ja... ja... przepraszam za... za...

- Za co, Borys? - dalej uśmiechał się Fidel.

Splunąwszy na podłogę, grubas wyszedł z namiotu. Za nim zaraz ruszyli jego podwładni.

Sajgon aż cmoknął - takie wrażenie wywarła sytuacja. Po prostu nie miał słów, żeby wyrazić podziw. Z takim stylem odesłać szefa lokalnej ochrony!

- Dziękuję! - Podał dłoń Fidelowi.

Tylko że nie dostał ręki do potrząśnięcia.

Sajgona złapano z tyłu, zwalono z nóg i rzucono na kolana. W czoło skierowano lufę wielkiego, czarnego pistoletu.

Rozdział 7

Ratownicy

- Spójrz mi w oczy! - Fidel stał nad Sajgonem.

To właśnie on przystawił pistolet do czoła farmera i gotów był bez wahania nacisnąć na spust. A sądząc po tym, jak swobodnie czuł się Fidel na stacji, zabójstwo mogło mu ująć na sucho.

Sajgon zerknął na Lektora. Ten ledwie zauważalnie wzruszył ramionami - mów, jak się sprawy mają, nic więcej.

- Patrz mi w oczy!!!

Ale zanim wykonał rozkaz, Sajgon spojrział na Gilzę. Ta stała się bielsza niż blada. Nie odrywała wzroku od Fidela. Jakby zobaczyła ducha, pomyślał Sajgon. Z motorem, w miarę pulchne i w kwiecie wieku.

- Szeffie, to jest właśnie ten wielki biały człowiek.

Słowa Nigeryjczyka oblały wrzątkiem serce Sajgona.

Wykonał rozkaz Fidela. Liczne małe zmarszczki okrężyły błękitne oczy comandante. Nad prawą brwią ciemniało maleńkie znamię, a policzek przecinała zauważalna blizna. Dołek na brodzie. Sajgon ma taki sam. Broda rosła nierównomiernie, azjatycko. U Sajgona też...

- Ja... - zaczął Sajgon i zaraz łzy wyleciały z niego niczym afrykański Wodospad Wiktorii.

Ryczał jak małe dziecko i nie mógł się powstrzymać. Martwił się niesamowicie, ale dał radę powiedzieć:

- Jestem twoim synem. Nazywam się Siergiej Kim. Jestem twoim synem! Moja matka...

Mówił i mówił. Opowiadał wysokiemu mężczyźnie o tym, jak żył przez te wszystkie lata, jak organizował sobie pracę, zenił się ze Swietką i urodził im się syn Andriuszka, a potem mu, Sajgonowi, każdej nocy zaczął się śnić ojciec... On, prosty hodowca zwierząt ze Swiatoszyna, marzył odnaleźć swojego ojca. Marzył!...

- I znalazłem cię, tato! Znalazłem cię!

Dopóki Sajgon mówił, lufa pistoletu dotykała jego czoła. Kiedy tylko zamilkł, Fidel zabrał broń.

- Wypuście go.

Sajgon podniósł się z kolan. Wsunął ręce do kieszeni. I widział, jak naprężyła się kompania Fidela, palce wylądowały na spustach.

Sajgon powoli podał Fidelowi harmonijkę ustną:

- To twoje, tato. Bob Dylan, pamiętasz? Grałeś blues, a ja tańczyłem, pamiętasz?

Skurcz zniekształcił twarz Fidela.

- Chodź do mnie, synu. - Rozłożył ręce.

Uśmiechając się i wycierając łzy, Sajgon ruszył w stronę ojca i...

...otrzymawszy cios w podbródek, padł na podłogę.

- Co to za cyrk, he?! Co to za bzdury plecie ten dureń?! - Fidel zbliżył się do Lektora. - Jaki znowu, kurwa, syn?! On co, ćpun?!

- Nie wiem. Prosił, żeby zaprowadzić go do wielkiego białego człowieka, któremu zabrałem...

- Wiem, czarnuchu, co mi zabrałeś. To bardzo drogi przedmiot. I teraz jesteś mi dłużny.

Lektor powoli kiwnął głową, zgadzając się z Fidelem. A co mu pozostało zrobić, skoro w dyskusji przeciw jego łańcuchowi jako argument od razu mieli cztery gnaty?

Sajgon spróbował wstać, ale pociemniało mu w oczach, zakręciło się w głowie. "Byłby mózg, byłby wstrząs mózgu" - przypomniał sobie stary dowcip.

- No dajesz, Fidel. Sprawdziłem już, co to za świr - twój bękart. - Mówił mężczyzna w jednym wieku z comandante: dobrze po pięćdziesiątce. Ubrany był w szeroką, pasiastą kurtkę z frędzlami na rękawach. Spodnie z kamuflażem całe pokryte agrafkami i odznakami. Ale najważniejsza jest jego fryzura: dziesiątki zaplecionych dredów robiły z niego rastamana ze stażem, zaprawionego w paleniu trawki.

- Przerażasz mnie, Che - w tonie rastamana odpowiedział Fidel i odwrócił się do ciała rozpostartego na podłodze. - Ej, wstawaj już, starczy tego leżenia. Jeśli nie zrozumiałeś, to podpowiem: żartowałem. Nie wiem, kim ty jesteś. W ogóle nie jesteś moim synem. Żarcik wyszedł.

Sajgon wsparł się na łokciach:

- Jak masz na imię?

- Słyszałeś już - Fidel.

- To nie imię, to psie przezwisko! Jak masz na imię?!

Kompania Fidela nerwowa zaszemrała, ktoś zasugerował nakarmić bękartą jego własnym językiem. Fidel uniósł rękę, wszyscy zaraz umilkli.

- Nie rozumiałeś, młody. Mam na imię Fidel. Wszystko pozostało w przeszłości, w starym świecie. A stary świat ze wszystkimi jego drapaczami chmur, kredytami, służbą wojskową i skorumpowanymi urzędnikami umarł. Przeżyliśmy dziurę ozonową i amazońskie lasy, baliśmy się o wieloryby i pandy? Wszystko! Można się nie martwić. Czy to nie cudowne, młody? Stary, śmierdzący świat umarł!.. Już od dawna ludzie nazywają mnie Fidel. A czy ty chcesz mnie tak nazywać?

Sajgon skinął.

- No i świetni. Czuję, że się dogadamy. - Wsadził pistolet do kabury i tknął palcem w pierś rastamana: - Che, będziesz musiał przeprosić młodego. Nazwałeś go...

- Świrem - skinął rastaman. - Cofam te słowa.

- Młody Sajgon źle się czuje. Zrób dla niego lekarstwo.

Podczas, gdy rastaman czarował nad palnikiem spirytusowym i kubkiem, do którego wsypał drobno posiekaną trawę, przypominającą listki herbaty, Sajgon zbierał myśli. Kiepsko mu to wyszło. Jak to tak, co? Tyle przeszedł i przeżył, żeby spotkać ojca, a okazało się, że właścicielem ustnej harmonijki jest nieznajomy człowiek? To niesprawiedliwe! Tak nie może być! Tyle zbiegów okoliczności - litera "A" na boku, podpis Boba Dylana...

Sajgon był gotów rozplakać się znowu, ale już nie ze szczęścia, a z rozpaczy. Nie przystawało dorosłemu mężczyźnie jęczeć, ale rozczarowanie było już zbyt duże. Jakby złamano mu kręgosłup - nie miał sił ruszyć dalej, nie chciało się wstać... I oddychał na siłę. Wszystko, czym żył przez ostatnie lata, w jednej chwili obróciło się w radioaktywny pył.

"Kłamiesz, Sajgon, nie wszystko!" - nakrzyczał na siebie w myślach.

Swietka. Wdzięczne ruchy, cienka talia, jęk rozkoszy...

Andriuszka. Nadzieja. Duma. Chytre spojrzenie.

Twoja praca, ferma, zwierzęta, które się łaszą, kiedy sypniesz pokrojoną marchewką.

I nawet rodzinna stacja Swiatoszyn, z Kaszką, Boltem i Mitką Kompasem.

Jaki popiół?! O czym ty mówisz, Sierioża?

I nawet harmonijka na pewno jest instrumentem ojca. Nie zdarzają się takie przypadki, żeby i litera, i podpis, i wszystko. Inna sprawa, skąd wzięła się u Fidela. Być może ukradł ją tak samo, jak zrobił to Lektor? Wtedy, Sieriożenka, wszystko dopiero się zaczyna i trzeba wyjaśnić u comandante, gdzie i w jakich okolicznościach pozyskał rzadki instrument muzyczny...

Che podał Sajgonowi biały, emaliowany kubek z przypalonymi bokami. Sajgon wziął go i, oparwszy się, zaraz odłożył go na podłogę. Dobrze chociaż, że nie przewrócił na siebie. Zastanawiające, jak Che był w stanie utrzymać go w rękach.

- Co, ciężki? - zachichotał rastaman. - Pij. To lekarstwo. W mig postawi cię na nogi.

Trunek miał nieprzyjemny zapach, ale na smak Sajgon nie mógł narzekać. Po dwóch łykach głowa przestała boleć, po trzech poczuł, że jest absolutnie zdrowy, jakby w ogóle go nie dusili, nie bili po żebrach i nie dźgali go bosakiem i pistoletem. Lekkość. Energia. Siłą. I nawet rozczarowanie gdzieś się rozpląnęło, ustępując miejsca cudownemu nastrojowi.

- E, nie. Wystarczy. Z lekarstwem nie ma żartów. - Che zabrał Sajgonowi kubek.

Sajgon wpięty złościł się na rastamana, a potem zdał sobie sprawę, że to lekarstwo na pewno jest jakimś narkotykiem i lepiej go nie nadużywać. A potem dwa palce do gardła... Ale to już za dużo, dobrze.

- Zbieram oddział do odpowiedzialnej misji - ogłosił comandante.

I choć Fidel nie żartował, Sajgon rozpląnął się w uśmiechu:

- Przejście na stację Dniepr to nie odpowiedzialna misja, a samobójstwo. Stacja jest na powierzchni. Są tam promieniowanie i mutanty. Lybid. Tam mieszka lybid! - Zrobił straszną minę i roześmiał się.

Fidel spojrzał na Che z dezaprobatą. Ten w milczeniu wzruszył ramionami i odwrócił się.

- Wszystko wiemy, chłopie. Ale tak naprawdę...

- Wszyscy umrzecie! - ogłosił z radością Sajgon.

- Ciszej. - Fidel wymownie spojrzął na baldachim namiotu. - Nie musimy dawać powodów naszemu przyjacielowi Borysowi. On śpi i widzi, jak pozbyć się ze stacji mnie i mojej słynnej kompanii. Oby tylko ochrona hrabiny... królowej... nie, już cesarzowej Bieriestiejskiej nie pozwoliła pokazać się Borysowi w pełnej krasie. - Fidel mrugnął do Sajgona: - Zapamiętaj, młody: z kobietami trzeba się przyjaźnić. I to tak często, jak to możliwe! A teraz chciałbym przedstawić ci swoich towarzyszy. Che już poznałeś. Jest naszym specem od medycyny niekonwencjonalnej i w ogóle specem od wszystkiego, Jah mu pomaga.

Che dostojnie skinął głową, powiedzmy, że się zgadza, tak właśnie jest.

Pod jego pomarańczowo-zielonym płaszczem można było ukryć wszystko, co się zapragnie - kilka kilogramów konopi, Automat Kałasznikowa i przenośny kociołek. Sajgon przypomniał sobie o hidżabach Amazonek z Niwek.

- A to nasz ekspert wojskowy - kontynuował Fidel. - Nazywa się Bajda. Gołymi rękami potrafi rozszarpać przeciwnika. I to nie jest żart. Zdarzały się incydenty.

- Dobroho dnia. Jak sia majete?¹⁴ - Bajda był Kozakiem. Tylko zamiast tradycyjnych na Politechnice szarawarów nosił spodnie z kamuflażem z licznymi kieszeniami. Z ogolonej głowy zwisał oseledec, długością rywalizujący z wąsami.

- Diakuju, use harazd!¹⁵ - odparł Sajgon, czym wzbudził aprobatę Kozaka.

- No, widzę, że z Bajdą się dogadasz. - Comandante z uznaniem poklepał Sajgona po ramieniu. - A to Myszka. Myszka jest niezwykłą osobą. Powiedziałbym - nadosobą. Jest szabrownikiem. Nie boi się promieniowania, z mutantami jest na ty. A na górze, jak wiesz, są mutanty znacznie gorsze od tych pod ziemią.

Myszka miał nieustępliwy wzrok i rzadkie włosy zaczesane do tyłu. Szorty do kolan i kufajka na gołym ciele. Porwane trampki. Przy pasie w kaburach dwa rewolwery. Kowboj. Tylko kapelusza brakuje.

Zaledwie Sajgon pomyślał o tym, jak Myszka skądś zza pleców czarny kapelusz z szerokim rondlem i założył go na głowę.

- Przypominam Clintę Eastwooda?

Sajgon nie zrozumiał, co szabrownik ma na myśli, ale na wszelki wypadek przytaknął: jeszcze jak przypominasz.

W ogóle to nie obchodziła go ta cała barwna kompania. Od razu widać: bandyci jakich wielu. Zapewne nie nudzili się w pierwszych dniach po wojnie. Wszystkich ich łączyło jedno - wiek. Wszyscy oni urodzili się przed wojną i przeżyli na powierzchni znaczną część swojego życia.

Szabrownik, Kozak, rastaman... No i co? Niech sobie idą, gdzie chcą, choćby i na Dniepr, choćby i do piekła. Sajgona interesował tylko los ojca. Dlatego pokonał pełną niebezpieczeństw drogę.

- Skąd masz harmonijkę? - zapytał comandante.

- O tej mówisz? - Fidel położył harmonijkę na dłoni i mrugnął do Sajgona: - Tajemnica!

Sajgon prawie wybuchł. Wgryzłby się zębami w gardło comandante, gdyby nie trójka jego uzbrojonych towarzyszy.

- Zdaje się, młody, że interesuje cię los tego drobiazgu? Jeśli tak, to jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania.

Sajgon połknął haczyk:

- Tak. Bardzo mnie interesuje, chcę...

- Opowiem, skąd mam tę harmonijkę znanej firmy Hohner, ale pod jednym warunkiem.

Sajgon spojrzął posępnie na Fidela.

- Młody, dołączysz do mojej kompanii.

- Co?!

- Nazywamy się ratownicy. I to, uwierz mi, dobrze brzmi...

Propozycja Fidela brzmiała następująco: wystarczy tylko dostać się na stację Dniepr. Łatwa przechadzka w wyborowym towarzystwie. Żaden problem! Czego Fidel zapomniał na zapomnianej przez Pana Tuneli stacji? Otóż to!

1

3 Ukr. *Dzień dobry. Co u was?* (przyp. aut.)

1 Ukr. *Dziękuję, wszystko dobrze* (przyp. aut.)

4

Według legendy brygada budowniczych metra pracowała pod ziemią, kiedy na górze doszło do atomowego armagedonu. Zdawszy sobie sprawę, co zaszło, ci ludzie ukryli sprzęt i materiały na lepsze czasy.

Lepsze czasy i tak nie nastąpiły. Prędzej nastąpiły gorsze. Tak więc nadszedł czas, by wykorzystać dziedzictwo przeszłości w innym celu. Ale! Dziedzictwo to jest ukryte na stacji Dniepr. Właśnie dlatego do tej pory go nie rozgrabiono i nie zniszczono, i nikt nie napisał na boku "Wasia tu był". Niech żyje promieniowanie, chwała mutantom, szczerze przysłużyli się Fidelowi i jego kompanii.

Po co im ten złom?

Dziwne, że taki inteligentny chłopak, jak Sajgon do tej pory nie domyślił się. Jego czarnoskóry przyjaciel zna już odpowiedź, i dziewczyna... Jak, tak przy okazji, miała na imię? Gilza? Jakie piękne kobiece imię... Nawet Gilza, chociaż dziewczyna, wiedziała już, o co chodzi. Nie myśli? Dobra, prawidłowa odpowiedź brzmi: ratownicy liczą, że naprawdę będą kopać dalej tunele, wzmacniając je tubingami.

Po kiego potrzebne nowe tunele?

Che, przyjacielu, na przyszłość, proszę, uważaj z dawkowaniem... Nowe tunele to nowa przestrzeń życiowa, której teraz jest deficyt na całej linii Swiatoszyńsko-Browarskiej. Jeśli pojawią się nowe tunele, potrzeba walki o terytorium sama zniknie...

- W jakiej wojnie? - Sajgon obliznął nagle oschłe wargi.

- A nie mówiłem? Młody, do wojny przeciw wszystkim szykują się już od dawna dwie stacje - Instytut Politechniczny i Dworcowa. Sam rozumiesz, bandyci Kosmosa i nacjonaści bawiący się w Sicz Zaporoską zmieniają metro w krwawą łaźnię.

- Trzeba im przeszkodzić. Wojna... - Sajgon zbyt dobrze pamiętał chaos pierwszych dni w metrze. - To niedobrze... Nie wolno!

- No, młody! Na pewno! Oczywiście, wojnę trzeba powstrzymać! Albo na początek chociaż odwlec na kilka lat. A tam, widzisz, nawet na powierzchnię się wybierzemy!

Sajgon skinął. W to, że nacjonaści i bandyci zjednoczyli się, uwierzył od razu - chodziły niepokojące plotki... I dlatego optymizm Fidela strasznie irytował. Comandante wręcz emanował pewnością, że jego plan się powiedzie. Ale przecież nadciąga wojna, a jego plan ocalenia metra, delikatnie mówiąc, jest fantastyczny. Kilku ludzi nie zdoła zatrzymać kół zamachowych rozlewu krwi. O rodzinie trzeba pomyśleć, a nie wlec się na stację Dniepr, ryzykując życie. I o tym, jak ochronić swój dobytek w takiej ciężkiej sytuacji. A to pomnożyć...

Nie, prosty farmer ma nie po drodze z Fidalem i jego kompanią. To akurat pewne.

- Nie spiesz się z wyborem. - Comandante poczuł, że Sajgon podjął zupełnie inną decyzję, niż na którą liczył. - Uwielbiasz bluesa, prawda? Mógłbym wiele opowiedzieć ci o człowieku, który grał na tej harmonijce. - Fidel przejechał palcem po wypolerowanym boku instrumentu.

Sajgon zamknął oczy, żeby nie widzieć blasku metalu. W głowie wszystko mu się pomieszało.

Wojna. Nacjonaści i kryminaliści zjednoczyli się, żeby unicestwić niewinnych ludzi!

I ustna harmonijka. Litera "A"...

Wrócić do domu, przytulić żonę, przygotować stację do wojny. Jak przygotować? Kto będzie mierzyć się z armią potworów w ludzkiej skórze?!

Ojciec. Znaleźć ojca. Fidel wie, jak odnaleźć ojca...

I nagle wyraźne stało się najważniejsze. Być może comandante ma rację i jedyną możliwością zapobiegnięcia wojnie jest wykopanie tuneli? I nie jest to takie szalone - próba dotarcia na Dniepr i uruchomienie maszyn budowniczych metra?

Przynajmniej szanse powodzenia tego pomysłu są większe, niż uzbrojenie mieszkańców Swiatoszyń i nauczanie młodzieży strzelania do zaprawionych morderców. Przecież Andriuszka...

Karabin trząsał się w rękach Andrieja. Stał się mężczyzną w wieku ośmiu lat, zabijając tęgiego Kozaka, który włamał się w nocy do chaty Kimów. Andriej wetknął nieproszonemu gościowi ostrze w bok. Przestraszyć się już nie zdążył.

Zmienić magazynek. Nabojów można nie oszczędzać. Najważniejsze jest odparcie ataku. Seria. Jeszcze. Jeszcze. W pobliżu wybuchł granat. Odłamek rozciął policzek. Bzdura, a nie rana. W uszach tylko dzwoni. Za to huk wystrzałów nie było słyhać - szczęście w nieszczęściu!

Wróg idzie z tunelu, z ciemności. Szkarłatne szarawary i skórzane kurtki - to wróg. Niektórzy obcy

mają czaszki ogolone do skóry, inni kępkę włosów. Zwierzęta. Gdyby Kaszka nie zaminował podejścia do stacji, Swiatoszyńscy zginęliby już wczoraj. "Przydał się mój sekrecik" - jak dziecko cieszył się Kaszka, towarzysz ojca. Oto on, Kaszka, leżący twarzą w szkarłatnej kałuży. A gdzie jest ojciec, co? Gdzie jest?! Jeszcze jedna lufa nie zawadziłaby. Wojowników na stacji - raz, dwa i więcej ich nie ma.

Dobrze chociaż, że mama jest obok, za barykadą z łózek. Mama ma SWD. I każdy jej wystrzał oznacza śmierć. Gdyby robiła nacięcia na kolbie, nie byłoby już na niej wolnego miejsca...

Wczoraj Kompas poszedł na negocjacje z przywódcą Sojuszu - zjednoczonego wojska Politechniki i Dworcowej. Rano nie wrócił - na peronie wylądowały dwa plecaki z częściami jego ciała. Mówią, że brakowało jednej ręki, wątroby i serca. Czyżby u Sojuszu było tak kiepsko z jedzeniem?

Zmienić magazynek.

Nie strzelać, pozwolić karabinowi ostygnąć, żeby się nie zaciął, bo będzie można go używać tylko jako pałka. Ojciec zawsze go, Andrieja, uważał za sprytną osobę. Cóż, tak też jest. Dzieci w metrze dorastają bardzo szybko. I dwa razy szybciej dorastają na wojnie.

Jeszcze jeden atak odbili. A dalej?...

Sojusz nie odpuści, a Swiatoszyńscy ani myślą o poddaniu się - w końcu to wojna na unicestwienie. Albo, jak powiedziała mama "Ludobójstwo". A to znaczy, że Andriej będzie walczył do ostatniego naboju, a potem...

Uderzenie w klatkę piersiową.

Upadł.

Musi się podnieść.

Ubranie mokre.

Co to? Krew?...

Wizja była taka realna, że Sajgon złapał się za klatkę piersiową. Trafili go. Kula. Jest ranny, jest...

Nie. Trafili nie jego, a Andriuszkę! I nawet to nie wydarzyło się naprawdę. Ale koszmar na pewno się spełni, jeśli Sajgon nie zastanowi się, jak uratować syna, żonę i stację za jednym razem. Wstrząsnęło nim. Trzeba coś zrobić. Ale co?!

- Mam plan. - Fidel patrzył Sajgonowi prosto w oczy. - A co ty proponujesz?

Nic.

Niczego nie może zaproponować!!!

Ani jednego pomysłu, tylko chęć odnalezienia ojca - bolesne, szalone. Obsesja, tak nazywa się podobny stan. Niech i tak będzie. Gotów jest pójść na wszystko, żeby wyjaśnić los harmonij ki. Szkoda, że jedynym punktem zaczepienia jest comandante Fidel. Trzeba go wielbić, uwodzić i karmić, żeby, nie dopuścić Pana Tuneli i żeby nie zagubił się gdzieś i nie stał się ofiarą ludzi i mutantów.

I wojna. Nadchodząca wojna, po której przetrwają tylko zwycięscy, których nie będzie komu osądzać. I plac ocalenia, wymyślony przez Fidela, jest jakimkolwiek planem, jedynym, choćby była niewielka szansa, żeby nie dopuścić do postrzelenia syna...

Wszystko wskazuje na to, że Sajgon nie ma innej opcji, jak wyruszyć razem z comandante i jego kompanią. Jeśli można zapobiec wojnie, to tylko cudem. A dostać się na stację Dniepr - już samo w sobie jest cudem. Mało to się dotąd wydarzyło? I przy pierwszej możliwości, nie gardząc niczym, Sajgon wyciągnie z Fidela potrzebną informację. Ale dopiero po tym, jak comandante odnajdzie i uruchomi program tworzenia tuneli.

- Jestem z tobą, comandante. - Sajgon ponownie podał Fidelowi dłoń. I tym razem Fidel nią potrząsnął.

- No cóż, chłopaki - obrócił się do swoich towarzyszy comandante - pojawili się nowi przyjaciele. Teraz nikt i nic nas nie powstrzyma.

- A ja to co? - zabrała głos Gilza, która do tej pory zachowywała milczenie i ogólnie próbowała wtopić się w otoczenie.

- A pani jest wolna, moja droga - uśmiechnął się Fidel. - Nie śmiem cię zatrzymywać. Ale muszę uprzedzić, że zaraz po opuszczeniu namiotu ludzie Borysa zechcą się bliżej z panią zapoznać. Co nie jest dziwne, biorąc pod uwagę pani urodę.

Na policzkach Gilzy pojawił się lekki rumieniec.

- A mogę pójść z wami? Przynajmniej na następną stację?

- Umiesz gotować?

Podbródek Gilzy wysunął się do przodu, nozdrza rozszerzyły się. Zrozumiała, że mają zamiar wykorzystywać ją jako zwyczajną kucharkę. Oto on, męski szowinizm! To jest właśnie to wykorzystanie, przed którym ostrzegano Gilzę na Niwkach!

- Umieję, i to bardzo dobrze, ale...

- No i wspaniale! - przerwał Amazonce Sajgon, zanim ta nie nagadała głupot. - To znaczy, że znowu jesteśmy razem! Hura!

I tak radośnie i miodnie spojrział na Lektora, który się cofnął. Z Nigeryjczykiem przyjdzie jeszcze przyjemna rozmowa od serca.

- Wychodzimy za... - Fidel spojrział na zegarek na rękę - mechaniczny, żadnych baterii. - Za dwie godziny. Mamy możliwość przespania się, doprowadzenia się do porządku. Zostawiania namiotu samego sobie szczerze nie polecam. Dla własnego bezpieczeństwa, drodzy przyjaciele, nie róbcie głupot.

- Ale ja muszę wysłać do żony list! - Sajgon wolałby uprzedzić Swietkę, Aleksiejewicza i wszystkich innych o nadchodzącej wojnie. Niech się przygotowują. Niech coś robią. A on już dołoży wszelkich starań, żeby powstrzymać wojnę.

- Dam karawaniarzom. Pisz.

Sajgon wyciągnął z plecaka mały notatnik i naostrzony ołówek. Z przyborami do pisania jest cienko w metrze. Wyrwawszy pół kartki, w dwóch słowach streścił sytuację, następnie odwrócił meldunek i napisał: "Stacja Swiatoszyn. Swietłana Kim", po czym wręczył list Fidelowi razem z pięcioma żetonami - opłata za dostarczenie poczty.

Zrobiwszy to, Sajgon jako tako uspokoił się.

Comandante wyszedł z namiotu. Sajgon został w środku.

Odchodząc tak, żeby syn marnotrawny go nie widział, comandante zmiął list w ręce i wyrzucił do kosza.

Rozdział 8

Zaplata za życie

Przespać się Sajgonowi i tak się nie udało. Przez Che. Rastaman okazał się być niezwykle rozmownym mężczyzną. Tasując talię kart i po kolei ogrywając Sajgona w durnia, bur-kozła, kozła, a nawet w wojnę, Che trajkotał i trajkotał miarowo, bez przerwy, jak kradziony agregat diesla. Swiatoszyńczyk szczerze zazdrościł żelaznych nerwów Bajdy i Myszki, którzy spokojnie sobie pochrapywali pod akompaniamentem gadaniny Che.

- Powietrze pochodzi z powierzchni. To po pierwsze. Po drugie: system zapewnia trzykrotną wymianę powietrza w przeciągu godziny, ale nie mniej niż trzydzieści metrów sześciennych.

- I co? - Od przegrywającego Sajgona wymagało się czasem tylko wtrącenia kilku słów.

- A to, mój chłopcze! To! Twoje osławione filtry oczyszczające powietrze z radioaktywnego pyłu, w to jestem gotów uwierzyć. A co z bakteriami i innym biologicznym gównem, którym kichnęli na miasto-bohatera Kijów?

Sajgon nie wiedział, co odpowiedzieć i dlatego przemilczał to. Może i Che ma rację, kto wie. Ale jeśli ma rację, to... O tym Sajgon w ogóle nie chciał myśleć, zbyt straszny obrazek się wyrysował.

- A woda? - nie milkł Che, rozdając kolejną partię.

- Ale co woda? - burknął ponuro Sajgon.

- Źródłem wody w metrze jest miejski wodociąg. Jeśli tak, to weź pod uwagę, że pijemy wodę z Dniepru.

- A co z odwiertami? - Sajgon spojrzał z ukosa.

Che machnął ręką:

- Twoje odwierty to bzdura! Nie! I w ogóle, kto pilnuje tej cholernej ilości instalacji w metrze? Żeby tak chociaż stacje wodociągowe, które usuwają zużytą wodę użytkową do sieci miejskiej?

- Ludzie. - Sajgona zmęczyły te zagadki.

- Jacy ludzie? Znasz ty kogoś takiego? Albo kogoś, kto zna kogoś, kto zna?

Swiatoszyńczyk podrapał się po brodzie:

- Jeśli nie ludzie, to Pan Tuneli wszystkiego pilnuje i o wszystko się troszczy.

Che roześmiał się:

- Właśnie tego się po tobie spodziewałem. Wy, krety, jesteście gotowi wszystko przypisać Panu Tuneli. Mówicie, że was karmi i chroni. Ale bzdety! Całe wasze metro na wskroś zgniło. Przez dwie dekady ani jednego remontu generalnego! Całe wasze życie to łąta na łącie! I pewnego dnia, bardzo szybko, wszystko runie i rozleci się w drzazgi! I zdechniecie, ufając Panu Tuneli! Bezmózgie zwierzęta! Jednym słowem - krety!

Sajgon nie zamierzał tolerować chamstwa Che. Otworzył usta, żeby opowiedzieć rastamanowi, dokąd ma pójść, ale przerwał - Gilza przyłożyła palec do ust i pokręciła głową. Niech się staruszek wygada, ciebie to nie obchodzi, a on poczuje się lepiej. W karty nie grała - dzikuska. Amazonka po raz dziesiąty już rozplatała i znów zaplatała warkocz. Ten proces musiał ją uspokajać. Szkoda, włosy Sajgona będą krótsze.

Przekonawszy się, że ze Swiatoszyńczykiem niesportowo grać, Che schował karty gdzieś do swojego płaszcza i zaczął grać na palniku spirytusowym duszoną wołowinę. Po puszcze na głowę. Niestety, nie wieprzowina i data ważności dawno minęła, ale rastaman zapewnił nowych, że produkt jest w porządku, nie zaraża się jadem kiełbasianym.

- A co z waszą krecią legendą o prezydencie i jego wiernych posłach? - Che bez pośpiechu wyciągnął z wytartego pokrowca szwajcarski scyzoryk i wyciągnął łyżkę. - Słyszałeś taką legendę?

Sajgon nie zdążył odpowiedzieć, że tak, jest zapoznany z tą ustną, ludową twórczością. Uprzedził go Nigeryjczyk:

- Nie. Skąd? Przesiedziałem tyle lat w klatce. - Lektor z apetytem wgrzył się w mięso ociekające gorącym tłuszczem.

- Tak więc słuchaj i nie przerywaj. - Che zanurzył łyżkę w konserwie.

...Szychy, oczywiście, są ewakuowane jako pierwsze, o tym wie nawet już.

Tylko mnie nie pytaj, co to "jeź". To nie wagon, to podobne do paciuka zwierzę, tylko całe kolczaste. Niebezpieczny? No, jak to powiedzieć... W ogóle, tak. Bardzo. Prosiłem przecież, żeby mi nie przerywać!

Oni coś wiedzieli. A może czuli czterema literami. Mniej więcej na rok przed wojną

zaczęli wyrzucać prywatnych właścicieli z były schronów. A te już całkiem zniszczyli biznesmeni - za całkiem skromne łapówki wynajmowali ważne obiekty strategiczne przez pół wieku, a nawet dłużej.

Prawie wszystkie schrony bombowe w mieście zmieniono w biura, magazyny i publiczne toalety. Tak że trzeba było od nowa wyposażyć pomieszczenia w pompy, własne źródła zasilania, systemy oczyszczania powietrza i innym badziewiem, ponoć chroniącym przed przenikaniem promieniowania i broni chemicznej...

Tak więc gwaranta konstytucji i Radę¹⁶ sprowadzono pod ziemię znacznie wcześniej, na długo przed ogłoszeniem alarmu powietrznego. Rada zasiadała, jeśli pamiętasz, na ulicy Gruszewskiego 5. Obok - Pałac Maryński, siedziba prezydenta. W ogóle cały syf jednym ruchem zgarnęli do metra. Przy okazji, w ogrodzie przy pałacu jeszcze w dziewiętnastym wieku odkryto nowy gatunek krzewu kokainy, zwany "kolumbijską koką". Czyżbyś nie słyszał? No, no. I czego was w instytucjach uczyli?

Naszych rządzących odesłali na stację Plac Niepodległości. W skrócie - na Majdan. Tak, ten sam. Majdan według planu powinien być odcięty od reszty metra gruzem. Ale nie zdążyli. Tłum przebił się przez barykady i wpadł do podziemi. Gliny zresztą też nie chciały zostawać na górze...

Wyobrażasz sobie, jak ludzie się ucieszyli, zobaczywszy na peronie ukochanych wybrańców z walizkami dobytku. Władza ze strachu chłła francuski koniak. Konkretnie się narąbali. A tu elektorat. Mówią, że gwarant od razu narobił pod siebie, chociaż z wyglądu był człowiek dostojny, wysoki. Myślę, że nie kłamię.

Mówiąc pokrótce, ludzie zauważyli, że wybuchła wojna i gwarant z kolegami odwrócił się plecami i jeszcze postawił na górze kordony przed zwykłymi ludźmi. I wtedy zaczęło się najciekawsze.

To nie jakaś tam pomarańczowa rewolucja, to był nasz ukraiński bunt, okrutny i bezwzględny.

W ogóle, gwaranta porwali na strzępy, na gulasz. Jednych posłów spalili żywcem, a drugich - szczęśliwców! - tylko powiesili. Najokrutniejszą śmierć ponieśli przywódcy państwa, co prawda, to prawda. Albo, jak mówił nasz pierwszy prezydent: "Szczo majemo, to majemo!"¹⁷

I od tej pory duch głowy państwa błądzi po metrze, robiąc różne świństwa - tak jak w życiu...

- I tak to jest - oblizując łyżkę, zakończył swoją opowieść Che. - Bajka kłamię, ale jest w niej wskazówka, dobra lekcja dla młodych. Albo nie kłamię, kto wie.

Sajgon zachichotał.

A przecież nie wszystko powiedział Che. Jest minimum jeszcze jedna wersja tej legendy, według której prezydent i jego kompania bezpiecznie rządzą na drugiej nitce metra. Na tym samym Majdanie. A przejścia między Majdanem i Krieszczatikiem są zawałone...

Rozmyślenia Sajgona przerwał Fidel. Dosłownie wleciał do namiotu:

- Wychodzimy właśnie teraz! Cesarzowa nie żyje. Na stacji jest przewrót wojskowy.

W sekundę wszyscy byli na nogach.

- Borys? - Che wyciągnął spod ubrań strzelbę powtarzalną.

- Dokładnie on. Ogłosił się następcą.

- A córka cesarzowej ?

Fidel jednoznacznie spojrział na rastamana. Wszystko było zrozumiałe bez słów.

Myszka łapczywie wczepił się w rękojeści swoich rewolwerów:

- To co, wyprujemy grubasowi flaki?

Bajda - na piersi miał wybity trójzab - wciągnął przez głowę sweter, powiesił pas z amunicją, odbezpieczył AK.

- W nioho sorok bijciw, u Borisa. A może bilsze. Jakszczo strilanyna rozpocznetcia, bahato narodu laże.¹⁸

- Wychodzimy bez hałasu i zadymy - rozkazał Fidel i dodał: - Jeśli można.

I wtedy rozbrzmiały strzały.

Ratownicy zgodnie padli na podłogę. Bajda otworzył ogień, długimi seriami dziurawiąc namiot. Ryknęła broń Che. Myszka staranował baldachim, na zewnątrz przemówiły jego rewolwery. Sajgon chwycił za łuk. Lektor nie odważył się wypuścić łańcucha, bojąc się zranienia swoich. A Gilza z broni miała tylko torebkę i lakier do paznokci w małej, szklanej buteleczce.

- Było ich trzech. - To Myszka zajął do namiotu.

⁵ Rada Najwyższa - parlament ukraiński (przyp. autor.)

¹⁷ Ukr. *Co mamy, to mamy* (przyp. autor.)

¹⁸ Ukr. On ma czterdziestu wojowników, Borys ma. A może i więcej. Jeśli zacnie się strzelanina, zginie wielu ludzi. (przyp. autor.)

- I będą kolejni. - W jednej ręce Fidel miał pistolet, a w drugiej nie wiadomo skąd wzięty miecz. Sajgon takie zabawki tylko w kinie widział. Katana. Miecz samurajów. Czy w związku z tym Fidel jest samurajem?

- Jak najbardziej. - Comandante mrugnął do Sajgona. - I ciebie uczynię prawdziwym bushi. Chcesz?

Dlaczego wszyscy chcą z Siergieja kogoś robić? Major lepił z niego świetnego szabrownika. Swietka posłusznego męża. Aleksiejewicz farmera oddającego stacji mięso niemal za darmo. Teraz Fidel o czymś niezrozumiałym gada...

Najzabawniejsze jest to, że dla wszystkich Sajgon okazywał się być ciężkim orzechem do zgryzienia. Od babci odszedł, od dziadka odszedł, od Majora i Swietki też, a od Fidela...

Nie o tym myślisz, Sieriożeńka. Trzeba wydostać się z tej stacji, zamieszkałej przez gliny i papugi!...

Na peronie działo się coś niewyobrażalnego. Handlarze, poczuwszy, że coś jest nie tak, spieszyli się, żeby opuścić peron. Przy wejściach do tuneli utworzyły się korki. Faceci w dresach nawet nie próbowali zająć się tłumem - po prostu oglądali tę scenę z boku. Wypatrywali wrogów rewolucji.

- Przepuszczą nas. - Myszka w kapeluszu z szerokim rondlem był dostrzegalny z daleka, dlatego Fidel kazał mu zdjąć nakrycie głowy. Za to Che, odwrotnie, założył na głowę chustę, żeby nie było widać jego dredów.

- Tutaj! - Sajgon zauważył namiot porzucony przez właścicieli.

Prawie cały wypełniony był torbami ze szlafrokami. Był to ostatni krzyk mody w metrze. Wielu paradowało we frotte z Chin, którego czterdziestofuntowy kontener znaleźli szabrownicy. Kontener był zapieczętowany, a jego zawartość tak ciasno zapakowana, że nie poddała się czasowi i gryzoniom. Importowaną odzież sprowadzono do metra. Po odkażeniu towar ruszył tunelami, znajdując coraz to nowszych kupujących. A co? Wygodne: i ciepłe, i pod tyłek można podłożyć, i ukryć się przy zatrzymaniu. Sajgon kupiłby sobie, ale jakoś nie było powodu.

I proszę - cały namiot szlafroków. Właściciele porzucili towar, żeby ocalić głowy przed kulami. Rzadko handlowcy mogli pochwalić się taką mądrością. Oni są już daleko od Bieriestiejskiej, a chciwcy, obładowani wielkimi torbami, utknęli przy wejściach do tuneli A tylko patrzeć, jak bandyci w dresach zaczęli strzelać...

Porzucony namiot kompania Fidela opuściła w nowych ubraniach.

- Za kradzież dają tutaj karę śmierci. - Rozwijając paczki ze szlafrokami, Sajgon zastanawiał się, czy nie zabrać sobie jeszcze kilku.

- Ćwiartują, szefie. Lepiej nie trzeba. - Lektor wyszedł z namiotu, zostawiając Sajgona samego.

Tak już się zdarzało, że farmer się wahał - tyle bezpiecznego towaru, bierz, ile chcesz. Oczy rozbiegły się: najróżniejsze kolory, ale niezmiennie jaskrawe, przez lata tkanina nie zbladła. Wszyscy ratownicy zniknęli już w tłumie przy tunelu na Szulawską, a Sajgon nijak nie mógł się zebrać. Nowy biznes organizować, czy jak? Oprócz mięsa?...

Wiatr pocałował farmera w policzek. Chłód przebiegł po plecach.

Sajgon zastygł w miejscu, po czym gwałtownie się obrócił - i spotkał się wzrokiem z najbardziej porywczym człowiekiem na Bieriestiejskiej. W namiocie pojawił się Borys we własnej osobie. I bez ochrony. Widać postanowił obejrzeć prezenty z okazji inauguracji.

Umysł Sajgona natychmiast się oczyścił. Ciosem w splot słoneczny zważył na plecy Borysa i od razu wycelował w brzuch ze swojego łuku. Myszka proponował wypruć grubasowi flaki. Dobry pomysł, ale Sajgon postąpił inaczej - tylko je przedziurawi. Śmierć nowego cesarza będzie długa i bolesna.

- Nie rób tego. - Borys w ogóle nie ryczał, pełzając przez zabójcę na kolanach. On... poprosił. Tak proszą o podanie soli albo cichszą rozmowę.

- Żyj. - Strzałą wróciła do kołczanu.

Sajgon i tak nie rozumiał, czemu opuścił broń.

Jedno jest pewne: milicja Bieriestiejskiej nie szukała ratowników. Być może to była zapłata Borysa za życie? Albo na stacji i bez tego było dosyć zajęć?

Fidel i pozostali czekali na Sajgona pół setki metrów od wejścia do tunelu.

- Gdzieś ty przepadł? - Fidel starannie wycierał miecz specjalną ściereczką. Wygląda na to, że comandante musiał go niejednokrotnie używać. - Już myślałem, żeby się za tobą wrócić. - Zauważywszy zakłopotanie na twarzy Swiatoszyńczyka, wyjaśnił: - Ratownicy nie zostawiają swoich. Jesteś przecież teraz ratownikiem. Zapomniałeś już?

Na chwilę Sajgonowi wydało się, że comandante uderzy go mieczem, rozcinając od obojczyka do miednicy. Ale nie, Fidel schował kataną do pochwy i zamocował ją pasami za plecami. Oczywiście, z takiego położenia szybko wydobyć ostrza się nie uda, ale comandante ma pistolet, nikt mu niczego nie zrobi.

- Ratownik. Nie zapomniałem. - Sajgon przemilczał o miłosierdziu, jakim obdarzył Borysa.
- Uwaga! Drzwi zamykają się! - zaśmiał się Che. - Następna stacja - Szulawska!

Sajgon szedł za Myszką i marszczył czoło, próbując przypomnieć sobie, co słyszał o Szulawskiej. To dziwne, ale nic. To znaczy w ogóle!

Wiadomo, że taka stacja istnieje, ale kto na niej mieszka, co tam jest - pusto, żadnych informacji. Wcześniej Sajgon miał dość innych problemów, mało interesowało go to, co się dzieje za Swiatoszynem, ale teraz...

Nawet o stacji Dniepr jakieś tam plotki chodziły po metrze, mówi się, że są tam promieniowanie i mutanty. W skrócie - śmierć i okropieństwo. A o Szulawskiej, która leży zaraz obok najbardziej ruchliwej stacji kijowskiego metra Bieriestiejskiej, ani słowa.

Tak nie może być! Ale jest.

- Bujasz w obłokach? - Tak mógł powiedzieć tylko człowiek, który urodził się na powierzchni. Che mocno dźgnął Sajgona w plecy. - Patrz pod nogi!

Sajgon zazgrzytał zębami. Już naprawdę chciał przywalić rastamanowi w szczękę. Szkoda, że trzeba iść krok w krok za Myszką, dlatego że tunel upstrzony jest robakami. Albo mu się wydaje, że wcześniej czerw było mniej?...

Przemówił Lektor, który szedł w awangardzie grupy:

- Moi współplemieńcy mieli cztery dusze. Pierwsza - to okkan, siedziba wiedzy albo, mówią prościej, serce i cień. Druga - oku. Tak nazywa się martwego, w jego duszy jest trup. Odjiddi umiera razem z fizycznym ciałem. Za to emmy jest nieśmiertelna.

- U nowych chrześcijan na Żytomierskiej system nie jest aż tak skomplikowany - nie powstrzymał się od komentarza Myszką. Zrzucił szlafrok i ponownie założył kapelusz.

- To już pewne - przytaknął szabrownikowi Sajgon. - Na Żytomierskiej w ogóle wszystko jest łatwe i proste: a jak coś jest nie tak - jesteś heretykiem, trzeba cię powiesić. Wiemy, byliśmy tam.

- Ja - jestem ostatni ze swojego ludu! Jestem oku! - otworzył się nagle Lektor.

Tym razem ratownicy przemilczeli. Sajgon tylko pomyślał, że nie trzeba było Afrykańczykom iść na Swiatoszyn. A poświęcić uczciwego farmera swoim orisha¹⁸ - to jest normalne, a dostać po głowie - już nie.

- Nie martw się, brązowy. Zaśpiewajmy lepiej hymn Etiopii! - zaproponował Nigeryjczykowi Che i od razu zaczął: - Respect for citizenship is strong in our Ethiopia!...

Zauważywszy, że nikt do niego nie dołącza, rastaman spróbował zmienić repertuar:

- A co myślicie o hymnie Jamajki? No, przyjaciele, czy nikt nie zna hymnu Jamajki?! Eternal Father bless our land! Guard us with Thy mighty hand!... Nie? Nikt?!

- Che, przyjacielu, bądź tak miły i ucisz się. - W głosie Fidela rozbrzmiała sympatia do towarzysza broni.

- Fidel, wyobraź sobie, że nikt nie zna hymnu Jamajki! Co za czasy, co za zwyczaje! Dokąd zmierza metro?! Comandante, może przerwa na fajkę? Teren z robakami jest za nami, a na Szulawską lepiej nie chodzić niewstawionym.

- Przerwa - zgodził się pospiesznie Fidel, jakby właśnie czekał na propozycję Che.

Rastaman natychmiastowo runął na kolana, wyciągnął spod ubrania pokryty koralikami woreczek i uroczyście ogłosił:

¹⁸ Orisha - zbiorowa nazwa bogów ludu Joruba (przyp. autor.)

- Następnie weźmie pełną kadzielnicę węgla rozżarzonych z ołtarza, który jest przed Panem, i dwie pełne garści wonnego kadzidła w proszku i wniesie je poza zasłonę. Rzuci kadzidło na ogień przed Panem, tak iż obłok kadzidła okryje przebłagalnię, która jest na Arce Świadcstwa. Dzięki temu nie umrze.¹⁹

Przy tym rastaman napelnił konopiami naparstek, umieszczony w szyjce plastikowej butelki. Według napisu na podartej etykiecie, wcześniej w opakowaniu mieściło się półtora litra napoju "Tarchun". Uniósłszy do rozdrobionych listów zapalniczkę, Che wciągnął dym przez otwór na samym dnie butelki.

- To konopie, dobrze rozumiem? - sprecyzował Sajgon, kiedy rastaman podał mu plastik, wewnątrz którego kłębił się niebieskawy dym.

- Dokładnie. Mary Jean. Marihuana. Ganj. Trawka. Nazywaj jak chcesz, ale pewne jest, że to dar od Jah.

- Ale przecież jest zakazana na wszystkich stacjach...

- Nawet w Biblii napisano o trawie, a ty - zakazana. Jesteś za młody na ocenianie boskiego miłosierdzia. Przy okazji, w Biblii jest i o metrze. Posłuchaj: "Za ich winy i za winy ich ojców, za wszystkie razem, mówi Pan, za to, że palili kadzidło na górach i znieważali Mnie na pagórkach. Wymierzę im należność za uczynki przedtem wyliczone - pełną miarą."²⁰ We wnętrznościach was, takie krety, rozumiesz, nie? Za biegunkę! No to śmiało bierz bulbulator i dmuchaj tak, żeby na czole otworzyło ci się trzecie oko, patrzące prosto w cel. To bardzo ważne tam, dokąd się kierujemy.

Sajgon przyjął z rąk Che fajkę - tak nazywał się przyrząd do palenia, zrobiony z butelki i naparstka.

Prawie upuściwszy "pełną kadzielnicę z ołtarza", zdążył zaciągnąć się w sumie dwa razy, kiedy po tunelu, odbijając się od ścian wielokrotnym echem, przetoczyło się mrozące krew w żyłach wycie.

- Co to? - wyszeptła Gilza.

- Szulawska jest niedaleko - powiedział Che tak, jakby to wszystko wyjaśniało.

1
9 Księga Kapłańska 16,12-13
2 Księga Izajasza 65,7
0

Rozdział 9

Klasztor Smutku

- A o jest na Szulawskiej? - Sajgon podał bulbulator Fidelowi.

Comandante niemal wyrwał ją z rąk farmera i na długo przyssał się do dziury w dnie. W półmroku jasno paliła się trawa tłąca się w naparstku.

- Zobaczysz - odparł Che zamiast comandante. W jego głosie nie było nawet śladu po dawnej wesołości.

Za to Sajgona śmieszyło to, co działo się wokół. Kapelusz Myszki i rewolwery - no po prostu przezbawne. A osełdec Bajdy?! Uśmieć się można, patrząc na tę kępkę włosów! Blizny na twarzy Lektora, piersi Gilzy, kraciasta koszula Fidela i jego z lekka skośne oczy - wszystko to śmieszyło Sajgona do rozpuku. Szedł za szabrownikiem, który bujał się na boki, i radośnie chichotał, doskonale rozumiejąc, że winny jest temu słodkawy dymek z bulbulatora. No i niech będzie, kiedy znowu zdoła spróbować? Przecież jego przygody niedługo się zakończą. Raz, dwa - i ratownicy znaleźli system drażenia tuneli. Kluczyk do stacyjki, rękę na czerwony przycisk, przypiliować silnik, wejść w stratosferę i wrzucić kolejny bieg! Jeśli wierzyć książkom.

- Wojna to pikus, najważniejsze są tunele, nowe tunele! - szeptał sobie pod nosem Sajgon.

Poj utrze, a nawet wcześniej pofrunie na skrzydłach miłości do małżonki, obejmie syna i będzie żył długo i szczęśliwie, a potem opuści ten świat, będąc starym i bardzo zdrowym. Małą krwią na cudzym terenie. W mig. Z biegu. Jak szybko się da.

Pewność, oto, co przepelniało Sajgona.

- O matko!!! - wrzasnęła nagle Gilza tak, że farmer prawie ogłuchł.

- Co się stało? - zawołał on, podbiegając do dziewczyny, która zastygła w miejscu, jakby była odlana z żeliwa.

Po uczuciu bezgranicznego szczęścia nie został ślad. Przeciwnie - Sajgona ogarnęło zmartwienie, kolana zatrzęsły się. Zadrzał. Wierzył we własne siły, w jej nie.

- Co się stało, Barbie? - powtórzył, rozglądając się na boki i wodząc snopem światła latarki po podłodze i ścianach.

Pozostali ratownicy najeżyli się bronią.

- Przecież to szczur!!!

- Co? - Sajgon nie rozumiał. - Jaki znowu...?

- Szczur, mówię, przebiegł! - wyjaśniła z zapalem Gilza. W jednej ręce miała miseczkę z dymiącym olejem silnikowym, a w drugiej trzymała torebkę tak, jakby zamierzała wykorzystać ją w roli broni masowego rażenia.

- Szczur... - powtórzył cicho Sajgon. - No szczur, no i co?

- Jak to co?! - oburzyła się Gilza. - Nie mogę znieść tych drani! I pajaków jeszcze! I ślimaków!

Ratownicy wspólnie roześmiali się. Sajgon, który przez konopie reagował z pewnym opóźnieniem, zamrugał:

- Żartujesz?... Nie? Mówisz poważnie?

- Tak! Poważnie! - wyduła wargi Amazonka.

Sajgon zaklął w myślach, wspominając pochodzenie dziewczyny.

Więc to tak! Zaciągnięto rudą do metra, powierzchni ani razu nie widziała i krwią się nie raz myła. Wojownicza baba, ugryziesz to zęby połamiesz. I przy tym panicznie boi się niektórych mieszkańców linii Swiatoszyńsko-Browarskiej! Opowiesz komuś - nie uwierzy. Ale to jest fakt. Nawet bardzo ładny taki fakt z rozpuszczonymi włosami...

"Kobiety wszystkich stacji - łączcie się!" - wisiał plakat na stacji Niwki. No, no. Jeśli wszystkie panienki zjednoczą się i razem zobaczą szczura albo paciuka, to jaki powstanie wrzask, co? Od wibracji tubingi potrząskają się - zagłada metra!

- Jak dobrze, że feministek jest mało, tylko jedna stacja. - Sajgon przejechał dłonią po policzku, postanawiając ogolić się przy pierwszej możliwości.

- O czym ty mówisz? - Gilza nie rozumiała humoru, ale uspokoił ją ton Sajgona.

I wtedy ciemność z przodu zaryczała.

I coś szybkiego rzuciło się na ratowników.

- Nie strzelać!!! - wrzasnął Fidel.

Che podszedł do Bajdy i podniósł lufę karabinu. Seria trafiła w sklepienie, rykoszetem kule

poleciały w dół, wznosząc iskry z szyn. Dzięki Panu Tuneli, nikt nie został ranny.

I ten stwór, który wyszedł z głębi tunelu, także nie został naruszony.

Wręcz przeciwnie - huk wystrzałów rozżłościł go. Stwór stanął na tylnych, lekko wygiętych łapach i zaczął skakać z boku na bok, jakby chciał złapać kule pazurami. Ciało potwora pokrywała bura, kłaczkowata sierść, genitalia były ukryte pod skórną naroślą. Sajgon nie od razu zrozumiał, że ta narośl jest zwyczajną przepaską biodrową, podobną do tej, którą ma Nigeryjczyk.

Przepaska? Na zwierzęciu? Dlaczego?

- Cześć, Unkas! Co u ciebie? - Fidel ruszył w stronę zwierzęcia i wyciągnął rękę.

Sajgon aż obraził się na comandante. Jemu to Fidel nie podał od razu ręki, a przecież Sajgon jest człowiekiem, a nie zwierzęciem z tunelu.

- Po staremu! - Stwór choć stanął na czterech łapach, był dostatecznie zrozumiałe. Pazury uderzyły po wystawionej dłoni. - Tęskniłem! Gdzie byłeś? Dawno nie byłeś!

- Przecież wiesz, Unkas, nie usiedzę w jednym miejscu.

- Dawno! Dawno! Tęskniłem!

Ktoś jeszcze zbliżył się do ratowników - z ledwie migoczącą latarką w dłoni.

- Unkas dawno wyczuł wasze przybycie. Schował się, chciał zrobić niespodziankę. - Szary staruszek w pałatce i czapce-uszance zatrzymał się, wykręcił go napad kaszlu. Wydawało się, że wypłuje płuca. Myszka aż cofnął się, żeby nie trafiły go strużki śliny. - Witaj, Fidel. Cześć, Che. I innym się kłaniam.

- I tobie nie chorować, Ajbolit. - Che poklepał staruszka po ramieniu, czym doprowadził go do nowego ataku kaszlu.

- Dobry żart, Che. Jak zawsze. - Ajbolit, opierając się na lasce, zrobionej z poręczy wagonu, ruszył w kierunku Szulawskiej. - Unkas przeprowadzi was przez stację. Z Unkasem żadne z dzieciątek was nie tknie.

Z jakiegoś powodu od tych słów Sajgonowi zrobiło się zimno w środku.

- Trzymaj się Ajbolit. Ty... robisz taką rzecz... ty... - Głos Fidela drgnął. Comandante podał staruszkowi worek, prawdopodobnie z żetonami.

- Naboje by się... - Staruszek z godnością przyjął podarunek i zaraz schował go pod płaszczem. - Nacjonaliści i złodzieje, same problemy z nimi. W tym tygodniu trzy razy się pchali.

- Bajda, wydaj - skomenderował Fidel.

Kozak wykonał, chociaż było widać, że nie jest zadowolony z rozkazu. Trzy magazynki powędrowały od Bajdy do staruszka o przydomku Ajbolit.

- Mało - skrzywił się staruszek.

- Bajda, daj więcej!

Dostawszy jeszcze pięć magazynków, Ajbolit wymamrotał, że wystarczy, dziękuję.

- Dbaj o nerwy za młodu, faszystowska świni! - powiedział do Kozaka z taką złością, że stało się jasne - nie znosi mieszkańców Politechniki.

- Ta pizow ty! Triasca twojij materi!²¹ - Kozak skierował na staruszka karabin i wystrzeliłby, gdyby nie wtrącił się Che, który ponownie przyłożył rękę do lufy.

- Klasztor Smutku czeka na was, młodzieńcy! - zachichotał Ajbolit. - Witamy!

Sajgon zrozumiał, że staruszek absolutnie stracił rozum. A przecież jest uzbrojony. Jeden Sajgon czuł się nieswojo w towarzystwie tego człowieka?...

Unkas szybko pobiegł tunelem. Wyglądało to tak, jakby jego kończyny były naturalnie zaprojektowane do przemieszczania się wzdłuż torów - bardzo dobrze mu to wychodziło. Walić... I ten stwór po ludzku gada!

Fidel nagle zatrzymał się i, odwróciwszy się do Sajgona, ogłosił:

- Unkas jest moim synem. Moim kochanym synem.

- Moja żona... Ona była siostrą Che.

Rastaman, idący z przodu, zgarbił się, jakby spadło na niego kilka worków z cementem. Stał się dwukrotnie niższy, wspomnienia comandante sprawiły mu ból. Zgrupowanie fizyki, czy można zakryć dusze przez uderzeniami losu?... Lektor chyba mówił, że wojownicy joruba mają tych dusz aż sztery sztuki. Tyle przydałoby się i Che, teraz ich wszystkich kompletnie skręciło.

- W tamtym roku... w tamtym roku coś się stało z wodą. To zrozumieliśmy później, kiedy wodociąg przestał działać, a do tego czasu piliśmy zanieczyszczoną wodę. Nie, nie promieniowała, poziom promieniowania był w normie, ale bakterii... broń przeszłości...

W pamięci Sajgona wyraźnie zarysowała się niedawna rozmowa z Che.

- *Źródłem wody w metrze jest miejski wodociąg. Jeśli tak, to weź pod uwagę, że pijemy wodę z Dniepru.*
- *A co z odwiertami?*
- *Twoje odwierty to bzdura! Nic! I w ogóle, kto pilnuje tej cholernej ilości instalacji w metrze?*

Żeby tak chociaż stacje wodociągowe, które usuwają zużytą wodę użytkową do sieci miejskiej?

- *Ludzie.*
- *Jacy ludzie? Znasz ty kogoś takiego? Albo kogoś, kto zna kogoś, kto zna?*

Oto dlaczego rastaman rozzłościł się wtedy nie na zarty. Woda. Wszystko jest w wodzie, która spływa do metra z powierzchni.

- Nasze dziecko... on się taki urodził. Nie jest winny. On... Wygnali nas ze stacji. Bali się nas. Chcieli zabić, nie pozwoliłem, ja... Wszystkie pozostałe dzieci w tamtym roku urodziły się martwe.

Sajgon odwrócił się. Po prostu nie był w stanie widzieć łez w oczach dorosłego, silnego mężczyzny. Było w tym coś nienaturalnego. Obok szlochała Gilza. Cóż, dla nie płakać to jak zjeżdżać na rowerze z górki...

- Żona go tak nazwała. Oszałała trochę z rozpaczy. Nie mogła do końca zaakceptować tego, jaki jest. W czasie ciąży namiętnie czytała Fenimore'a Coopera, przyniosłem jej zbiór dzieł... Unkasem nazwała - na cześć młodego wodza unicestwionego plemienia.

Usłyszawszy, że o nim mówią, Unkas stanął na tylnych łapach i, wyciągnąwszy mordę do sufitu, przeciągle zawył.

- Żona pomyliła się. Nasz syn w ogóle nie jest częścią przeszłości. Jego plemię jest przyszłością ludzkości. Nie jest ostatnim Mohikaninem. On jest pierwszy. Prawda, Lektor? Wiesz przecież, o czym mówię?

Sajgon wspomniał, jak spytał Nigeryjczyka, skąd pochodzi.

- *...ZDarnicy jesteście.*
- *Skąd?!*

Dalsze pytania do niczego wtedy nie doprowadziły. Sajgon nawet zapomniał o tej rozmowie, ale teraz, kiedy Fidel wskazał na coś... Na co, hę?

Woda, zarażony płód, była z powierzchni. Nigeryjczyk i jego rodacy przyszli z naziemnej stacji. A to znaczy...

Jasny błysk oślepił Sajgona. Przeklinając, zakrył oczy. Pozostali ratownicy też nie przebierali w słowach. Przeciągle zawył Unkas. Niczego ludzkiego nie było w tym wyciu, ale Sajgon zrozumiał, że potomek Fidela prowadzi z kimś rozmowę. Przy czym druga strona odpowiedziała w sposób niesłyszalny dla ucha zwykłego człowieka. Ale Unkas nie był zwyczajny. Czy był chociaż częściowo człowiekiem? Sajgon nie zaryzykowałby zadania tego pytania comandante.

- *Oślepiłem! Oślepiłem!* - wrzeszczał obok Myszka.

Bajda, chyba, ponownie chwycił za karabin. Krótka seria przeszła powietrze. Fidel ryknął, żeby ratownicy zachowali spokój - wszystko będzie dobrze, mówił, Unkas rozwiąże ich problemy, synek nie zawiedzie. Jeśli ten argument na kogoś zadziałał, to Sajgon się do tych ludzi nie zaliczał. Dlatego, kiedy wróciła mu wizja, zdziwił się. Mało tego, teraz wspaniale widział w ciemności, przeszkadzała mu tylko latarka diodowa.

- *Zgaś* - powiedział do Amazonki.

Ta zakryła miskę. Potem wyłączył swoją latarkę Che. Za nim Fidel. Najdłużej oczywiście opierali się Myszka i Bajda. Lektor już wcześniej posiadał noktowizję

Unkas podbiegł do comandante i zaczął coś szeptać-wyc, oblizując jego ucho długim, rozdlojonym na końcu językiem.

- *Dziękuję, synu.* - Fidel poklepał Unkasa po karku. - *Dziękuję!*

Unkas powiedział mu: ratowników atakowało jedno z dzieci Szulawskiej, potężny telepata. Musiał sprawdzić, czy wszyscy oślepli.

- A teraz musiał sprawdzić, czy widzimy w ciemności? - zapytał Myszka.

- Unkas powiedział... W ogóle, telepata może stymulować pewne obszary mózgu. Nawiasem mówiąc, wszystkie dzieci Szulawskiej widzą w ciemności. Prawda, Lektor?

Odwróciwszy się, Nigeryjczyk mruknął coś niezrozumiałego. Podpowiedzi Fidela nie podobały mu się. Sajgon postanowił wyjaśnić, co właściwie podpowiadał comandante, później, kiedy wydostaną się z tego bałaganu. Mają duże kłopoty. Oślepnąć, a potem zacząć widzieć po ciemku - czy to dobrze? Od takich ćwiczeń mózg wycieka przez nos. Albo przez uszy. Tfu, tfu, tfu.

- Czego plujesz? - Myszka chwycił za rewolwery.

Szabrownik był bliski wybuchu, mógł zerwać się w każdej chwili.

Sajgon spokojnie skrzyżował ręce na piersi, mówią, proszę, bracie, nie ze złośliwości, przypadkiem się zdarzyło. Myszka z trudem odzepił palce od broni, uśmiechnął się... i posłał Sajgona w diabły.

- Sierioża, odrobiłeś lekcje? Coś nie widziałam, żebyś się nimi zajmował.

Sajgon cofnął się, sięgnął po łuk i zaraz zrugął się. Jaki, do diabła, łuk?! Jakie strzały?! Przecież to mama! Ukochana mama!

- Mamo, przecież ty umarłaś. - Samo wyrwało się z ust. Serce Sajgona krzyczało, żeby jego usta więcej się nie otwierały.

Przecież to mama, Sieriożeńka, nie widzisz? Ona żyje!

- Ja?! - uśmiechnęła się oszołomiona mama, wycierając dłonie o fartuch. - Umarłam? A kto kolację przygotował? Puszkina?

Pachniało od niej smażonymi kotletami. Sajgonowi nagle zachciało się znaleźć w kuchni, w tej samej kuchni z dzieciństwa. Umyć ręce mydłem i zasiąść przy stole, mama poda talerz z kaszą gryczaną i dwoma - obowiązkowo dwoma! - kotletami. A obok obowiązkowo postawi miskę z sałatką z pomidorów i ogórków, dobrze posolonych i polanych olejem słonecznikowym.

Podsuniąwszy taboret, mama usiadła obok.

- No, co tam ciekawego w szkole? Wkrótce zebranie z rodzicami, będą mi się na nim skarżyć?

Wargi chciały opowiedzieć matce o tym, że szkoły już od dawna nie ma, tak jak nie ma dyrektora z uczniami. Z całej kadry uratowała się tylko Jelena Władimirowna, a i ta umarła na syfilis w piąty rok po wojnie. Ocaliła chłopca Sieriożę i dziewczynkę Swietkę, a oni nie byli w stanie w żaden sposób jej pomóc...

Sajgon zmusił usta do milczenia. Żeby tego dokonać musiał mocno zacisnąć szczęki. Na pytania matki odpowiadał jednosylabowym buczeniem.

- Coś ty taki zmyślony, synku? Dokąd poszedłeś? Czyżbyś chciał znaleźć ojca? - Matka skrzyżowała ręce na piersi. Od czasu, kiedy ojciec od nich odszedł, źle postrzegała ciekawość syna na ten temat. - Myślisz, że jak cudownie grał bluesa na harmonijce, to i we wszystkim innym był dobry? Nic z tych rzeczy! W domu nie można było niczego od niego uzyskać, nawet żarówki nie mógł wymienić. A już półkę przybić, kran naprawić - gdzie tam! A jeśli mówić o nim jak o kochanku...

Oto czego na pewno Sajgon słuchać nie chciał.

I dlatego ocknął się na peronie Szulawskiej.

Długimi mackami złapał go za nogi mutant podobny do ogromnego ślimaka, tylko z jakiegoś powodu z ludzką głową. Na Sajgona z zaciekawieniem spoglądały błękitne oczy. I było w nich tylko dobroć i kłopot, że Sajgon nie od razu zauważył, jak po podbródku mutant, upadając z sykiem na peron i piniąc się, ścieka ślina.

Jeśli mutant postanowi na niego napluć, to...

Gdzie wszyscy? Ratownicy porzucili towarzysza broni? Stchórzyli, czy co?!

Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, żeby nie spowodować niebezpiecznego zwierzęcia, Sajgon rzucił okiem w lewo, dostrzegając niedaleko, około pięć metrów od siebie, Gilzę, całą oplecioną cienkimi nićmi. Była podobna do gąsienicy w kokonie. Już, już, zaraz zamieni się w motyla. Gilza milczała, całym swoim wyglądem wyrażając niezadowolenie tym, że ją związano. Nieco bardziej na lewo od Amazonki twarzą w dół leżał Myszka. Ktoś położył mu kapelusza na pośladkach. Śmiesznie się stało.

A gdzie są Bajda, Lektor, Fidel i Che?

Gdzie Unkas?

Niech przykuśtyka tu staruszek ze stalową laską. Niech pomoże wydostać się Sajgonowi. A jeśli przeciwnie - szalenie przyspieszy jego śmierć!...

Bez paniki. Najpierw trzeba się rozejrzeć. Dwa rzędy prostokątnych pylonów, pokrytych różnokolorowymi płytkami. Mądre, jak w przedszkolu, do którego matka prowadziła małego Sieriożę Kima. Jasno. A przecież tak właśnie jest: cała stacja jest przedszkolem. Tylko dzieci są tu niezwykle. Specyficzne dzieci. Nad pylonami, pod samym sufitem, coś napisano. "Swoboda. Riwnist..."²² - przeczytał Sajgon, a potem odciągnął go mutant.

- Chcę - powiedziało głośno stworzenie podobne do ślimaka, ośmiornicy i odrobinę do człowieka.
- Co? - zapytał Swiatoszyńczyk, a macki owinęły go mocniej.

To już bolało.

Sajgon poczuł na sobie spojrzenie dziesiątek oczu. Próbując nie prowokować więcej mutantów, odwrócił głowę. Poczucie tego, że patrzą na niego, nie zniknęło, ale Sajgon i tak nie zauważył obserwatorów. Bardzo dobrze się ukrywali.

- Kto tu jest? Hej, pokażcie się! Kto tu jest?!

Coś przebiegło po zaokrąglonym, pobielanym suficie.

Niespodziewanie macki zacisnęły się, obracając Sajgona o sto osiemdziesiąt stopni, twarzą do mozaiki na frontowej ścianie centralnej sali. Mutant wyraźnie chciał coś pokazać farmerowi.

Mozaika. Z lewej na dole - rury, dym, budynki przemysłowe, chyba fabryka, a może elektrownia. Wcześniej Szulawska nazywała się inaczej... Fabryka "Bolszewik"! Właśnie! Nie elektrownia, to znaczy, zwyczajna fabryka. Z prawej od budynku stało dwóch mężczyzn, wyłożonych błękitnymi i białymi płytkami. Trzymali się poręczy. Ten, który miał wąsy i był trochę wyższy, opierał na ramieniu młot. A drugi w podniesionej ręce trzymał... przecież to jest symboliczne przedstawienie atomu, jądro z dwoma owalnymi orbitami elektronów! Dobry żart: wiecznie pokojowy atom w rękach robotnika, tylko wiejskiej baby obok brakuje. W chuście, gumowcach i z wiosłem w zapracowanej dłoni.

- To my. - Głos mutantów brzmiał jak dzwonek. Mówił on z dumą. Przynajmniej Sajgonowi tak się wydało.

Zauważył przy mozaice tuzin szczerzych trupów i kilka stosów grzybów. Ofiary. Wygląda na to, że aborygeni Szulawskiej nadawali silniejszym szczególnie znaczenie. Co znaczy "my"? Dzieci pokojowego atomu, tak?

Nagle mężczyzna na mozaice, ten, który miał młot na ramieniu, mrugnął. Sajgon stwierdził, że mu się zwyczajnie przewidziało. Ale nie, robotnik ponownie mrugnął. A potem jego oczy oddzieliły się od ściany i w chmurze przezroczystej galarety zbliżyły się do Sajgona. Z bliska dostrzec można było zarys kości i organów wewnętrznych. Jeśli dodać kolorów, stworzenie stanie się zwykłym człowiekiem, tylko z dużym wzrostem. Jeszcze jedno dziecko Szulawskiej?...

- Oni wstydzą się. Ukrywają - wyjaśnił ślimakopodobny mutant.

Sajgon obrócił się i wzdrygnął - z najbliższych pylonów patrzyły na niego dziesiątki ciekawskich oczu. Gilza podejmowała desperacką próbę wyrwania się z kokonu - dziwne, że milczała. Kapelusz z Myszkowego tyłka przemieścił się na plecy i to już nie było zabawne.

Wysokie, przezroczyste stworzenie przeszło obok. Sajgon wciągnął powietrze nosem - zapach świeżego mięsa, już komu jak komu, ale farmer się na tym zna. A co jedzą miejscowe dzieciaki na śniadanie? Podróżnych, którzy z głupoty zaleźli na Szulawską?...

- Chcę. - Mutant-ślimak znowu zwrócił na siebie uwagę.

"To narkotyczne majaczenie! - pojął Sajgon. - Piłem herbatę zaparzoną przez rastamana, potem paliłem jego trawkę. I mam - przewidzenia! Trzeba po prostu odpocząć, niczego nie robić - i wkrótce przejdzie".

- Czego chcesz? - zapytał Sajgon, patrząc w błękitne oczy. I wtedy zrozumiał, czego potrzeba mutantowi. Zdjął z siebie płaszcz, który pożyczył na Bieriestiejską. - Wypuść mnie.

Macki puściły i rozłożyły się na boki. Sajgon podszedł do mutantów i nałożył płaszcz na dużą, spiralnie skręconą muszlę. Teraz, jeśli nie zauważać macek, mutantów można uznać za niskiego garbusa. Ten od razu wyszczerzył się - zobaczył siebie oczami Sajgona. Chyba właśnie tego chciał: w jakiś sposób ukryć swoją brzydotę.

- Idź. Możesz. - Między mutantem i Sajgonem nagle pojawiła się kamienna ściana. Sajgon dotknął jej: zimny granit, szorstki. I ani ślimaka w płaszczu, ani mozaiki.

Co za cholerstwo?...

- Szybko do mnie! Szybko! - usłyszał krzyki Gilzy. - Pająk zaraz wróci! Pomóż!

Rzucił się w stronę dziewczyny, ze zdziwieniem zauważając, że w zasięgu wzroku nie ma żadnego kokonu. Zwyczajnie Amazonka leżała na podłodze, wijąc się niczym gąsienica. Sajgona pochylił się nad nią i zamasyście uderzył dłonią w policzek.

- Ocknij się.

Często mrugając, usiadła, obejmując rękami kolana.

- Przecież był pajak. Owinął mnie...

- Może i był - wzruszył ramionami Sajgon. - A może i nie było.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że jest uzbrojony i mógłby użyć noża, żeby zrzucić z siebie macki. Ale w niewoli u mutanta podobne myśli nie pojawiły się. A czy te macki w ogóle istniały? I przezroczyście stworzył, który odłączył się od ściany, czy on był prawdziwy?

Sajgon nie mógł z całą pewnością powiedzieć czy tak, czy nie. Jedno wiedział na pewno: na Szulawskiej wszystko jest możliwe. I straciłby rozum, gdyby nie nawdychał się towaru rastamana. Tak więc dziękuję Jah, dziękuję Che.

Myszka obrócił się na plecy i sam przełożył sobie kapelusz na brzuch.

- Ej, szabrownik, wystarczy objadania się! - Gilza kopnęła go w zębra.

Myszka zaraz podskoczył i przystawił jej rewolwer do skroni:

- Nigdy! Słyszysz, nigdy więcej nie próbuj...

- Musimy znaleźć pozostałych - przerwał mu Sajgon. - Musimy spadać z tej cholernej stacji.

Czuł, jak wiatr porusza krótkimi włosami z tyłu głowy.

Za pylonu wyszedł Che.

Z bronią w rękach.

I celował w Sajgona.

* * *

- Opuść broń, Che.

Robi się smutno, kiedy zdajesz sobie sprawę, że nie dasz rady wyciągnąć z kieszeni zębarki albo wystrzelić z łuku w gardło. Tak smutno, że chichoczesz. I gadasz kompletne bzdury:

- Pokój, przyjaźń, guma do żucia, bracie! Niczego od ciebie nie chcę! Bądź spokojny, bądź szczęśliwy!

Szkoda, że rastaman w ogóle nie zamierzał zostawić pokojowo nastawionego farmera w spokoju. A na spust nie nacisnął tylko dlatego, że oszczędzał amunicję. Żeby na pewno trafić, trzeba podejść bliżej.

"Ciekawe, gdzie ja - głowa, klatka piersiowa, pachwina?" - mignęła głupia myśl. Trzeba by rzucić się do najbliższego pylonu. A może Sajgon zdoła się schować? Mało prawdopodobne, oczywiście, ale...

Coś ryczącego zważyło rastamana z nóg.

Huknął strzał. Kula świsnęła Sajgonowi nad głową.

- Nie trzeba! - zawył Unkas i polizał zwyciężonego Che po twarzy.

Syn Fidela ocalił Światoszyńczykowi życie. Dziękuję, Unkas! Sajgon nie potrafi zapomnieć o dobrze, które mu czynią. Dziękuję!

Che ze zdziwieniem spojrzął na broń w swoich rękach, potem delikatnie odsunął Unkasa:

- Złaż ze mnie, siostrzeńcu.

Ukrywając twarz w dłoniach, Gilza płakała. Myszka raz za razem wyciągał rewolwery i chował je z powrotem do kabur.

- Zadowolony jesteś, strzelcu woroszyłowski? Czy jeszcze raz palniesz? - rozzłościł się nagle na rastamana Sajgon. - Gdzie Fidel? Bajdę też postrzeliłeś?

- Ja... - Che nie wiedział, co odpowiedzieć.

Takiego zbitego z tropu Sajgon go jeszcze nie widział.

Za pylonu wyszedł comandante. Prowadził pod ręką Bajdę, który niespiesznie próbował zmienić magazynek w swoim AK - tak trzęsły mu się ręce.

Zdaje się, że żaden z ratowników nie nudził się na Szulawskiej.

Schodząc do tunelu, comandante odezwał się:

- Tutaj przyprowadzają dzieci, które urodzą się nie takie, jak wszyscy. Ajbolit przyjmuje je, dba o nie, chroni... Na stację czasem przychodzą bandyci z Dworcowej. Lektor na własnej skórze poznał, jak to jest. Mutanty potrzebne są bossowi dla rozrywki, ;ubi święta organizować. Stworów z powierzchni boi się, za to dzieciaki urodzone na stacjach ubóstwia.

- Ajbolit... kim on w ogóle jest? - zainteresował się Sajgon. - No, wcześniej...

- Ajbolit jest byłym snajperem. Afganistan, Kaukaz, Jugosławia... Doświadczenia ma więcej niż potrzeba. Ale najważniejsze jest to, że dzieci go uwielbiają. A on kocha je nad życie.

Sajgon mruknął:

- Dzieci, tak...

- Widziałeś ty chociaż kogoś? - Fidel zapytał szybko i zaraz, zawstydzony się, wyjaśnił: - Nie jestem tu pierwszy raz, a oprócz Ajbolita i Unkasa nikogo... Pozostali widzą... czasem, a ja...

Sajgon opowiedział, kogo widział, jak wyglądały te stworzenia.

- Nie - pokręcił głową Fidel. - Oni w ogóle tacy nie są. Opowiadali mi.

Ale pewności w jego głosie nie było.

Podbiegł do nich na czworakach Unkas.

- Odsuń się. Pożegnaj się z synem.

Sajgon nie zamierzał się spierać. W obecności mutanta czuł się nieswojo.

- Weź ze sobą! - rozległo się wyraźne wycie.

I głos comandante:

- Nie Tam, dokąd idę, jest zbyt niebezpiecznie. Ale pamiętaj: wszystko, co robię, robię dla ciebie!

Ratownicy ruszyli w drogę.

Po przejściu trzydziestu metrów tunelem w stronę Politechniki, Sajgon obrócił się. Na szynach przy peronie, opierając się na stalowej lasce, stał staruszek Ajbolit. U jego stóp zwinął się Unka s.

Przez chwilę Sajgonowi wydało się, że laska podtrzymuje staruszka, a SWD²³. I jeszcze pomyślał, że na stacji, być może, mieszka tylko ta dwójka, a pozostałe stworzenia - wszystkie! - są tylko wytworem ich szalonej wyobraźni. Fidelowi o swoich podejrzeniach nie zamierzał mówić.

²³ SWD (CBfl - CHafinepcKan BuHTOBKa flparyHOBa) - Karabin Wyborowy Dragunowa (przyp. autor.)

Rozdział 10

Fryzjer

Zmęczeni się ogromnie. Można powiedzieć, że ledwie powłóczyli nogami.

- Comandante, postój by się...

Padli wzdłuż torów tam, gdzie się znajdowali. Przepłoszyli stado paciuków. Myszka prawie stanął na norze robaka i nawet jej nie zauważył, a Sajgon nie miał siły, żeby powiedzieć mu o niebezpieczeństwie: otworzył usta i zamknął je, nie wydając żadnego dźwięku.

Zmęczeni, tak, ale nie spali. Rzucali się z pół godziny, jęczeli z zamkniętymi oczami - nijak. Nie odzywając się, utworzyli krąg, siedli koło siebie, opierając się o siebie ramionami. Można powiedzieć, że tak było spokojniej. Wszyscy dotąd zachowali możliwość widzenia w ciemności, ale Sajgonowi wydawało się, że nie na długo.

- A my w ogóle byliśmy na Szulawskiej? - Myszka wyglądał na zakłopotanego. Zmarszczył czoło i, zdjawszy kapelusz, podrapał się po głowie.

Coś podobne działo się z Gilzą. Gorliwie rozplatała i zaplatała warkocz.

Sajgon chciał opowiedzieć Myszcze o tym, gdzie ten był i co robił, ale... Spojrzał na Che i zawahał się.

- Zuch! Prawdziwy szabrownik! - Rastaman mrugnął do Sajgona. - Jah lubi cię najbardziej ze wszystkich! Wspaniale wdychałeś, aż zazdroszczę! Tak złapało, że nawet stacji nie pamiętasz?

- I mnie... złapało. Też nie pamiętam. - Gilza zostawiła w spokoju włosy i złapała za torebkę. - A dlaczego tam nie zostałam? Przecież chciałam uciec z Bieriestiejskiej i spróbować żyć na Szulawskiej...

- Na pewno ci się tam nie spodobało. - Sajgon wyciągnął z plecaka słoik z duszonym króliczym mięsem, wypełniony po samo wieko. - Coś zgłodniałem.

Podzielić się z nim posiłkiem zechcieli tylko Fidel i Che.

Nieco później o mięso poprosił Lektor, który opuścił stację samodzielnie i poczekał na ratowników w tunelu. Reszta stwierdziła, że jest im niedobrze na samą wzmiankę o jedzeniu.

- Telepata? - zapytał cicho Sajgon Che, który żywo przyczepił się do tuszonki.

Ten w milczeniu odwrócił się.

- Telepata? - już głośniejszym Sajgon zwrócił się do Fidela. Ten tylko wzruszył ramionami.

Sajgon zezłościł się. Zwrócił się do Lektora. Nigeryjczyk, nie doczekawszy się pytania, skinął.

- Na pewno?

- Nie ma komu innemu. - Lektor wyglądał na wychudzonego, oczy mu się zapadły, blizny na ciele stały się wyraźniejsze. On, i tak chudy, jakby od razu zrzucił pięć kilogramów.

- Oni nie pamiętają. A wy pamiętacie i to rozumiecie. Ale ja... dlaczego ja?

Lektor spojrzął na Fidela.

- Nie wiem - odparł comandante.

Sajgon wiedział: kłamie. Wie.

A więc to jest tajemnica Szulawskiej. Oto dlaczego nikt niczego o niej nie mówi. Wszyscy zdają sobie sprawę, że taka stacja istnieje, ale nikt nie mówi o tym, co się na niej dzieje. Przez nią nieustannie przechodzą karawany, ale handlarze nie opowiadają plotek o Szulawskiej. Oni po prostu nie pamiętają, co tam jest, a z wyobraźnią u nich nie za dobrze. A i rzeczywistość okazała się być znacznie bliższa fikcji.

Przedszkole dla niezwykle uzdolnionych.

Dla innych - Klasztor Cierpienia.

Albo siedlisko mutantów.

I Lektor z dwoma głównymi ratownikami są w to zamieszani. No dobra, Fidel i Che, ale Lektor?...

A ty, Sieriożenka? O sobie zapomniałeś? Ciebie pamięć nie opuściła.

Jesteś w tej samej drużynie, co ta trójka.

Od tej myśli Sajgon poczuł się nieswojo.

Obudził się od tego, że coś chodziło mu po policzku. - Nie ruszaj się - usłyszał głos Myszki.

A w następnej chwili zobaczył szabrownika. Ten zastygł nad Sajgonej z nożem w ręku. Kliknięcie - sprężyna wyrzuciła z rękojeści ostrze. To, co pełzło po policzku, zastygło w miejscu, przestraszyło się.

Oblicze Myszki zbieleło, zamrugał kilka razy.

I wtedy ostrze - naprawdę ostre! - ruszyło w stronę twarzy Sajgona. Oczy mimowolnie zamknęły się, ręka przesunęła się do kieszeni, gdzie były zębatki. Coś pękło, pokrywając nos i usta czymś mokrym.

Szabrownik upadł w bok i, obróciwszy się na plecy, głośno zadyszał.

Ostrz, mokre... Co się dzieje? Sajgon dotknął się. Na palcach zieleń okropnie śmierdzący szlam. I jeszcze kawałki czegoś brązowego.

- Co to za paskudztwo?

- Robak. - Myszka wsparł się na łokciach, wytarł rękawem pot z czoła i naciągnął kapelusz. - Zorganizowaliśmy sobie nocleg w strefie czerw. I dziwię się tylko, jakim cudem nikt nie trafił na norę. A ty... - Szabrownik pokazał na norę przy plecaku, który Sajgon używał jako poduszkę. - Chrapiesz jak mój teść, wieczny pokój jego duszy, robał ruszył do dźwięku. Obudziłem się od twojego chrapania, a tobie po mordzie takie bydlę łązi! - Myszka rozłożył dłonie na boki.

- Dzięki! - Sajgon zadrzał, kiedy wyobraził sobie, jak czerw wbija mu się w skroń, składa tam larwy albo się dzieli, a potem...

- Wielkie dzięki, bracie! - Sajgon złapał rękę szabrownika i mocno nią potrząsnął.

- Podziękowania do szklanki nie należesz! - zauważył surowo szabrownik. - Choć lepsze to, niż nic.

- Wybacz, jak jestem zaspany kiepsko u mnie z myśleniem... Trzymaj! - Sajgon podał Myszcze manierkę z samogonem.

Szabrownik wziął trzy łyki i, pochwaliwszy napitek, zwrócił pojemnik właścicielowi.

- A gdzie są wszyscy? - Dopiero teraz Sajgon zauważył, że są w tunelu we dwójkę.

- Bajda znowu świruje.

- Znowu?

- Z nim tak już było. Nikt nie wie czemu, na wszystkich się rzuca. Ale tym razem przesadził. Wziął waszą babę jako zakładnika. - Myszka zamilkł i, przestawiwszy palec do ust, ze smutnym wzrokiem zaczął grzebać paznokciem w zębach.

- Gilzę?! - nie wytrzymał Sajgon. - Wziął jako zakładnika i co dalej?

- A jak zwykle - machnął ręką szabrownik. - Zaciągnął ją do tunelu. Fidel i Che, oczywiście, nawet palcem nie kiwnęli. A twój brunet od razu poleciał za dziewczyną. Widać, że się kochają.

- Nie zauważyłem.

- Dlatego że rzadko używasz oczu! Pokrótce, jak murzyn pobiegł za rudą, to Fidel i Che zaraz zebrali się, pobiegli za nim. Dziewczynę mają gdzieś, Bajda tak sobie, ale ten twój pawian... Mówią, że Kosmos bardzo się zezłościł, kiedy Lektor z towarzyszami opuścili jego gościnną stację. A my musimy przejść przez Dworcową. Jak myślisz, po co Fidelowi potrzebny jest murzyn? - Myszka mrugnął do Sajgona. - Właśnie po to. Polityka! Strategia i taktyka!

Sajgon zamyślił się. Fidel i Che są najmniej podobni do ludzi, którzy poświęcają się dla pierwszej napotkanej osoby. Oni w ogóle nie są psycholami. Oceniają swoje ruchy, trzeźwo oceniają. I obezwładniać Bajdę poszli, zabierając rzeczy. Wszystko swoje noszą ze sobą? Czy to też część szatańskiego planu.

- Dawno poszli?

- Akurat na ciebie czerw wylazł. Dlatego zatrzymałem się. A gdzie wszyscy, tam i ja.

Sajgon wyciągnął strzałę z kołczanu.

- Mówisz, że Bajdą już tak bywało.

Nie biegli, ale szli bardzo szybko.

Nagle tunel z przodu oświetliły błyski wystrzałów.

Zagrzmiał automat Kozaka.

- Ta szo ż ty robysz, bicowa diwka?!²¹ - Oburzenie Bajdy nie miało granic: rozbroiła go jakaś dzdżira i jeszcze zaczęła strzelać z jego własnego karabinu!

Przybywszy na wystrzały, Sajgon i Myszka odkryli taki widok: Gilza z karabinem w rękach postawiła Fidela, Che, Bajdę i Lektora pod ścianą, nogi na szerokość ramion, ręce za głową.

- Dziewczyno, co ty robisz? - Sajgon opuścił łuk, pokazując, że ma pokojowe zamiary, chce tylko dobrego dla Amazonki.

- Będziesz się wymądrzać, jak staniesz pod ścianą! - odcięła się Gilza. - Albo od razu cię odstrzelę! Wiesz, co oni chcieli ze mną zrobić? Wiesz?!

⁴ Ukr. *No co ty robisz, cholerna dziwko?! (przyp. autor.)*

I wtedy okazało się, że Bajda w ogóle nie jest psycholem. On wiedział, że Metro-Sicz - tak nacjonaści nazywali stację Instytut Politechniczny - nie akceptuje kobiet. To jest niezmiennie! Akurat w Sicz Zaporoskiej kobietom wstęp był surowo wzbroniony, to i w podziemiu Kozacy wprowadzili podobne prawo.

W skrócie, Myszka źle ocenił sytuację: Bajda w ogóle nie zamierzał brać Gilzy jako zakładnika, chciał ją tylko przystrzyc. Mówi się, że jeśli uciąć warkocz i nie wypychać piersi, to może i wpuszczą na stację, nie zwróci uwagi warta²², że to nie rudy chłopak, a panna na wydaniu.

Ale Gilza stwierdziła, że tracić włosy gotowa jest tylko razem z głową. Na co Bajda odpowiedział: "To łatwe" - i przystawił jej do gardła nóż. Z cichą akceptacją comandante i Che Kozak odciągnął Gilzę na bok, żeby nie obudzić śpiących towarzyszy - co za rozczulająca troskliwość. Ale śmiertelnie przerażona Amazonka sapła tak głośno, że Lektor się obudził. Tak jak i Myszka, błędnie ocenił sytuację i ruszył na pomoc dziewczynie. Zdawszy sobie sprawę, że niewinna wizyta u fryzjera przeobraża się w Bóg wie co, do zamieszania dołączyli Che i Fidel. A tam już i Sajgon z Myszką nie zawiedli, zdążywszy na finał wydarzeń.

Oceniwszy sytuację i wystarczająco się pośmiawszy, Sajgon przekonał dziewczynę do opuszczenia broni.

- Co będziemy robić z naszą pięknością? - Przysiadłszy na szynie, Che pocierał rękę, którą ugryzła Gilza. Faktycznie zamierzała dosięgnąć zębami Bajdę, ale rastaman się wcisnął... W ogóle, wbiła się w to, co było w zasięgu.

- Nie dam obciąć włosów! Choćbym miała zginąć! - Gilza z wyrzutem patrzyła na mężczyzn. Tak sobie myślała, że w pełni nimi włada: czego zechce, to zrobią, a obronić jej nie ma komu, wojownicze przyjaciółki są daleko na Niwkach. Niepotrzebnie tylko oddała karabin, uległszy namowom Sajgona.

- Myszka, potrzebna twoja pomoc. - Fidel uważnie przyjrzał się nakryciu głowy szabrownika.

- Dlaczego moja? - zaprotestował Myszka. - Niech ktoś inny, a nie od razu - Myszka... - Powiódł wzrokiem po ratownikach. Nikt nie nosił kapelusza, tylko on. - Niech idzie w masce przeciwigazowej! Ale jakimś sposobem udało się złamać szabrownika.

Pomęczywszy się z włosami, zebrawszy warkocz w wielki kok, Gilza założyła kapelusz.

- Potrzebne wąsy - spojrzał z ukosa zły Myszka. - Ona nawet w kapeluszu nie jest podobna do faceta. Musimy przykleić wąsy, widziałem to w kinie. Kiedy jeszcze były kina.

Ograniczyli się do tego, że wymazali twarz dziewczyny olejem silnikowym i sadzą, szczęśliwie i jednego, i drugiego było pod dostatkiem.

- Może się uda. - Fidel zatwierdził "makijaż" Amazonki. - Co na to powiesz, Bajda?

Nawet nie patrząc na dziewczynę, Kozak pokręcił głową. Ponoć widać było, że to farsa. Trzeba było warkocz ściąć, a tak...

- Może przeskoczmy! - Uderzając się po nogach, comandante podjął decyzję. - Mówią, że na Politechnice robią wyśmienite pierogi. I pieprzówkę.

O tym, że stacja jest już blisko, mówiły napisy na ścianach. "Szcze ne wmerła Ukrajina i sława i wola!", "Chto ty dla neńki Ukrainy? Syn, brat, czy tak, pustocwit?", "Garyj moskal - mertwyj moskal!"²³

²² Warta - ukr. *straż* (przyp. autor.)

²³ Ukr. "*Jeszcze nie zginęła Ukraina, chwala i wolność!*", "*Kim jesteś dla matki Ukrainy? Synem, bratem, czy tak, darmozjadzie?*", "*Dobry Moskal, to martwy Moskal!*" (przyp. autor.)

- A mowu ty znaesz, bisowa diwka?²⁴ - Bajda wymownie spojrział z ostatnim hasłem.
 - Spadaj! Jeszcze raz się do mnie zbliżysz, to wyrwę ci ten twój czubek, rozumiesz?!
- Bajda cofnął się, odruchowo zakrywając dłonią oseledec:
- Ot wraża syła! Kraszcze mowycz, bo wsich nas iz-za tebe! ...²⁵
 - Łatwo ci narzekać! - ochrzanił Bajdę comandante. - Słuchaj, a po co twoim rodakom tyle metalu?

Dokąd zabrali szyny?

I to wiadomo. Sajgon dopiero teraz zwrócił uwagę, że pod nogami brakuje szyn. Podkłady są, a szyn - fiu, fiu. I kabli nie ma. No, to się zdarza, kabel wiadomo jak się wykorzystysta, ale szyny... Czyżby kozacy rzemieślnicy dostosowali je do potrzeb gospodarki narodowej?

0 Metro-Siczy opowiadano wszystko. Mówiono, że zebrali się tam ci, którzy o wszystkie nieszczęścia obwiniali obcokrajowców. Kozacy uparcie wierzyli, że wojnę zaczął Kreml. Ponoć szefostwo Gazpromu przekonało Wielkiego Brata do naciśnięcia guzika. Wypiwszy sztof²⁶ wódki, Wielki Brat tak właśnie zrobił. A potem, brzdąkając na bałajace "Kalinkę", pojechał złą drogą zaprzęgiem, ciągniętym przez niedźwiedzie. A w Kijów waliły bomby i rakiety... Wiele lat minęło od tamtej chwili, ale pewnego dnia otworzy się ziemia, a w metrze, żądając spłaty długu za gaz, pojawi się Wielki Brat i będzie palił i niszczył. Dlatego też najlepsi ludzie podziemia założyli Metro-Sicz - żeby zatrzymać kremlowski zabójcę, kiedy ten przyjdzie.

- Ale przecież to absurd. - Lektora zadziwiła opowieść Sajgona.
- Absurd. Ale oni w to wierzą. Możesz Bajdę spytać. A mówią jeszcze, że...

...Nacjoniści to ludzie pracujący. Mają własnych szabrowników, którzy wychodzą na powierzchnię w poszukiwaniu ocalałych roślin i zwierząt, które można rozmnożyć i przerobić na jedzenie. Mówią, że nawet chleb pieką. Sajgon widział raz suchara przywiezionego z Politechniki, czyli z Metro-Siczy. Chodzą słuchy, że Kozacy mają nawet świny. Nad nimi było przecież wcześniej zoo, tam przejmowali, tylko nikomu ich nie pokazują, a sami salsę tańczą, mendy!

Sajgon jeszcze wiele mógłby powiedzieć o działaniach nacjonalistów...

Ale kiedy kierują na ciebie karabin maszynowy, lepiej zamilknąć.

Kozaków było trzech. Karabin - jeden, ale i to było wystarczająco, żeby natychmiastowo rozprawić się z kompanią Fidela. Lufa karabinu wyglądała zza posterunku, zza starannie ułożonych worków z cementem. Lufa ta należał, a jakże by inaczej, do NSWT, ściągniętego ze stojącego na powierzchni czołgu. Kilka baterii artyleryjskich jest i na Swiatoszynie, ale używa się ich w poszczególnych przypadkach, chowając w sekretnych myślach. Takie środki ostrożności wprowadzono po stanie wyjątkowym na stacjach Akademgorodok i Żytomierskiej. Ochronę znaleziono tam z podejrzanymi gardłami, a po karabinach maszynowych z posterunków nie było śladu. Ktoś zażądał zorganizowania karzącej ekspedycji przeciw Dworcowej, ponoć bandyci to zrobili, nikt inny nie mógł, ale pomysłu nie zrealizowano. Inaczej wojna w metrze zaczęłaby się znacznie wcześniej...

Na pytania odpowiadał Bajda. Komu, jak nie jemu, rozmawiać ze swoimi? Może Gilzie?

Kozacy dyskutowali długo i wyczerpująco. Pili herbatę. Wnioskując po śmiechach, opowiadali sobie dowcipy. Klepali się nawzajem po plecach. Nawijali na palce długie wąsy. Ale przy tym strażnicy uważnie przyglądali się ratownikom, ani na krok nie oddalając się od karabinu maszynowego.

Gilza, nie spuszczać z Kozaków oczu, z każdą minutą denerwowała się coraz bardziej i bardziej.

- Oddajcie mi go! - nie wytrzymałszy, wyszeptęła głośno Gilza. - Fryzjer chocholski!
- Dziewczyna niemal rozplakała się. Powstrzymywał ją tylko to, że łyż rozmyłyby "makijaż".
- Oddajcie! - już wyraźnie zaszlochała.

1 jak można było się spodziewać, w tym momencie Kozacy zamilkli. I zgodnie spojrzeli na ratowników.

Karabin maszynowy przygotowano do strzelania.

- Idź ty, oddaj... - Che sięgnął po broń.

²⁴Ukr. A mowu ty znaesz, cholerna dziwko? (przyp. autor.)

²⁵Ukr. To wraża syła! Lepiej milcz, bo wszystkich nas przez ciebie!... (przyp. autor.)

²⁶sztof

dawna jednostka objętości, obowiązująca na terenie Imperium Rosyjskiego (przyp.)

Rozdział 11

Metro-Sicz

I wtedy zagrzemiał karabin maszynowy.

Sajgon padł, powalony. Dosłownie. Do ostatniej chwili miał nadzieję, że obejdzie się bez strzelaniny i dlatego się zawahał. Z nóg zwałił go Fidel.

Obok na Amazonkę wpadł Lektor, przykrył dziewczynę swoim ciałem. W rzeczywistości dokonał bohaterskiego czynu, ale, widocznie, trochę przesadzony. Może przycisnął do torów jakoś niezgodnie z instrukcją. Gilza wrzasnęła i porządnie uderzyła łokciem ratownika w przepaskę biodrową. Nigeryjczyk z oburzeniem wypuścił powietrze, rzucił piękność i odsunął się od niej jak najdalej.

Ale i to na próżno.

Na suficie zakręciło się coś dużego.

Chrząknęło i zabulgotało, i, oberwawszy kolejną serią z karabinu, runęło w dół, lądując kilka centymetrów od głowy Lektora. NSWT nagle zamilkł. Zaciął się, stwierdził Sajgon. I wtedy wystrzeliła broń Che.

Stworzenie odrzuciło.

Bajda podniósł automat. Walił Kozak krótkimi seriami, dokładnie celując. Jego rodacy ostrzeliwali potwora skróconymi "kałaszkami". Dołączył do kanonady i Myszka. Sajgon rzucił w paskudnego stwora zaostrome zębaki - nie zostawiać swojej ekipy! Metal rozdarł bezkształtne, lepkie ciało, zatrzymał się na ułamek sekundy, a potem jakby wessało go do środka.

Sajgon wdrygnął się z obrzydzenia. Dziwna forma życia, do niczego nie podobna. Wydawało się, że specjalnie podstawiła się pod kule.

I nagle wystrzały ucichły. Myszce skończyły się naboje w bębenkach. Che potrzebował czasu, żeby przeladować broń, a Sajgon po prostu nie mógł tak głupio rozrzucać zębatek: ich zapas jest ograniczony.

Kozacy, chociaż więcej nie strzelali, nie opuszczali broni. Czekali na coś. Na co?

Pokrzykując, Lektor spróbował odsunąć się na plecach od bezkształtnego stworzenia koloru rdzy. Z jakiegoś powodu Sajgon nie od razu zwrócił uwagę na kolor, a przecież to ważne. On dobrze wiedział, że ważne!...

- Jdi zbidcy!!! Het! !!²⁷ - wrzasnęła jasno ubrany strażnik, dowódca posterunku.

Stworzenie zastygło w miejscu, udając kawałek granitu. Nieświadomie Sajgon stwierdziłby, że natrafił na gład - wprost na środku tunelu.

Ze stacji już spieszyły posiłki. A przecież Fidel planował cicho dostać się na Politechnikę, odpowiedzieć na kilka pytań i wyruszyć w drogę. Ale tak się nie stało.

Myszka w końcu załadował rewolwery.

- Nikomy ne strilaty! !!²⁸ - krzyknął Bajda.

- Opuść broń!... - wyszeptał do szabrownika Fidel. - Rób, co każe Bajda!

Myszka wykonał to, ale rewolwery do kabur nie schował.

Nagle ciałem stworzenia wstrząsnął dreszcz.

- Co to jest?! - wrzasnęła Gilza i schowała się za Lektorem, ale ten, pamiętając o łokciu, zgiął się i odsunął. - To zaraz wybuchnie!!!

Sajgon nagle wyraźnie zobaczył prze oczami, jak stwór rozpadnie się na kawałki, bryzgając na około kulami, który jest naszpikowany.

Nie, minęło.

Kamień znowu przekształcił się w bezkształtną galaretkę, która usiadła na podłodze i odpłynęła od ratowników. Następnie, wydłużywszy się i upodobniwszy się do czerwia, stworzenie wpełzło na ścianę, a stamtąd przeniosło się na sufit, po którym przemieszczało się dalej.

Wkrótce zniknęło z pola widzenia.

- Co to było? - Rewolwery Myszki wróciły do swoich kabur.

Sajgon miał pewne myśli na ten temat, ale przemilczał, gdyż ratownicy wreszcie przeszli za posterunek: uznano, że zostawianie ich w tunelu jest zbyt niebezpieczne.

3

0 Ukr. *Idź stąd!!! Wynocha!!!* (przyp. autor.)

3 Ukr. *Niech nikt nie strzela!!!* (przyp. autor.)

1

- Irza nikoly ne chodyt poodynci. Dwi, try, inkoły czotyry. Poodynci - nikoly! - zapewnił ratowników dowódca strażników. - A wony wże dniw szist nemow skażeni, bo hołodni.²⁹

Irza? Czyli rdza - tak Kozacy nazywali bezkształtne stworzenie. Jak się okazało, nazwę dobrze przemyśleli.

Mutanty te pojawiły się tu niedawno, kilka tygodni temu. Możliwe, że zeszyły z powierzchni. Mało to obcych z innego świata dostawało się do metra przez szyby wentylacyjne? Ale te paskudztwa okazały się stokroć paskudniejsze od innych.

W bocznej odnodze, w ślepych torze, stały dwa wagony, zwyczajne "jeże". Wszystko, co można było zdjąć, już z nich zdjęto. I właśnie tam stworzenia osiedliły się - i po pięciu dniach po wagonach nie było śladu. Mutanty utleniały swoimi wydzielinami metal i pochłaniały go. Kiedy wagony zostały zeżarte, stwory wzięły się za kable na ścianach i szyny w pobliżu ślepej odnogi, w której zagnieździło się potomstwo. Ale i to nie wystarczyło na długo.

Mniej więcej w tym czasie te przekłete istoty uzależniły się i od ludzi. Ludzki strach przywołał: jeden z wartowników ze strachu zaczął raczyć nieznanne stworzenia ołowiem. Gościna była w smak irzy. Uznawszy za miły gest całą amunicję, istoty podeszły bliżej, otoczyły wartowników... Było na nich przecież tyle metalu: i broń, i guziki, i zamki błyskawiczne... A i ludzka krew zawiera żelazo. Niewiele, ale stwory je czuły. Ogólnie, z całej warty przeżył tylko jeden - i to on opowiedział, co się stało.

Teraz irza nawiedza posterunek za kulami, które z przyjemnością pochłaniają całą powierzchnią ciała. Tak więc zębatki Sajgona na pewno jej zasmakowały. I wszystko byłoby nieistotne, tylko że irza potrzebuje pożywienia często, ale nieregularnie, dlatego nie można określić czasu kolejnej wizyty. A strzelać trzeba - nie "nakarmisz" kulami - doborą się do strzelców. Stwory porządnie przetrzebiły już arsenał Metro-Siczy. Co będzie później, kiedy naboje się skończą, nie wie sam Pan Tuneli, nie mówiąc już o ludziach.

Takie rzeczy.

I nie wiesz, czy się martwić, czy cieszyć: co jeśli przerażające i niepokonane stworzenia zagrożą ludziom na najbliższej stacji, a nie ma na nie żadnego sposobu. Z drugiej strony - jak określić "ludzi"? Nacjonaści. Militaryści. Jeśli Kozacy planują walczyć, to przydałoby im się sporo amunicji. I dlatego im więcej kul dostanie irza, tym mniej przypadnie mieszkańcom Swiatoszyna.

Więc co - niech żyje irza?

I wtedy Sajgon usłyszał o dwójce dzieci, z których koszmarnie stworzenia wypły całą krew. Nie, panowie, to już nieludzkie. Dzieci dla rodziców nie są rozwiązaniem... No i co, jeśli po zjedzeniu całego żelaza w Siczy, nienasycone potomstwo ruszy ku innym mieszkańcom stacji? Szyna na Siczy się nie kończą... I dokąd doprowadzą one irzę, Pan Tuleni jeden wie.

Dopóki Sajgon nie wyściubiał nosa ze Swiatoszyna, nie podejrzewał, że życie mieszkańców metra wisi na włosku. Jak dobrze było: hodował króliki, żonę kochał ponad wszystko, wychowywał syna - i pozostawał w cieniu. Kto nic nie wie, lepiej śpi. I się nie boi! Ale teraz, po wszystkim, co zobaczył, Sajgonowi nie będzie tak łatwo zasnąć. A do Dniepru trzeba jeszcze iść i iść. A co będzie dalej? Czym jeszcze zaskoczy podziemie?

Od nieprzyjemnych myśli Sajgona oderwali Kozacy. Wsparcie, które przybyło do wystrzałów, składało się z dziesiątki uzbrojonych w karabiny wojowników. Wszyscy szczupli i wysocy. Szerokie ramiona, rozwinięte mięśnie. Dzieciaki jeszcze, siedemnastoletnie, ale spojrzenia mieli zimne i ostre, jak bagnety.

Ci goście urodzili się pod ziemią. Od pierwszego oddechu byli obywatelami zmilitaryzowanej stacji. Dzieci z odchyleniami nie żałowano tutaj - zwyczajnie je unieczestwiano. Siczy potrzebna była tylko zdrowa młodzież. Dawno temu istniało państwo-miasto - Sparta. Tam postępowano dokładnie tak samo. I gdzież jest to miasto?... Zresztą, tam właśnie, gdzie i inne miasta, w których uczono humanitaryzmu. W nicości.

Czy jest życie na Marsie? Jest, o ile na Marsie ocalało metro.

Żart.

- Sława Ukrajini! - powitał żołnierzy Sajgon.
- Herojam sława! - odpowiedzieli zgodnie.

² Ukr. *Rdza nigdy nie chodzi sama. Dwie, trzy, czasem cztery. Jedna ponieważ są głodne.* (przyp. autor.)

■ *nigdy! A one już szósty dzień jak szalone,*

Jak hasło i odzew. Jakby nie znajdowali się pod ziemią dwadzieścia lat po wojnie atomowej, ale w Karpatach, na poloninie. Zupełnie jakby spotkały się dwa oddziały OUN -UPA, banderowców albo mielnikowcy. Tylko że jeden z oddziałów jest fałszywy.

- Jak się majesz, chłopcze?³⁰ - mrugnął do Gilzy przywódca wsparcia.

Był nagi do pasa. Na piersi zieleniał tatuaż - trójząb otoczony słonecznikami. W uchu błyszczał kolczyk. Wydaje się, jakby przywódca jest straszliwie samotny i dlatego jest na zwiazdie. Żarliwe spojrzenia, niczym strzały Amora, skierowane w przypominającą kobietę Kozaka, jasno mówiły o jego nietradycyjnych gustach. A jeśli serce Kozaka jest wolne, co przeszkadza w podarowaniu go przystojnemu młodzieńcowi w kapeluszu? Umyć młodzieńca, uczesać - i podarować!

Siczowcy, Spartanie, samurajowie... Pośród mężczyzn, którzy przez długi czas żyją bez kobiecej czułości, często pojawiają się takie związki. Epoka, położenie, rasa - wszystko to nie ma znaczenia. Ludzie zawsze i wszędzie pozostają ludźmi.

- Czoho ty mowczysz, jak zaswatanyj ? Czy win sprawdi zaswatanyj ? Abo jazyka prokownu?³¹
- Ostatnie dwa pytania adresował do Bajdy, którego Siczowiec uznał za przywódcę ratowników.

Bajda wzruszył ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Spojrzał na Gilzę, na kapelusz, potem przerzucił spojrzenie na Fidela. Na jego czole pojawił się pot. Cisza przedłużała się. Uśmiech zniknął z oblicza Siczowca.

I nagle Bajda wydał:

- Ta ni, jakyj że win zaswatanyj? Win - moska!³²

Kozacy wybuchli śmiechem. Naprawdę spodobał im się żart. A najgłośniejszemu z nich śmiało się przywódca, czyli mówiąc po miejscowemu - koszowy.

Twarz Bajdy wykrzywiła się. Mężczyzna uśmiechał się, jak potrafił.

Wykorzystując chwilę, kiedy koszowy odwrócił od Gilzy maślane oczy, Sajgon szepnął jej na ucho:

- A to prawda, że wasze... no, z Niwek, z tymi... no, tego? Dla potomstwa?

Gilza skinęła. Ten znak jej zgody spostrzegł koszowy. Spochmurniał i splunął Sajgonowi - przeciwnikowi! - pod nogi. Z tymi, którzy mu przeszkadzali, dziarski Siczowiec przywykł rozprawiać się na raz, dwa, trzy. Sajgon wyzwania nie przyjął, demonstracyjnie nie zauważając śliny na swoim bucie. Koszowy skrzywił się z pogardą i uszczyptał przechodzącą obok Gilzę w policzek.

To był duży błąd.

Uderzenie pięścią w nos zważyło bohatera-kochanka z nóg.

- Chyba śnisz!... - zgrzytnął zębami Fidel.

Kozacy natychmiast chwycili za broń. Po dawnej dobroduszości nie został nawet ślad.

Na szczęście koszowy był miłośnikiem takich zabaw.

Podniósł się, odrzucił głowę do tyłu, żeby nie ciekło ze zmiążdżonego nosa i rozkazał iść dalej. W jego wzroku dało się wyczytać podziw do chłopaka w kapeluszu.

Obyczajnie Siczy coraz mniej i mniej podobały się Sajgonowi. I żeby tylko Gilza - no zdarza się, miłość od pierwszego wejrzenia, ale po co tu Lektor? Na niego nawet zwykli Siczowcy przyglądali się z żywym zainteresowaniem. Przy tym mrugali do siebie nawzajem i niemalże oblizywali się... To znaczy o tym, jak dziewczynę ukryć przed cudzym wzrokiem, Bajda pomyślał. Zuch! A tego, że zabranie do nacjonalistów Nigeryjczyka bez zamaskowania jest równoznaczne rozstrzelaniu, Bajda nie przewidział. Sajgon też niczego sobie, mógłby umysł wysilić...

Im więcej zwracają uwagi na Lektora, tym mniej interesują się kompanią. Co tam Myszka gadał na ten temat?... Jeśli taki był pierwotny zamysł, to plan zadziałał. Siczowcy na stacji porzucili swoje zajęcia, żeby popatrzeć na ewenement - czarnego człowieka.

Kozacy nie wypuszczą Lektora żywego. Jeśli Sajgon był tego świadom, to Lektor tym bardziej. Dlatego szedł z opuszczoną głową. Jest ofiarą. Żeby choć trochę pocieszyć towarzysza, Sajgon poklepał go po ramieniu.

Posadzono ich na materacach, niedbale rzuconych na podłogę między pylonami. Po obu stronach portalu jakby się przechadzali między innymi Siczowcy z karabinami w pogotowiu, co trochę

³⁴ Ukr. *Co u ciebie, chłopcze?* (przyp. autor.)

Ukr. *Czemu milczysz, jak związany? Czy może on naprawdę jest [z kimś] związany? Albo język połknął?* (przyp. autor.)

³² Ukr. *No nie, no jaki on związany? To Moskall!* (przyp. autor.)

drażniło. I tak ratownikom nawet nie próbowano zabrać broni. Z początku dla Sajgona był to dobry znak, ale później... Kozacy są absolutnie pewni, że goście nie mają dokąd zniknąć, nie stanowią oni zagrożenia. To dobrze czy źle? Sądząc po napiętym obliczu Bajdy, ten czuł się niepewnie na swojej rodzinnej ziemi.

Sajgon przeniósł się na krawędź portalu i zajął do środkowej sali. Strażnik w żaden sposób nie zareagował, to znaczy, że nie zakazują. Pylon na przeciwko zdobiła kopia obrazu "Kozacy piszą list do sułtana", wyraźnie stworzona z pamięci. W oryginale śmiejący się Kozak w białej papasze jest nieco grubszy, o ile Sajgon dobrze pamięta pracę Repina. I już z całą pewnością w pierwotnej wersji Zaporozcy w ogóle nie byli uzbrojeni w automaty Kałasznikowa, Wintorezy ani RPG...

Uwagę Sajgona przykuła grupa mężczyzn, z brzdękiem kufla i śmiechami przesiadująca w szynku. Podobne miejscach na wszystkich stacjach są identyczne: pięć plastikowych stołów, krzesła, piec elektryczny i butelki. Naławszy trunku, zaraz szykowali ci zagryskę.

- Nie dywyś tudy!³³ - szepnął mu na ucho Bajda.

Sajgon mruknął:

- A to czemu?

- Widwernyś, każy! - Twarz Bajdy zaczerwieniła się. - Bidy na wsich nakłyczysz, chłopcze!³⁴

Wygląda na to, że weseli pijacy są tu w specjalnym położeniu. I niczego niezwykłego w nich nie było - z wyglądu tacy sami, jak inni mieszkańcy Siczy, ale tych Kozaków omijano z boku, patrząc pod nogi z takim zapalem, jakby obawiając się zobaczenia nory robaka na peronie. Szczególną ostrożność zachowywali młodzi chłopcy z obsługi szynku. Drżały im kolana, wystarczyło tylko, żeby biesiadnicy zamówili parę dzbanów z samogonem i talerz z duszonym króliczym mięsem.

Miejscowa młodzież była tu zbyt cnotliwa. Koszowemu nie łatwo będzie znaleźć parę do miłosnych zabaw. Sajgon widział, jak śmiejący się facet w szkarłatnej switce³⁵ hojnie sygnął żetonami na tacę czarnobrewego chłopaka. I niby to nic takiego, a chłopak drgnął, jakby kopnięto go w krocze. Twarz zniekształcił bezdźwięczny krzyk. Żetony potoczyły się po podłodze i nikt nie rzucał się podnieść je... Zabawne tu mają porządki. Nacjonałści z tłuszczu się zloszczą, nie inaczej.

Czy nie w tym rzecz?

- I to są ci najlepsi?... - Sajgon urwał, zdawszy sobie sprawę, że nie należy mówić takich rzeczy na głos.

Ci niewinnie wyglądający biesiadnicy nazywają się - cii! - charakternicy. Klan najemnych zabójców... Jeszcze nawet rok nie minął, jak oddział dwudziestu wojowników pojawił się na stacji Instytut Politechniczny. Miejsce to od razu spodobało się charakternikom.

Nikt nie wie, skąd przyszli w jakim celu. Będąc dosyć wstawionymi, poprosili o nocleg do rana: "Chcemy tylko głowy położyć!" Tylko że goście nie określili, do którego rana konkretnie. Po tygodniu ciągle jeszcze przechadzali się po stacji. A potem i miesiąc minął, i trzy, i pół roku... Zabawne, ale tak się złożyło, że tych, którzy nawoływali do wykopania nowych sąsiadów, szybko zabierał do siebie Pan Tuneli: jednemu serce stanęło, drugi upadł na tory i skrzył kark, mało to może się zdarzyć...

Po metrce krążyły plotki, że, jak mówią, czarownicy osiedli w Siczy. Tylko że nie zwykli czarownicy, ale z karabinami i szablami, chociaż broń im nie jest potrzebna - jednym tylko słowem potrafią skazać na śmierć. Przypomniały się i stare legendy o atamanie Sirko, którego Turcy i Tatarzy uważali za zmiennokształtnego i charakternika. A przyszyłych nazwano jego potomkami.

I przyciągnęło złych ludzi do Siczy.

Zajrzyj do szynku, szepnij atamanowi prośbę, zapłać dość hojnie, żeby nie zaśmiał ci się w twarz charakternik. I tyle, nie minie tydzień, jak zejdzie na nieznaną dolegliwość twoja teściowa na Żytomierskiej czy Bieriestiej skiej. A było nie uciskać zięcia! Albo zaginie w tunelach karawana konkurenta... O mało to można poprosić czarownika?

Czy to tylko zbieg okoliczności? Możliwe. Ale w dokładność plotek Sajgon nie zamierzał wierzyć.

Odwrócił się od szynku i zaczął podziwiać lokalne atrakcje - popiersia bohaterów przeszłości, postawione wzdłuż krawędzi peronu. Oto dawny poddany Szewczenki. Obok - więzień obozu

Ukr. *Nie patrz tam!* (przyp. autor.)

Switka
Ukr. *Odwróć się, mówię! Sprowadzisz na wszystkich nieszczęście, chłopaku!* (przyp. autor.)

uważana za tradycyjny element białoruskiego ubioru, wykonana z sukna, odmiana kaftana (przyp.

koncentracyjnego Bandera. A to jakiś prezydent, Sajgon nie pamiętał jego imienia. Musi być i Kliczko, tylko nie ma jak rozróżnić, czy młodszy, czy starszy, facjaty mają podobne...

- Tfu, rolnicy! - Gilza mocniej naciągnęła kapelusz. A tu przecież ręce rozkładają! Wszędzie faceci są tacy sami!

To dobrze zauważyła - o rolnikach. Niemało miejsca na stacji przeznaczono na rozwinięty drut cały w bielutkich, oślizłych roślinach, podobnych do chmielu i sadzonek ziemniaka. Nie wiedząc z całą pewnością, ciężko rozpoznać w tej płątanie kukurydzą, tak silnie zmutowała. Odnowione zboże uprawiają w Siczy już nie pierwszy rok.

Major opowiadał, że pracował na Politechnice do czasu, kiedy stacja wzbogaciła się na tyle, że mogła sobie pozwolić na własnych szabrowników. Tak więc kukurydza jest jego zasługą. Politechnicy rozkazali znaleźć przetrwałe zboża, tak bardzo chciało im się chleba. I wtedy przepalony radiacją, przy każdym kroku kaszłący Major przyniósł z wypadu tę samą roślinę, która obecnie owija drut, rozciągnięty wzdłuż i w poprzek ścian nad torowiskiem.

Przed Majorem pelzali na kolanach, błagając o odnalezienie i sprowadzenie do metra świni. Ale z prosiakami nie wyszło. Major sam chciał złapać kilka różowych prosiaczków, ale na powierzchni nie napotkał ani jednego stworzenia, choćby w małym stopniu przypominającego dzika!

Tak mówił Major. A plotki głosiły przeciwnie: Kozacy sami zdobyli świnię. Dlatego Sajgon zerkał na boki, wypatrując raciczek i prosiaczków. Major nie jedno mówił. Posłuchaj go, wszystko, co ważne i potrzebne przyniósł z powierzchni on - prawie każdą wzmocnioną siatkę do łóżek. Umiał się Major wypromować. A z łybidem sobie nie poradził...

- Co tam jest, na roślinach? Owady? - Lektor wyglądał na zdziwionego. - Czemu ci ludzie zbierają je do misek? Będą to jeść? Na żadnej stacji nie jedzą takich owadów...

Sajgon spojrzał na aborygenów, na czworakach pelzających wzdłuż dolnych rzędów drutu. Zrozumiawszy, w czym rzecz, roześmiał się. Strażnicy równocześnie spojrzeli na niego. Czemuż to obcy otwiera szczękę? Planuje coś złego?

- Te żuki... - ciągle jeszcze chichocząc, wyrzucił z siebie Sajgon. - One... jakby ci to powiedzieć... Słyszałeś kiedykolwiek o stonke ziemniaczanej? Nie? To ona. Nic a nic nie zmieniła się od czasu, kiedy widziałem ją w ogrodzie u babci. Takie same pasiaste. W metrze, wyobrazasz sobie?! Kto by przypuszczał... Ich się nie je, bracie Lektorze. Te żuki niszczą uprawy. Ściągają je z roślin i gniotą obcasem.

Nigeryjczyk zmrużył oczy:

- I pewnego dnia wszystkie zniszczą?

- Wątpię. Ona zawsze przetrwa, choćbyś je kwasem oblewał. Sądzę, że są potrzebne, żeby nas wiecznie nękać. Taki jest plan Stwórcy. Żeby ludzie nie osłabli.

Pojawił się problem. Stonka, w przeszłości żerująca tylko na ziemniakach, zmutowała. Z zewnątrz nie różniła się od poprzedniczek, wewnątrz nie gardziła zjedzeniem białka zwierzęcego. Sajgon akurat targował się o świeży, jeszcze ciepły bochenek chleba (sprzedawca sam podszedł do ratowników, strażnik niechętnie go przepuścił), kiedy rozległ się przeraźliwy wrzask. Sajgon aż podskoczył w miejscu.

Rolnik, jeszcze całkiem młody, rzucał się, próbując wyciągnąć ręce z płątany drutu i białawych pnączy. Darł się przy tym, jakby go piekli na rożnie.

Do chłopaka, bez wahania, rzucili się dwaj chłopci, którzy pracowali w pobliżu.

Ze świstem rozwinął się łańcuch - Lektor chciał pomóc biedakowi, ale Bajda zatrzymał go, łapiąc za rękaw. I miał on taki wyraz twarzy, że Nigeryjczyk zastygł w miejscu, zagradzając drogę i Sajgonowi. A przecież ten miał w rękach chleb - palce wbiły się w gorący bochenek - prawie spadł z peronu w kukurydzą.

Teraz wiadomo, dlaczego ogrodnicy po czubek głowy są ubrani w brezentową odzież, a głowy mają zakryte materiałem. Ochrona przed stonką!

Najwyższy z chłopów, zauważalnie kulejący, ciął żelaznym sekatorem zarośla.

Na chwilę uwięziony w pnączach chłopak zamilkł - brał oddech.

W ogłuszającej ciszy szcęknął sekator, i jeszcze raz, i jeszcze - druty zawisły, kruche łodygi kukurydzy z chrupnięciem zerwały się pod ciężarem opadłej "grządki". Teraz chłopak był w stanie wyciągnąć uwięzioną rękę.

Od koniuszków palców do łokcia (strój roboczy podwinął się) cała skóra pokryta była maleńkimi, pasiastymi ciałkami, które wgryzały się w ciało z niewiarygodną szybkością.

A oto i twoja, kochana babciu, stonka ziemniaczna!

- Wydryżte meny ruku! - stwierdził chłopak, upadając na kolana. - Ja bylsze ne možu!³⁶

- Cyt! - uciszył go chłop, który zręcznie operował sekatorem. - Ja komu kažu?! A nu cyt! Ruku jomu wydryż! A szcze czoho?!³⁷

Drugi pracowicie, bez pośpiechu polewał zranioną rękę z wojskowej manierki pomarańczową cieczą. Chłopak zacisnął zęby z bólu, ale milczał. Trzęsło nim, zbladł i wydawało się, że za moment padnie bez czucia. Nagle zapachniało siwuchą.

Sajgon patrzył na ręce młodzieńca. Spod skóry wypełzały coraz to kolejne pasiaste ciała. Stonce nie podobała się pomarańczowa ciecz, uciekała od niej. Z takim doprawieniem ludzina widocznie nie podchodziła.

- W manierce są zarodniki "nadki", prawdziwe na samogonie - ze znajomością rzeczy powiedział, zbliżywszy się, Che. - I jeszcze coś dodają, nie wiem co. Straszna trucizna. Kukurydza wędnie od razu, czernieje. Ale stonka robi to samo. To jest sprawdzone. Wiesz, w ogóle, czym jest "nadka"?

Sajgon skinął. Któż w metrze nie słyszał tej legendy? Wszyscy wiedzą...

- Opowiedz - poprosił cicho Lektor.

...Masakrę pierwszych dni zatrzymała tylko epidemia. Dziwne czasy, nie chce się wspominać, ale i zapomnieć nie można. Metro było zawałone śmierdzącymi trupami. Zginęła co druga osoba, która ocalała się przed wojną na powierzchni.

Któs umierał w drgawkach, dusił się. Innych powalał zawał serca. Byli i tacy, którzy odmawiali przyjmowania jedzenia i umierali z głodu. Samobójstwa stały się normą... A potem wszystko się skończyło. Jak ręką odjął.

Po tunelach wędrowali prorocy z Żytomierskiej, wysłannicy patriarchy Całego Metra ojca Nikodima. Ubrani w tuniki, głosili pokorę. Ponoć ponieśliśmy karę, chociaż miłościwie znaleźliśmy się na Jego Arce, pokrytej ziemią i betonem. Okażemy skruchę, a atak przeminie! Przetrywamy, musimy tylko odrzucić próżność i uwierzyć w Pana!

U proroków dało się wyczuć wojskową dyscypliną i zagorzały fanatyzm. Zamiast Kodeksu służby w garnizonie - Biblia. Nieznaczną zmianą, jeśli spojrzeć z boku.

Wielu ocalałych po epidemii ulegli perswazji proroków. Ochrcili ich, z powrotem nawracając na chrześcijaństwo, gdyż prorocy głosili, że stara religia spłonęła w atomowym ogniu razem z grzechami świata.

I niewiele brakowało, a władza patriarchy Nikodima rozprzestrzeniłaby się na wszystkie stacje, włącznie ze złodziejską Dworcową. W metrze dominowały miłość i pokój. Prawem stały się przykazania, przystosowane do nowych realiów. Jakże znowu osły i woły? Nie pożądamy karabinu bliźniego swego! Zabierał łapy od amunicji jego! Mamy tu własną ławrę. Większa od tej, gdzie spoczywają Ilja Muromiec i Nestor Kronikarz!³⁸

A potem zaczęła się druga epidemia. I Królestwo Pana momentalnie upadło.

Bajda milczał.

Sajgon westchnął. Drugi raz go złapało. Dwa tygodnie leżał, marząc o śmierci. Mięśnie łapały skurcze. I ból. Ból. Niekończący się ból. Właśnie w tych dniach po raz pierwszy usłyszał o Panie Tuneli, który ze złością się na ludzi za to, że wprowadzili do jego włości innego boga. Opowiadano, że Pan Tuneli jest niemal diabłem rogatym.

Bzdura! Pan Tuneli jest samym metrem, jego istnieniem. To zbiorowość ludzi, zwierząt, przewodów, tubingów i wszystkiego innego, co w metrze. To organizm, którego częścią jest każdy mieszkaniec podziemi, każde łóżko, każdy nabój przyniesiony tu z powierzchni. Sajgon jasno to zrozumiał, leżąc i majacząc na środku peronu, dokąd znoszono chorych.

Matwiej Aleksiejewicz, przywódca Swiatoszyna, poważnie wtedy rozważał spalenie żywych chorych razem z martwymi. Inaczej epidemia nie ustanie. Na szczęście dla Sajgona, Aleksiejewicz jednak nie zdecydował się na to...

⁹ Ukr. *Odetnijcie mi rękę! Więcej nie dam rady!* (przyp. autor.)

³⁷ Ukr. *Ciii! Do kogo ja mówię?! No już, ci! Rękę mu odciąć! Jeszcze czego?!* (przyp. autor.)

³⁸ W jaskiniach na terenie Ławry Kijowsko-Pieczerskiej znajdują się relikwie ponad setki "świętych Peczerskich". Włącznie z Ilją Peczerskim, świętym mnichem cerkwi prawosławnej, którego utożsamia się z bohaterem literackim Ilją Muromcem. Nestora Kronikarza uważa się za autora "Powieści minionych lat" (przyp. autor.)

Ocalenie przybyło niespodziewanie. Panaceum okazała się być srebrzysta pleśń, która w znacznym stopniu porosła ściany na stacjach i tunele. Okazało się, że można nią leczyć katar i reumatyzm, ból zęba i zaparcia. Wystarczy tylko obliczyć dawkę, odpowiednio zrobić wyciąg albo napar, ponieważ w przejrzałej formie pleśń wydzielala śmiertelny, żrący kwas. Na każdej stacji od tamtego momentu pojawili się znachorzy, którzy z pleśni przygotowują leki. Bezbożnie promieniująca aspiryna z powierzchni szybko wyszła z mody.

Jak zwykle, cudowne właściwości pleśni odkryto zupełnie przypadkowo. Młoda kobieta, oszalała z powodu śmierci syna, postanowiła zeszkrobać ze ściany śliskie paskudztwo, w ciągu kilku dni narosło warstwą grubości palca. Kobieta wpychała ją sobie do ust, łapczywie mlaszcząc i twierdząc, że ona, głupia, musi tak zrobić, raz nie ocaliła swojego podopiecznego. Kobieta była chora: wrzody pokrywały jej ciało, z uszu, oczu i nosa sączyła się krew. Tym dziwniejsze jest to, że nie mogła się poruszać i rozmawiać.

Sajgon był pewien: kierowała nią potężna siła - Pan Tuneli.

Kobieta miała siły na tylko dziesięć minut życia. Ale po dwóch godzinach ona ciągle jeszcze napełniała żołądek pleśnią. Wariatkę związano, żeby nie skrzywdziła siebie ani ludzi. A po upływie doby z jej ciała zniknęły wrzody, krwotoki ustały.

Ona wyzdrowiała!

Nadzieja - tak miała na imię kobieta. Na jej cześć nazwano cudowną pleśń - "nadka". Oczywiście z szaleństwa pleśń uleczyć nie mogła...

Bajda zakończył swoją opowieść.

Sajgon nagle ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że Kozak mówił po rosyjsku, czego wcześniej u niego nie zauważył. I jeszcze pomyślał o tym, że cudowna pleśń pojawiła się na ścianach akurat na czas. Po drugiej epidemii narosła zniknęła. Teraz "nadkę" nie tak łatwo zdobyć. Znachorzy nie bez powodu jedzą swoje mięso - muszą włączyć się po tunelach i szybach wentylacyjnych, przeszukiwać odnogi i opuszczone pomieszczenia techniczne, nie mówiąc już o wszelkich szczelinach i dziurach. A wszystko po to, żeby znaleźć choć trochę srebrzystego śluzu. Pan dał, Pan zabrał, kiedy potrzeba zniknęła. Metro to jeden ekosystem.

- A żuki? - Lektor nietaktownie przerwał rozmyślenia Sajgona. Cholernego murzyna w ogóle nie ruszyła tragedia szalonej Nadzieży, a ocalenie Swiatoszyńsko-Browarskiej społeczności niezbyt go zmartwiło. - Skoro żuki napadają na ludzi, to dlaczego tylko tutaj?

Bajda pogładził długie wąsy:

- One nie latają. Tylko pełzają. I stale muszą żreć, nie wytrzymują długo bez jedzenia. Inaczej wszyscy byśmy już padli.

Z pamięci Sajgona wypłynęły nagle historie o karawanach, które przepadły w tunelach. Potem znajdowano ogryzione kości w całych ubraniach. I broń na miejscu. I towar, i żetony. W ogóle, jakaś magia. Ale Sajgon miał wrażenie, że znalazł rozwiązanie tej tajemnicy...

- Pan hetman, proszę, oś siudy! Baczyte, szczo wono take je? Te, szczo treba!³⁹ - Tym razem koszowy pojawił się nie tylko w towarzystwie Siczowców, ale przyprowadził ze sobą ważnego Kozaka w futrzanej czapce, bogatym stroju i kolczastą buławą w ręce.

Sajgon aż otworzył usta z wrażenia. Ale zaszczyt przypadł ratownikom - osobiście poznać samego hetmana Metro-Siczy Bogdana Krygę!

Hetman w milczeniu spojrzął na Lektora, następnie, również milcząc, skinął głową koszowemu. I odszedł.

- A nu, mawpoczka, sidaj na palmoczku!⁴⁰ - zarzął koszowy i machnął ręką.

Do Nigeryjczyka zaraz przyskoczyli Kozacy, podnieśli go i dokądś zanieśli. Che sięgnął za bronią - i na jego czoło zaraz wskoczyła czerwona wiązka światła. Ratowników obserwował snajper, gotowy w każdej chwili otworzyć ogień. I to nie jeden. Oto dlaczego nie zabrano im broni!

- Mendy - bezgłośnie, samymi wargami, powiedział Fidel. - Mają cię na muszce.

Che zdjął rękę z broni. Wiazka zniknęła.

- Gdzie zabrali Lektora? - Do oczu Gilzy napłynęły łzy.

- Powieszają go za zebro na haku - odpowiedział Myszka. - Dlatego że jest czarny.

4

Ukr. Pan hetman, proszę, o tu! Widzicie, co to takiego? To, co potrzeba! (przyp. autor.)

4 Ukr. No, małpko, wskakuj na palmę! (przyp. autor.)

3

Rozdział 12

Słowo Hetmana

Później Sajgon nie potrafił wyjaśnić, co go naszło. To był impuls. Po prostu zrobił to, co zrobił. Heroizm na najwyższym poziomie. Podobna dziecinada sprawiłaby, że Major wykrzywiłby się, jak od bólu zęba.

Ale Sajgon w żadnym stopniu się nie wstydził.

- Meni potriben Kryga! - Ruszył do strażnika, zagrządzającego drogę do centralnej sali. - Ja znaju, jak wbyty irżu!⁴¹

Nie najprzyjemniejsze uczucie - czuć na sobie wzrok snajperów przez lunety. Ale Sajgon żeby pluć na to, zwyczajnie wiedział, że nie ma czasu na myślenie o swoim bezpieczeństwie.

Fidel rzuciłby się za nim, ale Swiatoszyńczyk poprosił o wtrącanie się:

- Dam sobie radę, comandante, nie potrzebuję pomocy.

Strażnik pomyślał, zastanowił się i zawołał koszowego. Ten dostojnie i leniwie podszedł.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. W dowolnym momencie mogły rozleć się krzyki Lektora, ale stację wypełniał tylko zwyczajny szum, niczego niezwykłego. Póki co nikogo torturowano ani nawet nie próbowano. Sajgon i tak nie zobaczył haków, na których można by powiesić człowieka.

Fidel zażartował? Raczej nie.

Niczym skórę nóż, tłum przecięło czterech Siczowców. Byli oni, jak koszowy, nadzy do pasa, tylko ruchy mieli doszlifowane, pewne. Opalone ciała, nie raz dotknięte przez radiację, pokrywała pajęczyna blizn. Takim gościom nawet Gilza nie odważyłaby się dać po nosie. Zbyt duże ryzyko. Oto, kogo naśladował koszowy. Lokalna elita wojskowa.

Sajgon rzucił okiem na szynk. Zabawy nie było. Wszyscy spoglądali na gościa. Nawet obsługa zastygła z tacami w rękach.

Bajda obrócił się. Fidel, zakrywając oczy, szeptał coś. Czyżby się modlił?

Che krótko kiwnął głową, co znaczył: jesteśmy z tobą, przyjacielu. Gilza nie ukrywała już łez, "makijaż" przerwały zauważalne wąwozy. Koszowemu powinna spodobać się tak wrażliwość chłopaka w kapeluszu.

Myszka... A co z Myszką? Szabrownik uważał postępek Sajgona za głupotę. To wiadome. Ale co tam szabrownik, Sajgon sam tak uważał.

Rzecz w tym, że on pojęcia nie miał, jak pozbyć się mutantów zjadających metal.

Postawiono go na kolana i kilkoma bolesnymi batami zmuszono do patrzenia w podłogę.

Nie ma problemu, na podłodze też jest czemu się przyglądać. Ładny dywan, prawie nowy, nie podarty. Rzadko go używacie? Rozwijacie dla specjalnych gości? Czyżby się wysilili dla Sajgona, niech błyszczą oczy?

Szanują cię Sieriożeńka, oj, szanują!

Gdyby jeszcze poszanowali, byłoby wspaniale.

- Każy, sobaka, szczo tobi wid batka treba! Ta mołysia, szczo ne wbyly tebe widrazy!⁴²

Sajgon milczał, zbierając myśli. Jest czterech wojowników, jest hetman. To już pięciu. Do tego jeszcze słyszał stłumione głosy kolejnych kilku osób. Pewnie zebrała się cała kozacka rada. Razem - co najmniej! - dziesięciu. Czy należy walczyć z taką ilością ludzi? Powalić siedmiu za jednym zamachem? W kieszeniach kurtki ma zębatki, za pasem pistolet, w magazynku mało naboju, ale za to amunicja smugowa, bardzo pomogła Sajgonowi w polowaniu na kanibali...

Teraz już wszystko albo nic.

Farmer odetchnął głęboko i podniósł wzrok z podłogi, wiedząc, kogo przed sobą zobaczy:

- Zniszczę rdzę. Ale w zamian potrzebne mi twoje słowo, hetmanie. Przysięgnij na Biblię, że wypuścisz mnie i moich przyjaciół całych i zdrowych. Włącznie z naszym czarnoskórym towarzyszem.

- Moskal... moskal w Siczi - zaszemrało w szeregach podwładnych Krygi.

⁴ Ukr. *Potrzebny mi Kryga! Wiem, jak zabić rdzę!* (przyp. autor.)

⁴ Ukr. *Gadaj, psie, czego chcesz od tatuśka! I módl się, żebyśmy nie zabil cię od razu!* (przyp. autor.)

⁵

Kozacka rada w końcu się zebrała. Sporo ludzi, znacznie więcej, niż Sajgon podejrzewał. Duże pomieszczenie, największe ze służbowych pomieszczeń, jakie dotąd widział.

Kryga siedział w ogromnym fotelu obitym skórą. I przyjmował taką pozę, że fotel od razu chciało się nazwać tronem.

- Załyszte nas!⁴³ - rozkazał hetman.

Powiedziane było ledwie słyszalnie, ale w mniej niż minutę w pokoju przyjęć pozostali tylko Kryga i Sajgon. Ostatni wyszli Siczowcy, którzy przyprowadzili tu Swiatoszyńczyka - oni już szczególnie nie chcieli zostawiać hetmana samego z gościem stacji.

Kryga z uwagą przyglądał się Sajgonowi, jakby spojrzeniem chciał przewiercić w czole obcego dziurę i odczytać ze zwojów mózgowych odpowiedzi na swoje pytania.

- Wódki? - zapytał nagle hetman, prawie bez akcentu.

- Mówi się, że macie tu wspaniałą pieprzówkę. Nie odmówiłbym. - Sajgon sprawiał wrażenie, że przywódca nacjonalistów w ogóle go nie zdziwił.

Kryga mruknął: ponoć, jak wiesz. Wstał z tronu, podszedł do metalowej szafki, otworzył zamek kodowy.

Na półkach mieściła się znakomita kolekcja alkoholu. Był tam i włoski wermut, i dwukolorowy likier, gin z zabawnym ludzikiem na etykiecie i dwunastoletnia whisky, kachowskie koniaki... Takiej bajki Sajgon w życiu nie widział, tylko słyszał, ale i tak nie wierzył.

Kryga wyciągnął zero pięć "Rosyjskiej" i butelkę po piwie, zakorkowaną czymś w rodzaju wosku - to, trzeba pamiętać, jest właśnie pieprzówka z lokalnej rozlewni. Nie wygląda zbyt apetycznie. Trzeba było zgodzić się na przedwojenną wódkę, no ale teraz to...

W roli zagryzki zaproponowano pierogi i marynowane grzyby.

- Smalcu by! - zaryzykował Sajgon: a może i padnie, co?

- Nabijasz się? - zmarszczył czoło Kryga, jego szare oczy wypełniły się ogniem złości.

- Słyszałem... - zmieszał się Sajgon.

- Ja też słyszałem. Ale są tylko jakieś grzyby, cholera wie jakie. I pierożki z kukurydzy. Za to czosnek naturalny.

Wypili. Powtórzyli. I zaraz rzucili się po trzeci.

- I jak ty zrobisz ce?⁴⁴ - Kryga nie zagryzał, tylko krzywił się i zawąchał swoje długie wąsy.

- To wże moja sprawa!⁴⁵ - Sajgon też demonstracyjnie odmówił pierożków, chociaż strasznie chciał ich spróbować. Tym bardziej, że pieprzówka była mocna. Od niej w ustach wybuchał pożar.

- Same tak, synku, same tak...⁴⁶

Nagle Sajgon się zezłościł. Co to znowu ma być, co? Fidel nazywa go chłopakiem, Kryga synkiem. Co on, tak młodo wygląda?! Przecież sam ma syna!

- Potrzebujesz czegoś do operacji?

Sajgon zastanowił się. Gdyby wiedział...

- Tak. Jeszcze butelka pieprzówki. I pierożki wezmę. Wyglądają apetycznie.

Kryga położył dłoń na Biblii.

- Zgoda.

I tak stał pośrodku tunelu: w jednej ręce flaszka pieprzowego samogonu, w drugiej worek z czosnkowymi bułkami. Wspaniała amunicja do ataku na potwory, których nie można rozstrzelać przy pomocy AK! Właśnie dlatego Sajgon nie poprosił o broń automatyczną. Jaki sens? Nakarmić mutanty?

Za plecami - lufa NSWT i piętnastu Siczowców. Dla podtrzymania wojennego ducha. Na próżno, to w ogóle nie obowiązkowa miara, w zupełności wystarczyło to, że w przypadku ucieczki towarzyszy Sajgona poddadzą bolesnym torturom, po czym zabiją, a następnie odnajdą uciekiniera i robią mu krzywdę, a w końcu... no, wiadomo. Jeśli Sajgonowi się nie uda i pozostanie przy życiu - patrz

4 Ukr. Zostawcie nas! (przyp. autor.)

6 Ukr. I jak ty to zrobisz? (przyp. autor.)

7 Ukr. To już moja sprawa! (przyp. autor.)

4 Ukr. W rzeczy samej, synku, w rzeczy samej... (przyp. autor.)

poprzednia opcja z torturami i tak dalej. Jeśli zginie - idealny wariant dla niego, ale ratownicy i tak zginą.

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

A wszystko przez Lektora! I czego on jest taki czarny?

Sajgon świetnie widział w ciemności dzięki telepacie z Szulawskiej. A Siczowcy nie. I to, że obcy nie spieszył się z użyciem latarki, karbidówki albo miseczki, denerwowało ich. Jakby nie otworzyli ognia z karabinu przeciwlotniczego - żeby błyskami podświetlić Sajgonowi drogę. Z tych mądrali się stanie. Koszowy, który zgodził się osobiście odprowadzić ochotnika do posterunku - jeszcze jeden intelektualista, po drodze ciągle wypytywał się o stan cywilny chłopaka w kapeluszu.

- Wdowiec - bąknął Sajgon i dodał: Ponura historia. Zatrucie, śmierć w konwulsjach...

Teraz Gilzę zostawię w spokoju, jeśli dobrze zinterpretował wyraz twarzy koszowego.

Działo się to wieczorem, nie było co robić...

Sajgon w końcu zapomniał, jaki dziś jest dzień tygodnia, który miesiąca i która godzina. Zima 2033-ego, prawda? Boże Narodzenie już było? Na Swiatoszynie, gdzie elektryczność włącza się i wyłącza zgodnie z grafikiem, jakoś tak łatwiej się orientować. I kalendarz się prowadzi. A w tunelach, gdzie jest zawsze ciemno, albo na obcych stacjach, które mają własne zasady i prawa...

Aha, oto jest i boczny korytarzyk. Nieźle, całkiem szybko dotarł. I dokąd, ciekawiło go, spieszył się? Był spóźniony na swój własny pogrzeb?

Cisza. Zazwyczaj w metrze dźwięków jest od groma. Szczur biegł, ogonem machnął, kabel się zerwał, komuś głowę rozbił... albo kichnął ktoś, albo skrzypią tubingi pod ogromnym ciężarem skał, albo...

A tutaj - zupełnie jakby irza-mutanty żywiły się nie tylko metalem, ale i dźwiękami.

- Hej, juhu? Nie ma nikogo? No i dobra, później wpadnę.

Sajgon ruszył korytarzykiem z butelką i pakunkiem, na ukos. Pić i jeść jakoś mu się nie chciało. Zupełnie stracił ochotę. Chociaż narkomoskie 100 gramów⁴⁷ nie zaszkodziłoby. Dla odwagi.

Przed oczami ukazała się twarz Swietki. Przez uśmiech przebijał się czytelny wyrzut: "Co ty, drogi mężu, wyprawiasz? Co, masz już wszystkich dość? A o synu pomyślałeś?"

"Właśnie o nim pomyślałem, kochanie. I kiedy Charona zostawiłem przy życiu, też o synu myślałem. I kiedy wysłałem do ciebie list z ostrzeżeniem o nadchodzącej wojnie, o kim myślałem, jak nie o synu? A po co z kompanią psychopatów idę na Dniepr? Dla harmonijki i bluesa? Dla ojczulka, który porzucił mnie we wczesnym dzieciństwie?... I dlatego też, moja droga. I dla tego też... Ale może jednak uda się przekopać tunele? I wojny nie będzie, a będzie nowa przestrzeń życiowa?... Jaki mam w tym interes? A taki, kochana, że osadnicy muszą mieć co zjeść, a kto pierwszy dostarczy im chomików na rożnie, tego będą chwalić. Konkurencja nie śpi, moja droga!"

"No i głupi jesteś, Sajgon. Jakim ty jesteś idiotą." Swietka uśmiechnęła się.

To akurat wiadomo. W jednej ręce butelka, w drugiej pakunek. I jak ciebie, Sieriożeńka, po tym nazwać?...

Twarc Swietki zniknęła. I Sajgon został sam na sam z całą zgraj mutantów rdzawego koloru.

Było ich sześć sztuk. Po głowach ciężko policzyć, bo nie odstają żadne głowy.

Sześć bezkształtnych brył w różnych odcieniach rdzawego - od pomarańczowego i żółtego po ciemno-bordowy. Wszystkie inne. Wyjątkowe. Robaki i paciuki są jak krople wody. No, z wariantami. A te...

Stworzenia te nie miały oczu, nie miały uszu ani ust. Kończyn Sajgon też nie dostrzegł. Najbardziej podobne były do wielkich stosów... no, tego samego. Jakież to zwierzę tak powykręcały radiacja i szczepionki bakteriologiczne? Są pomysły? Sajgon nie ma ani jednego.

W tunelu nie zostało ani kabli, ani metalowych szafek - mutanty wszystko pożarły. Ściany pokrywał rdzawy nalot, dosyć twardy i sprężyste w dotyku, jak z gumy. Gdyby Sajgon przed wyjściem nie strzelił sobie trzech setek pieprzówki, za nic nie zbliżyłby się do ściany. Ale przecież strzelił, dzięki hetmanowi. Swiatoszyńczyk spojrział na pełną butelkę i westchnął. Być może, należałoby na razie zachować...

⁴⁷ Narkomoskie 100 gramów - dzienny przydział wódki, wydawany radzieckim żołnierzom w czasie wielkiej wojny ojczyźnianej (przyp. tłum.)

Ku jego wielkiej uldze, mutanty nie zwracały na niego uwagi. Czy to uparły się ignorować człowieka, czy to faktycznie nie zauważały. Były bardzo zajęte. Czym? Jeśli Sajgon dobrze zrozumiał, to one... kopulowały, jeśli tak można nazwać czynność, którą wykonuje jednocześnie sześć osobników.

Proces reprodukcji wymaga sporej koncentracji. Przy takim ciekawym zajęciu lepiej nikogo nie zaskoczyć. Sajgon wie z własnego doświadczenia. Kiedyś Mitka Kompas z manierką postanowił zajrzeć do towarzystwa z wyjątkową ofertą. W rezultacie Mitka stracił zęba, a Sajgon - serdecznego kompana. Potem się pogodzili, ale niesmak pozostał.

- Wybaczcie, moja wina... - Sajgon cofnął się, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Ale wtedy jego noga trafiła w zagłębienie w podłodze i przewrócił się na plecy, boleśnie uderzając głową. I oczywiście rzucił kilka głośnych przekleństw. Co charakterystyczne, butelkę przy upadku przycisnął do piersi - nie rozbił. To się nazywa dobrze się zorganizować! Pierozki też przetrwały. A całość z sześciu grudek rozpadła się. Mutanty uszu nie miały, ale nie to diabli, usłyszały.

- Ej, czego chcecie? - Sajgon usiadł, nie wiedząc, czy powinien biec pod kule NSWT, czy polec odważną śmiercią właśnie tutaj.

Bryły powoli zbliżyły się.

A Sajgonowi nagle przypomniał się Major, jego pouczający ton: "Jeśli nie wiesz, co robić, są dwie opcje: robić cokolwiek albo nie robić nic. I jedno i drugie jest przydatne, kiedy szukasz wyjścia z paskudnej sytuacji." Powiedziawszy to, Major z jakiegoś powodu roześmiał się. Sajgon do tej pory nie ma pojęcia, mentor żartował sobie czy jego mądrość była tak wielka, że pozostawała niezrozumiała dla niewtajemniczonych.

Jakkolwiek by nie było, nie będzie grzechem skorzystać z rady legendarnej osobliwości. Nie robienie niczego jest tym, co powinien robić. Sajgon zamknął oczy, uspokoił się, jego oddech zwolnił, serce ledwie biło. Prawdziwy szabrownik potrafi kontrolować swoje ciało. Sajgon nie jest prawdziwym, ale coś jednak wyciągnął z nauk mentora.

Wiotkie, zimne rzęski dotykały twarzy Swiatoszyńca, szyi i ramion. Wszystkie odkryte skrawki skóry podlegały ścisłej kontroli mutantów. Tylko cudem Sajgonowi udało się zachować bezruch kamienia. Tylko spokojnie, zachowaj spokój... Do diabła z zachowaniem spokoju w takiej sytuacji! Bezkształtne stwory, okrążające cię, zaraz opróżnią twój układ krwionośny... Jak tu się nie denerwować?! Oddychać głębiej?

Sajgon wiele razy słyszał bajki o wampirach, żyjących w mroku i cierpiących na światłowstręt. Irza jest przecież tymi wampirami, jeśli się przyjrzeć, tylko nie fotogenicznymi. Jeszcze jedna różnica: irzy światło reflektora na posterunku nie zrobiło żadnej krzywdy. A co, gdyby atakować z użyciem chrześcijańskiego krzyża? Legendy głosiły: przeciw wampirom jest on równie skuteczny, co woda święcona. Tylko że z religią relacje Sajgonowi się nie ułożyły. Cała jego religia zawierała się w bliznach na plecach.

Chociaż właśnie jest najwyższy czas, by pomyśleć o duszy.

Hej, ktokolwiek, wysłuchajcie spowiedzi Siergieja Kima, w świecie lepiej znanego pod pseudonimem Sajgon!

Aha, jak zwykle, cały tłum chętnych...

Zostaje użalać się nad sobą. Przecież porządek, więcej go nie dotkną. Oblepiły, to znaczy, mutanty uspokoiły się. Pomiętościły i zostawiły.

Ach, a żeby tylko!

Sajgon ostrożnie otworzył jedno oko.

I wtedy właśnie nieostrożnie otworzył drugie. Ze strachu.

Gapił się przed siebie, przeklinając wszystkich i wszystko. Szczególnie wypominał Fidelowi, który wciągnął go w szaloną wyprawę na opuszczonej stację. Przy okazji oberwało się też Lektorowi, ratując którego, on, skromny farmer, nieźle się namęczył.

Mutanty kontynuowały swoje igraszki. No i nich Pan Tuneli im dopomoże, tylko że...

Tylko dlaczego ustawiły się wokół Sajgona, tworząc ciągłe, nieprzerwane koło? Yhm, naturalny torus, a w środku człowiek, który do reszty stracił kontrolę nad swoim ciałem. Serce wyłamywało zębra, krew huczała w skroniach, oddech przyspieszył tak, że Sajgon, niczym balon z powietrzem, powinien unieść się do sufitu.

Konwulsyjnie podrygujący torus nagle rozdał się, zbliżając się ze wszystkich stron do Sajgona. Jeszcze z kółka przyrodniczego Siergiej pamiętał, że wiele zwierząt tak postępuje - z wczesną przygotowują jedzenie dla potomstwa. Należy zauważyć, że dla szóstki mutantów Sajgon jest na jeden kęs, tylko apetyt wzrośnie, a dla dziecka będzie w sam raz. Albo dla dzieci. Poza tym człowiek sam się

napatoczył.

Zdając sobie sprawę, jaki los mu zgotowano, Sajgon podskoczył. I zaraz torus zbił go z nóg i przewrócił się na górze. Masa była ta sama: jakby wpadł pod betonową belę.

Wspaniale, Sieriożeńka, niszczysz mutanty, bardzo profesjonalnie. A przecież osobiście obiecałeś hetmanowi Siczy... Obiecanego, oczywiście, trzy lata czekają, ale jednak...

Sajgon drgnął, próbując uwolnić się spod "zawału". Torus ani drgnął. Przy tym pod skórą połączonego stworzenia miał miejsce dziwny ruch. Jakby coś szybko biegało po okręgu. To się nabiega, przebija się na zewnątrz przez powłokę i złapie gardło Sajgona.

Postanowienie to było równie impulsywne, co chęć uratowania Lektora. Wymacał pod pasem pistolet i spróbował jakoś go wyciągnąć. Udało się, jedna ręka - lewa, pozostawała wolna. Oddychało się z wielkim trudem. Trudno, teraz uratuje się od cierpienia.

Wybacz, Swietłana. Synu, wybacz.

I ty Fidel, i...

Lufa do skroni. Palec na spust. Lepiej zdechnąć od razu, niż oddawać życie kroplami...

Stworzenie w środku torusa lada moment wyrwie się na zewnątrz.

Upadłeś - podnieś się, nie możesz się podnieść - pełnij, rób cokolwiek. I nie wiąż losu z głupotą i lenistwem!

Potomstwo zatrzymało się akurat naprzeciwko twarzy Sajgona. Uderzenie dziobem czy czymś takim - w torusie pojawiła się dziura, maleńka, w koronie z pęknięć, niczym zużyta opona.

Nie może dłużej zwlekać.

Chłodny wiaterek smagnął tył głowy.

- A do diabła z wami!!! - Sajgon wetknął lufę w dziurę i nacisnął na spust.

I świat wokół niego wybuchł.

* * *

Dosłownie wybuchł.

Torus dosłownie rozleciał się na boki. Jego resztki płonęły ogniem piekielnym.

Od razu zajęła się kurtka Sajgona, zapaliły się spodnie. Gorącym buchało w twarz, śmierdziało spalonymi włosami.

Sajgon podskoczył, upadł na plecy i zaczął obracać się, gasząc ogień na ubraniach. Jedną ręką klepał się przy tym po głowie - włosów ma niewiele, dodatkowych nie ma. Boli. Na dłoni pojawiły się pęcherzyki oparzeń. W oczach skakały różnobarwne zajączki - godne lampy błyskowej. Zapewne w przejściowym tunelu też je widziano.

Ugasiwszy ogień - kurtka jeszcze się tliła - Sajgon odpełził na czworakach. I natknął się na butelkę, którą dał mu hetman Kryga. Cała, a jakże! A pierożkom już się tak nie poszczęściło, zginęły w płomieniach, które ocalały od brudu... Cóż, nie dane było Sajgonowi skosztować specjału Metro-Siczy.

Ale co się stało? Ta eksplozja... Skąd?

Umysł Sajgona był zamglony, strzelił w irzę, co samo w sobie było bezmyślne, przecież kule nie mogły uczynić mutantom - torusowi - krzywdy. Ale to, jakie kule, zrozumiał od razu. Zwykle nie mogły. Ale te w magazynku były magiczne. Smugowe.

Takie wampiry srebrem, a takie...

Irza nie lubi fosforu? W tym cała rzecz?...

W biegu Sajgon zdrapał nożem lak i łapczywie przywarł do szyjki butelki. Teraz może. Pieprzówka wlewała się w niego jak woda.

Na spotkanie, dudniąc butami, biegli uzbrojeni Kozacy.

Sajgon zatrzymał się. Czyżby jego nieszczęścia nie zakończyły się?...

Rozdział 13

Nienawiść

Powinien nienawidzić tych ludzi.

Ludzi, którzy zniszczą jego stację.

Wszystkich obcokrajowców traktują jak bydło, drugi sort, niedorozwoje, godnych tylko uprawiać kukurydzę. On, Siergiej Kim, powinien ich nienawidzić! Doskonale wiedział, że powinien. Starał się usilnie.

Ale był w stanie!

Nawet gardzić nie potrafił. Oni przecież czyszczą i spulchniają glebę, ciężkim wysiłkiem zdobytą na powierzchni. Hodują zboża i marchewkę, czosnek, grzyby i wiele innych, co sprawia, że ślinka cieknie całemu metru niezależnie od wiary, języka i płci!

Sajgon wziął ostatni łyk i ostrożnie, żeby nie rozbić, postawił butelkę obok nóg.

Nóż do ręki. Pistolet do drugiej.

Nie był zdolny ich nienawidzić. Ale nie da sobą dłużej pomiatać. I w tym nie ma nawet kropli nienawiści. Zwyczajna ludzka potrzeba wolności. Za bardzo już, choroba, przywykł do wolności na Swiatoszynie. Ciężko się odzwyczaić.

...Dokładnie tak samo nie mógł nienawidzić kobiet z Niwek, uważających mężczyzn za bydło.

...I nowych chrześcijan z Żytomierskiej, palących heretyków.

...I dziwnych dzieci Szulawskiej, wymazujących pamięć podróżnym.

...I Borysa, nowego cesarza Bieriestiejkiej, tchórza i krwawego mordercę

Kozacy są blisko. Kolby automatów opierają się na ramionach. Sajgon podnosi pistolet. W oczach wszystko się dwój. Świetne napitki wytwarzają Siczowcy!

To przecież takie proste - nienawidzić. Wielkiej inteligencji do tego nie potrzeba. Wcześniej mu się udawało, nawet napawał się tą umiejętnością. A teraz...

Długie wąsy, rozczesane oseledce, rozbiegany wzrok. Gotowi są strzelać. Już, już. Właśnie w tej chwili. Cóż, Sajgon nie będzie zwlekał, zacznie pierwszy.

Tego uczucia, które osiadło w jego duszy, nie można nazwać miłością. W żadnym razie. To coś innego. On... on wybaczał im wszystkim. Wszystkim, którzy pragnęli jego śmierci tylko dlatego, że tylko trochę się wyróżniał, wierzył w inne ideały i wyznawał inne wartości.

Wybaczał, naprawdę. To stało się tak samo z siebie.

Gdyby wszyscy ludzie metra rozumieli i wybaczyli innym, nie takim, jak oni, wojny by nie było. To pewne. Sajgon był o tym przekonany na sto dziesięć procent. Ale żeby nauczyć się przebaczenia, trzeba bardzo dużo przeżyć, dużo przejść...

Dla wielu to nie na ich siły.

Nienawidzić jest łatwiej.

Sajgon nacisnął na spust.

- No on jest pijany w sztos! - usłyszał obok i ocknął się. Albo ocknął się, a potem usłyszał. - Myśmy się martwili o niego. A on sobie chleje z miejscowymi...

Sajgon otworzył oczy. Wszystko pływało i kołysało się, kręcąc się po spirali w bezdenny wir. Organizm wymagał oczyszczenia.

- To menda! Wprost na moją torebkę! Pewnie specjalnie celował! Nigdy nie wybaczę! Coś ty pił? Przyznaj się, gnojku!

- Pierozki - tylko tyle zdołał wymówić Sajgon. Kolejny spazm.

- Gnój!!! Już lepiej, żeby Kozacy pochowali cię w tunelu, nędzny alkoholiku! Słuchaj, a jak ci poszło? No, tę irzę... Aha, a twoje pierozki zabrali!

Sajgon skoncentrował się na obliczu Gilzy. Do tego musiał zmrużyć jedno oko.

- Lektor? Tutaj ?

- Nie ma z nami Lektora - usłyszał głos Fidela.

- Jak to nie ma? - Sajgon zaraz otrzeźwiał. Zdołał nawet podnieść się na łokciach. - Hetman na Biblię przyrzekał, że jeśli...

- To on wypuści wszystkich całych i zdrowych. Wiemy o tym. Ale...

Sajgon opadł z powrotem, oczekując dalszych informacji. Dobry materac, miękki. Tylko z jakiegoś powodu mokry.

- Kryga powiedział: "Niech murzyn stanie nago na środku peronu i zaśpiewa hymn Ukrainy. Jak nie umie śpiewać - niech wyrecytuje". Dopiero wtedy nas wypuści. Dodatkowy warunek. A dopóki jesteśmy tutaj gośćmi... Nie słyszałeś jeszcze, że Lektor ma zdolności językowe?

Doceniwszy dowcip hetmana, Sajgon roześmiał się.

- Pośpię jeszcze, porządnie się zmęczyłem. Obudźcie mnie później, dobra?

Ubrany w switkę i szkarłatne szarawary Lektor wyglądał zabawnie, fakt.

- No jeszcze raz! No dawaj! No co ci szkodzi? - cieszył się Bajda.

Lektor ciężko westchnął i kolejny raz zawołał:

- Szcze ne wmerła Ukrajina i sława, i wola!

Ratownicy wybuchli śmiechem. Sajgon śmiał się ze wszystkimi. Tak, łatwo mógł sobie wyobrazić, co przeżył Nigeryjczyk. Ale to w ogóle nie ugasiło jego zapału.

- Chrzczili? - zainteresował się Bajda, już bez ironii.

- A jak - kiwnął głową Lektor. - I kielich podnieśli. Jestem teraz pełnoprawnym Kozakiem. Jak ty. Bajda potrząsnął mu rękę.

Wszystko dziwnie dobrze się udało. Nie przekłamał hetman, wypełnił swoją obietnicę. Prawda, ktoś musiał nie raz się spocić ze strachu, za to teraz Lektor z bezdomnego włóczęgi zmienił się w prawdziwego Siczowca, który jest zawsze mile widziany na Politechnice. Z kanibalizmem koniec. Związał się. Ochrzcił się i związał.

Mało tego, na cześć zwycięstwa nad irzą Kryga rozkazał zorganizować uroczystość. Wszyscy Kozacy i goście stacji mają się bawić i pić gorzałę tak, żeby nie tylko ciekło po wąsach, ale i usta mieli pełne. Do tego przedsięwzięcia wytoczono cztery pięćdziesięciolitrowe beczki z licznych zapasów Krygi.

Każdy starał się poklepać Sajgona po ramieniu. A jakże - bohater dnia!

Nie minęła nawet godzina, jak jego ramiona pokryły się siniakami, a chcących osobiście podziękować nie ubywało. Dlatego, kiedy podstarzały Siczowiec w granatowym żupanie zaoferował oddanie tego żupana bohaterowi, Sajgon bardzo krótko się ociągał. Założywszy nowe ubranie, stał się podobny do miejscowych, tylko że bez wąsów. Wąsy mieli tylko żołnierze, u chrześcijan panowała inna moda - strzyżenie "od garnka". Prze nikogo nie rozpoznawany Sajgon spacerował po stacji, popijając z kubka z wódką.

Pozostali ratownicy trzymali się razem, nie oddalali się od materacy. Sajgona aborygeni wyciągnęli siłą na widok publiczny - Gilza nawet obraziła się na koszowego, który z jakiegoś powodu nie zwracał na nią uwagi. Sajgon nie spieszył się z wyjaśnieniami, komu powinno się za to dziękować.

Po raz pierwszy pojawiła się u niego możliwość popatrzenia z boku na swoich przyjaciół. Dziwne, ale od jakiegoś czasu ci ludzie byli mu drodzy i byłby gotów ryzykować dla nich życiem, coś zmieniło się w samym farmerze. Ale Fidel...

Fidel dalej zwlekał z opowiedzeniem historii harmonijki. "Młody, dopiero po tym, jak dotrzemy na Dniepr i znajdziemy tarczę do drążenia tuneli. Cierpliwości, młody!..."

Powinien rozumieć, że Sajgon nie jest z nimi tylko dla harmonijki! Świątoszyńczyk przesiąkł ideami comandante! Wędrując przez Metro-Sicz upewnił się, że na stacji zebrana jest znaczna ilość broni, że jest tu mnóstwo żołnierzy gotowych strzelać na pierwszy rozkaz hetmana. I bandytów z Dworcowej, swobodnie chodzących po peronie, Sajgon też zauważył. A ilość hasel propagandowych? To już normalnie śmierdzi wojną! Cała stacja przesiąkła tym smrodem. Jeśli wcześniej Sajgon mógł mieć wątpliwości, to teraz własnymi oczami zobaczył, rękami dotknął!

Ale dlaczego comandate ściemnia? Przecież wie, jak ważne jest dla Sajgona dowiedzenie się o swoim ojcu!

Porozmawiać trzeba z Fidelem od serca. Na osobności. Raz walnąć pięścią w brzuch - dla otwartości - i porozmawiać. Niestety, Fidel z jakiegoś powodu nie starał się dawać mu takiej możliwości...

Sajgon tylko na chwilę trafił do szynku, gdzie ucztowali charaktermicy. Ale comandante i to wystarczyło, żeby zniknąć bez śladu. Myszka i Bajda zerkali na boki, samowolka Fidela okazała się być dla nich niespodzianką, a Che tylko machnął ręką - mówiąc, żeby się nie martwić, szybko wróci.

Oto ona, szansa pojednania się z Fiedlem! Sam Pan Tuneli ci sprzyja, Sieriożka. Trzeba działać! Kiwnąwszy samemu sobie, Sajgon ruszył na poszukiwanie comandante.

Przebijając się przez tłum pijanych Kozaków - zajecie nie dla mięczaków. Jeśli ciągle kręcić głową, nie unikniesz nieprzyjemności: pewniakiem nadepniesz na palce żołnierza, potrącisz staruszka albo wylejesz zawartość kubka na drogą switkę. Na szczęście, po wyczynie Sajgona miejscowi byli nastawieni przyjacielsko - przeprosiny przyjmowali z uśmiechem, za broń nikt nie chwycił. Sajgon akurat po raz kolejny uklonił się, kiedy dostrzegł Fidela dosłownie kilka kroków od niego, obok beczki z gorzałką.

Zachciało się comandante wypić na krzywy ryj? Ale po co iść na drugi koniec peronu, skoro przy postoju ratowników jest dokładnie taka sama beczka, a i ludzi mniej?

A po to.

Comandante wcale nie poszedł się przejść. Ma spotkanie w sprawie interesów.

...Podał rękę na wół nagiemu Siczowcowi, jednemu z tych, którzy prowadzili Sajgona na spotkanie z hetmanem... Ciekawych ma Fidel znajomych. I po co było ryzykować życiem, walcząc z irzą, skoro comandante za wszystkich ratowników mógł szepnąć dobre słówko?

Coś tu nie gra. Im bardziej Sajgon przyglądał się Sajgonowi, tym mniej mu się to podobało. Nie bez powodu przywódca ratowników porzucił postój. Razem z Siczowcem, oglądając się, oddalił się za najbliższy pylon. Sajgon pospieszył w ślad za parką i nawet zdążył zauważyć, jak woreczek - należy wiedzieć, nie z guzikami - przechodzi spod koszuli Fidela do szerokich szarawarów Kozaka.

Wsunąwszy rękę do kieszeni, Kozak krótką chwilę postał z zamyślnym spojrzeniem. Przy tym poruszał ustami, przewracał oczami i cmokał. Gdyby Sajgon nie wiedział, co on tam ma, to pomyślałby źle o Siczowcu.

W końcu Kozak skończył liczenie i coś wyszeptał na ucho comandante. Rozstali się, obaj zadowoleni z siebie. Kozak odszedł, a Fidel nie. On czekał na coś, na kogoś?

Dwóch aborygenów wyszło z sąsiedniego portalu. Oglądając się na boki, jakby planując coś złego, położyli pod nogami Fidela bardzo ciężki plecak.

Dziwne to... Sajgon wyciągnął z kieszeni zębatkę - na wypadek, gdyby Kozacy napadli na comandante. Ale oni nawet nie o tym nie myśleli: skończywszy interesy, pospiesznie odeszli. A co tam - oni ledwo powstrzymali się od pobiegnięcia.

Plecak? Co w nim jest? Właśnie tam jest przyczyna pośpiechu tragarzy.

Fidel kucnął i, rozpiąwszy plecak, wyciągnął z niego brązową tubę, wewnątrz której były - Sajgon nie był pewien - trociny nasączone nitrogliceryną. Przecież to jest laska dynamitu. Rzadkość. W ZSRR dynamitu nie wykorzystywano od drugiej połowy dwudziestego wieku, ale Sajgon nie raz widział podobne zabawki w obozie szabrowników. Major odkrył zapas strategiczny w metrze. Ale po co comandante dynamit?...

Sprzedaż materiałów wybuchowych jest zakazana. Nawet bandyci ich nie noszą, uważając podobny biznes za zbyt niebezpieczny. Tylko szabrownicy używają materiałów wybuchowych - ale tylko na powierzchni. Jeśli nie jesteś szabrownikiem i cię z nimi złapią - rozerwą cię na miejscu, żeby zniechęci innych. Może właśnie dlatego Myszka jest w kompani ratowników?...

Fidel - silny! - zarzucił plecak na plecy i powoli, jakby spacerował, ruszył bokiem sali od pylonu do pylonu. Prosto do postoju ratowników.

Czy to hetmańska gorilka⁴⁸ się skończyła, czy jeszcze coś innego, ale bawiących się ludzi z kubkami w rękach zrobiło się znacznie mniej. A w bocznej sali - nie było ani żywej duszy, nawet chłopów przy kukurydzy nie było. Nikt nie chciał po pijaku karmić żuków rękami. Zasady BHP są tu ściśle przestrzegane...

Charakternika Sajgon zauważył, kiedy tylko zaatakował Fidela od tyłu. Sajgon od razu rozpoznał tego krępego mężczyznę - widział w tym szynku, który zwykli ludzie omijali szerokim łukiem.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Cichy krok, nóż w rękę i... Raz! - miecz Fidela, jakby wyjęty z powietrza, odciął dłoń charakternika. Dwa! - pozbawione głowy ciało zastygło w miejscu, nie

5

1 Gorilka - mocny, ukraiński samogon (przyp. tłum.)

wiedząc, czy iść dalej, czy paść i nie podnosić się więcej. Szkarłatna fontanna. Fidel zρέcznie się uchylił, na koszuli nie pozostały plamy.

Sajgon zastanowił się: czy powinien wyciągać z comandante prawdę o harmonijce?...

Powinien! Mało prawdopodobne, że kwestia zostanie rozwiązana pokojowo.

Ruszył za Fidelem, ale wyparował. Przecież dopiero co tu był - i nie ma go. Sajgon wmieszał się w ostatnich biesiadników w środkowej sali. Na całym peronie postawiono łózka. Przed świętowaniem rozebrano je, żeby zrobić miejsce dla wydarzenia. W Siczy wolnej przestrzeni brakuje. Nawet na Swiatoszynie nie jest tak ciasno. Jutro jest dzień roboczy, ludzie muszą się porządnie wyspać, więc nikt nie śpieszy się, żeby nadużywać. Oto, co znaczy dyscyplina!

Sajgon rozejrzał się po bokach. Fidel zabił obywatela stacji, w dodatku nie zwykłego obywatela, a charakternika. Kurwa i jeszcze raz kurwa! To grozi większymi nieprzyjemnościami dla ratowników. Trzeba stąd zniknąć, póki trupa nie odkryli i nie zamknęli stacji na czas dochodzenia, które będzie bardzo szybkie.

Ci, którzy nasłali charakternika, zdołają domyśleć się, kto odciął mu głowę.

- Gdzie się włóczęysz? Idziemy stąd. - Zostało to powiedziane tak, jakby nie stało się nic niezwykłego.

Ruchy Fidela są powolne, uśmiecha się. Plecak stoi zaraz przy jego nodze. Gilza wpycha do torebki swój niewielki dobytek. Myszka przygląda się swojemu kapeluszu na jej głowie. Che miętosił woreczek z trawą - w Siczy narkotyki są zakazane, a rastaman ma potrzebę zapalenia. Lektor? Ten wciąż jest jeszcze podniecony: przecież teraz jest Kozakiem! Dosłownie stał się białym człowiekiem... Jego wargi bezdźwięcznie powtarzają pierwsze wersy hymnu Ukrainy. Bajda już się zebrał, drepta w miejscu - nie może się doczekać opuszczenia stacji. Skąd taki wybryk, przecież to rodzina?

Na posterunku w tunelu prowadzącym na Dworcową, Lektor zaczął tańczyć hopaka. Za dużo wypiliście gorilki, panowie? Rozum wam odjęło?

- A idźcie mi stąd! - cedzi przez zęby Lektor.

I tak czerwone twarze Kozaków zrobiły się bordowe. W świetle reflektora uśmiechy przekształcają się w drapieżne uśmieszki.

- Jak wpadnie irża, dzwońcie! - Sajgon macha na pożegnanie Siczowcom.

Rada zrozumiana, lufy opuszczone, szerokiej drogi. Hetman raczej nie pochwali wartowników, jeśli zatrzymają bohatera, który ocalał stację przed mutantami.

Po namyśle, Sajgon postanawia milczeć o tym, co widział - o interesie, mieczu i charakterniku. To osobista sprawa Fidela, krew jest tylko na nim, ratownicy nie są niczemu winni.

Ale w ust samo się wyrwało:

- Ej, comandante, czego sam niesiesz taki ciężar? Pomogę ci!

Fidel ze skupieniem patrzy się na Sajgona. Z wielkim skupieniem. Nie mrugając.

Na twarz Sajgona uśmiech. Szczery, życzliwy.

Fidel uśmiecha się w odpowiedzi, żartuje:

- Jestem prawdziwym turystą, przywykłem do noszenia śpiwora samemu. Dzięki młody.

Sajgon rozumie: spalił się, wydał. Teraz Fidel wie, że tajemnica plecaka nie jest już dłużej tajemnicą. O cholera! Czy to nic strasznego?

Kim on w ogóle jest, ten Fidel? Skąd on ma starożytny miecz samurajski? Gdzie on się nauczył tak zρέcznie nim posługiwać? Sajgon w dzieciństwie widział film o kodeksie Bushido, o wojownikach odległej Japonii. Góra Fuji i sake, gejsze i bonsai. I ludzie w czarnych ubraniach, z twarzami zakrytymi maskami - cienie przemierzają się pośród nocy, skokami pokonują kamienne ogrodzenia, bez problemu wspinają się na wysokie mury. A nazywali się ci wojownicy... ninja albo... shinobi? Chyba tak. Czyżby Fidel był jednym z nich?!

Sajgon spogląda w tył głowy comandante.

Comandante odwraca się i mruga porozumiewawczo.

Rozdział 14 Dżungla

- Stać!

Jedyne normalne słowo, pozostałe - potok obelg i przekleństw, za które na Swiatoszynie obcięliby to, co przeszkadza kiepskiemu tancerzowi. Ale na obcą stację ze swoimi zwyczajami nie chodzą. Che

gestem zatrzymał Myszkę - ten niechętnie zdjął dłoń z rewolweru.

Ratownicy spotkali patrol Dworcowej.

- Oddajcie broń!

Pokręciwszy głową, jakby mówiąc: co wy, wilki haniebne, robicie, Fidel kiwnął swoim, żeby się nie ruszali. Ratownicy posłuchali.

- Paść mordami do podłogi! Powiedziałem! Ręce za głowę!!!

Seria z karabinu zajadłe uderzyła nad głowami, zmuszając do kucnięcia.

Nie padli, ale położyli się. Sajgonowi nadepnęli na krzyż, przycisnęli głowę lufą - zrujnowali fryzurę. Tak, włosy ma krótkie, ale jednak ma! Na innych stacjach także "ciepło" go witano, ale tutaj "najcieplej" ze wszystkich. Nie wytrzymał, zachichotał.

- A ty co się szczerzysz, gnojku?! - I cios kolbą po nerkach. Bolesny. Bardzo bolesny. I drugi cios.

"Jeśli jeszcze raz choć palcem..." - pomyślał Sajgon. Jakby usłyszeli - egzekucję przerwano, nogi zabrano z krzyża, nacisk na potylicy osłabł.

- Wstawać!

- Głuchy jesteś, czy co? Czego tak krzyczysz? - nie wytrzymał Che.

I wtedy padł - został uderzony w głowę kawałkiem kabla. Bili z połową siły, bez fanatyzmu, nie było takiej potrzeby - położyć łeb, inaczej rastaman przedwcześnie wybrałby się do rajskich ogrodów Jah.

- Ciebie co, do reszty powaliło?! - podniósł się na czworaka Che. - Lonczik cię...

Jego zęby szczęknęły przy spotkaniu z czubkiem buta.

Wściekał się mocny facet, łysy i brodaty. Podwładni z niepokojem nazywali go Saidem. Wygląda na to, że urodził się przed samą wojną - to znaczy całe świadome życie spędził w metrze, ale wciąż mówił z zauważalnym akcentem - żeby wyróżniać się pośród rdzennych mieszkańców Kijowa, nie inaczej. Zapewne dogadywał się z aborygenami Siczy. Na haku odpoczął czy zwyczajnie hymn zaintonował?...

Said nosił porządną kurtkę z grubej skóry. Turcja, przedwojenna. Sajgon od dawna chciał taką mieć - brązową, wytartą na łokciach, niezawodną. W ogóle dosyć łatwo było mu nosić ubrania - wystarczyło tylko, żeby były wygodne. Ale ta... Wężyk z złotego metalu, kieszenie z na szywkami - kurtka była, kurna, wytrzymała. Jej właściciel musi być szczęśliwym człowiekiem. Mało tego, że wojskowe ciuchy Sajgona znosiły się przez lata, to jeszcze teraz są zupełnie przepalone - kilkanaście dziur, nie mniej. Konsekwencje walki z irzą.

- Chcę tę kurtkę! - szepnął Sajgon Myszcze na ucho.

Ten zrozumiał po swojemu. Rzuciwszy okiem na Saida, pokręcił głową i stwierdził:

- Nie-e, ja wolę po staremu, z kobietami.

Sajgon chciał wytłumaczyć, co miał na myśli, ale zastanowił się - nic takiego się nie stało.

Ratowników zakuto w kajdany.

Paciuki, grube, dobrze nakarmione, wrywały się z łańcuchów. Bandyci chichotali, luzując łańcuchy, żeby mutanty podeszły na jeszcze dziesięć centymetrów do więźniów. Kły błyszczały przy samych kostkach, kapały krople zielonej śliny - mutanty trzymane z tyłu, ściskającymi szyje obrożami. I wszystko to na chwilę przed tym, jak kły miały wbić się w ludzką skórę. Ryk, pisk, chichot. Kakofonia sądneho dnia.

Z jaką radością Sajgon złapałby paciuka, który szalał pod jego nogami i skręciłby mu kark. Ale nie mógł. Ze wszystkimi mutantami nie da sobie rady, nawet jeśli bandyci nie będą przeszkadzać, a i to jest mało prawdopodobne. Do tego jeszcze zrobić gwałtowny ruch, a Gilza, idąca z przodu, upadnie. I Myszka z tyłu raczej też nie ustanie na nogach.

Ktoś mądry powiedział, że wolność mierzy się długością smyczy. Bardzo na czasie: każdy z ratowników ma nadgarstku jedną, okrągłą "branzoletę", a z drugą był połączony łańcuchem. Trzeba być bardzo zgranym zespołem, żeby poruszać się w tak ciasnym związku.

Dzięki Panie Tuneli, ratownicy są teraz właśnie taką kompanią.

Bandyci nagle zaintonowali:

Skuci jednym łańcuchem

Skuci jednym łańcuchem!⁴⁹

Widać, że mają koronny żart. Zarzeli tak, że paciuki padły na ziemię, łapami łapiąc się za długie pyskami i zakrywając oczy. Reakcja mutantów zaniepokoiła Sajgona - nigdy jeszcze nie dane mu było zobaczyć czegoś takiego... Co takiego musi się wydarzyć, żeby paciuki były przerażone?

- Witamy na Dworcowej! Pilnujcie się, gnojki!!! To strefa o zaostrzonym rygorze!!!

Bandyci zawyli niczym wściekłe psy. Said, który dotąd wzbudzał pewien respekt, przyłączył się do wszechobecnego szaleństwa. Wykrzywił wargi w trąbkę i wydał z siebie mrozące krew w żyłach wycie.

Niczego ludzkiego nie było w tym dźwięku.

Zwierzęta - oto, kto mieszka na Dworcowej.

Zarośla konopi przed nimi wyrastały niczym ściana, ciągnąc się w głąb stacji. Sajgon słyszał o plantacjach bandytów, ale opowieści karawaniarzy to jedno, a zobaczyć na własne oczy - to drugie. Widok był imponujący. Dżungla. Półmrok. Tylko mały w gałęziach brakuje. Mały chodzą niżej w skórzanych kurtkach.

A na wolnej przestrzeni przed "lasem" stał... czołg. Bloki dynamicznej ochrony, działo, doczepiony do niego karabin maszynowy, klapy otwarte, gaśnice całe. Wszystko w idealnym stanie, jeśli wnioskować po wyglądzie zewnętrznym. Co w środku - niewiadomo, ale jednak... I wielkimi literami napisane na wieżycze, białym na kamuflażu: SŁOŃ.

- Co to jest?! - wylubiła oczy Gilza. Po raz pierwszy widziała pojazd pancerny z przeszłości, więc jej reakcja była zrozumiała.

Nie odpowiedziano jej. Mężczyźni byli w szoku. Zobaczenie czołgu na peronie Dworcowej było, delikatnie mówiąc, było nieoczekiwane. Tak nieoczekiwane, że Sajgon zamarł w miejscu i dostał cios po nerkach za niesubordynację.

A co, tak naprawdę, miał zamiar tu podziwiać? Rozszarpane zwłoki? Tańczące striptiz szkielety? Czy może chciał spotkać Pana Boga siedzącego na białym tronie? Nie? Więc dlaczego tak go zaskoczył najzwyczajniejszy w świecie T-72, którego widział już na powierzchni? Czyli to znaczy, że wysokie na dziesięć metrów konopie są czymś normalnym, za to czołg...

- Skąd on się wziął w metrze? Jak to możliwe? - Bajda rozglądał się na boki, jakby oczekując ujrzeć jeszcze kilka ciekawostek pokroju BMP-2, BTR i ciągnika raketowego.

- Rozmowy w szeregu!!! - ryknął Said.

Aborygeni Dworcowej są zdolni do naprawdy wielu rzeczy, pomyślał Sajgon. Czołg rozebrano na części pierwsze na górze, na dole złożono. Czy jest czemu się dziwić, po tym, co zobaczył w przeciągu ostatnich dni.

Nie, Sieriożka, nie masz takiego prawa. I tym bardziej nie powinieneś wpadać w osłupienie, panikować i ani trochę się nie bać. Swietka. Syn. Swiatoszyn w końcu. I pozostałe stacje. Jeśli nie ty, Sieriożka, to kto uratuje metro przed wojną? A co, gdyby ukraść ten czołg i nim pojechać na Dniepr, hm?...

- Podoba się? - Said dostrzegł zaniepokojenie Sajgona.

- Jeszcze jak. Lepsza jest tylko twoja kurtka - wyszczerzył się farmer.

Ratownicy szli przez gęsty dym po ścieżce, zakręcającej pośród pni gigantycznych konopi. Korzenie rośliny rozkruszyły kamień peronu. Zaskakujące, że sklepienie jest jeszcze całe. Che tak błogo się uśmiechnął, jakby był nie w piekle, a w niebie.

Said niósł cały dobytek ratowników: plecaki, torby, broń i całą resztę. Sam niósł, nie ufając swoim "bykom". Widocznie wiedział, że po ich udziale ratownicy mogą doznać strat. A kiedy brygadier tak delikatnie obchodzi się z rzeczami zatrzymanych, to... Jest nadzieja otrzymać plecaki z powrotem? Nie wszystko jest stracone dla ratowników, tak? Ich tylko zabrano na przyjacielską rozmowę albo na wycieczkę po stacji. Tak?

Sajgon podnosił się na duchu. I wtedy pomyślał: a jeśli Said po prostu nie chciał dzielić się zdobyczą i dlatego niesie na własnym grzbiecie? Poczzerwieniał bandyta, ale oddychał równo. Mutantem jest, czy jak, taki ciężar tak łatwo nieść? Sajgon ze złością splunął na liść konopi wielkości człowieka i dopiero później zobaczył pod nim dwie dziesiątki grzybów. Kapelusze im świeciły, niczym pokryte fosforem. Kraj dziwactw, kurna.

Wszędzie między gałęziami konopi rozciągnięte były hamaki, na których odpoczywały pokryte

Słowa piosenki "Skuci jednym łańcuchem" zespołu "Nautilus Pompilius", autor - Ilja Kormilcew (przyp. autor.)

tatuażami męskie i kobiece ciała. Ludźmi tych warzywopodobnych organizmów nazwać się nie dało. Sajgon starał się oddychać głęboko. Dym odurzał, w głowie się kręciło. Jak oni są w stanie tu mieszkać? Niekończące się bycie na haju?...

I nagle wszystko zaczęło się ruszać. Gwałtownie.

Moment - i hamaki opustoszały.

A wszystko dlatego, że skądś z dżungli przyleciała mała strzałka - i wbiła się Lektorowi w gardło. Nigeryjczyk padł na kolana, zacharczał i zwałił się na bok, na ustach pojawiła się piana.

Zrzuciwszy z siebie obciążenie, Said oddał kilka długich serii w ciemnozieloną gęstwinę owianą dymem, po czym kucnął obok Lektora. W rękach bandyty pojawiła się jednorazowa strzykawka, wyraźnie nie jednokrotnie używana w akcji. "Byki" w tym czasie rozdzieliły się tak, żeby zakryć sobą jeńców. Lufy karabinów skierowano w dżunglę, ale w zasięgu wzroku były tylko puste hamaki.

Igła strzykawki wbiła się w czarną jak smoła skórę. Lektor wygiął się jak koromysł, zajączał tak, jakby miał za chwilę duszę oddać Bogu, ale po minucie odetchnął i otworzył oczy. W jego wzroku przebiegał ból.

- Znowu tu jestem. Przecież wróciłem do domu - i znowu... Czemu jestem tutaj?!

- Dlatego, że Kosmos kazał przyprowadzić tych dwóch - Said kiwnął w stronę Fidela i Che - i wszystkich, którzy z nimi będą. Żywcem. Tak więc wytrzymaj jeszcze trochę, koleś.

Założywszy nogę na nogę, Lonczik Kosmos siedział na skórzanej kanapie. Skórzana kurtka na wytartej koszulce, "bermudy" - nie godnie, ale wygodnie. Na nogach miał klapki z białej gumy. Paznokci od dawna nie obcinane, a boss, najwyraźniej, chwalił się tym. Dziwny był to człowiek, niesamowity: niczym staruszek - wygląda na osiemdziesiąt lat, a silny jest i gibki, zupełnie jak na zawiasach. Klapki i niechlujstwo jako pierwsze rzuciły mu się w oczy. A dopiero po tym gość zwrócił uwagę na wiek - tyle w metrze nie żyją, a zez bossa - rzucisz na niego okiem i jakbyś zanurzył się w lodowatej wodzie.

Sajgon zadrżał. Skórzane kurtki, skórzane kanapy. Ciekawe, z kogo zdierali skórę?

- Kto to jest? Co tu robią? - powoli, jakby niepewnie, powiedział Lonczik i uśmiechnął się tak dobrotliwie, że było wiadomo: nie oczekuj po nim dobroci. Oto kogo prawdziwym ludożercą...

Na jednym pomarszczonym policzku staruszek miał tatuaż - wznosząca się w językach płomieni rakietą; na drugim - księżyc i dwie gwiazdy.

Said delikatnie wzruszył szerokimi ramionami. Nie śmiał spojrzeć swojemu szefowi w oczy - i w ogóle nie podnosił wzroku powyżej srebrnej, szczeciniastej brody Lotczika. W pewnym sensie było to zabawne: taki wielkolud prawie trząśł się ze strachu przed słabowitym, siwym staruszkiem. Ale nie, nie śmieszne. Przeróżające.

Wzrok Lotczika zatrzymał się na obliczach Fidela i Che. Sajgonowi wydało się, że boss rozpoznał ich, ale z jakiegoś powodu sprawiał wrażenie, że są dla niego nieznanymi. Uśmiech spełził z twarzy comandante.

Obok kanapy stał stoliczek. Dwóch nówek stołu brakowało i zamiast nich konstrukcję w równowadze utrzymywała przygnębiona, stojąca na czworakach, naga dziewczyna: blat spoczywał na niej... w ogóle, Lonczik nieźle się ustawił. Blondynka, piersi jędrne, chociaż Swietka ma większe. Na lakierowanej powierzchni ułożona była biała ścieżka, starannie ukształtowana w karcianego trefla. Wewnątrz krzyża leżała zatłuszczona talia kart. Może Lonczik grał z "nóżką" w rozbieranego? Widocznie hazardzista.

- Chcesz? - Lonczik uśmiechnął się do Sajgona, wskazując na proszek. - Ja i moja młoda towarzysza... - głośno klepnął różową, trzymającą część konstrukcji - cenimy najlepsze, co było w przedwojennym życiu. Jak dobrze, że jeszcze wtedy organizowałem w metrze magazyn. Do dwa tysiące sto trzydziestego trzeciego wystarczy. Chcesz? - Ostrożnie wyrównał białą figurę ostrą brzytwą.

"Nie wierz, nie bój się, nie pytaj." Chyba takie jest hasło u tej zgrai?

- Samogonem się zadowolę. Albo pieprzówką - Kryga ugościł, niczego sobie. A to - Sajgon kiwnął na "ścieżki" na stole - nie w moim stylu, wybacz.

Boss Dworcowej momentalnie utracił zainteresowanie Swiatoszyńczykiem. Chyba niepotrzebnie wspominał o znajomości z hetmanem.

- Dziewczę, ach, dziewczę, jak ci na imię?

Amazonka nie od razu pojęła, że zwrócono się do niej.

- He?
- Głupia jesteś, dziewczyno? Zapytałem, jak ci na imię.
- Mi?... Ja... Mam na imię Gilza...

Kiedy Amazonka przypominała sobie imię, Sajgon rozglądał się. Najbardziej w czterech kątach Kosmosa nie rzuciła mu się w oczy "noga od stołu", nie pentagramy i pozostała kabalistyka na ścianach, nie kanapa w doskonałym stanie, nie tygrysia skóra pod nogami i nie dwupiętrowa prycza w rogu pomalowana na kolor sałaty. Nie! Sajgona niczym prądem poraziło, kiedy zobaczył fikusa po lewej ręce Kosmosa. Obok stała beczka po farbie, wypełniona kruszonym lodem, z lodu wystawała butelka z szampanem - to jest niezłe, tak. Ale fikus jeszcze lepszy!

- Wspaniale, dziewczę, wspaniale. Nie jesteś zbyt mądra, ale dobrze. Ja i moja młoda towarzyszka... niezbyt nie lubimy mądrych ludzi.

Dokładnie taki sam fikus rósł w pokoju Sierioży Kima - dawno i daleko, lata i kilometry ziemi temu. W wielkiej drewnianej doniczce. Liście zielone. Korzenie zagłębiające się w czarne i wilgotne, które wchodzi pod paznokcie. wystarczy tylko dotknąć.

- Jesteś przecież ruda, moje dziewczę...
- Nie jestem twoja!
- O? Moja młoda towarzyszka i ja... lubimy krnąbrne dziewczyny.

Wydostanie się stąd walcząc jest niemożliwe. Wzdłuż ścian zastygło na warcie trzydziestu "byków". Plus Said. Ten się za pięciu liczy.

A tak przy okazji, skąd na Dworcowej fikus? Niechże będzie piętnaście odmian konopi - promieniowanie i broń bakteriologiczna, jak wiadomo, z jakiś szatańskich przyczyn korzystnie działały na ten rodzaj upraw. Stąd halucynogenne grzyby ze świecącymi kapeluszami. Muchomory i tysiczki każdą katastrofę przetrwają. Ale fikus?!...

- Jesteś ruda. Mam u siebie blondynki, a ja je bardzo lubię. - Plaśnięcie o różowe dla zilustrowania słów. - Są czarniutkie. A i moja młoda towarzyszka... lubimy czarniutkie. Ale nie mam rudych! Jak to się stało?

Ostatnie pytanie było zaadresowane do Saida. Brygadier zatrząsł się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Skoczył do Gilzy i popchnął ją - a zarazem całą grupę ratowników - w stronę Kosmosa.

Sajgon upadł na kolana i zaraz podskoczył.

- Ja i moja młoda towarzyszka... uważamy, że ta dziewczyna godna jest upiększyć nasz harem. Jak się nazywasz, przypomnij?

Grupa zatrzymała się trzy metry przed Kosmosem. Z tej odległości paznokcie bossa wyglądały na obrzydliwie długie.

- A pozostałych gdzie? - Said ciągle jeszcze drżał, odciągając Gilzę.
- Niech się zabawią. - Lonczik zdziwiony zmarszczył czoło. Znaczyło to: co to za głupie pytanie, to si rozumie samo przez się.

Said mimowolnie cofnął się o krok, ale jeszcze wskazał na Fidela i Che:

- Ci też?
- A w czym oni są gorsi od swoich kompanów? - Przy pomocy żółtej rureczki, od pisaka, Kosmos wciągnął proszek do nosa i stęknął z zadowolenia.

A potem usiadł na stoliczku z nogami.

Boss Dworcowej Lonczik Kosmos strasznie się nudził. Przeciągle. Bez końca.

To zrozumiałe: jak ma być, kiedy wszystko się ma? Przychodziło więc szukać dla siebie innych sposobów zabijania czasu. O rozrywkach Kosmosa istniały plotki - jedne koszmarniejsze od drugih. Mówiły one, że Lonczik jest bardzo pomysłowy w planowaniu tego, żeby rozweselić się w taki czy inny sposób, ale koniecznie z samookaleczeniem.

Zazwyczaj w jego gierki zaangażowani byli obcy, którzy przez głupotę trafili na Dworcową. Rzadko dobrowolnie, chcąc zarobić. Czy trzeba mówić, że karawaniarze bywali na Dworcowej tylko tranzytem i składzie nie mniej niż dwudziestu dobrze uzbrojonych żołnierzy. Prawda, dosyć często i to nie gwarantowało bezpieczeństwa.

Jeńcom i wolontariuszom Lonczik dawał przeróżne zadania. Wykorzystywał ich niczym rzymskich gladiatorów. Przepytywał, upodabniając się do średniowiecznego inkwizytora. A już do reszty ogarnie

chandra - torturował ekstrawaganckimi sposobami. Na przykład, wlewał w biedaka naftę, ale same migdałki i zmuszał do moczenia się na palnik. W tej kwestii władca miał bogatą fantazję, nie mające sobie równych w kijowskim metrze.

Kiedy Kosmos ogłosił, że wszyscy, za wyjątkiem Gilzy, trafią na najbliższe zabawy, Sajgon zmartwił się za siebie i ucieszył za Amazonkę - oni wszyscy na pewno zginą, a dziewczyna chociaż pociągnie trochę dłużej. Jeśli będzie sprytniejsza i mądrzejsza, nie zacznie od razu odtrącać okropnego staruszka, a zastanowi się, jak go uwieść... Baby, one przecież to wszystko potrafią, one to mają we krwi od wieków, a promieniowanie składu babskiej krwi nie zmieniło... Poradzi sobie Gilza?

- Pierdol się, stary dupku!

I splunęła jeszcze w bossa. Pokazała, jaka jest! Największa niedostępność. Zina, kurna, Portnowa.

Ciekawe, co dla niej wymyśli Lonczik? Na jego miejscu Sajgon własnoręcznie ugotowałby dziewczynę w oleju i nakarmiłby nią paciuki łyżeczką, wycierając serwetką długie mordy. Ale Kosmos ma zapewne porachunki z Gilzą i swoje własne fantazje.

Swoją drogą, dokładność rudej konkurowała ze snajperskimi zdolnościami Bolta mieszkającego na Swiatoszynie. Ślina Amazonki trafiła wcale nie w rakiety ani księżyc na policzkach "starego dupka", a w twarzyczkę nieszczęśliwej "nózki". Załamując się pod ciężarem ciała staruszka blondynka rozplakała się głośno. Lonczik, na wszelki wypadek uchyliwszy się, zeskoczył ze stoliczka, ten przewrócił się i proszek niczym śnieg pokrył skórę tygrysa.

Tak w zasadzie, lepiej by było, gdyby Gilza trafiła Lonczika w mordę.

Sam Zeus z książki Kuhna miotał gromami i błyskawicami znacznie ciszej, niż szalał pomarszczony człowiek z Dworcowej.

Myszkę zatkało. Che z zapartym tchem słuchał bluzgów Kosmosa. Fidel zbladł, a Lektor i Bajda z nadmiaru odwagi o mało nie padli zemdleni. Sam Sajgon miał usilną potrzebę wyjścia. Został tylko dlatego, że bał się, zmoczywszy spodnie, uszkodzi bardziej już i tak poszkodowaną skórę. To już było całkiem nie na miejscu.

Teraz już wiadomo, dlaczego Said tak niekomfortowo czuje się w pobliżu Kosmosa: nawet bez młodej towarzyszyki, tylko dzięki swoim zdolnościom językowym, boss potrafił wywołać strach i przerażenie.

Bandycka charyzma nie ruszyła tylko Che.

Zaczepiwszy zaciekawiony wzrok w rozsypującej się po podłodze talii kart, niewzruszony rzucił:

- Niezły przepływ powietrza - w uszach dzwoni. Może prawdziwą grę zorganizujemy. W co gramy?

I wyciągnął zza pazuchy swoją własną talię - niewiele mniej tłustą, niż kosmosowa. Karty zatrzepotały w jego palcach, niczym ptaki z Bieriestiejskiej. Boss zahipnotyzowany wpatrzył się w wytarte i brudne od tłuszczu i sadzy kartonowe kwadraciki. Rybak rybaka zobaczy z daleka, czyż nie?

- Krótka piłka, Lonczik. Chcę Gilzę.

- I pozostałych, wliczając mnie samego - odpowiedział Sajgon.

- I pozostałych. - Che z powagą skinął Swiatoszyńczykowi. - Razem ze mną.

- I fikus - dodał Sajgon.

- I fikus - powtórzył posłusznie Che i, zdawszy sobie sprawę, co właśnie powiedział, spojrzął z ukosa na farmera.

- Fikus? - Kosmos zmrużył oczy. - Fikus?!

- Tak. Fikus. - Che pojął, że dotknął czułego punktu bossa.

- A co ty postawisz? - odgryzł się Kosmos. - Ty cały, z flakami, jesteś mój!

Z każdym słowem z nozdrzy wylatywały obłoczki białego pyłu, jakby był nim wypełniony po czubek głowy.

Che w mig przerwał jej wesołość.

- Moją stawką jest dusza.

Twarz Kosmosa skamieniała, wyraźnie nakreślając zmarszczki. Dopiero teraz Sajgon zrozumiał, ile ten człowiek ma lat. Znacznie więcej, niż wszyscy inni starcy, których znał. Może nawet dziewięćdziesiąt. Może i tysiąc.

- Dusza? - śpiewnie powiedział Kosmos i obliznął się, smakując słowo na języku. - Duuuszaaa...

Che rozłożył ręce - a karty zniknęły:

- Dusza. Ale jeśli nie chcesz...

Boss pochylił się do przodu, wykonując szcęką ruch przeżuwania, jakby nie chcąc wypuścić z ust wciąż wierzgającej zdobyczy.

- Pasuje. O duszę będę grać. Mi i mojej młodej towarzysze... dodatkowa dusza nie zaszkodzi.

Che wiedział, o co gra. Być może był wcześniej na Dworcowej, a może potrafił odczytać dziwne znaki, które zdobiły ściany leża bossa. Albo słyszał, że wynajęci przez Kosmosa szabrownicy wychodzili do martwego Kijowa w poszukiwaniu książek o magii, o okultyzmie. Sam boss z nikim nie dzielił się swoimi zainteresowaniami, a z kim podzielił się pod wpływem narkotyków - temu po dojściu do siebie odcinał język, żeby nie wypaplał dalej. Ale i tak paplali... Powiadano, że Lonczik własną duszę już dawno sprzedał.

- W co gramy? - mrugnął do bossa Che. - W durnia?

Kosmos zignorował obrazę. Uśmiechnął się:

- Od ciebie mam duszę, a co od pozostałych wziąć? Może tak. Jeśli przegrasz, zmuszę tego kanibala do zjedzenia ich żywcem, po kolei. - Mrugnął do Lektora. - Pamiętam cię, mój wiecznie głodny chłopcze. Postanowiłeś wrócić do tatusia? Twoja klatka ciągle jeszcze na ciebie czeka.

Nigeryjczyka zatkało, ścisnął pięści. Ale Kosmos już stracił nim zainteresowanie.

- Tego - wskazał na Che - rozkuć i do mnie. Pozostałych won. Nie chcę, żeby zaglądali w karty... Nie, zostaw! Niech patrzą, jak ten łoś przegrywa ich życia!

- Zaczynamy? - spęcie-wesoło zaproponował Che.

Zamiast odpowiedzi Kosmos zanurzył się w stercie proszku na skórze. Sekunda, dwie, trzy... Ruchy jego stały się gwałtowniejsze, w oczach przybrały wymowny wyraz.

Sajgon skrzyżował palce na szczęście rastamanowi. Przyda mu się.

Rozdział 15

Biznesmeni

Kiedy Gilza i grono ratowników odchodzili z chórem, boss odebrał od Saida strzykawkę i wbił sobie w żyłę pięć dawek przeźroczystej cieczy z fiołki. Morfina, czy jak?...

Lonczyk odprowadzał procesję mętym wzrokiem. Mgła w oczach, rozumu tym bardziej nie znajdziesz - odleciał rakieta do gwiazd i księżycy.

Che ostatni opuścił gościnnego gospodarza.

- Na pamiętkę. - Rzucił na stół swoją talię, wytartą i pokrytą sadzą, jeszcze przedwojenną. - Sądzę, że zwiążę się teraz z kartami.

Rozegrała się dziwna gra. Na początku wydawało się, że powieszą ich tu za pół godziny, nie dalej. Che najpierw przegrał Gilzę (ta o mało nie wydrapała mu oczu - ochrona odciągnęła), potem Bajdę, potem Sajgona - Siergiej wyrwał się, ale zaraz prawie wyłamali mu szczękę. I dopiero kiedy na szali postawiono Fidela, coś się stało. Oczy Kosmosa okryły się mgłą: czy to za długo zmuszał się do czekania na używkę, czy to diabły, którym sprzedał duszę, tymczasowo weszły w swoją własność. Grał on według swoich własnych, jemu tylko zrozumiałych zasad - jakby w inną grę i nie z Che, a z kimś niewidzialnym.

I Che w jakiś sposób odgrywał się życie za życie. Do swojej duszy i tak nie dotarł.

Kosmos, poruszający się ciężko, niewygodnie, jakby w jego ciele siedział ktoś inny, kto nie uporządkował jeszcze wnętrza, tylko na zgodę kiwnął głową, kiedy spocony Che ostrożnie położył ostatnią kartę na stole i zapytał, czy boss uznaje jego zwycięstwo.

Jęńców wypuszczono. Bandyta dotrzymał słowa.

- Ej, Said, sprężyłbyś się z "bransoletami", bo nabruździmy jeszcze. - Myszka założył już pas z rewolwerami.

- Spierdalaj!

Szabrownik chrząknął i jednym strzałem przerwał łańcuch kajdanek.

- A co - zmrużył oczy, przyglądając się stalowej obręczy na nadgarstku, - niczego sobie biżuteria, biorę!

Do tunelu prowadził ich tylko Said, swoich ludzi puścił wolno. Z jakiegoś powodu Sajgonowi wydawało się, że, gdyby znowu zaczęto do nich strzelać z dżungli, Said nie będzie robił sobie więcej problemów i tracił medykamenty.

- Szuler? - spytał mrocznie bandyta rastamana.

- Szuler - zadziwiająco lekko zgodził się ten. - Ale sam widziałeś, bracie: nie mogłem przeciw niemu niczego zdziałać, dopóki poleciał w astral. Uczciwe zwycięstwo.

- Widziałem - poważnie kiwnął głową Said. - Zawsze z nim tak jest. I niekiedy nie wiesz, czego oczekiwać.

- Opętany? - zapytał poważnie Che.

Said niczego nie odpowiedział: westchnął tylko ciężko i wzruszył zapaśniczymi ramionami.

Che w zamyśleniu rozkładał liście konopi po wolnych kieszeniach. W plecaku Sajgona zmieściło się kilka kilo, nie mniej. A do plecaka z materiałami wybuchowymi rastaman nawet się nie zbliżał.

Wygląda na to, że nie tylko Fidel i Sajgon byli świadomi jego zawartości.

- Słuchaj, Said - odezwał się nagle Fidel, długo już milczący, - co chcesz za swoją kurtkę?

Sajgon nadstawił uszu: odzież bandyty także jemu przypadła do gustu.

- Tak, Said! - wtrącił. - Czego chcesz za kurtkę?

- Oddasz łuk? - Said z uwagą spojrzał Sajgonowi w oczy.

- Nie - zawahał się Siergiej. - Łuku nie oddam.

- Dam kataną! - zaraz rzucił Fidel

Błysnęło ostrze.

Fidel szczerze się roześmiał, drażniąc Sajgona:

- Młody, ściągaj już swojego łachmana. No ile można w nim chodzić? I to przy tym, że jego kraciasta koszula wyglądała nienajlepiej.

- Ile trzeba, tyle można. Może i łachman, ale mój. - Sajgon z zawiścią spoglądał na wymienioną

przez comandante kurtkę.

Kurtka wręcz świeciła wprost na niego w mroku tunelu. Z pewnością masaż mózgu, który Sajgonowi wykonał telepata z Szulawskiej, ciągle jeszcze dawał o sobie znać.

Dopiero teraz Sajgon zastanawiał się nad powodem nowo nabytych umiejętności: Bajda, Myszka i Gilza postrzegali to jako konieczność. Widocznie ich umysły pognieciono bardziej niż Sajgonowi, a może i nie pierwszy raz.

No żeby tylko nie zaszkodzić... A to i tak połowa metra - "niespełna rozumu", jak mawia Bajda. Sami poradzili sobie, bez wtrącania się telepatów.

- Na wierzch założysz, prawda? - Fidel podał Sajgonowi turecką skórzaną kurtkę. - Toż to dzieło sztuki - i na wierzchu twojego łachmana?! Nie szkoda, młody?

Sajgon, ciągle jeszcze nie wierząc w swoje szczęście, szybko ściągnął wojskową kurtkę, wypaloną przez płonące szczątki irzy. Ale najpierw, oczywiście, opróżnił kieszenie. Było w nich wiele przydatnych rzeczy. Te same zębatki rzucać ile są warte. No i gdzie w tunelach kupić ich zamiennik? W końcu rzucił swoją starą, porwaną kurtkę na tory.

- A nie przepłaciłeś, co, Fidel? - nieco zakłopotany, z wdzięcznością spoglądając na starego wilka, zapytał Sajgon. - Miecz samurajski, rodzinna katana - za jakąś tam kurtkę?

- Co ty, młody, na głowę upadłeś? Skąd w metrze rodzinny miecz? Taką broń wytwarzano tylko w Japonii. A to jest pamiątka z działu prezentów. A co? W bezpośrednim starciu to samo. Najważniejszym jest bezpośrednio nie uderzać płazem. Stal jest do kitu, złamie się.

Sajgon pokręcił głową. I wziął on obalił całą teorię o bushido i wojownikach duchach, którzy przenikli do kijowskiego metra... Masz już trzydziestkę na karku, Sieriożenka, a nadal nie możesz wyrosnąć z krótkich spodenek...

- Wydaje mi się, młody, że z fikusem dobrze pomyślałeś.

Z tym samym, którego Sajgon taszczył od samej Dworcowej, zalewając się potem? Ponoć, Che wygrał go po to, żeby nie zostawić bossowi żadnego dobytku. Fidel powiedział: "Nie ma problemu, ale doniczkę sam sobie niesiesz". Tak właściwie, to był głupi pomysł.

- Nie wiem, młody, skąd wiedziałeś, że dla Kosmosa ten cholerny kwiatek jest tak ważny, ale... Kiedy dojdzie do siebie, załamie się. Zechce posłać pościg. A tak będą nas zabijać bardzo ostrożnie. Żeby nie uszkodzić drogiego Lonczikowi przyjaciela - i Fidel poufale poklepał doniczkę z fikusem.

Od noszenia ręce zdrętwiały, plecy bolały. Ale po stwierdzeniu comandante Sajgon uznał, że jednak nie jest taki ciężki. Ochryple oddychając, zapytał:

- Nie rozumiem tylko, kto strzelał w Lektora?

- Na pewno nie bandyci. I mało prawdopodobne, że celowali w naszego kanibala.

Sajgon skinął. Jasnym jest, że charakternicy nie wybaczyli comandante śmierci swojego towarzysza. To była dopiero pierwsza próba. Jeszcze się spotkają.

Trzeba iść szybciej, ot co.

Tunel do stacji Uniwersytet. Dniepr z każdym krokiem coraz bliżej i bliżej. Ale i sił coraz mniej i mniej.

Rozmowy zakończyły się. Wszyscy cenili oddech. Che stale rozglądał się, jego nerwowość udzielała się pozostałym. Oczywiście jest, że Kosmos nie pogodzi się ze stratą. Jedna Gilza ile była warta, przecież w haremie bossa brakuje rudyh. A fikus? Nie tak łatwo znalazł się w prywatnej kwaterze Kosmosa...

- Stać! - zakomenderował Fidel.

Wszyscy zamarli.

Charcząc - w końcu nie jest już chłopcem - comandante położył się i przyłożył ucho do szyny. Po minucie wstał:

- Pościg. Ponad dziesiątka żołnierzy. Poznają kroki... Miałem już raz takie coś. To nie ludzie Saida. To inni, wierne psy Lonczika. Wypuszczają ich w skrajnych przypadkach. Mendy nazywają się berserkami. Przed nimi fikus nas nie obroni. Wybacz, młody.

- A weźże rzuć tego fikusa - burknął Che.

Sajgon pokręcił głową. Niepotrzebny, co? Pomylił się comandante? A idź w diabły! Sajgon nie zostawi rośliny w tunelu: ona przecież zginie bez światła! Nie opuści teraz dla zasady - tyle niósł!

Nagle tunel wypełnił się piskiem i hukiem, rykiem śmiechów i serii z karabinów.

- Oni zawsze tak robią, jeśli wiedzą, że zwierzyna nie ucieknie. - Fidel odbezpieczył pistolet.
- Nie damy sobie z nimi rady. - Rastaman powiesił broń na ramieniu. - Nie zamierzam brać udziału w z góry przegranej starcie i innym nie radzę.
- Podejmiemy walkę, Che - wyszczerzył się drapieżnie Myszka. - Ratownicy nie podkują ogona!
- A może nie trzeba? - Gilza mocniej przycisnęła do piersi torebkę. Każda kolejna stacja okazywała się być gorsza od poprzednich. Dziewczyna w żaden sposób nie mogła rozstać się z ratownikami, więc szła z nimi dalej.

Bajda w milczeniu obrócił się i kucnął za metalową szafą pod ścianą. Dobra pozycja ogniowa - o ile nie zaczną walić z granatników. To, oczywiście, kompletne szaleństwo - bez wątpienia zawali się tunel, ale po berserkach wszystkiego można się spodziewać.

Przykład Kozaka nie przekonał Che, za to porwał Myszkę i Fidela. Trójka zaczęła pospiesznie ustalać dalsze działania kompani. A Sajgon po raz kolejny upewnił się, że w sporach wcale nie rodzi się prawda. Dlatego że z powodu spierania się ratownicy przegapili niebezpieczeństwo, podkradające się w ogóle nie z tej strony, z której się spodziewali.

- Z tyłu! - krzyknął Lektor, rozwijając łańcuch.

Ratownicy zgodnie zamilkli. Pół sekundy zajęło im, żeby dojść o co chodzi. Dalej natomiast działali szybko i zgodnie. Bajda i Myszka przykrywali tunel tam, skąd lada moment mieli pojawić się berserkowie. Che, Fidel i Sajgon zwrócili się na spotkanie wroga zachodzącego od tyłu. Gilza usiadła na szynie i zakryła głowę dłońmi. Prawdopodobnie, trzeba trzymać się w garści.

Obraz olejny, jak mawiał Aleksiejewicz, szef Swiatoszyna. Za nimi - czy to z paletą, czy bez - namalowała się duża grupa ludzi: piętnastu dobrze uzbrojonych facetów w wieku poborowym.

- Jak udało im się do nas podkraść?

- Po prostu niektórzy za dużo gadają - odpowiedział Fidelowi Sajgon.

Comandante spojrział na niego i niespodziewanie wrzasnął:

- Hej, kim jesteście?!

Przy tym wystawił przed siebie pistolet. Taką głupotą i łybida przestraszyć można, a już tym bardziej zwykłych ludzi. Karawaniarze, a to byli właśnie oni, zamarli z podniesionymi rękami. To znaczy zamarła tylko trójka na przedzie - pozostali ani myśleli o opuszczeniu broni.

- Jesteśmy w pewnym sensie prostymi podróżnikami - wyjaśnił jeden z poddających się, dwudziestoletni chłopak. - Idziemy w celach zarobkowych. A wy kim jesteście i co tu robicie? Kimś w rodzaju zasadzki, tak? Bandyty z Dworcowej? Siedzimy i czyhamy?

- Coś w tym rodzaju - uśmiechnął się Che.

Niepotrzebnie to zrobił. Dziesiątki łuf skierowały się na ratowników, szczęknęły bezpieczniki. Do każdego karabinu taśmą klejącą albo izolacyjną przymocowana była latarka. Światło biło po oczach, zmuszając do zmruczenia oczu, ale Sajgon zauważył jeszcze na twarzach karawaniarzy palącą chęć otworzenia ognia.

- Coś w rodzaju pokój dla świąty, tacy jesteśmy - pociągnawszy nosem, powiedział ten sam chłopak. - Ale jeśli do nas w pewnym sensie z mieczem, to możemy się odgryźć.

Już zbyt często grabiono karawaniarzy. W tunelach grabiono i na stacjach. Po co płacić za towar, skoro można wziąć za darmo? Takie myśli naszyły, z pewnością, każdego mieszkańca metra. Sajgon nie jest wyjątkiem. I dlatego karawaniarze postanowili strzelać pierwsi.

Rastaman splunął z pogardą i momentalnie przystawił łufę karabinu do czoła gadającego handlarza. Znudzony wyraz zaraz spełzył z twarzy chłopaka.

Zazwyczaj karawaniarze zabierali ze sobą pięć ogromnych toreb, których, oczywiście, nie wszyscy mogli nieść jednocześnie. Dlatego karawana przemieszczała się tunelami dosyć swobodnym szykiem. Trzech szło z przodu, jako zwiadowcy. Zatrzymywali się w miejscu i czekali na towarzyszy z ładunkiem na ramionach. Za jednym razem można przenieść jedną, maksymalnie dwie torby. Od tego było dwóch, góra pięciu i głównie chodzili. Do tego jeszcze trzech żołnierzy kryjących karawanę z tyłu. W ogóle, niektóre odcinki tuneli z powodu nagromadzonych toreb były zablokowane.

- Czy można, pytam się, przejść? - Che spojrzął gniewnie na handlarzy ubranych w kolorowe chałaty - kropka w kropkę jak te, które ratownicy przymierzali na Bieriestiejskiej.

Sajgon ciągle jeszcze żałował swojego trofeum, podarowanego mutantowi z Klasztoru Smutku. Ale to jest rzecz święta, jak że nie pomóc ubogiemu?

- Nie przejdziemy tędy. - Obróciwszy się do Fidela, Che lekkomyślnie wymachiwał bronią na boki, czym wywołał ożywienie wśród rzędów handlarzy. Widocznie uznali, że teraz rozpocznie się eskalacja konfliktu. Jak by rzeczywiście nie wypuścili salwy ostrzegawczej...

- Ej, biznesmeni, zdecydujcie się w końcu! Niedługo mamy zaplanowany obiad!

Rastaman jakoś zapomniał wspomnieć o tym, że za chwileczkę pojawią się wybrani bandyci Kosmosa i lepiej się im nie pokazywać.

- Ej, z kim ja rozmawiam, z bezmózgimi paciukami?!

Karawaniarze odpowiedzieli grobowym milczeniem.

Che zmrugał oczy, przyglądając się awangardzie karawany w zasięgu wzroku:

- Pamiętam, dawno temu uczyli mnie ojciec i matka: traktuj jak traktują, kochaj jak kochają, strzelaj jak strzelają!⁵⁰

Palec dotknął spustu.

* * *

Ale wystrzelić Che nie zdążył.

Przeszkodził mu Sajgon. Przecież walczyć na dwa fronty nie jest dobrym pomysłem, czyż nie?

- Panie! - Zrobił krok do przodu. - Jak miło spotkać w mroku tunelu kolegów po fachu!

Karawaniarze podejrzliwie bąknęli coś.

- Z okazji naszego spotkania pragnę wam podarować tę cudną roślinę! - Naprężywszy się, Sajgon oderwał doniczkę od podłoża i, stękając, zaniósł trójce, która nie spieszyła się podać rękę.

- Co to jest?! - W głosie karawaniarza zabrzmiał szczery podziw.

- Fikus. Czyli palma. - Zastanowiwszy się, Sajgon dodał: - W pewnym sensie.

- Palma?! - Spod chałatu wysunęło się wytarte przedwojenne czasopismo. Na okładce rysowały się nagie panienki. Tło: plaża otoczona wysokimi palmami. - Coś w tym rodzaju?!

- Tylko jeszcze malutka - zakłopotał się Sajgon. - Ale kiedy wyrośnie... - Zrobił wieloznaczną pauzę, żeby chłopak zrozumiał: kiedy to się stanie, nie będzie można odgonić się od panienek, natomiast plażę i ocean też się jakoś stworzy. - Na znak naszych dobrych stosunków!

- Dziękuję! - Prezent wyraźnie przypadł do gustu. - A my w pewnym sensie chcielibyśmy się odwdziżyć...

- Przepuszczając nas! - zakończył za karawaniarza Sajgon. - W końcu bardzo się spieszymy!

Che opuścił broń. Lektor zwinął łańcuch. Gilza podniosła się i podeszła do Nigeryjczyka. Za jego plecami czuła się bardziej komfortowo. W pewnym sensie bezpiecznie.

- No... - zawahał się handlarz.

Sajgon wiedział, że dla biznesmena ustąpić drogę jest równoznaczne ze zdjęciem spodni i wypięciem tyłka koszowemu z Politechniki. Aby karawaniarz zgodził się na coś takiego, jeden fikus nie wystarczy. Nie czekając nawet sekundy, Sajgon zdjął z siebie skórzaną kurtkę:

- A to osobiście dla ciebie, bracie!

- Co ty robisz, przecież ja... - oburzył się Fidel.

Sajgon wzruszył ramionami - to nie tak, jak myślisz, comandante.

Karawaniarz założył na siebie turecką skórę. Wymiana została zaakceptowana.

I wtedy przeleciał nieznośny smród.

- Co tak jedzie?! - Myszka zgiął się wpół i wyrzucił z siebie resztki ostatniego śniadania... czy kolacji? Gilza szczelnie zatkała nos palcami. Manicure, kurna?! I kiedy go zrobiła?

Oglądając swoją nową kurtkę, handlarz wyjaśnił:

- A to coś wciągnęły szyby wentylacyjne. Wciągają powietrze z powierzchni. Niedaleko tu jest swego rodzaju boczny tunel do szybu. A z elektrycznością jest problem: to wciąga pełną parą, to cisza przez kilka dni. Kiedy pracuje, to w tunelu tak jakby nie ma czym oddychać.

⁵⁰

3 Che przeważnie cytuje piosenkę A. Rozienbama "Polowanie na kaczki" (przyp. autor.)

- Po co to jeszcze? - Fidel, jak i pozostali ratownicy, nie dostrzegając związku pomiędzy instalacja i smrodem.
- Dlatego że bandyci zbudowali tam cmentarz.
- Coś w rodzaju cmentarza?
- Nie-e, prawdziwy cmentarz.

Rozdział 16 Harpie

Na Swiatoszynie ciała zmarłych wrzucano do kanałów burzowych. Można powiedzieć, że sływały do Styksu.

A u zbiorów nie było jak u ludzi. Pod cmentarz przystosowali odpływ prowadzący do kolektora powietrza. Wygląda na to, że lubili oddychać zapachem zmarłych przywódców i podwładnych. I jak mieszkańców Dworcowej do tej pory nie wybiła epidemia, której nosicielami mogły stać się szczury albo jeszcze inni padlinożercy?...

- Czemu oddałeś kurtkę temu handlarzowi? - zapytał Fidel.

Naciągnąwszy na twarz respiratory⁵¹, szaliki, koszulki - wszystko co można i nie można było - ratownicy weszli w odnogę.

- Szkoda mi się go zrobiło. Za to teraz ta kurtka dziurawieje na nim, nie na nas. - Sajgon wyraźnie słyszał odgłosy strzelaniny. - Niech podkłady mu lekkimi będą. Dobry był chłopak...

Wygląda na to, że karawaniarze i berserkowie postanowili uczcić przyjemne spotkanie ciężkim ostrzałem. Sajgon miał nadzieję, że fikus zdoła przekonać berserków, że dalszy pościg nie ma sensu. Ale Fidel był innego zdania:

- Berserkowie może i oszaleli od muchomorów, ale nie można nazwać ich głupimi. Handlarzom odetną głowy i wyślą z nimi gońca do Kosmosa. A sami berserkowie będą kontynuować pogoń. Na wszelki wypadek, czy jakoś tak...

Dlatego ratownicy skierowali się do śmierdzącej nory, po sufit zawalonej trupami.

Wszyscy w kompani byli dobrze ubrani, nawet Lektor, którego na Politechnice odziali na ludzkie podobieństwo. Jedyne tylko Sajgon w dziurawej kamizelce z wyrwanymi rękawami i przepalonych spodniach. Potknie się, zrani, skóra jest przecież odsłonięta - i zakażenie gangreną gwarantowane.

- Berserkowie tutaj nie pójda, głupio im. - Fidel najwyraźniej próbował przekonać do tego samego siebie. - Tylko ci najniżej w hierarchii Dworcowej zagląda tutaj, żeby zostawić kolejnego sztywnego. Rządzący bywają tutaj tylko po śmierci.

Smród przesiałł wszystko. Skupiał się w krople na ścianach, krople powoli ściekały w dół, łącząc się i tworząc błotniste strumyczki, w których w życiu się nie zanurzysz, będziesz śmierdział padliną.

Gilzę znowu zemdliło. Biedaczka. Ledwie poruszała ślicznymi nóżkami. Lepiej jest tam, gdzie nas nie ma? Zgadza się, moja droga?

Sajgonowi od smrodu oczy zasłoniły się mgłą. Smród wyciął ten kawałek mózgu, który odpowiada za możliwość widzenia w ciemności. Wstyd. I podwójny wstyd, że u pozostałych wszystko było w porządku. Sajgon wyciągnął z plecaka latarkę, wsunął dłoń w pasek od plecaka, żeby nie zgubić. Dawno już tak nie robił...

Fidel ma na mordzie maskę przeciwgazową, Che i Myszka także - przygotowali się goście, brawo. Bajda ma respirator - nie najlepszy, ale zawsze coś. Bez uprzedzenia trójka w maskach przyspieszyła, Bajda wyrwał się za nimi. Gilzę po raz kolejny zemdliło, chociaż żołądek miała od dawna pusty. Za to Lektor trzymał się obok, jak gdyby nigdy nic. Można powiedzieć, że wiedza się przydała.

- Jesteśmy razem, tak? - Sajgon ledwo szedł, łapiąc się, gdzie mógł, ściany.

Najważniejszym jest nie poślizgnąć się. I żeby nie podwinęła się noga, po nastąpieniu na czaszkę.

Gdzieniegdzie nie dało się nie nadepnąć pomimo wszelkich chęci: zwłoki są ściśnięte w "pokrywę" - fragmenty starego brezentu i papy - leżały rzędami w kilku warstwach.

- Fidel! - krzyknął Sajgon. - Che!

- Oszczędzaj oddech. - Lektor zarzucił sobie Gilzę przez ramię. Dziewczyna zemdlała, ale nie wypuściła torebki z rąk. - Nie ma co krzyżeć. Bo jeszcze ktoś przyjdzie na zawołanie.

Sajgon skinął głową.

Cisza. Zupełnie jakby nie było czterech ratowników idących z przodu. Oni przecież poszli na zwiad, prawda? Sajgon przekonywał się, że niedługo wróca, ale czas uciekał, a ich ciągle nie było i nie było. Czyli zwiali. Zostawili Amazonkę i farmera pod opieką kanibala... Pozbyli się zbędnego balastu.

Sajgon zazdrościł Lektorowi nieczułości na "aromat". Ale przecież powietrze jest tu zatrute metanem, amoniakiem i siarkowodorem. Ogólnie mówiąc.

Sajgon ocknął się na ramieniu Lektora:

- Ej, bracie, co ty odwalasz?

Żadnej odpowiedzi. Przyspieszony, ochryply oddech.

Rodzaj maski z filtrami (przyp. tłum.)

- Ej, mogę iść samemu!

Sajgon rozumiał, że Lektorowi nie starczy sił na długie niesienie dwójki. Nadludzkim wysiłkiem Nigeryjczyk przebędzie jeszcze dziesięć, góra dwadzieścia metrów, a potem? Pęknie serce?

- Wypuść mnie, stary!

Ledwie zauważalny ruch głową - zamknij się i nie przeszkadzaj.

- Rzuć mnie! Dwójki nie trzymasz! Uratuj Gilzę!

Ponowna odmowa.

- Czemu mamy wszyscy tu zginąć? Gilzę...

Sajgon zsunął się z ramienia Lektora. Stał na nogach. I nagle pojął, że smród mu już dłużej nie przeszkadza. Nigeryjczyk z dziewczyną na ramieniu, nie oglądając się, szedł dalej. Wiedział, że Sajgonowi nic się nie stanie. Najważniejsze, to nie stracić latarki, bujającej się na pasku. Plecak na miejscu, łuk, pistolet... W porządku.

Żeby tylko znaleźć czyste miejsce, przysiąść, odpocząć, napić się wody... A potem od razu przed siebie, dogonić Lektora. Ten nie odejdzie daleko, z Gilzą na plecach. Z nią szczególnie nie pobeigniesz.

Tu jest dobre miejsce, czyste.

Sajgon usiadł, zamknął oczy. Dobrze. Nawet w dupie Pana Tuneli można żyć.

I nagle...

- Dzień dobry, mężulku. Co się tu tak wylegujesz? - Swietka wznosiła się nad Sajgonem.

Przebiegle spoglądając, krzyżowała ręce na klatce piersiowej. Swietka! Boże, jak mu jej brakowało w ostatnich dniach! Sajgon chciał skoczyć, objąć ją...

Tylko że nie udało się skoczyć. Powoli wstać też nie. I kiedy on zdążył się położyć?

Co do diabła?!

- Kochanie, ja... - I to wszystko, do czego był zdolny. Ledwie słyszalny szept. Pisk chomika.

Język dłużej nie słuchał się Sajgona. Szczęki zacisnęły się, w ustach zaschło. Ktoś wlaźł mu do czaszki i teraz walił nieustannie młotkiem, zaraz przebije skroń. Jednego trupa więcej na cmentarzu.

- Obibok! - zmarszczywszy brwi, skarciła go Swietka. - A kto będzie metro ratował?

Zapomniałeś, że nadciąga wojna?

Sajgon chciał powiedzieć, że pluje na metro, obchodzi go tylko los najbliższych i kochanych syna i małżonki. Ale nie powiedział. Nie zdołał.

Swietka uśmiechnęła się ospale. Ubrania spadły z niej, odkrywając mleczną, gładką skórę, zacienione zagłębienie pępka, kręcony trójkącik... Wołała, czekała, pragnęła go. A Sajgon, zamiast tego, żeby objąć ukochaną, walał się tu jak kawałek szyny!

Tak nie można robić!

Swietka podała mu rękę:

- Wstawaj, kochanie. Chodź ze mną.

Szarpieniem podniosła Sajgona i pociągnęła ze sobą. On raz za razem padał na kolana. Nogi ruszały się, jakby nie były ze skóry i kości, a z drewna. Znowu upadł? No to wstawaj! Nie możesz iść prosto? Zataczaj się, łap się ściany, ale idź przed siebie, idź!

- Przepraszam, Swietka... Wybacz, że cię zostawiłem... Czort jeden wie, dlaczego... Syna...

Swietka zakryła mu usta dłonią i odwróciła się. Nie ma co przepraszać, nie trzeba się tłumaczyć. Wydaje się, że wybaczyła mu, wydaje się, że gotowa była zrozumieć... Prowadziła Sajgona za sobą. Dokąd? W pełni ufał żonie. Zna go. Wyprowadzi go z tego koszmarnego miejsca pełnego śmierci.

I wtedy...

Krzyk uderzył po uszach, napelniając serce strachem. Podłoga zniknęła spod nóg. Ogromne z prerażenia oczy Swietki błysnęły w ciemności, jej palce wbiły się w dłoń Sajgona. Bolało go. Powietrze chłodziło całe ciało. Włosy żony wiły się niczym setki, tysiące robaków, które opuściły nory. On i Sajgon - razem! umrzeć jednego dnia! - spadali w bezdenną przepaść, wokół migwały skrzydlate cienie, słudzy mroku...

Oboje uderzyli o dno - mocno, plecami.

Uderzenie - chrupnięcie, przeciągły jęk.

I od razu - ból.

Powieki ciężą, niczym zardzewiałe blaszki. Sajgon otworzył oczy i zrozumiał, że nie był już w przepaści, a w cuchnącej odnodze. Nad nim migotały nietoperze. Tylko tego teraz brakowało. A gdzie jest Swietka? Gdzie się podziała?!

Wielka istota - rozpiętość skrzydeł metr, jak nie więcej - spikowała na Sajgona. Wczepiła się w

jego twarz i okropnie zawyla. Nóż w ręce. Zamach. Kolejny zamach. Sajgon nie myślał, że może zranić siebie - w takich chwilach nie wolno myśleć, trzeba zauważać instynktom.

Krety potrafią żyć pod ziemią, a ludzie dopiero się uczą.

Sajgon jest prawdziwym kretem.

Pocięte ciało padło na podłoże, zadrżało w konwulsjach. Sajgon na czworakach ruszył przed siebie, a nad nim przelatowały coraz to nowsze nietoperze, raz za razem trącając plecy i tył głowy.

Albo nie śmierdziało tu tak mocno, albo Sajgon przywykł. A i procesje pogrzebowe nie docierały tutaj, zwłok nie było. Bandy ci bali się nietoperzy? Czy poślizgnąć się na grubej na kilka palców warstwie guana? Sajgonowi upadek nie grozi, idzie na czworakach...

Gacki, podkowcowate, borowce - tak nazywano nietoperze w poprzednim świecie. Obecnie również karawaniarze i znachorzy, którzy zawodowo ścierają się z nietoperzami, nazywają je harpiami. Znachorzy raczej nie słyszeli o Taumausie i jego żonie Elektrze. Handlarze solą, amunicją i skórą nie wiedzą o pięknej Iris, bogini tęczy. Ale nazwa się przyjęła. Harpie. Potwory.

A ten, którego zabił Sajgon, zapewne nazywał się Kelajno, dla znajomych Podarga. Prawie podagra. Sajgonowi zrobiło się wesoło. No pewnie, Mroczna, zwana Szybkonogą. Fantazję starożytni Grecy mieli przednią. Nie to co poganie mieszkający w metrze: Pan Tuneli - oto i cały panteon. Pozostali to dziecięce straszaki o duchach prezydentów i inna dziecięca mistyka.

Z przodu, ręką można sięgnąć, kręciła się cała zgraja harpii. Splotały się skrzydła, pazury, szare ciała. Stworzenia piszczały i zgrzytały zębami ostrymi jak brzytwa. Gdyby było pod ręką wiadro samogonu, Sajgon nie pożałowałby go, serio mówi, chlusnąłby w kłęb i podpalił. Ale przed tym nabrałby pełny kubek, a jakże by inaczej. Podniósłszy głowę - bicie w skroniach stało się mocniejsze - Sajgon zauważył jeszcze jeden, taki sam kłęb. I to byłoby nic, ale spod masy szarych, przemieszczających się ciał sterczał koniec rudego warkocza...

Cios nożem, jeszcze, jeszcze - i pod harpiami pokazały się switka i szarawary Lektora. Oto co skrywała paskudna, brudna zgraja!

Sajgon ciągle uderzał i uderzał ostrzem... Plecy spocily się, ręce złapały kurcze, ale nie znalazł się bliżej celu - powietrze było wypełnione harpiami i Sajgonowi ledwo udawało się oderwać od Lektora a jedno przyczepione do niego stworzenie, na jego miejsce pojawiały się dwa kolejne. Gęsty zapach ludzkiej krwi przyciągnął je tutaj, doprowadził do szaleństwa.

Odpychając harpie jak potrafił, Sajgon dostał się do Amazonki. Żeby dziewczyny nie pożarły! On tak gorliwie i z taką złością zamachiwał się nożem, że kilka razy prawie odciął Gilzie warkocz. Gdyby stało się coś takiego, musiałby rzucić wszystko i uciekać gdzie pieprz rośnie: za dziewczęcą urodę Gilza wypiłaby z niego całą krew szybciej niż każda harpia...

- Ile was tu jest?! - wrzasnął z rozpacz, zrywając z pleców kolejnego krwiopijcę.

Nie, nie poradzi sobie z tymi stworzeniami w pojedynkę... Koniec. Zostawić wszystkich i zwiewać, inaczej sam tu zginie. Znowu wszystkich zostawić, znowu dokądś uciec, znow samemu... Do diabła!

- Nasi się nie poddają!!! Trzymajcie się, chłopaki!

Wrzeszczał ile sił i nie słyszał, jak lzy ciekną na jego policzkach i jak krew gorąca tryska z pogryzionej skóry. Nie mógł, nie mógł ich tutaj zostawić. Nie mógł! Jak może porzucić przyjaciół, swoich jedynych przyjaciół w całym metrze?!

Ciągnął, miażdżył, rzucał, gryzł, drapał... Do końca, do zwycięstwa albo śmierci.

Przecież były kanibal i ruda suka naprawdę byli jego przyjaciółmi. Są. Nie zwykłymi towarzyszami podróży, ratownikami czy dobrymi ludźmi ze złożonym losem. Prawdziwymi przyjaciółmi. Takich niezależny, samowystarczalny Sajgon dotąd nie miał.

Jedna harpia wbiła się Siergiejowi w ramię, druga spadła na plecy, jeszcze jedna chwyciła głowę, rozrywając pazurami potylicę do krwi. Jeszcze - na krzyżu. I na plecach. I jeszcze. I na ręce z nożem pojawiły się od razu dwie, i na drugiej, i za nogi złapały.

Sajgon nie wytrzymał ciężaru łopoczącej żywej masy i zwał się na ziemię.

Wybacz i żegnaj...

Jak to zwykle bywa, ratunek przybył nieoczekiwanie.

Gdyby ratunki planowano od początku do końca, wielu umarłoby z nudów. A tak brniesz przez stertę harpii, okazując się być taką samą hałdą, co sąsiedzi - z Lektorem i Gilzą w podstawie i nie wiesz, co dalej. To znaczy zakładasz najstraszniejsze, mając nadzieję na lepsze. Tak już jesteś stworzony. Lubisz wierzyć w to, że, przy wystarczającym wysiłku, możesz wywrócić cały świat do góry nogami, przyczepić lont i go podpalić. I nawet jeśli jest problem z lontem, twoje wysiłki i tak zostaną odpowiednio nagrodzone.

Kopa w dupę.

Jak to się stało z Sajgonem.

Od uderzenia on dosłownie zawisł i, runąwszy na podłoże, kilka razy się obrócił, uderzając sobą o dwa tuziny harpii. Na nieszczęście, dwa razy większa ilość stworzeń zdołała oderwać od niego pazury i odleciały do swojego żywiołu.

Otworzywszy oczy, Swiatoszyńczyk zdążył spostrzec, jak analogicznie - uderzenie, lot i upadek - stało się najpierw z Lektorem, a następnie z Gilzą. Przy czym Gilzie, jak wydawało się Sajgonowi, upadło się gorzej, niż Nigeryjczykowi.

- Grałem w młodości w piłkę nożną - wyjaśnił Bajda, podnosząc respirator na czoło.

Wtedy do święta życia dołączyli Myszka, Che i Fidel. Ci w młodości nie zajmowali się sportem, dlatego posłużyli się bronią palną, rykoszety powierzając Panu Tuneli.

Walili dwie minuty bez przerwy. Rozwalili tyle harpii, że na twarzy i pod nogami zrobiło się lepko - jakby spadł mięsny deszcz. Guano i resztki nietoperzy na podłodze mieszały się w paskudną papkę.

- Gdzie wyście byli, cioty?!

I to cała wdzięczność dla was za uratowanie? Wybaczenie, emocje. Wyrwało mi się.

Okazało się, że oni naprawdę poszli na rekonesans. Fidel nabrał podejrzeń: karawaniarze zbyt łatwo odstąpili ten tunel. I tak, na ratowników czekała pułapka - kilka min-pułapek na odcinku, do którego nie znoszono zwłok.

- Biznesmeni to wciąż skończone mendy - zgrzytnął zębami Che. - Nie bez powodu wolę mieć do czynienia z twórczą inteligencją.

Sajgon wzruszył ramionami. My im fikus i berserków, oni nam harpie i zadrapania. Uczciwa wymiana.

- A potem zrobiło się gorzej Bajdzie - nadyszał się w swoim respiratorze. Odpoczęliśmy trochę, doprowadziliśmy do przytomności, jak tylko mogliśmy. - Rastaman wymownie poklepał się po brzuchu - tam, gdzie pod grubymi ubraniami chował bulbulator.

W tym momencie Gilza, którą wziął na siebie, o mało nie spadła.

- No a potem wróciliśmy, żeby was wyciągnąć. Nie spodziewałem się, że tyle przejdziecie. Prawie wydostaliście się z niebezpiecznego terenu. A z harpiami, oczywiście, źle wyszło. Jakoś nie zwróciliśmy na nie uwagi.

Gilza coś wymamrotała. Jej oblicze w świetle latarki było pokryte sino-zielonymi plamami.

- A ty co światłem błyskasz? - Fidel zamrugał.

Razem z Myszką nieśli na sobie Lektora, który wyglądał nie lepiej od Amazonki.

- Skończył się cud. Finito i tak dalej. Po ciemku jestem ślepy jak kret.

- Dostyć wcześniej... - powiedział zamyślony Fidel. Chciał powiedzieć jeszcze coś, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

Sajgon musi w wolnej chwili zastanowić się, co znaczy to "dostyć wcześniej". Skąd Fidel wie, kiedy jest akurat, a kiedy późno? A tak poza tym... Ale Sajgon nie miał na to czasu. Historia z kurtką utwierdziła go w tym, że Fidelowi można wierzyć. Gdyby Sajgon miał na sobie turecką kurtkę, którą zdobył comandante, plecy, ramiona i ręce byłyby osłonięte przed harpiami. Do tego jeszcze Fidel razem z Che, Bajdą i Myszką wrócili, żeby ocalić ich nic nie warte życia. Normalny facet, chociaż nie jest ojcem żadnego Sajgona. A to oznacza...

A to oznacza, że w Fidela nie należy wątpić. Jego koncepcja poszerzenia przestrzeni życiowej nie jest wcale taka szalona. Może i niewielka, ale jedyna szansa dla skazanej na wymarcie ludzkości.

Jedyna szansa uchronienia przed krwawą i bezmyślną walką o każdy cal wolnej ziemi.

I Sajgon zamierza ją wykorzystać.

Niech będzie tyle przestrzeni, żeby wszystkim wystarczyło!

Wybacz, Fidel, że w ciebie zwątpiłem. Wybacz, comandante. Tylko ty wiesz, czego i gdzie szukać.

Pójdę za tobą.

Rozdział 17

Czakra szaleństwa

- Czakry, na przykład.

Jeszcze przez pięć minut Che opowiadał coś Sajgonowi.

- Co?... - Światło latarki, przymocowanej do głowy przy użyciu gumki od majtek, drgnęło, oświetlając rastamana.

- To. - Che zakrył oczy dłonią. U niego z nocnym widzeniem, najwyraźniej, wszystko było w całkowitym porządku. - Wiesz ty chociaż, czym jest czakra?

- Nie mam pojęcia. - Sajgon po drodze ostrzył zębatki. Metal okropnie skrzypiał o szorstkie drewno, aż zęby bolały, ale farmer znosił to. Najważniejszym teraz jest zabicie irytującego rastaman.

Szkoda, że tego nic nie zniechęcało. I nawet dziewczyna na ramieniu nie zakłócała jego oddechu.

- I pewnie jesteś szczęśliwy, bo masz pustą głowę?

- Właśnie - bąknął Sajgon, nie odrywając wzroku od metalowej broni, tym samym pokazując, jak jest straszliwie zajęty.

- To mnie w was, kretach, najbardziej denerwuje. Wy tak właśnie mówicie: "Jesteśmy głębi i dobrze nam z tym".

- Ej, wyluzuj, bo jeszcze w palnik dostaniesz!

Che, nawet jeśli zauważył rozdrażnienie rozmówcy, nie dał tego po sobie zobaczyć. Nawet nie przeszkadzało sięgnąć po broń - tylko z uśmiechem zmierzwił swoje dredy, już i tak sterczące, niczym ogony paciuków:

- Śmieszny, samo wielbiący się chłopak!

- Sam żeś!...

- Ja już jestem dziadek - oznajmił Che, uśmiechając się przebiegle. - Przy okazji, czy rozumiesz, co to takiego samochód? Czy sprzedałeś mózg na mięsny bazar?

Sajgon prychnął z oburzeniem, próbując domyślić się, czy rastaman się naśmiewa, czy znowu zaczyna kazanie.

- Milczysz, a to znaczy, że rozumiesz. Silnik spalinowy. Spaliny. Benzyna, która wyczerpała się wiele lat temu. No, jesteś w temacie. Byli tacy ludzie, którzy zajmowali się naprawą samochodów. Wystarczyło, że podeszli i już wiedzieli, co jest z nim nie tak. Opukali, obejrzeni i zaraz mówili, że igła utknęła w pompie czy Bóg wie co jeszcze. To właśnie jest czakra, przyjacielu. I czakrę ma każde stworzenie, każdy przedmiot.

Pan Tuneli... Metro - jeden organizm... Przepowiednia Che wyrażona słowami Sajgona. Rozmowa nagle stała się interesująca. Zębatka trafiła do plecaka i podrapane plecy i ramiona uspokoiły się, a paliły jak żywym ogniem...

- Jeśli dobrze zrozumiałem - ciągnął w zamyśleniu Sajgon, - czakra jest oznaką niesprawności albo choroby?

- O! - uniósł ręce do sufitu Che. - Ustami młodego!

Sajgon skinął i kontynuował:

- Jeśli mam biegunkę, to syf, który ze mnie wychodzi, jest dakrą? Przecież to najpewniej jest oznaka niestrawności?

Rastaman zamrugał. Potem zaklął przez zęby. Gilza stęknęła. On poklepał dziewczynę po siedzeniu - wszystko dobrze, kochanie. Widać było, że włóczęga nie miał oporów przed napełnieniem bulbulatora zdobycznymi liśćmi z Dworcowej.

Sajgon prychnął z pogardą. Che tylko zająkała się w zielone diabły, tańczył i śpiewał o Jah i tramwajem do raj. Narkoman jebany.

- Sztachniesz się? - Che jakby czytał w myślach Swiatoszyńczyka. - Po raz pierwszy? No nie udawaj, przecież wiem, że chcesz!

Sajgon pokręcił głową:

- Mam samogon. Kilka po sto - mój przepis. Mogę nalać.

Che skrzywił się tak, jakby zaproponowano mu coś nieprzyzwoitego.

I jak tylko zamilkli, Bajda stracił rozum.

Kozak zatrzymał. Jego wargi bezdźwięcznie poruszały się, jakby z kimś rozmawiał. Oczy wbiły się w pustkę.

Myszka zrzucił z siebie Lektora i chwycił za rewolwery - szabrownik wyczuł niebezpieczeństwo. Fidel raptownie zgiął się pod Nigeryjczykiem, jego twarz momentalnie poczerwieniała.

- Wszystko - oznajmił Bajda i uniósł karabin.

Bez wątpienia nie zdawał sobie sprawy, co robi i gdzie się znajduje.

Automat ryknął serią. Kule świsnęły nad głową, zmuszając Sajgona do kucnięcia. W jednej ręce znalazł się nóż, w drugiej zębatka. Tylko siłą woli Swiatoszyńczyk powstrzymał się, w końcu to Bajda. Nie żaden berserk, nie mutant, a Bajda! Ratownik! Towarzysz broni!

- Ej, przyjacielu, co ty robisz? Przestań się wydurniać! - Fidel powoli odłożył Lektora na podłogę i

wystawił ręce przed siebie. Jednocześnie kazał Myszcze opuścić broń.

- Nie trzeba, no co ty? Przecież tu sami swoi są. - Che także zaczął nawoływać Kozaka. Gilza ciągle odpoczywała na jego ramieniu. - Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Mamy cel. Idziemy na Dniepr. Uratujemy metro. Przypomnij sobie? Co ty?

Bezskutecznie. Ich słowa nie docierały do Bajdy. Kozak wcale nie widział przed sobą Che i comandante, z którymi przebył pół metra. Przed nimi stali zażarci wrogowie.

- Do tyłu!!! - wrzasnął histerycznie i cofnął się. - Wszystkich zastrzelę!!! Do tyłu!!! Żywcem mnie nie weźmiecie!!!

Wkrótce zniknął z pola widzenia, ale jego krzyki dało się słyszeć jeszcze przez pewien czas.

- Co to było? - Rewolwery Myszki wróciły do kabur.

- To była czakra szaleństwa. Pan Tuneli pożarł mu mózg, co nie, Sajgon? - Che wyglądał na rozdrażnionego. - I niby nic, do diabła z nim, z mózgiem. Ale mieliśmy z Bajdą po drodze. I jakoś nie chce mi się włączyć do tunelu, gdzie łązi wariat z karabinem. Choćby i był naszym towarzyszem.

Sajgon w stu procentach zgadzał się z rastamanem. I Myszka też:

- Trzeba było od razu go załatwić. A przecież mogłem.

Fidel pokręcił głową:

- Nacisnąłby na spust. Nawet martwy nacisnąłby. I wszystkich nas by tu zostawił. Wszystkich!

Sajgon nerwowo zachichotał. Położenie ratowników jest niczego sobie. Berserkowie nie zapuścili się na cmentarz, ale kręcili się gdzieś w okolicy - raz za razem słyszeli ich krzyki. Zupełnie jak stado szakali, czaili się nad zwłokami karawaniarzy - oglądali ciała i towar.

- Berserkowie dopadną nad na podejściu do Uniwerka. Liczy się każda sekunda. - Fidel w zamyśleniu obejrzał swój pistolet. - Skończyła mi się amunicja, całą zużyłem na harpiach. Jak u nas z zapasami amunicji, panowie?

- Biednie trochę - przyznał ze zdziwieniem Myszka.

A rozzuchwiał się nam!

- U mnie też zero - uśmiechnął się smutnie Che.

Sajgon przemilczał. Nawet jeśli w magazynku PM coś jest, nie będzie strzelał do Bajdy.

Lektor i Gilza, oczywiście, niczego nie powiedzieli. Poza tym nie mieli broni palnej.

- Za to Bajda ma w bandolierach co najmniej dziesięć magazynków. - Fidel zwrócił się do Che. - Masz przecież granat. Na wszelki wypadek. Co powiesz?

- Jeszcze nie czas, comandante. Jeszcze nie czas.

Wszyscy zgodnie zwrócili wzrok na Sajgona.

- A więc ty, młody. Nikt inny.

- Ja?! - Sajgon sprawił wrażenie, jakby nie rozumiał, dlaczego wybrano właśnie jego.

Tak naprawdę wszystko było jasne jak słońce. Doskonale włada zimną bronią, dzięki Majorowi. Mentor mówił tak: "Naboje kiedyś się skończą, lufy zardzewieją, walczący stoczą się. My niczego nie wytwarzamy, a więc staniemy się bezbronni. To bardzo źle." I dlatego odpowiednimi zdolnościami - obowiązkowymi dla mężczyzny - Major uczył walki wręcz, rzucania nożami i strzelania z łuku. Mówił, że najlepszą bronią są ręce i nogi. I pięścią wgniół drzwi magazynu. Sajgonowi i tak nie udało się opanować tego strasznego ciosu - był na ostatnim etapie nauki, kiedy opuścił szkołę szabrowników. Tak więc mistrz zabrał swoją tajemnicę na górę, w paszczę łybida...

- Ty, młody, ty. - Fidel wyciągnął ręce. - Bierz łuk i leć. Poczekamy tu na ciebie. Jest tuszonka? Świetnie. Zjemy w międzyczasie.

Sajgon zdjął plecak. Wyciągnął manierkę z samogonem. Na samym dnie zachlupało. Cholera, mało, trzeba było odebrać hetmanowi pieprzówkę. Chciał dopić, ale rozmyślił się - wylała na ramiona i zaczęło szczypać od silnego bólu. Przynajmniej jakaś dezynfekcja.

- No dalej, pasiasty, nie trać czasu. - Che nożem otworzył konserwę z mięsem. - Masz niezłą kamizelkę, miałem taką samą. W wojsku.

Myszka rozłożył ręce, pokazując, że nie ma z tym nic wspólnego.

Sajgon chwycił łuk i ruszył w mrok tunelu. Sam.

To on musi zabić Bajdę.

Kto mu każe?...

Nie chciał zabijać Kozaka. Nie chciał i koniec. Bajda jest wspaniałym gościem. Ze swoją

upartością, oczywiście, ale wspaniałym. Fakt, odwaliło mu od jego przeżyć, ale to tymczasowe, do wariatkowi by go... A jego druhowie gotowi są postawić na nim krzyżyk! Tak w ogóle, kto tu jest bez skazy? Fidel? Ha! Che? Ha razy dwa. I już szczególnie nie sam Sajgon, jego skaz wystarczy na pięć osób, przychodźcie z workami.

Latarka na czoło. Sajgon zatrzymał się. Światło latarki widać z daleka, toż to wspaniały cel - wyceluj i poślij Swiatoszyńczykowi kulkę między oczy. Zdjąć i przymocować do łuku? Efekt będzie ten sam, wystarczy, że Bajda strzeli trochę niżej, w brzuch albo klatkę piersiową. Potrzebna w ogóle latarka?

Kret.

Jesteś kretem.

Dzięki mutantowi z Szulawskiej, Bajda świetnie widzi w ciemności, oświetlenie nie jest mu potrzebne. A to oznacza, że twoją jedyną szansą jest tak samo upodobnić się do kreta. Ufać słuchowi, węchowi... Intuicji, kurna. Można przeżyć i bez oczu. Krety żyją. I tylko krety przeżyją w podziemiach.

Stop. Ani kroku dalej. Teraz czołgać się. Cichutko, powolutku, nie wydając żadnego dźwięku. Oddech równomierny, żadnego sapania, kaszlenia i kichania. Wyobraź sobie, że nie ma tu żadnego pyłu. Że myją tu podłogę dwa razy dziennie. Każdy twój dźwięk może stać się ostatnim.

Sajgon pełził przed siebie, słuchając się swoich przeczuć.

Teraz!

Podniósł się na jedno kolano i naciągnął cięciwę. Wyciągnął jeszcze jedną strzałę z kołczanu i ponownie wystrzelił. I zaraz padł. Mgła przed nim rozwiała się przekleństwami.

Ale po co czołgać się i ledwo oddychać, skoro Bajda doskonale widzi w ciemności? Cały ten czas farmer stanowił cel, w który trafiłoby nawet dziecko. Ale dlaczego Bajda nie strzela?!?

Sajgon zapalił latarkę.

Bajda siedział przyciskając się do ściany. Po twarzy ściekały mu krople potu zmieszane ze łzami. Obie ręce Kozaka były przebite strzałami, po jednej na każdą z nich. I trzeba by wyciągnąć, ale... na razie niech zostaną.

Nie będzie dobijał Bajdy. Nie da rady. Dlaczego? Kozak jest teraz bezbronny... Tak, Fidel kazał, ale jeśli można obejść się bez tego...

- Słuchaj... Ty, tego, wybacz. To było niechcący... - wymamrotał niepewnie Sajgon. Czemu usprawiedliwia się przed nim? Przecież Kozak ogarnięty jest szaleństwem, czyż nie?

- Odpuść sobie - westchnął ciężko Bajda. - Zrób, co masz zrobić. Nie wiem, co mnie napadło... Sterczycie tu z mojego powodu, a berserkowie są niedaleko... To ty wybacz.

- Bóg wybacza.

Sajgon nie słyszał, jak podszedł Fidel. Za to sapanie Che niosącego gilzę było słychać z daleka. A Myszka samemu niósł Lektora. Już doniósł i położył na podłodze. I wszyscy w komplecie.

- Przepraszam, Fidel. To się więcej nie powtórzy...

Comandante pokręcił głową:

- Nie, Kozaku. Nie jesteś już z nami. Tak się stało, to nie jest niczyja wina. Po prostu dłużej nie dam rady odwracać się do ciebie plecami. Kto wie, może zechcesz mi w nie strzelić?... Che, zajmij się nim.

Rastaman umiejętnie - szybko! - wyciągnął strzały bez łamania ich. Następnie opatrzył Bajdzie rany. Strzały Sajgon wytarł i schował do kołczanu. Trzęsło nim. Kozak nie otworzył ognia, ponieważ szaleństwo opuściło go, zrozumiał, co narobił. Bajda specjalnie podszedł pod strzały. I po tym Fidel mówi, że da rady odwrócić się do niego plecami?...

- W porządku, comandante, w porządku. Sam... nie dałbym rady. Rozumiem.

Che położył przed Kozakiem przeźroczysty woreczek z białym proszkiem:

- Jeśli jesteś jeszcze z nami, przyjmij to lekarstwo i zatrzymaj berserków. Lekarstwo ukoji twój ból. Na krótki czas. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, żołnierzu.

Che ponownie wziął na siebie Gilzę i, obiegawszy Bajdę, ruszył przed siebie. Do głównego tunelu dziesięć metrów przejść. Rastaman przeszedł i skręcił w lewo, do Uniwersytetu.

Wycie berserków było słyszane z prawej, wyraźnie słyszane.

Fidel ruszył w ślad za towarzyszem. Myszka z takim przerażeniem spojrzał na Lektora, że Sajgon zaraz zechciał mu pomóc.

Skręcili już w lewo, kiedy Bajda zawołał Swiatoszyńczyka. Myszka razem z Lektorem przywarli do ściany, czekając powrotu partnera.

- Chciałbym wziąć proszek. Nie udaje się. Ręce nie słuchają.
- Tak, jasne, już - speszył się Sajgon.

Wiedział, że widzi Bajdę po raz ostatni. A Kozak wiedział, że on widzi po raz ostatni ten durny świat. Bądź zdrow, sam jeden z berserkami nie poradzi sobie. A z przebitymi rękami... Śmierć. I zgadzasz się na śmierć, żeby odkupić się, żeby dać ratownikom szansę oderwania się od pościgu.

- A przecież pochodzę z Pitera. Serio. W przeddzień wojny przyjechałem do Kijowa do kuzyna. A potem wszystko się zawaliło. Kuzyn zginął, wszyscy zginęli... Jestem tu obcy, niczego nie wiem, nikomu nie jestem potrzebny... I wtedy dołączyłem do Kozaków. Wtedy wszystko wyglądało inaczej, bez fanatyzmu. Chrzcic się umiesz, mówisz, że kochasz Ukrainę - i tyle, swój. A mi się zawsze podobało w Kijowie, piękne miasto i do tego Dniepr... Czego tu nie lubić? To później nacjonaści zaczęli przeważać... Sicz była rzeczywistą siłą, prawdziwym bractwem. Odpieraliśmy ataki złodziei z Dworcowej, broniliśmy całego metra. Gdyby nie Sicz... Ech!...

- No tak jakby - powiedział Sajgon, żeby nie milczeć.

Wsyłał proszek do wody i teraz czekał, aż będzie można wlać roztwór z kubka do ust rannego. Doczekał się.

- Nie jestem nacjonalistą. Jestem Kozakiem! Ja za wolność, za Sicz, za... - Skurcz ogarnął ciało Bajdy. Wypite lekarstwo zaczęło działać. - A co dopiero teraz...

Było oczywiste, że dla Bajdy ważnym jest, żeby go rozumiano. I wybaczyli, czy jakoś tak. Ale Sajgon nijak nie mógł wymyślić, co odpowiedzieć. Pochłaniało go to, że berserkowie z każdą sekundą są coraz bliżej.

- Powodzenia, Bajda.

I to całe jego pożegnanie z Kozakiem.

Rzucił się w stronę myszki, razem ponieśli Nigeryjczyka dalej. Kiedy dogonili comandante i Che, Myszka zapytał:

- Ej, comandante, dlaczego nie zabrałeś Bajdzie naboju? Jesteśmy splukani, a on ma ich pełno, nie wszystkie będą mu potrzebne.
- Ratownicy nie żerują na trupach - odparł Fidel.

Za nimi zagrzniał automat. Berserkowie zawyli głośniejsze i otworzyli w odpowiedzi ogień.

- Szybciej!!! Biegiem!!!

Biegli tak szybko, na ile można było z dwoma nieprzytomnymi osobami na rękach.

Z tyłu przez jakiś czas dało się słyszeć dźwięki strzelaniny, a potem karabin Bajdy zamilkł. Sajgon dobrze to określił. Gdyby go spytano, jak odróżnił strzały Kozaka od innych serii, nie potrafiłby odpowiedzieć. Po prostu wiedział, i tyle. Wystrzelał się Bajda.

Za to w huku wystrzałów pojawił się nowy ton - zapewne strzały z pistoletów.

- Co to?! - nie tylko Sajgon zwrócił uwagę na te dziwne dźwięki, Fidel także się zatrzymał, przysłuchiwał się.

Rastaman potknął się i runął razem z Gilzą. Wcale nie taki chłopak, ma pięćdziesiątkę na karku, z każdym krokiem coraz mniej zdrowia.

- Sądzę... - ledwo oddychając, oznajmił, - że to ci, którzy interesowali się nami na Dworcowej. Sajgon wspominał strzałkę, która przyleciała z dżungli. Charaktermicy?!...

Wreszcie ucichły i pistolety.

I wtedy odezwał się Fidel:

- Ci ludzie, charaktermicy... wydaje się, że zajęli się berserkami. Nie uciekniemy im, co nie, Che? Dalsza ucieczka nie ma sensu. Musimy się zatrzymać i podjąć walkę. Jak myślicie, przyjaciele?

Sajgon nic nie myślał. Od okropnego zmęczenia jego oczy same się zamykały. Ale przy tym było mu wesoło, uśmiecha się. Tylko zażartować nie udało się na głos, wargi nie słuchały. Niech i tak będzie...

- A młody to już się całkiem rozkleił! A już myślałem, Sajgon, że jesteś wyjątkowy, z tytanu albo chociaż ze stali, a ty jesteś całkiem zwyczajny, mięsny... Po ukąszeniach harpii nic dziwnego, że porządnie pochorowałeś się, jeszcze długo będziesz dochodził do siebie. W ślinie tych stworzeń znajduje się enzym, który w nieznanym sposobie powoduje osłabienie i wesołość... - Głos Che był coraz cichszy i cichszy. Komu on to wszystko opowiada? Kogo to ciekawi?... - A nadmiar trucizny we krwi to już poważna sprawa. Nie jest pewne, że nasza słodka parka dojdzie do siebie. Mówię o Lektorze i

Gilzie. A teraz musimy trzy osoby nieść...
- Postój. Podejmiemy walkę - ogłosił Fidel.
To była ostatnia rzecz, jaką usłyszał Sajgon.
A potem - cisza.

Rozdział 18

Inteligenci

Cisza.

Wszystko pokryte śniegiem. Ale najistotniejsza - cisza.

Czyż nie tak bywa na powierzchni?

Przez otwory w czarnych chmurach przebijało się słońce. Na śniegu - tutaj z jakiegoś powodu jest różowy - ślady ogromnych łap z pazurami. Na jeden z takich pazurów można bez problemu nadziać człowieka. Jak na rożen. Kilka węgli, upiec - szaszłyk gotowy. Ale to głupota, skup się na pazurach. Bez wątpienia stworzenia, które pozostawiły ślady, są niebezpieczne dla ludzi. Natomiast śnieg... Czemu jest różowy? I żeby chociaż czarny od pazurów lub szary, niech będzie pobrudzony krwią i dlatego czerwony. Albo nawet w kolorze przedwojennej majowej trawy, gdyby jakaś roślina-mutant postanowiła nagle porzucić koronę wiecznej zieleni lub wyrzucić dorosłe zarodniki. Ale różowy?!

Ani skrawka tkaniny na ciele. Ani sznureczka na nogach. Pierwotna nagość.

Tylko tak można wejść w nowy świat, odrzucony przez człowieka.

Chcesz, żeby przyjął cię ten świat, wyrzutka - zostaw na różowym śniegu odciski bosych stóp, a nie bieżnik podeszwy na murawie.

Zimno, prawda? Może wargi zsiniały? Pięt nie czujesz?

Taka jest sprawa. Ale jeśli masz silną wiarę, jeśli zdecydowałeś się ostatecznie - ciało podda się, nauczy się osiągać odpowiednią temperaturę. Tylko ten różowy śnieg...

W dłoni - palce bolą od napięcia - licznik Geigera. Coś się złamie - kości lub czarny plastik. Niech i śnieg będzie czarny, ale... Niech będzie. Ważne, że promieniowanie w normie. To wspaniale! O tym nawet marzenie było śmieszne, żeby promieniowanie było w normie. Nikt nawet na to nie liczy. Ale jednak jest! Tak!!!

Szczęście.

Tak to się nazywa.

Bezgraniczne szczęście. Tyle jest go w klatce piersiowej, tak rozpięta, że można brać garściami. Jest takie gorące, że rozpuści śnieg, ono...

Z tyłu. Przesłyszało się, czy...

CO TO JEST?!!

Sajgon z krzykiem obudził się. Z nosa ciekło. W dole brzucha uciskało aż do bólu. Co to takiego?! Nagle przypomniała się piosenka z odległego dzieciństwa:

Czarne bajki o różowym śniegu,
Różowy śnieg nawet we śnie.
A nocą po lesie idzie Szatan
I zbiera świeże dusze...⁵²

Kto przyszedł po jego, Sajgonową, nikczemną duszę?!

Logicznie doszedł już do wniosku, że to był tylko zły sen. Ale powstrzymać dreszczu i tak się nie udało. Rzucalo nim tak, jakby każda kość, każdy staw zyskały zdolność wykonania ruchu oscylacyjnego - i zaraz z niej skorzystały. Podbródek trząsał się. Ślina pojawiła się na szczecinie, za moment spadnie na pierś. Ale co to takiego, hę?!

Koszmar, co? I to wszystko? A może i nie. Sajgon ma pewność, że to nie był tylko sen - to pragnienia jednego z ratowników. Tylko którego? I co oznacza to, co zobaczył? I dlaczego, zabierzcie Szatana, do tej pory jest tak strasznie?...

- Obudziłeś się?

- Tak. - Farmer, przysuwając się, odszedł na stronę, rozpiął spodnie.

- Czemu krzyczałeś? - nie krępował się Che. Normalnie jakiś "Chcę wiedzieć wszystko", a nie rastanam.

⁵² Słowa piosenki "Bajeczna tajga" grupy "Agata Kristi" (przyp. autor.)

- Zwracałem uwagę przeciwników. A to jakoś tak nudne się robi - skrzywił się Sajgon.
- Aha. To niepotrzebnie. Fidel załatwił charakternika. Ten cwaniaczek zranił Myszkę. Nie śmiertelnie, ale dotkliwie... A Fidel cały łeb mu odstrzelił. Niezłą ma lufę, sam chcę taką...
- Gdzie?
- Jakieś sto pięćdziesiąt metrów, w tę stronę. Ale nie ma po co iść, paciuki już się pojawiły, sam rozumiesz. Odpoczywasz już dziesięć godzin. A Lektor i Gilza jeszcze dłużej. Czuję, że ich nie uratujemy, tylko niepotrzebnie się nimi zajmujemy.

Fidel i Myszka spali. Przy tym pierwszy z nich położył sobie pistolet na piersi, a drugi wyciągnął wzdłuż ciała ręce z rewolwerami. Na głowie Myszki zamiast kapelusza znajdował się przesiąknięty szkarłatem bandaż.

- A tak łatwo...
- O czym ty mówisz?
- Tak łatwo Fidel załatwił charakternika. Wierzyć się nie chce.
- A co, to miało być trudne? Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Mądrość ludowa.

Sajgon wspominał historie, które opowiadały o wojownikach-czarodziejach. Ponoć wtajemniczony czarodziej potrafi narysować drzwi na ścianie, a następnie za ich pomocą przejść na inną stację. Wierutne kłamstwo, czyż nie? Cóż, pożyczysz trochę w kijowskim metrze i w nie takie rzeczy zaczniesz wierzyć...

- Powiedz - odezwał się, - po jakim czasie trucizna harpii znika z krwi? Kiedy nasi dojdą do siebie?

Rastaman zerknął na Lektora i Gilzę, bez życia, bezradnych.

- Nie po jakim - wzruszył ramionami. - Jeśli niczego z nimi nie zrobimy, i tak zdechną.
- Jakiego?... To dlaczego my się tu rozwalamy?! Idziemy! Powiedziałem, idziemy!!!

Wydawało się, że były to te same pylony, a na końcu głównej sali coś przedstawiono... A tak poza tym Uniwersytet różnił się od Instytutu Politechnicznego diametralnie. Wydawałoby się, nazwy stacji są podobne - i tu i tu uczelnie wyższe, ale nie, tak nie jest. Zacząć można od tego, że na ścianach nie ma żadnych haseł propagandowych i nacjonalistów brakuje. Każdy Kozak wybuchnąłby z oburzenia na widok wmurowanych w pilony popiersi Puszkina i Łomonosowa!

Zresztą, tutaj też głupich ludzi nie brakuje.

Oto jeden z nich. Kłania się, bełkocze:

- Proszę was! Bardzo się cieszę! Bezgranicznie się cieszę! Nie sądziłem, że wam spotkam, ale los podarował taki prezent! Jestem wprost szczęśliwy!

I tak dalej w tym duchu. Wikientij Bieniediktowicz - na inne zawołanie facet nie reagował - tak słodko się uśmiechał, że Sajgon od razu podejrzewał najgorszego. Zbyt wiele radości, paciuki znacznie skromniej łaszą się pod nogami panów na Dworcowej. A jeśli wziąć pod uwagę, że wszystkie znaki wskazują na astmę u Wikientija Bieniediktowa - on nie rozmawia, a dusi się, każde słowo z wysiłkiem - to... Czy naprawdę jest on tak szczęśliwy?

- Czym chata bogata. Czujcie się jak u siebie. Proszę! - Zaprowadził ratowników do swojego namiotu. - A ja muszę was opuścić - ważne sprawy nie będą czekać. Czujcie się, tak, jak w domu. Co moje to wasze! I wiecie, cóż za radość, sprawy do góry poszły! W końcu po procenty przybyliście? Już wam na jutro i rachunek i dywidendę!

I, nisko się kłaniając, odszedł.

Uniwersytet nawet w dostawach mięsa różnił się od innych stacji. Zazwyczaj - zawsze! - Sajgon sprzedawał franczyzę, to znaczy wręczał kupującemu za pokaźną sumkę klatki ze zwierzętami różnej płci. Przy tym kupujący gwarantował, że będzie handlował mięsem pod marką "Kim i syn", raz na kwartał śląc na Swiatoszyn skromną kwotę za korzystanie z tej samej marki, a jeśli Sajgon i syn zdecydują się odwiedzić stację, na której działa franczyza, spotkają się z godnym przyjęciem: woda, samogon, nocleg, wyżywienie, panienki...

No dobra, z panienkami to był żart. Cała reszta na poważnie. Fakt, z panienkami żartował. Sajgon, który już od jakiegoś czasu jest zażartym domatorem, ani razu nie odwiedzał swoich franczyz. No i okazało się, że zająć w gości do kolegów po fachu nie jest już tak łatwo, w końcu obcych nie witają chętnie na stacjach - w metrze każdy jest zdany na siebie... Co z tego, że wojna totalna czycha tuż za rogiem!

Tak oto pewnego razu pojawił się na Swiatoszynie przedstawiciel Uniwersytetu. Poprawiwszy okulary oznajmił, że franczyzy nie pociągnie, zbyt wiele trzeba już za nią zapłacić. Ale ma on propozycję: "A co, jeśli podzielę dochód? Nie franczyza, a filia? Pańskie przedstawicielstwo u nas, że tak to ujmę. Co?"

Sajgon ze smutkiem wyobraził sobie, jak będzie mógł doglądać farmy znajdującej się w odległości sześciu stacji od Swiatoszyna, ale głupio się zgodził. Przychody z Uniwersytetu były prawie zerowe: czasem tylko chudzielec w okularach przysyłał niewielką kwotę pieniędzy, ciągle narzekając na to, że chomiki bez przerwy zdychają. A potem i opłaty przestały przychodzić.

A teraz Sajgon osobiście dokonywał inspekcji swojej - w pięćdziesięciu procentach - własności. Ratownicy muszą tylko odpocząć i dojsć do siebie. Ale szanowny Wikientij Bieniediktowicz nie musi o tym wiedzieć. A to jeszcze zrelaksuje się, pomyśli o sobie niewiadomo co. Z wyglądu facet podchodzi pod dwudziestkę, urodził się, najprawdopodobniej, już w metrze, ale powstał na powierzchni. Karłowaty jest trochę. Ręce, nóżki chude, zęby krzywe, bródka skąpa, lepiej gdyby ogolił. Koszuleczka, garniturek, buciki... Kujon jakiś, tak właściwie. Kosmetykami dla kobiet mógłby handlować...

Zresztą wszyscy się tutaj tak ubierają i, wydaje się, nie odczuwają żadnego dyskomfortu. W końcu na tej stacji osiadli wykładowcy Kijowskiego Uniwersytetu Narodowego im. Tarasa Szewczenki, studenci i ich potomkowie. Postawili sobie za cel ochronę wiedzy naukowej, wliczając też tą, która nie ma praktycznego wykorzystania w nowym świecie. Komu, zapytacie, potrzebna pod ziemią kultura paragwajskich Indian albo anatomia salamandry płamistej? Odkrywają coś przez cały czas, odkrywają... I wciąż jest to bezużyteczne. Metru potrzebne są amunicja i elektryczność, jedzenie, powietrze i woda. Dziwactwa profesorów uważał za głupią stratę czasu i zasobów. Przecież ta ludzka masa żyje, sra i zwyczajnie zajmuje przestrzeń!

- Inteligencji. - Fidel splunął współczująco-pogardliwie splunął w ślad za Wikientim Bieniediktowiczem. - Tutaj to można osłabnąć.

Zdecydowanie nie.

Donieśli w końcu Lektora i Gilzę.

Sajgon myślał, że mu kręgosłup pęknie z wysiłku. Che aż przestał marudzić, że trzeba zostawić słodką parkę, bo, ponoć, wszystkich nie uratują - tak się zmęczył.

- Oddychają?

Sajgon sprawdził puls, skinął.

- To chwilowe - uśmiechnął się Che.

- A idź ty!...

- Dokąd poleciał ten twój suhak? A gości nakarmić, a do spania ułożyć? - Rastaman spojrzał z wątpieniem na jedyne w namiocie składane łóżko, na którym leżały próbówki, kolby i wygięte w dziwaczny sposób metalowe rurki.

Sajgon rozłożył ręce:

- Nasz dobroczyńca Wikientij Bieniediktowicz kazał nam czuć się jak w domu.

- Dom to ja miałem wcześniej na Dworcowej - bąknął Che.

I wtedy stało się... Gilza stęknęła i otworzyła oczy:

- Gdzie jestem?

Głos miała słaby, ale jednak jakiś! Żyła i mówiła! To znaczy, że do nieodwracalnego uszkodzenia układu nerwowego, o którym przez całą drogę trajkotał rastaman, nie doszło.

Powiedzieć, że Sajgon się ucieszył, to za mało. Kim jest dla niego ta dziewczyna? Nikim. A jaka radość go opanowała...

- Lektor! Lektor! Czy on żyje? - Gilza złapała za ramię Nigeryjczyka, z przerażenia rozszerzyły jej się oczy.

Żadnej odpowiedzi.

- Pocałuj go - zaproponował Che. - Zazwyczaj piękny książę ustami budzi księżniczkę. Ale tak robiono na powierzchni, a u nas, w metrze...

Gilza, nie słuchając do końca rastamana, przyssała się do ust Lektora.

I drugi cud! Lektor obudził się!

Otworzył oczy i uśmiechnął się do Amazonki.

- No a co mówiłem?! - Che z dumą zaczął robić miejsce na łóżku. Nie liczył się przy tym ze stratami: rozbił trzy kolby o kilka probówek. Odłamki ostrożnie wsunął do kąta pod piętrzącą się górę śmieci - starych ubrań, kabli i obudów od komputera. - Niezły ma namiot ten twój suhak, przestronny. Na Bieriestiejskiej też mieliśmy takie apartamenty - osobiście podarowane przez cesarzową, wieczny pokój racz jej dać Panie. Postarał się nasz comandante. A ten czubek za co dostał takie luksusy? Komu on tu tak pochlebia?

Oczywiście, Che narzekał na pokaz. W rzeczywistości doskonale wiedział, że na Uniwersytecie tak mają się sprawy: każdy mieszkaniec stacji powinien mieć prywatny gabinet do eksperymentów i rozmyślań. Niektórzy aborygeni zajmowali się tylko myśleniem całymi dniami. Takich uznawano tu za najlepszych.

Dokładnie, płaszczysz tyłek, a oni ci za to płacą i cię szanują! Tfu!

Wrócił gościnny gospodarz, przyniósł plastikowy czajnik elektryczny z wodą. Wygląda na to, że nie oszczędza się tu prądu... Nieźle się urządzili kujony!

- Gorącego? - Rozlał wrzątek do filiżanek i szklanek, skarżąc się na to, że posiada prawdziwego serwisu, a i sama herbata jest jako taka dostępna. - Zamiennik. Spróbujcie.

- Wikientiju Bieniediktowiczu, nazywajmy rzeczy po imieniu. Pijemy pleśń? - Che podmuchał ciecz w szklance i wziął łyk.

Aborygen skinął, co znaczyło, że tak właśnie jest.

- No niczego sobie - stwierdził Che. Nawet smak ma. Koło herbaty to nawet nie stało, ale nieźle.

Wypiwszy po pół filiżanki, Nigeryjczyk i Amazonka znowu stracili przytomność.

Dobrze, że Sajgon tylko zwilżył wargi napojem - okazał się mieć paskudny smak.

Kolejnego złapało Fidela.

I to bardzo osobliwie złapało: zdjął buta i złapał się za piętę z uśmiechem zadowolenia. Następnie puścił piętę i ponownie złapał. Niczym kotek bawiący się swoim ogonem albo ze szmacianą myszką!

A jeśli chodzi o Myszkę. On pierwszy zdał sobie sprawę, że ratownicy zostali odurzeni i zbliżył się do Wikientija Bieniediktowicza. Ale siły opuściły szabrownika, poleciał twarzą w dół. Lepiej by użył rewolwerów, pomyślał Sajgon i od razu przypomniał sobie, że nie mają amunicji. Tak więc złapanie rękami za gardło naukowca jest tym samym. Szkoda, szabrownik nie poradził sobie ze swoim zatrutym ciałem.

A na Che trucizna zadziałała specyficznie. Rastaman zaczął tańczyć. Kuczał, bił się po udach, robił miny i ostatecznie padł na podłogę, wskazując palcem w sufit. Faza, nie inaczej. Miłego odlotu, towarzyszu!

- Woda! Woda oczyści! Zalej! Zalej dziurę! - krzyczał w konwulsjach rastaman.

Bredzi, chory. Za to Sajgon wciąż był zdrowy na umyśle i trzeźwo myślący. Chciał powstrzymać to oburzenie, ale nie zdołał wstać - nogi odmówiły posłuszeństwa. To one, kolana i pięty w spodniach w plamki, a nie słuchają! Sajgon raz za razem podnosił się i upadał. Wikientij Bieniediktowicz z ciekawością naukowca obserwował jego słabość, po czym wyciągnął skalpel z wewnętrznej kieszeni marynarki. Ostrze drapieźnie błysnęło w świetle lampy bez abażuru.

To przywróciło Sajgonowi trzeźwość. Stłumił panikę i sprawił wrażenie, że stracił przytomność. Tak jest najpewniej. Zwłaszcza, jeśli ktoś chce przeprowadzić na tobie wiwisekcję.

- A zabawny byłby eksperyment. - Wikientij Bieniediktowicz z żalem schował z powrotem skalpel.

- Opowie pan? - Do namioty weszły dwie osoby.

- Naturalnie! - Tym razem gospodarz ograniczył się do suchego powitania. Widocznym wykorzystaniem elokwencji na obcych.

Dwójka, która się pojawiła, była czcigodnymi przedstawicielami nauki. Mężczyźni w podeszłym wieku: siwizna zaczesana na boki, okulary z grubymi szklami, powolne ruchy. Jeden z nich raz po raz przygryzał wargi, drugi chrząkał i unosił do masywnego, całego w czarnych plamach nosa chusteczkę.

Ratownicy do tej chwili wszyscy leżeli niczym kłody. Nawet odlot Che zakończył się utratą przytomności. Jedyne Sajgon miał świadomość. Przez pewien czas nowi goście przyglądali się, chrząkali, marszczyli brwi. Uczeń wydawał się być rozdrażniony tym, że musieli opuścić laboratorium.

- Wystarczyło tylko przyjść, przecież sam pan mógł...

- Tak, młody człowieku, nieładnie wykorzystywać starszych towarzyszy...

- Ale przecież sami panowie mogli, Boże! - zatrzęsł się z oburzenia Wikientij Beiniediktowicz. - Sami panowie nalegali, żeby osobiście obejrzeć obiekty! - Wyrzuciwszy to jednym ciągiem, wyciągnął z kieszeni niewielki balonik i psiknął sobie z niego do ust.

Lekarstwo na astmę, stwierdził Sajgon. Ale dlaczego biedaczek nie zażył go wcześniej, kiedy przyszli do niego ratownicy?

Odpowiedź nie kazała na siebie długo czekać.

- Młody człowieku, przecież otrzymał pan opłatę za problemy. - Chusteczka dotknęła nosa. - Sprej pomaga panu?

Oto, co to jest. Partner Sajgona otrzymał lekarstwo na astmę jako zapłatę... za co? I dlaczego uczeni tak bardzo interesują się ratownikami?

- Dziewczynie i Afrykańczykowi potrzebna jest reanimacja. - Na dolnej wardze profesora pojawiło się odcisnięcie siekaczy. - Witientiju Bieniediktowiczu, podsuwa nam pan towar słabej jakości. Jest pan przecież w pełni świadom, że do badań potrzebne są nam zdrowe organizmy. Podkreślam: zdrowe! W przeciwnym wypadku wyniki nie będą wiarygodne. Chce nam pan narobić wstydu?

- A to, że silniejszy środek sparaliżował ich, nie interesuje panów?! - Wikientij Bieniediktowicz o mało nie rzucił się z pięściami na gości.

Ci spojrzeli na siebie i złośliwie zachichotali - nie zmienili zdania. Właściciel namiotu zrobił się czerwony, musiał aż użyć balonika - prawie zakrzuszył się ze złości.

Sajgon zgrzytnął zębami. No, kurna, napili się herbatki! I po godzinie niewątpliwie znaleźliby się na stole operacyjnym - rozczłonkowani na części i z elektrodami w mózgu. Obraz jak żywy pojawił się przed oczami, a Sajgona wykrzywiło. No już nie. Udało mu się, wypił najmniej trucizny. Pan Tuneli ma go w opiece. Nie wolno zmarnować otrzymanej szansy. Trzeba działać!

Ale przeciwników jest trzech, a dolna część ciała Sajgona jest sparaliżowana. Jedynym sposobem na ocalenie jest zaskoczenie. To jak wyskoczyć z wielkiego pudełka i wrzasnąć na całe gardło:

"Niespodzianka!!!". Właśnie tym Sajgon zamierzał się zająć. Tylko nie będzie krzyczał.

- Ciekawy eksperyment.

- Zgadzam się, koleczy.

Uczeni pochylili się nad farmerem.

Sajgon właśnie na to czekał - chwycił za nóż, uderzył tego mężczyznę, który znajdował się bliżej, w serce. Chusteczka upadła na podłogę. Drugi uczoney rzucił się do tyłu, ale Sajgon chwycił jego kolano. Powalił. Chwili potrzeba było, żeby na rękach dostać się do gardła eksperymentatora. Agonia, zęby przegryzły wargi.

Kto następny? Nasz kochany gospodarz, który był taki radosny, taki szczęśliwy z przyjęcia do siebie wiernego partnera biznesowego z odległej stacji Swiatoszyn?

W jednej ręce dzierżąc nóż, Sajgon na łokciach podpełzł do łajdaka. Jakby co, nawet gołymi rękami poradzi sobie z chuderlawcem w garniturze.

Wikientij Bieniediktowicz zastygł w miejscu, bezdźwięcznie otwierając usta. Może chciał wezwać pomoc, ale astma zrobiła mu okropny dowcip. O cudownym baloniku ze strachu zapomniał.

- Nie przywykłem do oglądania podeszew od dołu. - Sajgon jednym ruchem przyciągnął swoje ciało do Wikientija Bieniediktowicza.

Ostrze dotknęło gardła.

Ale w ostatniej chwili Sajgon się rozmyślił.

* * *

- Niezły masz pasek. Mocny.

Związany własnym paskiem Wikientij Bieniediktowicz milczał, chociaż Sajgon prysnął mu do gardła cudowne lekarstwo.

- I nie bądź głupi. Bo język odetnę. Zostawię po sobie pamiątkę. Wierzysz?

Jeniec głośno zasapał. Zbyt głośno. Na wszelki wypadek Sajgon założył mu knebel, wykorzystując do tego jego własny krawat.

W oczach wszystko pływało i kołysało się. Ugryzienia harpii, zmęczenie ostatnich przejść, łyk herbaty - wszystko to zebrało się razem, prawie rzucając Swiatoszyńczyka w zapomnienie.

Wszystko widział i słyszał, świadomość była przytomna, ale ruchy... Zupełnie, jakby wrzucono go do jezioro z odmieńcowatymi i kazano przejść sto metrów po dnie. Trzeba się pospieszyć, a tyledwo

ruszasz nogami...

Skoro mowa o nogach. Poruszył się duży palec prawej nogi, co niezwykle ucieszyło Sajgona. Znaleźć się na obcej stacji sparaliżowanym i w towarzystwie dwóch trupów jest zabawnie, ale raczej nie służy zdrowiu. Za coś takiego zabijają. Zwłaszcza takich, którzy ledwie się czołgają.

Ile czasu minęło, zanim obudził Fidela, Sajgon nie wiedział. Czas nieskończenie rozciągnął się, stał się lepki jak gorąca smoła. Sajgon śnił na jawie.

Leżał w namiocie na stacji Uniwersytet, tak samo, upadając i wstając, szedł przez Szulawską. Oddech z chrypą wyleciał z jego gardła. Przestrzelona noga bolała, przepaska na brzuchu przesiąkała krwią. Ale nikt nie spieszył mu na pomoc, chociaż ludzi wokół było więcej niż wystarczająco.

...Tak, tak, Szulawska zaludniła się! Nie Klasztor Smutku, azyl dla zbiegłych mutantów, a żywa stacja ze zwyczajnymi ludźmi!

Obok niego szedł Che. Zamiast siwizny zaplecionej w dredy, z jakiegoś powodu miał grube, proste włosy. I prawie nie miał zmarszczek na twarzy. Jak to możliwe?!

Che niósł zawiązanego w tkaninę Unkasa, a ten w żadnym razie nie był podobny do koszmarnego stworzenia, które Sajgon widział w Klasztorze Smutku. Spod szmat wystawała zwyczajna twarz małego chłopca, najwyżej półrocznego. Jak Sajgon doszedł do tego, że jest to Unkas? Po prostu wiedział.

I jeszcze wiedział, że Szulawska rozkwitała, dopóki nie zeszło na nią z powierzchni dwóch mężczyzn z dzieckiem. Obcy byli skazańcami. Piętna oparzeń radiacyjnych pokrywały odsłonięte fragmenty skóry: twarze, dłonie, szyje. Mężczyźni ledwie stali na nogach od utraty krwi. Obaj byli ranni i trzymali się tylko na stymulantach. I jedynie chłopczyk czuł się świetnie, jakby wcale nie przebywał w zniszczonym mieście.

Starszyzna rządząca stacją stwierdziła, że przybyli są złodziejami i mordercami, posłano za nimi pościg, a to oznaczało, że nie wolno ich przyjmować na Szulawską. Starzna chciała pozbyć się mężczyzn odpoczywających na torach przy wejściu do tunelu. Wysłano zabójców uzbrojonych w topory. Po co tracić amunicję na śmiertelnie rannych, bezradnych i skazanych? Należy ich zwyczajnie dobić. Zabić.

Ale chłopczyk rozplakał się, tym samym uprzedzając obcych o niebezpieczeństwie.

Katana Sajgon - ten, czymiś oczami teraz patrzył Sajgon - rozciął jednego z zabójców od obojczyka do pasa, a drugiemu uciął dłoń razem z zardzewiałym toporem.

- Zatrzymamy się tutaj. I nikt nam w tym nie przeszkodzi - ogłosił głośno, żeby wszyscy usłyszeli.

Wtedy starszyzna postanowiła pozbyć się przybyszy sprytem. Na znak pojednania przyniesiono napoczętą butelkę skondensowanego mleka dla dziecka i kilka pieczonych szczurów dla mężczyzn. Jedzenie było zatrute. Szczurami nieznanymi goście pogardzili.

A Unkas, który zasmakował słodkiego, skulił się w konwulsjach. Jego ciało wyginało się i kurczyło. Trucizna nie zabiła go, ale strasznie okaleczyła.

Zmieniła chłopca w coś... Coś... Nieludzkiego. Innego.

Właśnie wtedy miecz Sajgona zaśpiewał smutną pieśń na mieszkańcach Szulawskiej. Siekł i ciał, nie żałował nikogo. Podróbka z supermarketu nie przetnie poręczy, ale miecz samurajski jak najbardziej.

Zostawił przy życiu tylko jednego starca i jego maleńkiego wnuka, rudego i kudłatego.

Temu starcowi Sajgon wręczył Unkasa, każąc opiekować się jak własnym dzieckiem, dbać o niego, spełniać wszystkie jego zachcianki.

- Będzie żyć mój syn - będzie żyć i twój wnuk. - Sajgon pociągnął za sobą rudego chłopca.

...I obudził się.

Wynurzywszy się z jeziora, wypełnionego odmieńcowatymi, rozmasował zdrętwiałą szyję.

- To nie ja! Nie ja dokonałem rzezi na Szulawskiej!

Fidel uważnie przyjrzał się Sajgonowi. Wstał samodzielnie i pomógł podnieść się Che. Złapawszy głowę rękami, Myszka na kolanach kołysał się na boki.

No tak, oberwało się ratownikom. Dobrze chociaż, że z nogami znów jest wszystko w porządku, zupełnie jakby żadnego paraliżu nie było. Jedynie kostki bolą.

Sajgon kopnął właściciela namiotu. Ten jęknął żałośnie.

- Lektor i Gilza są w śpiączce. - Rastaman spuścił wzrok, jakby to była jego wina. -

Przedawkowanie herbaty. Moja apteczka im nie pomoże. Tak to już jest... A wszystko przez to.

Dopiero co wyzdrowieli!

Czubek buta Che namiętnie dźgał zebra właściciela namiotu.

- Wystarczy. - Sajgon pochylał się nad jeńcem i wyciągnął knebel. Jeniec głośno wciągnął powietrze. Sajgon zdał sobie sprawę, że jest mu niedobrze i rozwiązał ręce, żeby mógł zażywać lekarstwo z balonika.

- Sprzedałem fermę - powiedział Wikientij Bieniediktowicz.

- Co?!

- Sprzedałem fermę - powtórzył. - Miałem długi za lekarstwo. Bez tego spreju nie przeżyłbym. - Wskazał na srebrzysty balonik i kiwnął na zwłoki na podłodze. - Wytwarza je... wytwarzało... tych dwóch. Tylko oni znali skład i trzymali go w tajemnicy.

Trupy dopiszcie Sajgonowi o rachunku. Podliczymy na Sądzie Ostatecznym.

- Teraz, kiedy skończył się sprej, ja... jestem zgubiony.

Ta menda myśli tylko o sobie, bo jakże by inaczej! Prawie odesłał na tamten świat sześć osób, a martwi się tylko astmą. Tak już jest ułożony człowiek, że pluje na innych. Czy wszyscy ludzie są tacy?

Nie, są wyjątki! Niektórzy przy okazji, nie będziemy wymieniać nazwisk ze skromności, codziennie ryzykują życie, żeby ocalić mieszkańców metra przed rzezią, wliczając w to takie skończone szumowiny jak Wikientij Bieniediktowicz.

- Jeśli można, zabiję tego... tego... - Myszka założył kapelusz na bandaż. Jego oczy nabiegły krwią. Daj mu swobodę, gołymi rękami rozerwie okularnika: oto karkówka, weźcie kawałek, a to wątróbka z podrobami.

- Nie. - Fidel zrobił krok do przodu.

Ku zaskoczeniu ratowników, wysapał z woreczka trzydzieści żetonów i zostawił na łóżku:

- To dla ciebie, przyjacielu. Przeżyj wszystko, co ci zostało, człowieku.

Sajgon, Che i Myszka dosłownie oniemieli z takiego obrotu spraw.

- A to... - Fidel odliczył jeszcze drugie tyle krążków i położył przy poprzedniej kupce. - To dał naszym przyjaciom. Brunet nazywa się Lektor, a dziewczyna Gilza. Bardzo cię proszę: zrób wszystko, żeby przeżyli. I będziemy kwita.

W oczach Wikientija Bieniediktowicza pojawiły się łzy.

- Ja... My... Przecież ja was tak... A wy mnie... Myślałem, że wszyscy... Jakbyście mnie z krzyża zdjęli... Boże... - Powietrza wystarczyło mu na kilka słów. - Wszystko, wszystko zrobię. Przebraszam was... Przepraszam...

- Ale jeśli coś im się stanie do naszego powrotu... - zaczął Myszka, ale Fidel uciszył go. W sumie racja: czym można przestraszyć martwego, którego minuty określała ilość spreju w baloniku?

- Dobra, panowie, na nas już pora. - Fidel podniósł klapę namiotu, wpatrując się w ciemność. - Czekają nas wielkie rzeczy.

Zatrzymał go głos gospodarza:

- Stójcie! Co wy?! Poczekajcie do rana. Nie wolno wychodzić z namiotu. Każdego, kto znajdzie się na peronie w nocy, postanowiono wykorzystywać jako królika doświadczalnego. Wyjdziecie na zewnątrz i ruszy za wami pościg!

Inteligencja, psia jego mać.

Miejscowy system oświetlenia nie pokrywał się ze swiatoszyńskim, ale poranek i tak nastąpił - dyżurny elektryk włączył oświetlenie stacji.

Żegnani drapieżnymi spojrzeciami uczonych, ratownicy opuścili Uniwersytet. Sajgonowi wydawało się, że rozczłonkowują go żywcem, rozdzielając organy po słoikach ze spirytusem.

- I w czym ci jajogłowi są lepsi od kanibali?

Fidel w milczeniu wzruszył ramionami. Sajgon i tak nie oczekiwał odpowiedzi na to pytanie.

- I tych drani chcesz uratować przed rzezią o wolną ziemię? - Zagroził Fidelowi drogę i tknął go palcem w klatkę piersiową. - Tych, tak?!

- Tych. - Comandante żartobliwie popchnął Swiatoszyńczyka. - Tych. A kogo innego? Co, mamy jakiś innych? Tak, są draniami! Tak, w niczym nie są lepsi od ludożerców i bandytów z Dworcowej! Ale przecież twój partner uprzedził nas o niebezpieczeństwie. A mógłby to przemilczeć, prawda? W jednej chwili by się nas pozbył i zabrałby wszystkie twoje żetony. A później sprzedałby Lektora i Gilzę. Ale uprzedził. Rozumiesz, młody? Nie jest aż takim draniem. Nie wszystko stracone, można go uratować. I innych także. Lepszych, gorszych - wszystkich uratować. Rozumiesz?

Sajgon niepewnie przytaknął.

- Dobro i zło. Czasem bardzo trudno odróżnić jedno od drugiego. - Fidel poprawił na plecach plecak wypełniony materiałami wybuchowymi.

A Sajgon nagle wspomniął przewoźnika, który chciał nakarmić pasażerami odmieńcowatych, ponieważ w przeciwnym razie mutanty ruszyłyby na stację w poszukiwaniu zdobyczy. Lektor również planował pozrec Sieriożę Kima, a później ryzykował życiem, żeby wyciągnąć go z więzienia na Niwkach... Fidel ma rację: zło w metrze bardzo ciężko odróżnić od dobra.

A ty, Sajgon? Jesteś dobry czy zły?

Brak odpowiedzi.

Fidel pociągnął go za ramię:

- Młody, nie smuć się. Pewien mędrzec kiedyś powiedział, że będzie tworzył dobro ze zła, ponieważ nie ma z czego innego tworzyć. Nie lubię mędrców. Ale, do diabła, ma rację!

Rozdział 19

Zwycięzca konkursu socjalistycznego

Czerwona, jeszcze sowiecka, flaga u wejścia na stację zdezorientowała nie tylko Sajgona.

Fidel i Che spojrzeli po sobie, a Myszka uszczypnął się, żeby upewnić się, że widzi to na jawie.

- Nie pomyliliśmy adresów? To na pewno Teatralna? - Myszka kategorycznie odmawiał uwierzenia własnym oczom.

- Przestań się szczypać, masochisto, bo jeszcze krwiaka dostaniesz. Głowę daję, że Teatralna. Tylko jakaś nie taka... - Che rzucał spojrzeniem na boki.

Wbrew radom rastamana, Myszka jeszcze raz się uszczypnął.

- Skoro to jest Teatralna, na której przeżyłem wiele lat, to lepiej, żebyśmy jak najszybciej stąd spadali. Na tej Teatralnej, którą znam, nigdy nie wywieszono by tej szmaty.

- Dokładnie - skinął Fidel.

Chociaż Sajgon nigdy nie był na tej stacji, niepokój starszych towarzyszy udzielił się i jemu. Mimo to powiedział, co go niepokoiło:

- Jak najszybciej - dobrze. Szmata - rozumiem. Ale nie mamy amunicji. Znowu chcecie być się z paciukami na pięści?

W tunelu między Uniwersytetem i Teatralną nie obeszło się bez przygód - ratowników zaatakowała cała armia paciuków. Sajgon był pewien: stworzenia jakoś dowiedziały się, że ludzie mają problemy z korzystaniem z ognia. Przyszło mocno kombinować...

- I żarcie się skończyło. Na Uniwerku nie udało nam się zjeść, trzeba by się tu zaopatrzyć. Myślę, że to nie problem. Mam dość żetonów, żeby kupić pół metra.

Myszka wyraził wątpliwość, że problem z żywnością zostanie tak łatwo rozwiązany.

- Dlaczego?

- Był tam sklep mięsny "Kim i syn". Powtarzam: był.

Sajgon spozjrzał we wskazanym kierunku. To co zobaczył, nie spodobało mu się: miejscowa franczyza zakończyła swoje istnienie. Zwyczajnie rozgrabiono ją. Zwierzęta, najprawdopodobniej, zjedzono, a klatki zniszczono.

No cóż, nie pierwsza strata. I tak będą kolejne. Swietka "ucieszy się", kiedy jej mąż opowie, że na dwóch stacjach przyjdzie zaczynać wszystko od początku...

- Woda się przyda - dodał. - Też się skończyła.

Na widok pustego posterunku można było się domyślić, że rzeczy na Teatralnej nie mają się najlepiej. Ale nie, oświecenie nie nastąpiło - Fidel i Che wymienili kilka żartów o tym, że na stacji panuje dzuma albo zmasowany atak biegunki.

A tutaj - flaga. Z sierpem i młotem i ze złotymi literami na szkarłatnym tle: "Zwycięscy konkursu socjalistycznego". I pięcioramiennie gwiazdy na ścianach.

- A to co, satanistyczne pentagramy, jak u Kosmosa? - Sajgon z niepokojem przyglądał się tłumowi zebranemu na skraju peronu. - Fanatycy religijni, czy coś w tym rodzaju?

- Dziecko. - Che spojrział na niego protekcyjnie. - Po prostu komuniści przejęli władzę. I teraz mają spotkanie, to znaczy pranie mózgow nieświadomemu społeczeństwu. A żeby ludzie nie rozeszli się, pilnują ich karabiny maszynowe. Pod przymusem jakoś od razu ideologią przesiąkasz...

- Czyli musimy się dogadać z komunistami.

- Łatwe. Postawią nas pod ścianą i ot całe dogadanie się... Tylko skąd oni wzięli... Kto by pomyślał? Pamiętacie, kiedyś na końcu stacji była płaskorzeźba Iljicza - rozebrali. Z pylonów wyrwali brązowe flagi z cytatami. A teraz, wychodzi na to, że jest na odwrót?

Od jego słów comandante zmarszczył brwi, jak od bólu zęba, a kowboj -szabrownik chwycił za rewolwery, którymi bez nabojów można było najwyżej nabić guzy na czole.

- I po jaką cholere Teatralna im się poddała? - spytał tępo Sajgon.

- Mam pewną teorię - ogłosił Che. - Widzisz, jakiego koloru są ściany? Czerwony granit. Rzadka skała. Gdzieś pod Żytomierzem wydobywano, a innego miejsca wydobywania nie ma. Tym samym granitem wyłożono ściany Mauzoleum w Moskwie. Tego samego, gdzie leży Lenin. Moskwy nie ma, Żytomierza nie ma, Lenin umarł...

- Jedna wielka ruina, ogólnie mówiąc - podsumował Fidel.

- Ale! - kontynuował Che. - Ostała się nostalgiczna stacja w kijewskim metrze. Może jest ona dla komunistów jak reinkarnacja Mauzoleum? Może zajęli ją, ponieważ tutaj ma mieć miejsce drugie

nadejście Lenina?

- Może tutaj otwiera się pradawny portal do Mauzoleum? - podłapał Fidel i uśmiechnął się.

Sajgon nie wiedział, kim jest Lenin i bardzo ogólnie wyobraził sobie Mauzoleum. W szkole nie bardzo interesowała go historia, a szkoła to już dawno była!

Na stacji panowało spustoszenie. Zniszczenie... Coś się stało - i całe dotychczasowe życie rozpadło się. Śmieci na peronie, w nich grzebią szczury... Nie boją się ludzi. Czegoś takiego Sajgon nie widział na porzuconej Szulawskiej...

Muskularne byki, uzbrojeni w strzelby, uważnie obserwowali tłum.

- Hej, staruchu! Tak, ty! Zasuwasz mi tu, do kogo mówię?! Wszyscy pracują ku chwale komunizmu, jeden ty... - Temu bandycie z jakiegoś powodu nie spodobał się bogu ducha winien sześćdziesięciolatek, który według standardów metra jest już w mocno podeszłym wieku.

Na każdej stacji są takie odłamy pokroju lokalnego byka, nie umiejącego i nie chcącego palcem kiwnąć, ale dziko dążącego do władzy. Said na Dworcowej, Bolt na Swiatoszynie. Ludzie zawsze i wszędzie są tacy sami. Choć kapitalizm z ludzką twarzą, choć zniesienie własności prywatnej - nic nie zdoła zmienić istoty Homo Sapiens: pragnienie zapełnienia brzucha, nie robiąc niczego i końcem kija poniżać wszystkich słabszych. Po prostu u jednych jest to jasno wyrażone, a inni potrafią skryć swoją bydlęcą naturę głębiej.

Jak Fidel, prawda? On ją ukrywa? Lub Che? A jeśli wspomnieć Bajdę, który pochylał głowę w walce z berserkami? A ty, Sieriożeńka? Ty wiele zyskałeś po drodze?...

Sajgon z rozdrażnieniem splunął na podłogę. Jak wyjść zwycięsko w sporze z samym sobą?

- Stary! Do kogo ja mówię?! Stój!

Staruszek i tak stał, ale byk, najwyraźniej, lubił na niego wrzeszczeć. Pomimo zaawansowanego wieku, dziadek wyglądał na dosyć żwawego, nie używał do chodzenia prowizorycznego wsparcia. Ubrany był w ciemnozielony płaszcz. Na głowie czarna czapka z daszkiem z białymi literami łacińskimi. Na nogach walonki i kalosze. Wszystko zadbane, czyste.

W końcu zainteresowali się ratownikami:

- Towarzysze, chcecie przyłączyć się do naszej komuny? W ciągu pięciu lat zbudujemy razem świetlaną przyszłość! Jestem komisarzem stacji. Była Teatralną, ale dzisiaj na zebraniu partyjnym jednogłośnie przemianowaliśmy w stację Lenińską. - Nieco powyżej łokcia na ręce mężczyzny zawiązana była czerwona opaska.

- Gratuluję. Lenińska - to świeże, nadzwyczajne. A jeśli chodzi o przyłączenie się... Niestety, jeszcze nie jesteśmy zbyt dobrze zaznajomieni. - Fidel uważnie śledził reakcje komisarza.

Ten momentalnie stracił zainteresowanie potencjalnymi rekrutami i kiwnął swoim żołnierzom, żeby obserwowali obcych. Kto wie, może to szpiedzy?

- Musimy uzupełnić zapasy. Woda, amunicja, jedzenie...

Ale komisarz już czym prędzej odchodził.

Che wytarł pot z czoła:

- A już myślałem: i tyle, dupa.

Dopiero teraz Sajgon zauważył, że ratowników otoczyli czerwoni żołnierze. W czasie, gdy komisarz rozmawiał z comandante, karabiny snajperskie i szturmowe jego ludzi wycelowane były w przybyłych.

- Spokojnie, towarzysze! Spocznijcie! - surowo skinął na nich Fidel. - Zaraz kontrrewolucja?

Che zachichotał.

- Tak, co my tu mamy? Złośliwa niesubordynacja? Pasożytnictwo? - Byk ze strzelbą wciąż jeszcze terroryzował staruszka w czapce. - Myślisz, że jeśli nasze metro budowałeś przed wojną, to wszystko wolno? I nie pracować, i żreć za darmo, tak?! Takiego! My was wszystkich, relikty starego reżimu, postawimy do pionu! Obiecuję ci to jako krasnoarmiejec!

Wygląda na to, że byk rozzłościł się nie na żarty. A staruszek... On zwyczajnie patrzył na dobrego młodzieńca i, ledwie zauważalnie uśmiechając się, kiwał głową: zobaczyłem życie różnego gówna wagon i dwie teleżki, a waszą władzę tym bardziej zauważyłem pod cysterną.

Sajgon naprężył się: nasze metro budowałeś przed wojną...

Nasze metro...

Budowałeś...

Budowniczy metra?!

Jeszcze nie do końca wiedząc, co i jak, ruszył w stronę krasnoarmiejca i zatrzymanego "pasożyta":

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale nie mógłby pan...

Byk miał problemy z szyją: żeby spojrzeć na interesanta, musiał obrócić się całym ciałem. Przy tym stracił staruszka z pola widzenia, z czego ten z radością skorzystał - żwawo odbiegł jak najdalej, tylko kalosze błyszczały.

- Czego?!!

Odrzut ze strzelby pozbawiłby Sajgona splotu słonecznego razem z kawałkiem kręgosłupa. Powstałaby taka ogromna dziura, że można by było przez nią podziwiać unikatowy czerwony granit spod Żytomierza.

To trochę niepokoiło.

- Woda, amunicja, jedzenie. Chcę kupić. Gdzie można?

- Kupić?! - Byk wytrzeszczył oczy na Sajgona z nieopisanym zaciekawieniem. - Na głowę upadłeś?! Na Lenińskiej własność prywatna jest zniesiona. Nie przyjmujemy żetonów jako zapłaty. Chcesz żreć, potrzebne amunicja i woda - pomęcz się na chwałę komuny, towarzyszu! Pracy nigdy nie brakuje!

Krasnoarmiejec jeszcze długo opowiadałby na zadany temat, ale Sajgon pospiesznie wycofał się.

Nowi chrześcijanie, Amazonki, cesarze, nacjonaliści, wielbicieli sekcji zwłok, teraz jeszcze komuniści... W metrze zostali w ogóle jacyś normalni ludzie? No, oprócz Swiatoszyńców?...

Mówiąc w skrócie, na Teatralnej - pardon, Lenińskiej - na ratowników czekało wielkie rozczarowanie w uzupełnianiu wyczerpujących się zapasów. Orać za grzybowy gulasz nikt tutaj nie zamierzał. Fidel i jego uszczuplona kompania zostali z niczym.

- Chociaż przenocujmy, przynajmniej tego nie zabraniają. - Comandante przywarł do pylonu i zamknął oczy,

Che poszedł w jego ślady, przysiadając się obok. Myszka zsunął niżej kapelusz.

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - Sajgon wiedział już, jak akurat mogą zwiększyć szansę na zwycięstwo.

W kijowskim metrze nie będzie wojny! Słyszycie, nie będzie!

Sajgon tak postanowił.

- On musi pójść z nami. Jest niezastąpionym człowiekiem dla ratowników! Kiedy znajdziemy system tunelowania, ktoś będzie musiał go uruchomić. Bez specjalisty nie da się, zgodzisz się, Fidel. Jesteś specem? Ja też nie. I Che nie jest specem, ani Myszka. A ten staruszek jest prawdziwym budowniczym metra, to jego zawód!

- Minęło tyle lat... - zawałał się comandante. - Mógł stracić rozum i wszystko zapomnieć. A ciągnięcie ze sobą śliniącego się sklerotyka, chronienie go i karmienie łyżeczką nie są zbyt przyjemne... I tak spróbuj. A nuż?

Znalezienie staruszka okazało się być niezwykle proste - na stacji znano i lubiano go. Zewnętrzny wygląd Sajgona - ranny, rozdarta kamizelka, dziurawe spodnie - nie wzbudzał zaufania wśród Teatralników-Leninczyków, ale ten brak szybko opłacił kilkoma żetonami. Walutę może i wymienili, ale, najwyraźniej, wielu żyje tu przeszłością.

- Młody człowieku, posłuchajcie tylko. Za pięć minut wyłączają światło.

Nie wiadomo, czy kobieta, która powiedziała, jak znaleźć budowniczego metra, miała więcej lat, niż Sajgon, ale srogie zmęczenie mocno ją postarzało. Co trzeba było zrobić, żeby doprowadzić człowieka do czegoś takiego?...

Światło zgasło, kiedy Swiatoszyńczyk zapukał do drewnianych drzwi - jednych z wielu w bloku pomieszczeń służbowych. Teraz wiadomo, dlaczego byk tak rzucał się na staruszka - typowy problem zniszczył mieszkańcy metra. Wnioskując po nastrojach na stacji, dziadka wkrótce eksmitują, a elitarny lokal trafi się gnidzie ze strzelbą. Za zasługi dla Ojczyzny.

Sajgon wyłączył latarkę - drzwi otworzyły się, w środku było światło. Na progu stał ten sam staruszek w płaszczu i walonkach. Na materacu w rogu małego pokoiku leżała walizka. Dziadek, widocznie, czekał, co się z nim stanie: zebrał dobytek i nie kładł się spać. Jego oczy błyszczały, podbródek był dumnie uniesiony.

- Ja... Dobrej nocy. Nie sądzi pan... - Sajgon zmieszał się.

Nagle pojął, że nie wie, jak opowiedzieć staruszkowi o ważnej misji, o potrzebie pójścia razem z

kompanią Fidela. Słowa wydawały się zbyt patetyczne, zupełnie jak polityczne agitacje komunistów: mało uczuć, dużo populizmu.

Gestem staruszek zaprosił gości do środka i wskazał na taboret - jedyny w pokoju. Sam usiadł na materacu.

- Rzecz w tym, że... Przepraszam, jak pan ma na imię?

Taboret był niewygodny, krzywy, usadować się na nim w żaden sposób nie udało się.

Staruszek z uwagą spoglądał na gościa. Potem podniósł palec do ust i pokręcił głową.

Przecież on jest niemy? W jaki sposób Sajgon nie domyślił się od razu?

- Przepraszam, nie wiedziałem... nie jestem stąd, dopiero dzisiaj na waszą stację... a tutaj...

Staruszek wydobyl z kieszeni wytartą kartkę papieru, na której zaczął pisać coś ogryzkiem ołówka wielkości paznokcia. Wtedy, żeby przyspieszyć dialog, Sajgon wyciągnął z plecaka swoje przybory piśmiennicze - notes, prawie że nowy ołówek - i podał staruszkowi:

- Proszę. Prezent. Aż nie wierzę, że widzę przed sobą prawdziwego budowniczego metra... Pan przecież... - Sajgon skrępował się, stracił wątek. - Przecież gdyby nie pan... Nie to, co pan robił...

Wszyscy byśmy zginęli na górze. A tak mamy metro. Dziękuję! Dziękuję...

Staruszek podejrzliwie zmrużył oczy, przyglądając się gościowi, ale prezent przyjął. I nagle w jego oczach błysnęły łzy. Widać nie często wdzięczni potomkowie okazywali mu cześć. Zazwyczaj oskarżają o pasożytnictwo i grożą strzelbą.

Staruszek szybko napisał coś w notesie.

"Paweł Terentiewicz".

- A ja Sajgon.

Staruszek - Paweł Terentiewicz - karcąco pokręcił głową.

Sajgon zmieszał się:

- To znaczy Siergiej Kim. Tak się nazywam.

Odpowiedzią był uśmiech aprobaty.

I nagle światło zgasło.

Z hukiem drzwi wejściowe wleciały do środka.

Chwyciwszy za nóż, Sajgon rzucił się ku ciemnej figurze, która zastawiła sobą otwór wejściowy.

Ostrze przecięło powietrze - przeciwnik odskoczył. Sajgon ruszył za nim. I wtedy silny cios w szczękę powalił go na plecy. W oczach wybuchły fajerwerki. Z trudem Sajgonowi udało się zachować przytomność. Wciąż jeszcze ściskając nóż, podniósł się najpierw na kolana, następnie stanął prosto:

- Tak przy okazji - puka się...

Przeciwnika nie było w pobliżu. Jak przyszedł, jak odszedł. Widocznie zdał sobie sprawę, że z Sajgonem nie ma żartów.

To tu, to tam otwierały się drzwi. Rozlegały się przygłuszone szepty. Mieszkańców pomieszczeń służbowych obawiano się - wszyscy czekali, aż po nich przyjdą.

Sajgon włączył latarkę i, poświeciwszy w dół, podniósł nóż, który zostawił nieproszony gość. Budowniczemu metra złożono wizytę nie żeby z nim pogadać o tym i owym. Ubić chcieli. Staruszek miał szczęście, że w pobliżu znalazł się ratownik.

- Pawle Terentiewiczu, sprawa jest taka... Ja i moi towarzysze, my idziemy na stację Dniepr. Wiemy, że jest tam system drażenia tuneli. Z jego pomocą będziemy kopać tunele. Nowe tunele... Żeby dla wszystkich starczyło miejsca. Żeby nie było wojny... Ech! Długo by opowiadać... W skrócie, potrzebny nam specjalista. Pan.

Sajgon poświecił na staruszkę. Ten coś szybko napisał w notatniku.

Sajgon przeczytał: "Szaleństwo!!!" i ciężko westchnął:

- Pawle Terentiewiczu, albo idzie pan z nami, albo pana odwiedzą, kiedy nie będzie mnie w pobliżu. Nie zostawią pana w spokoju. - Podał staruszkowi nóż.

Tym razem w notesie było napisane: "Choćby do samego diabła, byle dalej stąd."

Rozdział 20

Chreszczatyk

Zapewne już w pierwszym dniu po wojnie jakieś zbiry odcięły Pawłowi Terentiewiczowi język. Od

tamtego czasu budowniczy metra używał do komunikacji długopisu, markera lub ołówka - wszystkiego, co pisało. Ale z każdym rokiem coraz trudniejsze stawało się zdobycie materiałów papierniczych. Pospolity niegdyś papier w metrze stał się niezwykle deficytowy, nie na kieszeń zwyczajnego człowieka. Dlatego Paweł Terentiewicz nie "gadał" po próżnicy. Przywykł do oszczędzania.

- To jest Paweł Terentiewicz, budowniczy metra. Zgodził się z nami pójść.

Ratownicy po kolei przedstawili się. Myszka długo ścisnął rękę staruszkę i głupio się uśmiechał.

- Nic tu po nas. - Fidel zarzucił plecak na plecy. - Zostanie tu nie jest zbyt pewne.

Zupełnie jak na potwierdzenie jego słów, huknęły wystrzały.

Spojrząwszy na błyski, dobrze widoczne w ciemności, Sajgon od razu zrozumiał, w czym rzecz:

- Tam są pomieszczenia służbowe. Zaczęło się usuwanie niewygodnych osób. Pawła Terentiewicza będą szukać. Ma tutaj sympatyka.

Żli i głodni ratownicy opuścili byłą Teatralną. Skryli się w mroku, niczym bandyci. A przecież stacja nie spała... Chociaż jej mieszkańcy nie brali udziału w masakrze w pomieszczeniach służbowych, to krzyki rannych i huki wystrzałów słyszano doskonale. Mieszkańcy skryli się w swoich norach. Nikt nie wyszedł wstawić się za tych, którzy umierali.

Przy wejściu do tunelu ratownikom drogę zagroziła lokalna warta. Najpewniej ci sami faceci, którzy mieli siedzieć na posterunkach. To oczywiście: w tunelu i strasznie, o nudno, na stacji znacznie weselej.

- Ej, daleko się wybieracie? - zainteresował się przywódca wartowników, zarośnięty, krótko ogolony dwudziestoletni chłopak. Morda pewna siebie, aż się prosi, żeby przejechać po niej kolbą.

Odpowiedział Fidel:

- Chcemy się przejść po Chreszczatyku, popatrzeć na kasztany.

Wartownik nie miał poczucia humoru. Albo nie pokazał tego.

- Szeffie, a może się dogadamy? - Sajgon zrobił krok do przodu i wymownie potarła kciukiem o palec wskazujący.

- Zdecydowanie się dogadamy! - ucieszył się wartownik.

Jego towarzysze, a było ich około piętnastu, zgodnie zarechotali. Dopiero teraz Sajgon zauważył, że dowódca wartowników siedział na wielkim plastikowym worku, po brzegi wypełnionym żetonami.

Farmerowi aż zaparło dech. Cały worek?! No niczego sobie!!!

Obok dowódcy - konkretniej, koło worka - przestępował z nogi na nogę niski mężczyzna, cały pokryty tatuażami. W rękach trzymał dwie wielkie paczki - jedną ze zgniecionymi zielonymi liśćmi, a drugą z kapeluszami muchomorów. Cały ten towar wędrował do zarośniętego młodzieńca, który podniósł się z worka, pozwolił mężczyźnie porządnie zaczerpnąć żetonów. Niski nie jest stąd. Tatuaże ma jak typy z Dworcowej. Narkokurier zapewne.

Cholera, wszyscy tu są naćpani, z tego nawet przychnąć jest nie na miejscu...

Wywłaszczyli od mieszkańców Teatralnej żetony i teraz wydają je na towar. W imię wyższych idei, oczywiście. Jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce na stacji pojawi się głód. Zaczną się buntować - i się zaczną...

- To co, dogadamy się? - Dowódca wartowników otwarcie się ucieszył. - Płasjacie, piosenkę zaśpiewajcie, a ja wam zapłacę! - Potarł palcami, przedrzeźniając Sajgona. - Od nas za darmo nikt nie odchodzi!

Wycelował Fidelowi w głowę i wystrzelił.

Zapewne dwoiło mu się w oczach: kula świsnęła centymetr od skroni.

I wtedy comandante oddał.

Ze wściekłym rykiem rzucił się na nieogolonego faceta - i bokiem dłoni przebił mu gardło. Zaraz zaatakował kolejnego komunistę. Nogą w brzuch - biedak zgiął się wpół, Fidel nie dał mu żadnych szans - z chrzęstem skrecił kark.

Wartownicy otepieli patrzyli się na trupa z przekreśloną głową.

- Ej, co wy?!...

Szczęknęły karabiny... Strzał!

I się zaczęło.

Rastaman używał broni jak pałki. Dwie kolejne rozbite czaszki. I jeszcze, i... Nóż Sajgona przebił z chrzęstem mostek, trafił w serce. Wyciągnął czerwone... Myszka także się nie nudził. On nie jest człowiekiem, który stoi z boku i się przygląda.

Chcecie pisać, towarzysze komuniści? I piosenkę śpiewać?

I jak, podoba się taniec? Dobrze śpiewamy? Gnidy...

Po kilku chwilach było po wszystkim. Wszyscy wartownicy zginęli. Handlarz narkotyków, klęcząc, błagał o litość. Che kazał mu się wynosić, co ten uczynił z wielką radością - na czworakach.

Rastaman klepnął Myszkę po ramieniu, ten zrozumiał towarzysza bez słów. Wspólnie zaczęli przeszukiwać zwłoki komunistów. Trofeum: trochę naboju, kilka konserw z duszonym królikiem i tuzin manierek z wodą. Szczerze mówiąc, kiepsko.

- A ja myślałem, że nie ograbiamy trupów. - Sajgon wspominał rozstanie z Bajdą.

- Specyficzne okoliczności - Fidel zmarszczył brwi. - I nie porównuj naszego poległego towarzysza do tej hołoty. - Milczał przez sekundę, następnie dodał: - Młody, wiesz przecież, z czego tworzymy dobro? Przy okazji, gdzie się podział twój staruszek?

Sajgon obrócił się i, poświeciwszy, zobaczył, jak Paweł Terentewicz kuśtyka jak najdalej. Wygląda na to, że masakra wartowników tak nim wstrząsnęła, że postanowił zostać na Teatralnej. Komuniści mniej go przerażali, niż ratownicy.

- Może nie jest mu z nami po drodze?

- Wiesz, co? - półuśmiech spelzł z twarzy comandante, głos stał się stanowczy. - Zabranie tego staruszka było twoim pomysłem. Idź i go sprowadź z powrotem!

* * *

W tunelu było gorąco i duszno.

Pot ściekał po nagich ciałach - wszyscy rozebrali się niemal do bielizny. Problemy z wentylacją, poważne problemy. Podobnie może się stać na Swiatoszynie i w ogóle na każdej innej stacji. W końcu ludzi, którzy mogliby naprawić i wyregulować przedwojenny sprzęt, już nie ma. Starzy umierają, a młodzież jeśli już umie czytać, to po jednym i sylabami. Ludzkość podlega degradacji, zamienia się w zwierzęta.

W krety, co nie, Sierioga? W twoje ukochane krety?...

Była jedna nadzieja - mądrale z Uniwersytetu. Sajgon zjeżył się, wspomniawszy uczonych-eksperymentatorów. Świetna nadzieja, niczego nie da się powiedzieć.

Najgorzej ze wszystkich znosił Paweł Terentewicz. Wiek doskwierał. Budowniczy metra raz po raz przecierał suchą dłońią klatkę piersiową. Sajgon nie cieszył się już z zabrania ze sobą staruszka. Trzeba było pozwolić mu zostać na Teatralnej, kiedy próbował uciec po walce z naćpanymi wartownikami.

Che z oburzeniem niósł na sobie worek z żetonami:

- Co ja jestem, wół pociągowy? Kiedyś mówili, że bywają pociągowi akademicy, ale pociągowi rastamani?!...

Zawłaszczaj zawłaszczone, jak powiedział Fidel. Nie ma co zostawiać dóbr narkomanom. A ratownikom żetony bardzo się przydadzą. Dla sprawy.

Tylko co po tym bogactwie na środku tunelu? Woda się skończyła, jedzenia wystarczyło na jeden posiłek, a tak byli głodni. Przyszedł czas zapolować na szczury, tylko że szczurów nie ma, wszystkie się skryły jak przed kłopotami. I choć worek cięży, choć dwa, a kupić za nie można tutaj tylko własny pot u samego siebie.

Sajgon ledwie powłóczył nogami, w oczach ciemniało od gorąca, ale wciąż znajdował siły na wzięcie na siebie nie stawiającego sprzeciwu budowniczego metra i poniesienie go. Staruszek niemal nic nie ważył. Pięćdziesiąt kilo z hakiem. Widać nie żerował na Teatralnej twórca metra. Twórca... Sajgon potoczył to słowo na języku i postanowił sobie donieść staruszka na Chreszczatyk. Żywy lub martwy. To już nie od niego zależy.

- Nie wlec się, ratownicy, stacja jest niedaleko!

Fidel zamierzał uzupełnić zapasy na Chreszczatyku. Obiecał wykupić połowę stacji. Czasem los przyśle tyle kasy, że grzechem nie byłoby skorzystać z jego daru.

- Będzie święto ducha! I o ciała zadamy! Weźmiemy prysznic... Co tam prysznic, weźmiemy kąpiel! Albo piwo. Zimne piwo - podpuszczał swoich towarzyszy comandante. - Tyle lat minęło, a mi się śni do tej pory: z kufła ze smażoną rybką. Z leszczem. Ooo takim! Co?!

Aha. Z leszczem.

* * *

Chreszczatyk rozczarował Sajgona.

Naiwny farmer liczył, że stacja przywita ratowników chłodem, ale nie, też był parnik. I wnioskuje po tym, jak ludzie bez skrępowania przechadzali się po peronie jak ich Pan Bóg stworzył, taki stan rzeczy już dawno przestał wszystkim przeszkadzać. Przywykli. Nawdychali się.

Che okazał się być mądrzejszym od Sajgona. Przed wejściem na stację owinął swoim pasiastym płaszczem worek z żetonami. Powiedział, że lepiej biednych i potrzebujących nie kusić, w końcu nie są komunistami, nie odrzucili własności prywatnej. Sajgon powinien skorzystać z jego doświadczenia, ale nie, nie domyślił się.

I niepotrzebnie.

Blizny - "Ocal i ochroń" - na jego plecach już rzucały się w oczy, a ratownikom nie potrzebna jest nadmierna uwaga. Ale co tam, samemu Światoszyńcykowi nie podobało się, że pokazują na niego palcami. Widocznie tutaj niezbyt kulturalnie traktowali nowych chrześcijan, a Sajgon po perypetiach na stacjach i w tunelach przypominał kaznodzieję marzącego o śmierci na krzyżu, stworzonym z radioaktywnych prętów. Osądźcie sami: nie ma żadnego ubrania, a szmaty, ciało pokryte strupami, jakby przez całą drogę zajmował się tylko biczowaniem się, odganianiem demonów.

- Ubierzże się. - Comandante obejrzał się na grupę dziesiątki aborygenów, którzy porzucili zwoje zajęcia i zaczęli podążać za kompanią ratowników. - Ludzie są tu pokojowi, ale Żytomierzan serdecznie nienawidzą.

- Czemu tak? - Sajgon naciągnął dziurawą kamizelkę. W ostatnich dniach wyrzucił ubranie, które nie zniszczyło się przez wiele lat.

- Wiadomo czemu. Żytomierzanie wszędzie wściubiają nosa i prawią morały: nie cudzołóż i inne bzdury.

Ratownicy przechodzili właśnie obok młodziutkiej dziewczyny i młodego żołnierza, bezwstydnie baraszkujących ze sobą na oczach wszystkich. I nikogo nie oburzał taki rozkład moralny. Wręcz przeciwnie - niektórzy zamierzali pójść ich przykładem: panie z zaciekawieniem obserwowały przechodzących obok obcych.

Sajgon otrzymał kilka namiętnych spojrzeń. Pośród miejscowych trafiało się wiele wyróżniających się przykładów. Czołem, złotko!

Zupełnie jakby Sajgon trafił do książki o Indianach: oprócz kompletnej nagości wszyscy mężczyźni na Chreszczatyku, co do jednego, uzbrojeni byli w łuki z drewna przypominającego bambus. To znaczy, że Sajgon przykuwa uwagę nie tylko swoim naznaczeniem, ale i zawieszonym na ramieniu egzemplarzem. Konkretną wyższą technologią ze stopu magnezu, włókna szklanego i włókna węglowego. Według miejscowych norm wart jest tyle, jakby kosmici przylecieli ze swoją kosmiczną technologią.

Zapatrzywszy się na lokalne piękności prawie przewrócił się, zahaczając o betonowy klomb. Szabrownikom musiało być ciężko podczas ściągania go z powierzchni, a tutaj cały peron zavalony jest takimi formami z ziemią, z której rosły...

Sajgon gwizdnął:

- Czy to są banany?!

- Aha - obojętnie mruknął Fidel, jakby chodziło o kukurydzę z Politechniki. - I jeszcze ananasy. Były kiedyś kokosy, ale nie wiedziałem ich od dawna. Pewnie zdegenerowały się.

Zauważywszy zaokrąglone oczy Sajgona, dodał pospiesznie:

- W rzeczywistości, młody, to nie są banany i ananasy. W ogóle nie wiadomo, co to jest a smakuje jak gówno. Szabrownicy przynieśli z powierzchni. Owoce tych kultur zawierają wszystkie niezbędne do życia składniki odżywcze, zupełnie jak modyfikowane sorgo. Słyszałeś o takim zbożu? Sam Bill Gates finansował program jego tworzenia, było to zaraz przed wojną. On wtedy wiele rzeczy finansował. Siedzi teraz pewnie w prywatnym bunkrze w Dolinie Krzemowej...

Skupiwszy się na comandante, Sajgon prawie przewrócił ogromnego akwarium, w którym pływały... żaby. To znaczy na pierwszy rzut oka wydawało się, że są żabami, a po uważniejszym przyjrzeniu się w ogóle ich nie przypominały. Za duże. Gdzie widzieliście żaby wielkości piłki do koszykówki? Wielu w metrze takiej piłki na oczy nie widziało, ale jednak...

- Bądź ciszej! Jeśli rozbijesz akwarium, miejscowi wykastrują cię. - Rastaman obejrzał się, czy nikt nie widział roztargnienia Sajgona. - Nie żartuję. Ci Papuasi hodują żaby. I dlatego je żrą. I przy okazji końcówki strzał pokrywają ich śluzem. A obcym nie pozwalają ani jednego, ani drugiego. Tak więc mięsem się tu nie najemy.

Nie wiedział jak innych ratowników, ale Sajgona zmęczył kręty labirynt doniczek i akwarium. Tutaj trzeba było ustawić fikus Lonczika Kosmosa!

- Mamo, mam, zgubiłem się, niech mi ktoś pomoże - mruknął pod nosem Sajgon, rozglądając się wokół w zamyśleniu.

Wokół tętniło życie: aborygeni kopulowali, żarli "banany", niańczyli dzieci. Dzieci na stacji było stosunkowo dużo - nic dziwnego, biorąc pod uwagę lokalne zwyczaje. Ci z Chreszczatyku świetnie się rozmnażają, jak króliki, pomyślał Sajgon. Dla miejscowych gołodupców nowych tuneli nie wystarczy.

- Cóż, wykopimy i dla Papuasów! - mrugnął do niego ochoczo Fidel. - Dla wszystkich wykopimy!

Albo Sajgon myślał na głos, albo comandante potrafił czytać w cudzych myślach. Druga opcja nie pasowała Sajgonowi. Harmonijka... harmonijka... Im bardziej farmer starał się wyrzucić instrument z głowy, tym bardziej irytujące stawały się myśli o nim.

- To łażenie zmęczyło. Skręcamy w prawą salę odpoczynkową - zakomunikował Fidel.

Było tam przestronniej, niż na peronie, ponieważ obeszło się bez doniczek i akwariów. Na roznach piekły się żaby, ich aromat drażnił nozdrza. Za szkłem płazy wyglądały nieapetycznie, za to od zarumienionych ślinka ciekła.

Sajgon sięgnął po żetony.

- Nawet się nie waż. - Che chwycił go za rękę. - Nie sprzedają. Mówiłem przecież, obcym nie sprzedają tych żab. Ugościć mogą. Swojego...

Rastaman coś tam napomknął, ale Sajgon nie wiedział o czym.

Za bardzo chciało się jeść.

- Więc się rozgoszczę, nie ma problemu. Szczególnie za darmo.

Ruszył do najbliższego grilla. Dawno już nie widział, żeby jedzenie przygotowywano na otwartym ogniu. Drzewa w metrze nie rosną (konopie z Dworcowej nie liczą się), więc z drewnem był kłopot. Ale na Chreszczatyku dzięki "palmom" problem paliwa organicznego rozwiązano raz na zawsze.

Języki płomieni fascynowały.

Uśmiech na twarzy młodego kucharza rozszerzył się. Rzadka bródka, długie włosy za ramiona splecione w dwa warkocze. Na szyi naszyjnik z miedzianego drutu i kłów paciuka. I tyle, żadnych dodatkowych ubrań. To zrozumiałe: skrywać takie atrybuty to jak wykastrować się. Pewnie panienki są już umówione na cały najbliższy miesiąc...

Sajgon otworzył już usta, że poprosić o ten, z brzegu, kawałeczek, wypieczony, aha, o ten, kiedy rastaman wyraźnie ogłosił:

- Ugryź choć raz, a już nigdy więcej nie opuścisz tej stacji.

I Sajgon zastygł tak z otwartymi ustami.

- Powiedziałem że: goszczą tylko swoich. Ukąsił - stał się swoim. A swoi za granice stacji nie wychodzą. Od dzwonka do dzwonka tutaj. Mówiłeś, że masz żonę? I syna? Więcej ich nie zobaczysz. A jak zechcesz zwiać - nafaszerują cię żabią trucizną do utraty przytomności. Zapomnisz, jak się nazywałeś. Wszystko zapomnisz. Do śmierci będziesz hodował "ananasy".

Sajgon głośno przełknął - i odskoczył do tyłu, kiedy kucharz podał mu rożen z mięsem.

- Dziękuję, nie jestem głodny! Dziękuję!

- Nie no, co ty? - Rastaman pokręcił głową, jego dredy zakołysały się. - Przecież nikt cię nie ciągnął za język! Oni tutaj nie kłamią i nie lubią, kiedy się ich okłamuje. Tak więc jedzenia ci nie sprzedadzą. Żab nie wolno, całą resztę można. Daj dziadkowi żetonów, niech kupi sobie chociaż parę "kokosów". Z jego zębami to wręcz delikates.

Sajgon wręczył Pawłowi Terentiewiczowi dziesięć żetonów. Nie wszyscy w końcu są na diecie.

Tym czasem Che, potargowawszy się trochę, kupił dwa "banany". Wykrzywiwszy się, wytknął jeden banan do ust i zaczął przeżuwać. Sajgon z początku od momentu poznania się pragnął, żeby rastaman zamilknął. Gdyby nie rady Che, ktoś mógłby się znaleźć w kiepskim położeniu.

I ktoś się znalazł.

Comandante dopiero co dogadał się co do zakupu dużej partii amunicji.

Trzeba Papuasom oddać honor: szklanych pereł nie wymieniali na złoto, samonaukę mieli w porządku. Chociaż miejscowi posługiwali się wyłącznie łukami, to ceny za amunicję mieli

wygórowane. Sajgon usłyszał mimochodem rozmowę Fidela z handlarzem, sędziwym staruszkim, usadowionym na trzech drewnianych skrzynkach postawionych jedna na drugiej.

- Wybieramy się na Arsenalną.

W odróżnieniu od kolegów po fachu handlarz zakrywał swoje przyrodzenie przepaską biodrową z liści "palmy bananowej".

Fidel naprężył się:

- Skąd ty się wzięłeś?

- Ponieważ widzę: psychole. To znaczy na Arsenalną. A tam bez naboju się nie da.

Fidel wyszczerzył się:

- No to sprzedaj.

Papuas przywołał comandante do siebie i wyszeptał mu cenę na ucho.

- Powaliło cię?!

- Obrażasz mnie. A moja uraza będzie cię kosztować dodatkowe dwadzieścia procent. A jak nie, to nie. Sam leż na górę, sam szukaj sobie naboju. Nie mam nic przeciwko, szczerze mówiąc. Ale nie zgadzam się, żeby razem z nabojami, jeśli znajdziesz je w mieście, wpuszczono z powrotem. To też mówię szczerze. Nie chcę mieć tu konkurencji.

- Właśnie za to kocham tę stację, za szczerość!

- Za to całe metro ją kocha - skinął poważnie stary Papuas. Lekko się podniósł i ponownie usadowił cztery litery na skrzyniach.

W każdej ze skrzyń dwie metalowe skrzynki. Wewnątrz skrzynki czterysta czterdzieści naboju, zapakowanych po dwadzieścia sztuk. I tego osiemset osiemdziesiąt sztuk w skrzyni. A w trzech... W ogóle wystarczy, żeby wystrzelić wszystkich Papuasów na stacji Chreszczatyk i jeszcze na Teatralną zostanie, na najbardziej zagorzałych komunistów.

- Do naboju potrzebne są spluwy.

- Ile?

- Cztery. - Fidel zamyślony spojrzął na Pawła Terentiewicza. - Nie, pięć daj.

Prosta arytmetyka. Comandante - jedna spluwa, rastaman - druga, szabrownik Myszka - trzecia, Sajgon - to już czwarta... i staruszek. To oczywiste, potrzeba pięć karabinów. W końcu naboje w skrzynkach, sądząc po oznaczeniu są najzwyklejszego, klasycznego kalibru 7,62. Do tego policyjne skrócone "składaki" nie nadadzą się, tutaj potrzebny jest porządny sprzęt, zebrany na pół wieku przed wojną. Czy Papuas czymś innym uraczy? Sajgon nie pogardziłby AKS-74U. I dajcie do niego magazynków wypełnionych nabojami o zmniejszonej zdolności do rykoszetów. Wytwarzano takie do walk miejskich. Nie potrzeba stalowych rdzeni, zachowajcie sobie.

- Pięć to pięć. AK-103 na amunicję 7,62. Porządna sztuka. Ruscy przed samą wojną wysłali ich masę do Wenezueli, w prezencie dla przyjacielskiego reżimu Hugo Chaveza. A towarzysz Hugo po obniżonych cenach opchnął je Ukrainie. Pamiętam, kiedy zrobiła się afera, sporo szumu było.

Papuas pstryknął palcami - i od razu karabiny wylądowały na podłodze pod nogami Fidela. Podrzedni handlarza działali zaskakująco zwinnie.

- Ile amunicji?

Fidel kołysał się. Sajgon potrafił go zrozumieć: chciało się zabrać wszystkie trzy skrzynki. Tylko jak je nieść?

- Jedną?

- Sztukę?

- Skrzynkę. I magazynki puste się przydadzą. - Comandante bezdźwięcznie poruszył wargami. - Dwadzieścia dziewięć... Nie, trzydzieści. Trzydzieści magazynków. Macie tyle?

- Obrażasz! - Handlarz skrzyżował ręce na klatce piersiowej.

- I bandolierę. Pięć. Najlepiej, żeby wszystko się zmieściło. Natowskie.

- A wiesz ty, ile to kosztuje? Wszystko, o co prosisz?

- Obrażasz! - mrugnął Fidel.

I znowu najprostsza arytmetyka. Trzydzieści magazynków na pięciu - po sześć sztuk na walczącego. Może i nie mało, ale i nie tak dużo. Szczególnie biorąc pod uwagę, że przed ratownikami dwie stacje, o których nikt nic nie wie. Do takich miejsc można się dostać tylko w pełni obładowanym.

- Comandante, a może kupimy jeszcze skrzynkę? Może starczy funduszy? - Che rozumował w sposób podobny do Sajgona.

Fidel przywołał handlarza i szepnął mu coś na ucho. Ten odsunął się, pokręcił palcem przy skroni,

stwierdzając, że obcy oszalał. Comandante splunął z peronu w tunel kolejowy:

- Słabo?

I wtedy handlowiec głośno powiedział sumę, którą ratownicy będą winni za towar.

Na stacji zapanowała cisza. Sajgonowi aż zapało dech.

Handlarz ochryple zakaszłał.

- A tobie słabo?

- Nieś wszystko, co powiedziałem. - Fidel wyraźnie zbladł. - Może starczy funduszy.

Myszka - jakby nie patrzeć szabrownik - oglądał kombinezony przeciwradiacyjne: czy nie ma dziur, w jakim są stanie. Pozostali ratownicy, włącznie z comandante, ładowali magazynki.

Lepiej zrobić to w spokojnej atmosferze - kiedy zaswędzi, będzie już za późno. Pierwszy z magazynków Sajgon wetknął od razu do swojego AK. Pozostałe pięć wsunął w kieszonki bandoliery. I pięć kieszonek zostało pustych. Przydałaby się jeszcze jedna skrzynka amunicji...

Ale nie jest faktem, że na zamówienie wystarczy żetonów. Sumę handlarz zawołał powalającą. Kiedy przyniesiono bandolierę i kombinezony przeciwradiacyjne, Fidel skinął Che. Rastaman zdjął z plastikowego worka swoje pasiaste ubrania. Aborygeni westchnęli. Oni też nigdy nie widzieli tyłu żetonów naraz.

Co tam dzikusy, sam Sajgon nie podejrzewał, że w metrze jest tyle żetonów!

Podczas gdy ratownicy zajmowali się nabojami, aborygeni - podwładni handlarza bronią - odsypywali małe ilości żetonów z worka i, przeliczywszy, zgłaszali ilość szefowi. Po tym znowu odsypywali. Starzec zapisywał sumy w obdrapanym szkicowniku.

Ratownicy skończyli pierwsi. Uzbrojeni po zęby i z zawiniątkami "ciuchów od Gucciego", jak nazwał kombinezony przeciwradiacyjne Myszka, siedzieli na podłodze przyglądając się tłumowi, który zebrał się w sali odpoczynkowej. Transakcja stulecia, wszyscy chcą popatrzeć.

Przy okazji, kombinezon ważył dwadzieścia kilogramów jak nie więcej, tak że noszenie go oznacza dodatkową zabawę.

- Słuchaj, przyjacielu - Fidel pociągnął handlarza za rękaw, - musimy się umyć. Zawarliśmy poważny interes. Zarezerwuj, czy coś. I daj wody. Dziesięć butelek.

- Umyć, w porządku - uśmiechnął się szczerbato handlarz. - A butelki kosztują żetony. Woda także. Nie starczy na butelki.

Nie czekając na rozkazy comandante, Sajgon rzucił przed handlarza swoje ostatnie oszczędności. Ciekawe, co ratownicy będą jeść w drodze powrotnej? Powietrze? Czy Pan Tuneli coś da?...

Nie minęła nawet minuta, kiedy tłum rozstał się. Do ratowników podeszły dwie osoby. Pierwsza przyniosła butelki z wodą, drugi - tacę z "bananami" i plastikową butelkę wypełnioną mętną cieczą.

Aborygen z "bananami" nagle zastygł w miejscu. Jego ręce, pokryte bliznami w kształcie krzyża, zdrzębały, z tacy spadło jedzenie. On i Fidel, nie ruszając się, patrzyli sobie w oczy. Nie odwracając wzroku, Fidel sięgnął po kałacha. Jakby przeganiając obsesję, aborygen mrugnął i wrzasnął jak oparzony:

- Na pomoc!!! Alarm!!! Tutaj!!! Ten człowiek...

Przerwała mu seria z karabinu - runął na peron trzymając się za brzuch.

Co tu się zaczęło!...

Krzyki, zamieszanie, bieganina...

Ratownicy skoczyli na nogi. Dziewczyny, które jeszcze minutę wcześniej mrugały do obcych, załamywały ręce, prosząc o nie strzelanie do nich - żywa tarcza dla łuczników, lepiej nie wymyślisz.

- Idziemy stąd!!! - ryknął Fidel. - Myszka, osłaniaj!!!

Zeskoczył z peronu na tory. Za nim zaraz podążył Che. Myszka podał comandante plecak z materiałami wybuchowymi. Budowniczy metra pozostał na miejscu otępiale patrząc na tory - gdzie tam skakać z reumatyzmem.

Zamiast biec, Sajgon pochylił się nad ranionym w brzuch aborygenem, zauważając na jego gardle dziwną, szeroką na dwa palce bliznę.

- Ten człowiek... - wyszeptał aborygen. Na wargach unosiły się szkarłatne bańki. - Ten człowiek...

Dziewczyny rzuciły się do ucieczki. Papuasi naciągnęli cięciwy. Ułamek sekundy - i strzały polecą

w powietrze. Przecież Swiatoszyńczyk, Myszka i Paweł Terentiewicz są świetnymi celami, stoją na peronie - jak na dłoni. I niech szabrownik się zawaha, a budowniczy metra po prostu się zamyśli, karabin Sajgona zatnie się i nie będzie odbezpieczony.

Napięte twarze.

Przecież wszystko szło dobrze, interes stulecia, a tu takie coś...

Palec na spuście. Teraz ich czaszki rozpadną się, niczym szklane słoiki z wodą...

Łatwo jest nienawidzić, prawda, Sierioża?...

W ostatniej chwili Sajgon uniósł lufę, puścił serie nad głowami Papuasów, zmusił ich do kucnięcia.

- Strzelam, żeby zabić!!! - przyjmując złą twarz, wrzasnął.

Strzały, krzyk, wykrzywiona sajgonowa mordą - wszystko to razem zmusiło łuczników do zmiany zamiarów i schowania się w najbliższym portalu.

Siergiej potrząsnął za ramię rannego aborygena, próbując przyciągnąć jego uwagę:

- Kim jest ten człowiek? Skąd go znasz? Co się dzieje?!

Ale aborygen zdążył powiedzieć tylko jedno słowo:

- Karabiny...

A w następnej chwili jego głowa eksplodowała od kuli, która trafiła w skroń - Fidel strzelał z pistoletu. Nieźle comandante, fajnie. Mógłbyś i Sajgona trafić. Ale przecież nie trafiłeś, prawda? A to znaczy, że cała reszta jest bzdurą.

Wszystko, nie ma co się dalej guzdrać.

Sajgon zeskoczył z peronu i, ledwie postawiwszy stopę na torach, zdążył się dobrze rozpędzić, zanim przypomniał sobie o budowniczym metra. Wrócił się:

- Pawle Terentiewiczu! Na co pan czeka?!

W przeciwieństwie do ratowników, ale na stacji, ani w tunelu nie cierpiał z powodu gorąca. Wręcz przeciwnie, owinięty w płaszcz ciągle marzł.

- Boję się!

Jeszcze jedna seria w sufit. Papuasi, jak spostrzegł Sajgon, szczególną odwagą nie grzeszyli, na wystrzały reagowali prawidłowo: chowali się.

Ale tylko strzała, która przeszła rękaw płaszcza, zmusiła budowniczego metra do zejścia z peronu - prosto w objęcia Sajgona.

Paweł Terentiewicz coś wymamrotał. Sajgon stwierdził, że to podziękowanie:

- Później się dogadamy. A teraz spadamy stąd!

Pobiegli, o ile starszuskowe kuśtykanie można uznać za sprint. Będąc już w tunelu między stacjami, Sajgon obrócił się i zobaczył Myszkę. Szabrownik obrzucał kulami portale, z których raz za razem wychylali się Papuasi.

- Myszka, chodź tutaj! - krzyknął Sajgon.

Szabrownik na moment obrócił się - i strzała ugodziła go w biodro, nieco poniżej kabury. Od razu chlusnęło, okraszając dotąd bezużyteczny - bo pozbawiony amunicji - rewolwer. Wygląda na to, że przebita została główna tętnica, a to oznacza...

- Jasna cholera! - Sajgon zostawił budowniczego metra i rzucił się do tyłu.

...druga strzała ugodziła Myszkę w szyję, grot wyszedł na zewnątrz.

Sajgon zatrzymał się.

Myszka był jeszcze świadom. Machnął ręką - biegnijcie, osłonię was. On jeszcze nie był świadom, że Papuasi go zabili. Na tej stacji końcówki strzał smaruje się trucizną. Nawet jeśli postrzały same w sobie nie są śmiertelne, co jest naprawdę mało prawdopodobne, to trucizna...

Jeszcze jedna strzała strąciła kapelusz z głowy Myszki. Szabrownik uznał to za obrazę. Ruszył prosto na Papuasów, w ogóle nie zginając się i nie robiąc uników, posyłając w Papuasów serię za serią. Strzały wbijały się w jego ciało, dwie, cztery, dziesięć... Ale on, jak się zdaje, nie odczuwał bólu. Ogień przerwał dopiero pusty magazynek i Myszka nie mógł sięgnąć po kolejny w bandolierze, ponieważ z jego klatki piersiowej i rąk sterczały drzewce, które bardzo mu przeszkadzały...

Wtedy bezradnie odwrócił się do Sajgona i głupio uśmiechnął się:

- Żegnaj, bracie.

Rozdział 21

Ostrze brzytwy

Sajgon włączył latarkę.

Ostatni komplet baterii w użyciu. Jeśli zgaśnie, to...

Ale o teraz nie chciał o tym myśleć. Teraz w ogóle nie wolno myśleć, trzeba szybciej przebierać nogami. Szybciej - żeby przeżyć.

Ponieważ za nimi znów ruszyła pogoń. Znów uciekać.

Papuasi dali ratownikom fory: zbierali karny oddział, gromadzili strzały i pochodnie. Fidel i Che z forów skorzystali - byli gdzieś daleko z przodu, za to Sajgon... No nie mógł tak zostawić Pawła Terentiewicza, żeby dogonić starych kompanów?

Czy mógł?!

Ponieważ żona Swietka, synek Andriuszka, nowe tunele, ratowanie metra... Porzuć staruszka, Sieriożeńka, on już przeżył swoje, a ty jesteś jeszcze młody, ty będziesz żył i żył, siostrzyczkę Andriuszce trzeba jeszcze zrobić... Porzucić? Więc po co wyciągnął go ze stacji, gdzie staruszkowi, być może, wszystko by się jeszcze ułożyło?

- W żadnym razie! - Sajgon mocniej złapał bezwładne ciało budowniczego metra.

No jak nie, jak tak, Sieriożeńka? Przypomnij sobie: chciałeś przecież ocalić metro przed wojną, w której krety będą zabijać krety. A jeśli ciebie, jak Myszkę, naszpiciją strzałami, komu stanie się od tego lepiej? Bardzo ciężko, Sierioża, uratować kogoś, kiedy masz w sobie dwa tuziny zatrutych strzał. Co stało się z ciałem Myszki? Odrąbano mu głowę i nabitą na pal postawioną pośrodku stacji. Teraz wokół tego palu gołe baby tańczą i plują w martwe oblicze, ciągną za uszy, policzkują. Chcesz, żeby i wokół twojej tępej łepetyny prowadzono korowód, jak wokół choinki na Swiatoszynie? To szczyt twoich marzeń?

- Nie!

To zostaw dziadka i biegnij!

Sajgon odwrócił się. Pochodnie są już blisko. Myśliwi w podnieceniu wrzeszczeli, goniąc zdobycz. Wiedzieli, że ten, kto oświetla sobie drogę latarką, na pewno nie ucieknie.

Zostaw!

Biegnij!

- Nie! - Sajgon tak chwycił budowniczego metra, że prawie połamał mu zębra.

No cóż, więc umrzyj...

Sajgon zatrzymał się. Tłum za nim zaczął krzyczeć.

- Przepraszam, Pawle Terentiewiczu, że pana w to wmieszałem. Chyba nie dojdziemy z panem do Dniepru.

Budowniczy metra wsunął rękę pod płaszcz i ścisnął lewy bok - już po raz któryś. Jest za stary na takie przebieżki i nerwy. Zdecydowanie za stary. A Sajgon jest zbyt młody, żeby umierać...

Zostawić! Decyzja podjęta! Jak uratować całe metro, jeśli nie można pomóc jednemu staruszkowi?

Sajgon przeładował broń i zwrócił w stronę prześladowców.

Podjmiemy walkę.

Swoją ostatnią walkę.

Nagle coś ostrego ukłuło Sajgona w szyję.

- Mógłbym cię zabić - usłyszał szept.

Pochodnie przed nim, całkiem blisko, trzeba strzelać albo będzie za późno, no już, już!... Ręce opuściły się same z siebie. Chłód wzdłuż kręgosłupa. Sajgon czuł cudzy oddech na karku. Nieznane niebezpieczeństwo za plecami... Czyżby sama Śmierć przyszła po niego? Bezdźwięcznie podkradła się, ani razu nie stuknąwszy kośćmi, i grozi zaostrzoną stalą...

Kosą, czy co?

Sajgonowi nagle zachciało się śmiać. Pan Tuneli, który przez cały ten czas ochraniał go, przestał to robić i zwyczajnie oddał podopiecznego na pożarcie. Umiera się tylko raz, więc czego się obawiać?

Sajgon gwałtownie kucnął i uderzył łokciem w tył. W pustkę.

Działął machinalnie, przewrócił się na bok, ale karabinu nie wypuścił, w końcu była do niego

przywiązana latarka, bez której Swiatoszyńczyk byłby ślepy jak kret.

- Bądź ciszej! Bo jeszcze we mnie trafisz. Nie lubię tego.

Snop światła wyłonił z ciemności sylwetkę rastamana. Na jego ramieniu wisiał karabin. W ręce, pojednawczo uniesionej, Che dzierżył bagnet.

- Już, już, już! Żartowałem!

Strzała trafiła w kolbę jego karabinu.

- Ale oni nie żartują - burknął Sajgon.

Che wyciągnął zza pazuchy granat, ten sam, który trzymał na wszelki wypadek:

- Nie marnuj naboju. Jeszcze ci się przydadzą.

Jeszcze jedna strzała o mało nie przebiła rastamanowi nogi. Wyciągnąwszy zawleczkę i odczekawszy sekundę czy dwie, rzucił granat pod nogi prześladowców.

- Padnij!

Che położył się obok Sajgona.

Przez kilka długich chwil wydawało się, że granat przez długie lata trzymania w wilgoci metra "zepsuł się" i że za moment - kiedy ratownicy odpoczywają w śmiesznych pozach - pojawią się Papuasi, żeby dokonać szybkiego osądu...

Błysk.

Huk.

Dzikie wrzaski.

- Teraz za nami nie idą. - Che podniósł się i pobiegł w kierunku Arsenalnej.

- Ale przecież masz jeden granat! - krzyknął mu w plecy Sajgon, pomagając wstać budowniczymu metra.

Rastaman obejrzał się:

- Dokładnie. Ale oni o tym nie wiedzą.

Fidel czekał na nich sto metrów od pola bitwy. Dokładniej - od miejsca masakry. W tunelu granat F-1 potrafi czynić cuda. O ile cudami można nazwać niezliczone obrażenia i rany, nie wspominając o życiu.

I jednak, pomimo protestów Che poczekali jeszcze z pół godziny, żeby upewnić się, że aborygeni Chreszczatyku zrezygnowali z dalszej pogoni. Rozsądnie. Szczerze mówiąc, Papuasi w ogóle nie powinni wchodzić do tunelu. Ratownicy nawet w uszczuplonym składzie stanowią groźną siłę, zdolną wpłynąć na los całego kijowskiego metra. Na drodze kompani Fidela się nie stawało. A już tym bardziej nie zaczyna się jej gonić.

- Nas nie dogoniat!

- Myszka zginął. - Sajgon złapał rastamana za ramię i spróbował skierować go twarzą do siebie, ale ten odrzucił rękę.

- I co? Zorganizujemy pochówek? Pośpiewamy i popłaczemy ile dusza zapagnie?

Sajgon zdębiał:

- Myszka... On zginął, on... Przecież był jednym z nas!

Fidel poprawił plecak, następnie sprawdził, jak przymocowane są zawinięte kombinezony przeciwradiacyjne i, patrząc obok Sajgona, powiedział:

- On nadal jest jednym z nas, młody. Jest i zawsze będzie.

Che kiwnął głową, zgadzając się z comandante. Sajgonowi wydawało się, że w jego oczach błysnęły łzy. I wtedy, jakby zawstydzony swoją słabością, rastaman zapytał:

- Ma ktoś wodę?

Okazało się, że mają jedną butelkę na wszystkich. Kiedy zaczęło się zamieszanie na stacji, jakoś nikt o tym nie pomyślał.

- Kiepsko. Ironia losu: tam, gdzie idziemy wody tyle, że można się utopić. A pić nie można...

Długo szli w milczeniu, aż dzwoniło w uszach od słuchania ciszy.

Woda, woda, woda... Skąd ją wziąć? W ustach sucho. Z jedzeniem też kruch. Nie ma jedzenia.

Ktoś zjadł na Chreszczatyku, a Sajgon nawet żabiej kości nie przełamał. Jeszcze trochę - i sprzeda duszę za skórę od "banana". Tylko nie ma tutaj komu Sajgon sprzedać duszy...

Tutaj, najwyraźniej, w ogóle nikogo nie ma.

Nawet szczury gdzieś zniknęły. I mokric nie ma, chociaż ściany są mokre. Jeśli całkiem wymęczy pragnienie, będzie można je lizać. Nie morkice, oczywiście, a ściany.

Z tunelu od strony Arsenalnej wiało chłodem. A z Chreszczatyku - duszącym gorącem. Pałace, wypełnione parą powietrze zmieszało się z zimnym, stąd i skropliny na ścianach. Wszystko proste...

Sajgon nagle wspomniął, że od dawna nie śniło mu się niebo nad głową. Dawna? Tylko kilka dni minęło od chwili, gdy opuścił Swiatoszyn, a wydaje się, że to wieczność.

Sajgon pierwszy się odezwał:

- Fidel, chciałem zapytać... Co się stało na Chreszczatyku? Dlaczego ten Papuas był taki pobudzony, kiedy cię zobaczył?

Comandante nie zatrzymując się wzruszył ramionami, co nie było łatwe do zrobienia, biorąc pod uwagę, że w ramiona wbijały mu się paski plecaka:

- Wiesz, młody. Chrystusa też źle przyjęli w jego czasach. Zawsze trzeba coś poświęcić: swoje życie, cudze... sumienie i moralność... Dobro ze zła, pamiętasz? A materiału mamy pod dostatkiem. I mało to rzeczy bredzą pomyleńcy...

I to jest oczywiste. Sajgon zapomniał już, co właściwie powiedział Papuas przed śmiercią. Wydaje się, że powiedział tylko jedno słowo... Właśnie! I tym słowem są "karabiny". Ciekawe, co miał na myśli? I co ma do tego Fidel?

- Mogę jeszcze o coś spytać?

- Wał, młody, nie krępuj się.

- Nam się zwyczajnie poszczęściło, że znaleźliśmy u komunistów worek żetonów. A gdyby nie, skąd wzięlibyśmy amunicję?

Fidel mrugnął do Swiatoszyńcyka:

- Zwyczajnie poszczęściło się Papuasom, co tu dużo mówić. Urodzili się w czepkach.

Mimowolnie Sajgon uśmiechnął się, wspominając nagie ciała aborygenów Chreszczatyku. W czepku znaczy się. No, no. Fidel i Che zachowywali się tak, jakby nie stało się nic nadzwyczajnego: pomyślisz, zabiliśmy kogoś i załatwili jednego z naszych. Sajgon nie znosił takiego nastawienia. Znowu nabrał ochoty zajęcia się Fidelem - pomoc mógł mu tylko sam Che. Porządnie od serca wypominałby comandante, a następnie wyciągnął z niego historię harmonijki. Chociaż, oczywiście, rzecz nie w instrumencie. Zwyczajnie trzeba dać ujście emocjom. Za dużo nerwów, adrenalina buzuje. I chce mu się jeść, i w gardle sucho. Tak właściwie, to już wszystko jedno...

- Cześć, tato! - Dokładnie w snopie światła przed nim stał Andriuszka, mrużąc oczy zakrywając twarz dłonią.

Sajgon rzucił się w jego stronę, upadł na kolana, objął:

- Skąd ty się tu wzięłeś?! Jesteś cały?! Wszystko w porządku?! Co z mamą?! Gdzie mama?!

Dlaczego tu jesteś?!

Obracał syna, przyglądał mu się, czy wszystko w porządku, czy nie jest ranny, ze strachem spojrział w błękitne, śmiejące się oczy, mierzwił blond włosy.

- Tato, potrzebujemy twojej pomocy.

- Pomocy? Co się stało?!

- Bardzo potrzebujemy. Idziemy. Szybko! - Andriuszka pociągnął za sobą Sajgona w ciemność.

- Niedługo wrócę! - nie oglądając się, krzyknął ratownikom Sajgon. - Niedługo!...

A wokół wszystko zakrywał dym. Drapało w gardle. Sajgon zakaszał, dłoń synka nagle wysunęła się. I wtedy w pobliżu coś wybuchło, farmera odrzuciła fala uderzeniowa. Upadł, ale zaraz podniósł się i zaczął wołać Andriuszkę.

Żadnej odpowiedzi.

Wszystko zadymione...

Sajgona chwyciła rozpacz. Musi znaleźć syna, musi!

Wprost na niego niespodziewanie wyskoczył obnażony do pasa Kozak. W jednej ręce dzierzył zakrwawiony topór, druga ścisnęła ranę na boku. Uchyliwszy się przed ciosem, Sajgon złapał Kozaka i kilka razy wbił w jego ciało nóż - dla pewności, chociaż wystarczyłby jeden cios. Potrzeba było kilku sekund, żeby rozluźnić palce martwego i wejść w posiadanie topora. I od razu wbił zdobyczą broń w rosnącego bandytę w skórzaną kurtkę, który wynurzył się z dymu.

Śpiewając coś o przestronnej tundrze i młodym chłopcu, bandyta zbliżył się do Sajgona chwiejnym krokiem. Nóż zakręcił się między palcami w narysowanych pierścieniach. Walka w starciu z takim wojownikiem to pewna śmierć. Jeszcze parę kroków, wypad - i cienkie ostrze przebije serce farmera.

Nic z tego, nie w tym życiu!

Topór rozciął udo nieco ponad kolaniem. Jeśli dobrze załatać, towarzysz z Dworcowej z czasem ponownie nauczy się chodzić. I pogódź się z tą niebezpiecznie szkodliwą pracą!

Sajgon nie dobił zbira. Syn. Znaleźć syna - to jest teraz najważniejsze!

- Andriuszka, gdzie jesteś?! Synku, odezwiąj się!!!

I nagle...

...Z początku Sajgon nawet nie rozumiał, co się stało. Przecież nie bolało, po prostu twarz nagle stała się mokra. Znalazł czas na płacz, co? A miejsce na poślinienie się jest, zapewne, jak najbardziej odpowiednie?

Tylko że łzy nie miały tu nic do rzeczy. Sajgon przejechał dłonią po twarzy i... przeraził się. Pod lewym okiem sterczało coś ostrego! Złapać koniuszkami palców, delikatnie wyciągnąć... Skupił wzrok na kawałku ostrza brzytwy. Cienka, zakręcona blaszka. Skąd ona się wzięła pod okiem? Nieco wyżej i przy celowaniu nie trzeba byłoby mrużyć oka...

Bandyta w toporem w nodze, to jego sprawka. Sztuka wojenna Dworcowej - wetknąć do mordy kilka ostrzy marki "Leningrad" i w szczególnych przypadkach pluć nimi w przeciwnika. Przy czym dosyć celnie pluć. Sajgonowi zwyczajnie poszczęściło się: wycelowanie wrogowi zakłócił ból, gdyby nie to...

Przed kolejnym ostrzem cudem się uchylił.

Z przodu, za plecami bandyty, w dymie mignęło oblicze Andriuszki.

Z rykiem Sajgon staranował zbira, powalając go i ze wściekłością waląc pięściami w mordę. Brakowało tylko, żeby ten wbił jeszcze coś w plecy Swiatoszyńczyka.

Już. Gotowe.

A teraz, Sieriożeńka, podnieś się, weź topór, dobiłeś go w uczciwej walce, i goń syna. Chłopak jest przerażony, zdezorientowany i dlatego bez celu błądzi wśród dymu, w którym błądzą bandyci.

- Andriuszka! Andriej!!!

Sajgon potknął się. Szkarłatna kałuża pod nogą. Lepka, cholera, i całkiem duża. To znaczy, że gdzieś w pobliżu jest ciało, żeby nie zahaczyć, nie upaść...

Krzyki, błaganie o litość, płacz. Krótka odpowiedź - chwila ciszy - i od razu huk strzałów.

Co się tutaj dzieje?! Masowe rozstrzelanie? I gdzie jest to "tutaj"? I dlaczego jest tu Andriuszka? Żeby chociaż jedną odpowiedź otrzymać! Co się dzieje?! Odpowiedź, Sierioğa!

I wszystko zakończyło się. Koszmar się skończył.

I twój syn zostanie uratowany!

A oto i ona, odpowiedź: gdzie - to stacja Swiatoszyn. Kiedy? Już niedługo.

Przewidzenie zniknęło.

Sajgonem trzęsło. Czy to migała latarka przyczepiona do karabinu? Baterie się wyczerpały? Można je, oczywiście, wymienić, pokręcić, ogrzać nad ogniem, ale... To tak naprawdę reanimacja trupa miesiąc po jego śmierci. Trzeba być prawdziwym nekromantą, żeby przywrócić baterie do życia.

- Daleko do Arsenalnej? - Sajgon nie poznawał swojego głosu, przemówił z taka chrypą.

- Co ty, śpisz na stojąco, czy co? - Fidel obrócił się. - Ocknij się, młody! Już jesteśmy na Arsenalnej! No, prawie. Jeszcze pięćdziesiąt metrów, nie więcej.

Więc to tak? Przeszedł cały tunel i nawet nie zauważył, oczywiście... Niech będzie! Jeśli istnieje szansa, że zapobiegnie masakrze, którą czeka metro, Sajgonowi z niej skorzysta! I nie dla profesorów z Uniwersytetu czy feministek z Niwek, nie. On pluje na wszystkie stacje razem wzięte. Ale jest gotów wrywać krtanie dla syna. Chłopak będzie jeszcze żył i żył w podziemiu. A to znaczy, że trzeba przyspieszyć. Kto wie, czy wojna nie zacznie się lada moment...

Rozdział 22

Arsenalna

Na Arsenalnej nie było życia.

Migało kilka ocalałych lamp, słycać było głuche wycie. To znaczy z początku żadnego wycia nie było, a później...

- Sto pięć metrów. - Fidel odbezpieczył karabin na wejściu na stację.

- Co? - Sajgon nie zrozumiał; nie podobało mu się to, jak denerwowali się starsi towarzysze.
- Sto pięć metrów do powierzchni - zamiast comandante odpowiedział Che. Mówił takim głosem, jakby się przeziębiał. Cichutko zakaszłał i kontynuował: to jedna z najgłębszych stacji na świeci e.
- Czyli tutaj... - Sajgon kręcił głową wokół, podświetlając sobie latarką. Nie dowierzał miejscowemu oświetleniu, zapalającemu się i gasnącemu, i zapalającemu się znów.

Ściany, wyłożone marmurem, sufit w kształcie trapezu były całe wymalowane pentagramami, runami i innymi złożonymi znakami.

Runy dawno temu, kilka dni po wojnie, pokazał Sajgonowi Bolt. Jego rodzice, zostali na górze, interesowali się grami RPG: wcielali się w elfy, królów i czarodziei. Bolt mówił, że runy symbolizują siły magiczne. Jeśli poprawnie narysuje się znaki, będzie można wskrzesić mamę i tatę, a nawet cofnąć wojnę! Sajgon wyśmiał wtedy Bolta. Od tamtej pory stosunki między nimi pogorszyły się: rodzice Bolta umarli na chorobę popromienną i cała jego nadzieja była w runach. Coś podpowiadało Światoszyńczykowi, że run na Arsenalnej nie narysowano bez powodu. Skoro już ratownicy chcą zapobiec wojnie, to, może, nieznanemu czarodziejowi chciało tego samego i z tego powodu pomalował wszystko wokół?

Niestety, instynkt podpowiadał Sajgonowi, że cele czarodzieja były zupełnie inne. I w ogóle od całej tej stacji - sto pięć metrów pod ziemią! - dostawał gęziej skórki.

Obok ciężko dyszał Paweł Terentiewicz. Palce Fidela zbiegły od ściskania rączki AK. Che, nastroszony, kręcił się w miejscu, przycisnął automat do ramienia.

I właśnie wtedy pojawił się szum. Tak, tak, właśnie wtedy.

- Co to? Słyszycie to?

Sajgonowi nie odpowiedziano. Ratownicy byli zbyt zajęci sobą, na towarzysza broni w ogóle nie zwracano uwagi.

Żeby opanować panikę, która go ogarniała, Sajgon zaczął liczyć błyski lamo. Jeden, dwa, trzy, cztery. Pauza. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Pauza. Jeden, dwa, trzy. Pauza. Wygląda na to, że nie ma żadnego schematu.

Potwierdzając jego przypuszczenia, stacja po raz kolejny pograżyła się w ciemności.

Na długo.

Zapał się, no już! Dawaj! Dawaj! Zapał! Lampy! Sajgon modlił się do Pana Tuneli, żeby światło znów się zapaliło, ale...

Fidelowi puściły nerwy:

- Potwory!!! Nienawidzę!!!

Otworzywszy ogień z karabinu, przebiegł po peronie.

Kręcąc się w miejscu, Che nacisnął spust.

Pauza zakończyła się. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć... Po trzydziestym zapaleniu pod rząd Sajgon przestał liczyć. W oczach pociemniało, szum stał się nieznośny, przekształcił się w ryk startującego samolotu. Któż w dzieciństwie nie marzył o staniu się pilotem? I nie jakimś z Boryspola, ale prawdziwym wojskowym w najprawdziwszym kombinezonie maskującym! Któż nie marzył... Ten, kto urodził się pod ziemią.

I Sajgon nie marzył. W dzieciństwie chciał hodować króliki na daczce. A znalazłszy się w metrze, nagle szalenie zatęsknił do nieba, ale było już za późno. Dopiero po latach Sajgonowi udało się pozbyć tej melancholii. Krety nie latają, ponieważ w norach nie ma miejsca na samoloty.

Karabin Che zamilkł - skończyły się naboje w magazynku. Ale rastaman nie przestawał naciskać na spust. Ucichło AK Fidela. Comandante dobiegł do środka peronu - w błyskach było go dobrze widać - i nagle znalazł się na podłodze. I coś było obok niego. Coś masywnego.

Tylko co?!

I wtedy odezwał się karabin Pawła Terentiewicza.

Staruszek walił z zajądłością. Sajgon spojrzał w miejsce, w które strzelał - i nie zauważył niczego godnego uwagi. Ale przecież budowniczy metra celował!...

Che w końcu domyślił się, że czas przeładować i ponownie zaczął walić po bokach. Serie przerywał okrzykami:

- Nie boję się ciebie!!! Wyłaż!!! Pokaż się, Panie Tuneli!!! Nie zagrodzisz mi mojej drogi!!!

I inne tego typu.

Czyżby tylko jeden Sajgon nie stracił zmysłów? Ale dlaczego? Co się tutaj dzieje?!

Budowniczy metra padł na peron i zakrył uszy rękami. Mamrotał coś, podnosząc się i znów

padając. Cze ostrożnie położył karabin i, zwinąwszy się w kłębek, położył się obok. Fidel także, ległszy, nie podnosił się. Na nogach pozostał tylko Sajgon.

Rozbłyśki. Jeden, dwa, trzy...

Ryk samolotu wypełnił sobą powietrze na stacji, stał się gęstszy, namacalny. Czy dźwięk może być gęsty?!

A jakże, Sieriożeńka, tutaj wszystko jest możliwe. Twoi kumple odpoczywają, a ty co? Jesteś gorszy? Połóż się, zbierz myśli, a potem, ze świeżą głową...

Nie!!!

Pentagramy, runy. Ta stacja jest przeklęta, Sieriożeńka!

Nie przejdiesz przez nią.

Ale przecież jest po drodze do Dniepru...

Wspaniale, Sieriożeńka. Choćby do Dniepru, choćby do piekła, a nie przejść!

Sajgon podszedł do Pawła Terentiewicza. Wydawało mu się, że peron zmienił się w gorącą smołę i wystarczy tylko opuścić nogę, żeby się przewrócić, a jego ciało spłonęło do kości. Jeszcze jeden krok.

Stało się trochę łatwiej. Nie ma tu żadnej smoły i dźwięk jakby ściszone. Błyski, jeszcze, jeszcze...

Plamy pigmentu wyraźniej widoczne na twarzy staruszka, wykrzywionej ze strachu. Takie same plamy miał Major na policzkach, kiedy uczył Sajgona: "Nigdy - słyszysz? - nigdy nie poddawaj się strachowi! Czuj go, ale nie wierz mu. Strach jest złym doradcą!"

- Pawle Terentiewiczu, niech pan wstanie! Później sobie odpoczniecie! - Sajgon chciał powiedzieć jeszcze "Nie bójcie się", ale powstrzymał się. - Nie ma tu nic do roboty, Pawle Terentiewiczu. Jest pan potrzebny na Dnieprze, to następna stacja, to nie tutaj... No co to ma być, co?! Ej, stary, słyszysz mnie?!

Staruszek otworzył oczy i ledwie zauważalnie - błysk - skinął.

- No i wspaniale. Proszę się podnieść, pomogę panu... Nie, karabin proszę mi oddać. Ciężki jest, poniosę. Proszę oddać! - Sajgon dosłownie wyrwał AK z rąk budowniczego metra. Mało brakowało, żeby staruszek w napadzie paniki przedziurawił dobrodziejowi czaszkę.

Samolot wzniósł się na sto pięć metrów. Biała linia smugi kondensacyjnej i ledwie słyszalny szum. A to znaczy, że idziecie dobrą drogą, towarzyszu Kim. Tak trzymać.

Błysk.

Błysk.

I dwa pod rząd, prawie bez przerwy między nimi.

Rastaman. To nie staruszek, tak łatwo karabinu nie odbierzesz. I co z tego, że Che zwinął się w pozycję płodu, to jeszcze nic nie znaczy. Wszystkie jego mięśnie są naprężone - błysk! - gotów jest w każdej chwili podskoczyć i strzelać we wszystko, co się rusza i pozostaje w spoczynku. Strzelać tylko po to, żeby strzelać. Tak ovladnął nim strach, jego nienawiść do Pana Tuneli.

I nieoczekiwanie pomyślał: te znaki, te pentagramy - błysk, błysk - wyrwał Pan Tuneli. Nie istota całego metra, a jedna osoba, jak uważają ludziki. Jakiś mutant z rogami na czole i obnażonymi kłami w drapieźnie warczącej paszczy.

- Che, musimy iść. Wstawaj. Musisz, Che.

Ciało rastamana zadrżało w konwulsjach i zamarło.

- Musisz, Che! Musisz!

Żadnej reakcji. Kompletnie.

- Albo Pan Tuneli cię pokona, Che. Już pokonał! Jesteś ofiarą! Ty, człowiek, jesteś zerem, niczym! Krety są szczytem ewolucji. Ja, kret, stoję nad tobą, pałłasz mi się pod nogami!!! - ostatnie słowa Sajgon z niespodziewaną dla samego siebie wściekłością.

Ciało rastamana wygięło się w łuk. Dosłownie łamał się, żeby się podnieść - najpierw chociażby na kolana. W oczach biły mu gromy. Che chciał zabić Sajgona.

Ale na razie tylko chciał, Sajgon już działał.

I tyle po butach, Swietka będzie zła - niczym piłkę, kopnął karabin rastamana. Broń prześlizgnęła się po mrocznym peronie i zatonała w cieniu portalu. Poprzeczka? A nie, gol.

- Obudziłeś się, chudzielcu? Świetnie. Wstawaj, Che. Czas obudzić comandante.

Strach wciąż kierował rastamanem, ale teraz niemal całkowicie przysłoniła go nienawiść do Sajgona. I złość. I niedowierzenie: jakim to prawej dzieciaki pouczają weteranów metra, urodzonych jeszcze w Sowieckim Sojuszu?!

Czaszka ma ograniczoną pojemność, do której trafiają emocje. Taki strach, na przykład. I w takim

momencie okazuje się, że przestrzeń wypełniona jest po brzegi, nie ma więcej miejsca. A tutaj - nienawiść, i nie ma gdzie jej umieścić, czaszka nie jest z gumy. A nienawiść napiera i napiera. Wtedy uruchamia się ochrona: otwiera się klapka, strach się ulatnia. Miejsce strachu zajmuje nienawiść. A dalej prze niedowierzenie - i zastępuje mieszaninę strachu i nienawiści. W ogóle, proces jest prosty.

Najważniejsze jest to, żeby ochrona nie zawiodła.

W przeciwnym razie - szaleństwo.

- Czyli wspinaczka? - Che spojrzał w stronę portalu i gwałtownie odwrócił wzrok. Sajgonowi także wydawało się, że ktoś się tam przyczaił i czeka, aż ludzie podejną bliżej. - Obiecuję, że jak tylko opuścimy tę przekłętą stację, czeka cię srogi opierdol!

Sajgon chciał poklepać go po ramieniu, ale na czas odsunął rękę. Jeszcze odgryzie.

Che pierwszy podszedł do Fidela. Po cichu zdecydowano, żeby jego sto trzeci kałach zostawić na stacji. Ktoś rzuca żetony, żeby wrócić, a prawdziwi rastamani postępują zgoła inaczej.

I wtedy złapało Sajgona.

Nagle zaczęło mu się wydawać, że z tyłu podkrada się do niego złowroga istota, zaraz błyszczące kły złamią kark. A istotą tą jest Pan Tuneli, najstraszniejsze stworzenie w kijewskim metrze.

Błysk.

Kolejny.

Niekończący się pokaz rozbłysków.

Kabina samolotu, lecącego wprost na Swiatoszyn. Za latarką oblicza przestraszonych pilotów. Kolizji nie da się uniknąć. I ogłuszający ryk - ogromny głąz, i, oprócz niego, niczego już nie ma. Ani samolotu, ani Arsenalnej - niczego! A Sajgon jest jak żuk w bursztynie. Może i on jest cały i zdrowy póki co, ale nawet palcem u nogi nie może poruszyć. A tak bardzo chce odwrócić się i splunąć w oczy Panu Tuneli, wrednemu rogaczowi, od którego zależy całe życie w metrze. On jest zwierzęciem. A liczba jego...

Sajgon przywykł do spotkań z niebezpieczeństwem twarzą w twarz. Albo twarzą w pysk. Ale jeśli wiesz, że niebezpieczeństwem jesteś ty, twój strach, twoje szaleństwo, w kogo należy strzelać? Kogo ciąć nożem?

Błysk.

Jeszcze minuta czy dwie na Arsenalnej wystarczą, by Sajgon zmienił się w skończonego idiotę, który robi pod siebie na widok własnego cienia.

- A ty co? - Głos rastamana, bolesne dźgnięcie między zębra. - Poczekaj, będziemy mieli z tobą jeszcze osobną rozmowę.

Cios. I policzek. I próba wyrwania Sajgonowi karabinu. Nie ma takiej potrzeby, ten numer nie przejdzie. Sajgon zmusił się do skoncentrowania się na broni - i fizycznie, i umysłem.

- Puść - powiedział do Che. - Nie oddam.

Uścisk od razu osłabł.

- Fidel. Musimy zabrać stąd Fidela.

Co za godna pochwały troska o towarzysza.

Ryk znowu zmienił się w szum, który raz cichł, raz stawał się głośniejszy. Trzeba zmyć się stąd jak najszybciej. Zwłaszcza, że żuk wy dostał się z bursztynu i jest w stanie poruszać nie tylko palcem.

- Wstawaj, Fidel! - Che pochylił się nad comandante i pociągnął go w swoją stronę. Ten zawisnął na rękach rastamana.

Che pociągnął ciało w stronę portalu oświetlanego przez błyski. Zarówno on, jak i Sajgon byli już pewni, że nikt ich stamtąd nie obserwuje. Trzeba pilnie zejść na tory, a dalej - tunelem na Dniepr. I w jakim celu oni weszli na peron? Komu to było potrzebne?...

Chyba Fidelowi.

- Stój! - krzyknął Sajgon.

Che odwrócił się.

- To trzeba zrobić tutaj. Inaczej go nie odzyskamy. Zostanie takim na zawsze.

Che spojrzał na strużkę śliny, zwisającej z otwartych ust comandante, i skinął głową.

- Pomóż naszemu szefowi. Idźcie razem. A ja... a my....

Che rozumiał Sajgona bez słów. Ostrożnie położył Fidela, następnie, podtrzymując budowniczego metra, skrył się w mroku. Wreszcie podniósł zaciśniętą pięść - na szczęście. I tyle, przynajmniej komuś udało się uratować...

Liczy sekundy.

Sajgona i Fidela rozdzielały liczne kroki, ale Sajgon dalej szedł i szedł, jakby minęły lata i tysiące kilometrów. Na peronie i między nim a comendante stały dwa karabinów przeciwlotniczych NSWNT w ręcznie robionych podparciach, zespawanych z fragmentów poręczy z wagonów.

Jak one się tu znalazły? Ćwierć centnara samego karabinu plus jedenaście kilo taśmy na pół setki naboń. Konkretny ciężar.

Sajgon obejrzał się: sufit, ściany, wszystko wokół pokrywały dziury. Tu na jednej taśmie się nie skończyło, stąd i łuski pod nogami, dużo łusek, dużych, konkretny kaliber... Coś zaświtało na skraju świadomości Sajgona i zginęło bez śladu. Nie na to teraz czas, później będziemy rozwiązywać rebusy. Fidel. Trzeba uratować Fidela.

- Wstawaj! - Sajgon - szkoda czasu, błysk - kopnął comandante nogą w brzuch. Cios był znaczący.

- Wstawaj!

Comandante wie, gdzie szukać systemu drażenia tuneli. Z jego pomocą można uratować metro. Poza tym, zna los harmonijki Kima-seniora. A to oznacza, że Kim-junior jest zobowiązany wyciągnąć Fidela z Arsenalnej. Przy tym wyciągnąć go tak, żeby ten nie stracił rozsądku - niech zadziała ochrona i otworzy klapkę.

- Wstawaj!!!

Oślinione usta, bezmyślny wzrok.

Szum w uszach był silniejszy i silniejszy. Niedługo przerodzi się w ryk samolotu wiszącego kilka metrów od betonowego pasa. I rastamana nie ma w pobliżu, nie ma komu doprowadzić Sajgona do siebie.

- Wstawaj!!! - wrzasnął Swiatoszyńczyk, nie słysząc własnego głosu.

Ryk.

Sajgon upadł na kolana przed ciałem comandante. Oślinione usta, pusty wzrok. I ten człowiek przeprowadził ratowników przez prawie całe metro? Jak można było powierzyć swoje życie, swój los tej kupie mięsa?!

Błysk.

Ręce Sajgona przesuwają się po ciele comandante, przeszukując pod ubraniami. Sajgon nie jest złodziejem, on nawet nie został szabrownikiem. Ręce - to jeszcze nie on. On jest sobą, one - sobą.

Błysk.

Cudze ręce uniosły harmonijkę do ust.

Błysk, błysk, jeszcze, i jeszcze, i...

Sajgon i tak nie nauczył się grać na żadnym muzycznym instrumencie. Jemu nadepnął słoń na ucho. Ciekawe, jak teraz wyglądają słonie?...

Sajgon wziął głęboki wdech - i wydobył z harmonijki przeciągły, melancholijny dźwięk. Ten dźwięk wybił dziurę w monotonii ryku.

I stacja pogrążyła się w mroku.

Rozdział 23

Negatyw

Rozbłyski razily po oczach, przeganiając ciemność.

- Daj to! - Fidel wyrwał z rąk Sajgona ustną harmonijkę. - Nie można tak się znęcać nad instrumentem!

Comandante podniósł się, wytarł twarz i ze zdumieniem rozejrzał się wokół:

- Gdzie one są?

- Kto? - Skacząc na jednej nodze, Sajgon trząsał głową - uznał, że to pomoże mu pozbyć się szumu w głowie. Jego karabin i AK budowniczego metra stuknęły na ramieniu.

- Te stworzenia, które mieszkają na stacji. One zawsze zakradają się od tyłu. Obracasz się, a one za każdym razem odskakują, nawet nie zdążysz im się przyjrzeć, co dopiero w nie trafić. Strzelasz, strzelasz, strzelasz - i wszystko obok! Kiedyś przynieśliśmy tutaj karabiny, ale i tak nie udało nam się przejść przez Arsenalnej...

Sajgon zamarł. Zakradają się od tyłu?

...Ktoś stoi za nimi. Zaraz rzuci się i wbije kły w kręgi szyjne. Tym kimś jest Pan Tuneli, rogaty mutant...

Fidel doświadcza takiego samego strachu, co i Sajgon. A to znaczy...

- Musimy stąd uciekać, póki jesteśmy świadomi.

Zataczając się, Fidel ruszył w stronę portalu. Sajgon z przyjemnością mu pomógł, ale sam ledwie poruszał nogami. Od błysków światła ciemniało w oczach, wszystko zlewało się w jeden czarno-biały obraz, który stawał się coraz bielszy, a przedmioty stawały się jedynie ledwie dostrzegalnymi konturami.

- Negatyw.

- Co?

- Przestrzeń wokół - ściany, gzymsy i ty, młody - stała się prześwieconym negatywem.

Błysk.

- Robią nam zdjęcia i od razu wyciągają film.

Sajgon nie zamierzał się dopytywać, co to znaczy.

Arsenalna wypuściła ratowników. Wszyscy opuścili stację, strat żadnych.

W tunelu wyczerpani, wykończeni poczuciem zagrożenia za plecami - rogaty stworz prześladowuje cię! - comandante i Sajgon upadli. W klatce piersiowej waliło. Sajgon słyszał, jak serce groziło wyłamaniem żeber i, przerywając skórę, wypadnięciem na tory. Ochłodzić. W końcu odetchnąć.

Ale to bzdura. Najważniejsze, że zniknęły zbędne hałasy, żadnego szumu, żadnego ryku. Do diabła z samolotami! I w ogóle nikt nie stoi za plecami. A że ogarnia dreszcz - to dlatego, że we krwi znajduje się za dużo adrenaliny. Nic strasznego, wkrótce przejdzie. Wkrótce przejdzie.

Nieco odpocząwszy, Sajgon po ciemku - nie włączał latarki - obrócił głowę w stronę Fidela, który głośno sapał w pobliżu:

- Co to były za karabiny na peronie? Skąd?

Fidel wstrzymał oddech. Następnie westchnął:

- A skąd wiedziałeś, że wiem?

- A może nie?

- To była poprzednia próba przejścia przez stację. Nieudana. Karabiny musieliśmy zostawić - odparł za comandante Che.

On, jak zawsze, podkrał się po cichu i przycupnął obok Sajgona. Po ostatnich żartach z nożem Sajgon chciałby nauczyć się zauważać zbliżającego się rastamana zawczasu... On w końcu j est czy nie jest kretem? Takie rzeczy trzeba wyczuwać...

Wnioskując po głosie Che, Arsenalna poważnie go wyczerpała. Nie, nie miał teraz ochoty na żarty.

Rozległ się charakterystyczny szmer - to rastaman golił szczecinę na gardle.

- "Zostawić" nie jest najwłaściwszym słowem - poprawił się. - Lepsze będzie "porzucić".

Biegliśmy tak, że podeszwy dymiły. Jakie tu karabiny? A jak pomyślę, jak my, dwaj idioci, taszczyliśmy je przez całe metro... Ech!

Karabiny. Przez całe metro. NWST na posterunku przy Metro Siczy... Klik - i w głowie Sajgona ułożył się kompletny obrazem. Z Akademgorodka i Żytomierskiej złodziejzki ukradli karabiny przeciwlotnicze, zawczasu wycinając ochronę. Papuas na Chreszczatyku miał blizny - krzyże! - na rękach. A to znaczy, że pochodził z Żytomierskiej. Stąd i podniósł się szum, że rozpoznał złodzieja - rozpoznał Fidela! A paskudna blizna na gardle - ten Papuas był strażnikiem i udało mu się przeżyć. Nie dobili go na posterunku na Żytomierskiej, Fidel nie dobił! Albo Che. No a Fidel jednak zakończył rozpoczęte... Ale jak strażnik z Żytomierskiej znalazł się na Chreszczatyku? Czyżby patriarcha wysłał go w celu odnalezienia zaginionych karabinów, a on wziął i żabę spróbował... I utknął na tej magicznej wyspie na zawsze.

No i do diabła z nim, z Papuasem! Nieudacznik i nieudacznik.

Fidel i Che są kimś ważnym. Czyż ratownicy nie są pospolitymi mordercami i złodziejami, a nie żadnymi bojownikami o życie mieszkańców całego metra?

Sajgon przygryzł wargi.

Nie sądz a nie będziesz sądzony, Sieriożeńka. Może sam jesteś aniołem wcielonym? Zapomniałeś o znakach na plecach, o "Ocal i ochroń"? Czy po prostu tak namalowali literki na Żytomierskiej? Nie po prostu.

Ale przecież to obrzydliwe - dokonywać wielkich rzeczy popełniając przy tym okropne czyny. Nie masz racji ani ty, Fidel, ani ty, Che. Nie można tworzyć dobra ze zła, smród będzie konkretny. I smak

paskudny. Kijewskiemu metru nie potrzeba takiego dobra. Już lepiej nie udawać, nie tłumaczyć zła dobrymi intencjami. Tak będzie uczciwiej.

Czy nie lepiej?

Z jękiem Sajgon podniósł się, włączył latarkę.

- Przeciąg. Przeziębimy się.

- Racja, jest przeciąg... Lepiej się ubierzmy. - Che zaczął rozpakowywać kombinezony przeciwradiacyjne. - Ile można taszczyć ten ciężar?

Fidel, a po nim Sajgon poszli za jego przykładem.

Paweł Terentiewicz zaczął bełkotać. Złapał Swiatoszyńczyka za rękę i pociągnął za sobą, z powrotem na Arsenalną.

- Pawle Terentiewczu, musimy przecież iść na stację Dniepr - wyrwał się delikatnie Sajgon, - a to w przeciwną stronę.

Budowniczy metra pokręcił głową. Postawszy chwilę - zostać z ratownikami czy wracać? - rozebrał się, po czym założył na siebie kombinezon. Z ołowianymi gatkami musiał się trochę pomęczyć. Przy tym staruszek miał minę skazańca, jakby przymierzał grób.

Jakby oni wszyscy przymierzali groby.

Che ubrał się pierwszy. Wyglądał, delikatnie mówiąc, specyficznie.

Podobny był do zagubionego astronauty w skafandrze. Zupełnie jakby wyszedł w otwarty kosmos popatrzeć na gwiazdki, wszedł do drugiego modułu - i nagle znalazł się w metrze. Coś, na pewno, nie udało się. Podpowiedz, towarzyszu, któreś na orbitę...

Głowę Che zakrywało mocne coś z przeźroczystym wizjerem po środku klatki piersiowej. Na plecach rastamana wyrósł zauważalny garb - aparat oddechowy, póki co jeszcze nie używany, w końcu można jeszcze oddychać metrowym powietrzem, a dalej... Pożyjemy, zobaczymy, co będzie dalej.

- Wiesz, jak brzmiał ten dowcip? - postukał się w "głowę" Che. - Hełm z kaskiem radiacyjno-ochronnym "Trud".

Sajgon skinął - nieźle, dobry żart.

Był pod ogromnym wrażeniem ołowianych wkładek w butach - w takich "biegówkach" zbytnio nie pobiegasz. Gatki, podeszwy... Teraz już wie, czemu kombinezon tyle waży. Tylko że są tu dwa rodzaje rękawiczek plus rękawice. Przebijając się, Sajgon aż się spocił, tak się zmordował. A gdyby poruszać się aktywnie?...

Grubość i materiały części kombinezonu wyróżniają się, gdyż zakrywają się różne organy: rdzeń kręgowy dobrze byłoby bardziej osłaniać przed promieniowaniem, a nogi można poświęcić. Dobrze byłoby, gdyby wszędzie ochrona była gruba, ale w takim przypadku kombinezon ważyłby tyle, że Sajgon nie przeszedłby w nim dwóch kroków.

- A dlaczego przebieramy się tutaj? Przecież do Dniepru jest jeszcze daleko?

- Młody, pomyśl, chciałoby ci się przymierzać nowe ciuchy na powierzchni? Lepiej już wcześniej...

Fidel miał rację.

I choć przejście wydawało się takie ciężkie, że Sajgon już nie marzył o dotarciu, ochrona przed radiacją została na miejscu. Chociażby dlatego, że stacja Dniepr położona była na powierzchni, skąd do metra ściągało całe draństwo, skażone powietrze. Zbędny oddech pełną piersią nie działał dobrze na zdrowie.

Z maską do oddychania na twarzy nie porozmawiasz za dużo, ale Sajgon bez trudu zrozumiał sens mruknięć Che. Masz u siebie, Sajgon, mówił, ten sam czysty gaz, w który tak wierzysz. Wy wszyscy, krety, oddychacie trucizną, jecie truciznę, a potem się mnożycie...

Stacja Dniepr. Powierzchnia. Przez dwadzieścia lat Swiatoszyńczyk przywykł do posiadania sufitu nad głową. A tutaj sufitu nie ma.

Zapadał zmierzch. Padał drobny śnieg.

Na moment Sajgonowi wydało się, że jest różowy, ale nie - zwyczajny, jakim go zapamiętał, czyli biały.

Ciszę zakłócał tylko przerywany oddech czterech ratowników. Dokładnie cztery plamy żółci na mlecznym tle planety. Mądrala, który wymyślił taki jaskrawy kolor dla kombinezonów, zdecydowanie nie przewidział tego, że ludzie będą musieli ukrywać się przed mutantami.

Ukośne promienie słońca z prędkością światła staranowały ciężkie chmury i kawałki spadały w dół. Wręcz obrazek ze snu Sajgona, który zobaczył między Dworcową i Uniwersytetem. Tylko Sajgon nie jest nagi, wręcz odwrotnie. I nie ma ze sobą licznika Geigera, nie uda mu się zmierzyć poziomu radiacji. A niech i będzie to ustrojstwo, niech zaśpiewa swoją arię niepokoju - czy to zatrzymałoby ratowników, którzy przebyli długą, pełną trudów i niebezpieczeństw drogę? Oczywiście, że nie. Sajgon za nic nie wróciłby z powrotem. Dotarł. Dotarł! Wierzyć się nie chce...

Sajgon wdrygnął, zauważając ślady na śniegu - zupełnie jak we śnie.

Gwałtownie odwrócił się, ale nie zamierzał atakować ich od tyłu. Jakies cienie migotały w oddali, nie ryzykując stanięcia na pełną wysokość. Che gestami pokazał, że to drobnostka, nie godna uwagi i tracenia nabozi.

Westybul pod stacją był zniszczony, po szkłe nie został nawet ślad. Na prawo od estakady powinna wznosić się rzeźba, ale nie było jej. I metromost, ciągnący się niegdyś do Hydroparku, runął, zniknął. Za to lewa statua ostała się - kobieta z ptakami, wzlatającymi z uniesionych ku niebu rąk.

I wtedy, niczym stukrotnie większy cień od przykutych do betonowej kobiety żelaznych ptaków, po niebie przeleciało coś ogromnego... wielkości samolotu szturmowego, tak powiedział Fidel. Wielki, latający potwór.

Wtedy też, czy to zobaczywszy bestię, czy to ze strachu przy jego pojawieniu się, zawyły wokół dziesiątki niewidocznych dla oczu stworzeń.

Potwór zakręcił szerokim łukiem nad rzeką i skierował się na stację.

Dopiero wtedy dotarło do Sajgona, że to jest właśnie łybid. Koszmar z koszmarów, plaga szabrowników, strach nowego świata.

Ten sam łybid, który zabił Majora!

Sajgon przycisnął do ramienia automat, ale nie zdążył nacisnąć na spust - Fidel chwycił AK za lufę i zwrócił w dół, zamachał ręką - co ty, zgłupiałeś?! Wnioskując po gabarytach mutantą, walenie do niego ma sens tylko z NWST, a i to bez gwarancji.

I jak ta masa zdołała unieść się w powietrze? Ileż to musi żreć, żeby utrzymać taką masę ciała? I co?...

Pikując, łybid prawie uderzył w statwę - w ostatniej chwili obrócił się w bok. Zmieniwszy trasę, celował teraz w ratowników. Jak zaczarowani, czterech mężczyzn w żółtych kombinezonach patrzyło się na błyskawicznie zbliżające się wcielenie śmierci...

Ale łybida wcale nie przyciągali ratownicy.

Gwałtownie zahamowawszy - łopot błoniastych skrzydeł - mutant runął w śnieg znajdujący się na torach. W tej samej chwili "śnieg" ożył, rozbijając się na dziesiątki żywych stworzeń, z których każde, histerycznie wrzeszcząc, uciekło jak najdalej od latającego monstrum. Co za dziwna kolonia? Co za okropne stworzenia!

Sajgon podziękował w myślach łybidowi. Gdyby nie ten latający wielkolud, kompania Fidela bez wątpienia wpadłaby w tę pułapkę. A tak - oto one, dziesiątki dwunożnych i dwurękich stworzeń, bardzo podobnych do ludzi, ale niższe i z ciałem porośniętym śnieżnobiałą sierścią.

Wszystkie one rzuciły się na ratowników.

Fidel pierwszy otworzył ogień, tym samym dając przykład towarzyszącom. Che i Paweł Terentiewicz zawahali się, za to Sajgona nie trzeba było długo przekonywać. Wycofując się, posyłał mutantom serię za serią. Mutanty przewracały się na klatki piersiowe, inne całkowicie wpadały głowami w śnieg, ale wynurzały się metr, dwa bliżej ratowników. Kule wzbijały na skorupie fontanny lodu.

Czwórce w kombinezonach zwyczajnie się udało, że perony i tory zawałiło i zwierzęta pomimo szczyrych chęci nie były w stanie odpowiednio się rozproszyć. Inaczej ludzie byłiby ściśnięci.

Magazynek pusty, zmienić. Dać karabinowi ostygnąć, dopóki strzela Che. A krew mutanty mają czerwoną i umierają one aż zbyt łatwo. Sajgon z jakiegoś powodu sądził, że powinny mieć białą i trafiać należało w głowę. Nie. Zwyczajne zwierzęta... prawie pomyślał - "ludzie"...

I nagle - cisza. Wszystkim ratownikom jednocześnie skończyła się amunicja. Ana przeładowanie potrzeba czasu. Każda sekunda się liczy!

Ta sekunda wystarczyła dużej, białej istocie - widocznie samiec, - aby dopaść Pawła Terentiewicza i zbić go z nóg. Żółte kły ześlizgły się po osłonie, nie czyniąc staruszkowi krzywdy. Gdyby nie ta osłona, to dziadek pożegnałby się ze swoją twarzą.

Kolbą Fidel rozbił mutantowi czaszkę. Budowniczy metra z obrzydzeniem zrzucił z siebie podrygujące w konwulsjach ciało.

W tym czasie na torach szalała prawdziwa zamieć - lybid machał skrzydłami, próbując nabrać wysokości. W jego paszczy mieściło się co najmniej pięć mutantów jednocześnie. A on dokąd? Do gniazda je niesie, czy co? Dzieci nakarmić?

Wreszcie monstrum oderwało się od poziomu i, zahaczając o krzywe słupy latarni ulicznych, spadł z estakady. Skrzydła rozłożyły się, potwór momentalnie poleciał w górę, kilka machnięć - i ogromne cielsko skryło się za chmurami.

Ale to nie uspokoiło białych małp - na stacji Dniepr było ich od groma.

Trzeba się wycofać. Na początek chociaż na westybul stacji. Mutantów jest zbyt dużo, a amunicja może się skończyć.

Kłapa. Operacja zakończyła się kłapą!

Sajgon chciał krzyknąć o tym Fidelowi, ale w kasku i jeszcze z maską aparatu do oddychania na twarzy wydawanie głośniejszych dźwięków niezbyt się udawało. Trudno. Swiatoszyńczyk nie słowem, a czynem pokaże, że na powierzchni nie ma miejsca dla ludzi. Krety powinny żyć pod ziemią i kropka.

Sajgon zszedł po schodach. Błękitne płytki na ścianie nie utraciły swojego koloru od czasu, zwyczajnie pojawiły się przerwy. Jak szczeka dziadka: to, co zostało, jest kompletne, ale czego nie ma, tego nie ma.

Z tyłu dało się słyszeć stąpanie Fidela - comandante także nie pragnął karmić włochatych stworzeń. W ślad za nim zszedł Che. Dopiero przy zardzewiałych kołowrotkach Sajgon zdał sobie sprawę, że brakuje Pawła Terentiewicza. Ach, ten stary człowiek! Wieczne z nim problemy! Przekłęci wszyscy i wszystko, Sajgon podreptał z powrotem. Ale nie musiał wchodzić na peon - oddawszy serię w kierunku mutantów, staruszek kuśtykając minął farmera, jakby tak miało być.

A od góry napierały zwierzęta. Wystarczyło tylko do mutantów ogień, one odskakiwały w tył, zostawiając trupy swoich pobratymców. Ale kilka sekund po tym, jak karabin cichł, białe małpy znów szły do ataku na westybul. Sajgon szybko rozgryzł ich taktykę. Ale schody są z dwóch stron, a on jest jeden, mutanty w każdym momencie mogą go okrążyć.

I tak się stało.

Głuchy ryk za plecami. Sajgon odwrócił się, oberwał łapą z pazurami po głowie i upadł. Cios był taki silny, że osłona pękła, jej fragmenty wpadły do środka kombinezonu. Leżąc, Sajgon wystrzelił serię w brzuch mutanta, który zgiął się w pół i ruszył z powrotem. Ale tutaj nieszczęście: to nie był jedyny potwór chcący dostać się do metra, nie zapłaciwszy za bilet.

Seria. Zostawiwszy kilka stworzeń wijących się na podłodze, Sajgon przecisnął się przez kołowrotki, zeskoczył z trzystopniowych okrągłych schodów i zastygł w niedowierzaniu. Kiedy walczył z mutantami, ratownicy gdzieś zniknęli.

Sporych rozmiarów stwór wskoczył na budkę przy kołowrotkach. Szyb w budce nie było od dawna, urządzenia wewnątrz stały się bezużyteczne lata temu, ale dach była w stanie utrzymać pięćdziesięciokilogramowego mutanta. Co on, chce wskoczyć Sajgonowi na głowę?

Już pierwszą serią Siergiej położył stwora na podłogę. Pozostałe mutanty po raz kolejny rzuciły się schodami na górę, starając się jak najszybciej zejść z linii ognia.

Instynkt samozachowawczy - to dobra rzecz. Niech żyje instynkt samozachowawczy! Gdyby stworzenia nie bały się śmierci lub próbowały zmasowanego ataku, nie zważając na straty, Sajgon nie stałby przed stadem trzydziestu sekund.

A tak ma jeszcze półtorej minuty...

Gdzie jest Fidel?! Gdzie są Che i Paweł Terentiewicz?! Jak oni mogli zostawić Sajgona samego?! Dotarli do Dniepru i farmer przestał im być dłużej potrzebny?...

Nagle na prawo od budki, w ścianie, delikatnie, jak od powiewu powietrza, otworzyły się drzwi. Sajgon zrozumiał: to znak od losu. Pan Tuneli wciąż jeszcze był przy nim. Bez chwili zwłoki rzucił się do służbowego przejścia. O tym, że jest służbowym przejściem, a nie publiczną toaletą albo czymś jeszcze straszniejszym, ogłaszała tabliczka przykręcona śrubami do lakierowanych drzwi.

Za drzwiami czekał Che. Sajgon chciał już protestować, ale rastaman przyłożył do wizjera palec wskazujący, zakryty czarną gumą ze ołowianą siatką.

Kiedy między palcem a ustami jest dziesięć centymetrów, czy można uznać ten gest za prośbę zachowania ciszy? Czy to prośba, aby nie zachowywać się zbyt głośno, to znaczy nie strzelać seriami, a ogniem pojedynczym? Przy okazji Sajgon sprecyzuje ten moment, a na razie nie będzie wydawać żadnego dźwięku. Ciszej jedziesz, dalej będziesz. Wydaje się, że tak mówiono na powierzchni. Przodkowie ogólnie byli mądrymi ludźmi. Przeważnie, jeśli nie liczyć tego, że unicestwili świat. To, oczywiście, gafa z ich strony.

Wąskim korytarzem Sajgon i Che wyszli na klatkę schodową, gdzie czekali na nich Fidel i Paweł Terentiewicz. Budowniczy metra ciągle coś bazgrał w notesie i pokazywał to, co napisał, Fidelowi.

Sajgon zdjął kask i zerwał maskę aparatu oddechowego. Nareszcie! Chłodne powietrze przyjemnie musnęło rozpalony policzek. Osłona i tak jest rozbita...

Ratownicy zgodnie spojrzeli na niego. Tym samym palcem Che pokręcił przy skroni.

Sajgon przeczyścił gardło:

- Muszę splunąć - i splunął na podłogę.

Rastaman nagle się zatrząsł, chrząkając. Z tym akompaniamentem uwolnił się od kasku i maski. Szaleństwo jest zaraźliwe. Kolejny dołączył Paweł Terentiewicz, a najdłużej ze wszystkich impulsowi opierał się Fidel. Ale i on się poddał. Teraz ratownicy mogli ze sobą rozmawiać. No, może oprócz budowniczego metra.

- Stary mówi... pisze... że musimy zejść po schodach. Gdzieś tam, w przestronnej sali, on i jego towarzysze zostawili "Mariusz".

- Kogo? - Sajgon chyba się przesłyszał.

- Tarczę... No, system drążenia tuneli. Ci starzy zbrojeńcy nadawali im kobiece imiona. Taka tradycja była.

Paweł Terentiewicz skinął, potwierdzając słowa comandante.

- No, z Bogiem! - Che pierwszy wszedł na schody prowadzące na dół.

I zaraz się cofnął, podnosząc karabin do ramienia.

Sajgon podbiegł do rastamana, zamierzając od razu otworzyć ogień. Ale to, co zobaczył, to było... to...

Czarna sylwetka powoli, zupełnie jakby przebijając się przez wodę, zbliżała się. Krok, drugi, trzeci... Klatka była zaskakująco długa. Nienaturalnie cienkie, długie ręce kołysały się niczym gałęzie na wietrze - to skojarzenie przyszło na myśl Sajgonowi zupełnie niespodziewanie, razem z bólem w skroniach. Obok klatki, gdzie mieszkali Kimowie, rosła ogromna wierzba, a kiedy wiał wiatr...

Oczy się zamknęły. Rodzinna klatka. Rzucić się na górę, otworzyć drzwi swoim kluczem i, nie zdejmując butów, pobiec do kuchni, skąd dochodzi ciepło garnków, mama wróciła już przecież z pracy i gotuje barszcz...

Sajgon pokręcił głową, odganiając przewidzenie. Czarnej postaci nie było na dole.

- Chyba coś widziałem. Czy nie?

- Jakiś nowy mutant. Bękart dzieci katastrofy. - Che opuścił automat.

- Według mnie, białe małpy są dosyć urocze - Sajgon zmusił się do uśmiechu.

Do czerw, odmieńcowatych ani paciuków czarne stworzenie w ogóle nie były podobne, a także w żadnym stopniu nie przypominały białych małp i skrzydlatego łybida. Bękart dzieci katastrofy, jak powiedział rastaman.

Dawno zauważono: ci, którzy są starsi, nazywają Ostatnią Wojnę "katastrofą" albo "kataklizmem". Albo bardziej neutralnie: "czystym szaleństwem", na przykład. Ciężko było im przyznać, że na Chreszczyku nigdy więcej nie zakwitną kasztany. Za to młodzi nie ukrywali prawdy: wojna - bo jest to wojna, jak jej nie nazwiesz.

Długa droga w dół.

Sajgonowi wydawało się, że schodzą już całą wieczność. Bez pospiechu, z bronią w pogotowiu. Gdyby co - strzelać, by zabić. Rutyna, codzienność ratownika. Sajgon przywykł już do takiego stylu życia, a dla Fidela i Che to norma, ale o staruszka się obawiał. Nie żeby ten nie dał rady, w końcu już kilka razy łapał się za serce, ale... To nie może się przecież ciągnąć wiecznie? Z takim napięciem wkrótce nastanie moment, kiedy Paweł Terentiewicz wyruszy na spotkanie z przodkami. Jego dusza opuści śmiertelne ciało, przeniknie przez beton i ziemię... Sajgon wierzył, że dusze tych, którzy umarli

po wojnie, wracają do miasta. Bez końca wędrują pośród ruin rojących się od mutantów.

Budowniczy metra upadł na jedno kolano. Spróbować wstać - nie udało się.

- Pawle Terentiewiczu, co z wami?! - Sajgon rzucił się w kierunku staruszka. Z trudem - odzywało się zmęczenie - pomógł podnieść się na nogi i poczuł, jak ręka Pawła Terentiewicza puszcza go. - Co pan robi?!

Staruszek zamachał rękami: nie martw się, wszystko w porządku, i nieoczekiwanie, rozpinając kombinezon Sajgona, wsadził rękę pod liczne warstwy kombinezonu przeciwradiacyjnego.

- Co pan robi?!...

I wtedy Sajgon przestał pytać.

Bo Che, pokonawszy schody, nagle zaczął tańczyć Hopaka - ku zazdrości Metro-Siczy. Fidel zwyczajnie rozłożył ręce i przywitał Sajgona i budowniczego metra takimi słowami:

- Jest! Znaleźliśmy go! Tarcza! Znaleźliśmy tarczę do drążenia tuneli!!!

Rozdział 24

Babilon

Zamknięta konstrukcja stalowa.

Podnośniki hydrauliczne, mocowanie złożone z betonowych tubingów. Wirnik z ostrzami pod miękkie, plastyczne gliny. Od niego skały przechodzą do taśmy, a stamtąd - do wagoników. Busole i laserowe teodolity - dla wyrównania kursu...

- W miesiąc można przejechać kilometr! - cieszył się Fidel. - Ale nie potrzebujemy aż tyle! Dawaj, "Mariusia", nie zawieź nas!

Paweł Terentiewicz natychmiast ożywił się i jakby zmłodził dwadzieścia lat. Żwawo wdrapał się do panelu sterowania. Sajgon z fascynacją obserwował, jak budowniczy metra czaruje nad dwoma rzędami przycisków - pierwszy rząd niebieski, drugi czerwony. I to tylko na pionowym panelu. A są jeszcze przyciski na poziomej i cała masa różnych cyferblatów - Sajgon doliczył się aż czternastu sztuk. I jak się w tym wszystkim odnaleźć?... Dobrze, że udało mu się przekonać Pawła Terentiewicza do dołączenia do ratowników!

Ten, nawiasem mówiąc, nie tracił czasu. Coś nacisnął, przekręcił, sprawdził wskaźniki - i tarcza poruszyła się! rytmicznie zabuczała elektryczność, włączyła się oświetlenie pomieszczenia.

Oto ono - to, dla czego ratownicy pokonali taką ciężką, pełną przeciwności i strat drogę! Paweł Terentiewicz odwrócił się i mrugnął do Sajgona: sprzęt w porządku! To zaskakujące, że po takim upływie czasu wszystko pozostało na swoim miejscu. Dzięki mutantom mieszkającym na stacji - dobrze pilnowały "Mariusię" przed szabrownikami.

To jeszcze nie koniec.

Nie! Wręcz przeciwnie! To dopiero początek.

Przecież te liczne urządzenia i materiały, które się tu zachowały, trzeba przenieść na inną stację, na przykład na Akademgorodok - i dopiero wtedy dalej ryc tunel. A do tego potrzebni są ludzie. I dużo siły. I trzeba przekonać bossów, cesarzy i innych króli-naczelników, żeby pozwolili przejść ratownikom z balastem przez ich stacje.

Wszystko dopiero się zaczyna, zrozumiał Sajgon.

Ale przecież Fidel wszystkim się zajmie. Ma naprawdę skuteczny dar przekonywania! Jeśli Sajgon zdoła wznieść się na piedestały, to i Kosmos go pobłogosławi. Najważniejsze, żeby wszyscy zrozumieli: wojna o przestrzeń do życia nie jest potrzebna, nie ma sensu przelewać krwi!

Sajgon był uradowany. Ledwie się powstrzymał przed tańczeniem w ślad za Che.

I dlatego nie od razu spostrzegł kompas w rękach Fidela.

Comandante przekazywał coś Pawłowi Terentiewiczowi. Przez hałas systemu tunelowania, działającego po pustocie, Sajgon nie słyszał rozmowy. Dopiero po podejściu bliżej, zdołał coś zrozumieć.

- Co ty, nie tylko jesteś niemy, ale i głuchy?! Rzeka jest tam. Tam masz ryc! Czaisz? - Fidel, zerknąwszy jeszcze raz na kompas, wskazał kierunek.

Paweł Terentiewicz odmownie kręcił głową i błagalnie muczał.

Fidel był wściekły.

I Sajgon niczego nie był w stanie zrozumieć.

Jaka znowu rzeka? I dlaczego mają tam kopać?

Aż zapomniał, że to najwyższy czas dowiedzieć się, skąd Fidel ma harmonijkę. Normalnie jakieś szczęście: przez długie lata systemu tunelowania nie zżarła rdza, nie zalały go wody gruntowe, izolacji nie zżarły szczury i paciuki... W ogóle, cud, że wciąż jest sprawny!

W czasie podróży Sajgon nie dopuszczał do siebie myśli, że szansa powodzenia jest znikoma, kierował ich tylko entuzjazm, który trafniej byłoby nazwać fanatyzmem. Przecież innego sposobu ocalenia metra nie było. Dlatego tarcza musiała zadziałać z półobrotu, bo jak inaczej? Nie można tak, całkiem bez nadziei!

Czy jednak można?...

- Ej, do kogo ja mówię?! Ruszaj mi tą katarynką na pełnych obrotach! I nie rób mi tu wielkich oczu, już ty, stary capie, od samego początku wiedziałeś, po co to wszystko zostało wymyślone! - Zupełnie jakby Fidela z kimś zamieniono. Dokładnie taki był na Bieriestiejskiej, kiedy Sajgon dopiero co go spotkał. A wtedy niezbyt spodobał się Sajgonowi.

Che nagle stał się poważny, jak rana w brzuchu.

Paweł Terentiewicz znowu coś zamuczał i zaczął naciskać guziki - po sekundzie dudnienie ustało, system znów był wyłączony. To doprowadziło Fidela do białej gorączki. Skierował karabin w staruszkę i nacisnął na spust.

Staruszek upadł. Sajgon od razu zrozumiał, że nie żyje.

Ale jak to?! Dlaczego?! A nowe tunele i przestrzeń życiowa, aby zapobiec wojnie?!...

Wszystko wywróciło się do góry nogami.

Co się dzieje, hę?!?

Rzucił się w stronę Pawła Terentiewicza, wiedząc, że może mu już pomóc. A może budowniczy metra żyje? W końcu w metrze cuda się zdarzają! Ratownicy znaleźli tarczę drążącą tunele - czy to nie jest cud?!...

Na wiotkiej szyi staruszkę puls był niewyczuwalny. Na ręce także.

Sajgon w milczeniu spojrział Fidelowi w oczy.

Ten zajadle zatrajkotał:

- Tak musiało być, młody. Sam jest sobie winien, wyłączył tarczę. Obawiałem się, że ta stara menda zniszczy sprzęt. Wiesz, jak w filmie: naciśniesz na czerwony guzik, szast -prast i wszystko stoi w ogniu. A ile tu czerwonych guzików!

Sajgon skinął Fidelowi, mając świadomość, że kłamie, i zastanawiał się, czy zdąży wystrzelić pierwszy, czy odstrzeli go Che, który stał nieco z prawej i nie spuszczał obu z oczu.

- Mogę o coś spytać, Fidel?

- Wał, młody. - Comandante odwrócił się, żeby nacisnąć kilka przycisków na pulpicie. Chyba sam nie wiedział, jak uruchomić system.

- Stary, ty nie zamierzasz poszerzać metra, prawda?

Fidel na moment zastygł, następnie rzucił przez ramię:

- Po raz pierwszy domyśliłeś się, młody. Jestem z ciebie dumny.

- Ale co... Co ty chcesz...

Zahuczała elektryczność, a oczy Fidela zaiskrzyły.

- Uruchomimy "Mariusz" i nasza słodka dziewczynka przekopie tunel do rzeki!

- Ale dlaczego?...

Che zniknął z pola widzenia, Sajgon zdenerwował się. Krew uderzała w skroniach. Oczy załzawiły.

- Jak to dlaczego? Oczywiście po to, żeby zatopić metro!

Zatopić kijowskie metro?...

Zatopić?! Kijowskie?! Metro?!

- Ale dlaczego?! Czemu?... - Sajgon łapał powietrze, jak wyciągnięty z wody odmieńcowaty, i wpatrywał się w Fidela, licząc, że wszystko, co usłyszał, okaże się być żartem. Zwykłym żartem.

- Żeby zniszczyć ten grajdół - spokojnie i łagodnie uśmiechnął się Fidel.

Oszalał! To jest zwyczajny świr!

I za tym człowiekiem Sajgon szedł, słuchając się go i nawet usprawiedliwiał jego zbrodnie? Mówił, że tak, czynimy zło, ale wyłącznie dla wielkich celów, ponieważ z dobrem u nas problem albo zwyczajnie skończyła się amunicja.

A ty...

Ale dlaczego, Boże, dlaczego mają ruszyć sklepienia, dlaczego zabijać żalosne tysiące ludzi, którzy przeżyli wojnę i ostatkiem sił wciąż wczepiali się w życie? Jak bardzo trzeba nienawidzić ludzkości, jak bardzo trzeba nienawidzić metra, żeby z taką zaciekłością, zapalczywością, ryzykując własnym życiem i życiami swoich towarzyszy, wrywać się do tej stacji, wrywać się do tego piekielnego mechanizmu, narządzi sądnego dnia? Ile kosztowała ta wyprawa? Ile żyć Fidel poświęcił wcześniej? Jaki w tym sens?!

- Odchodzimy z Babilonu do kraju przodków! - rozległ się z tyłu głos Che. Rastaman znów jest z Fidelem. Ale to akurat zrozumiałe. Podstawa całej wyprawy - słodka parka. Pozostali to mięso armatnie. Sajgon też?... Naturalnie, że tak. Wzięli go ze sobą tylko dlatego, że pałętał się Fidelowi pod nogami, sam się napraszał. Na jakie specjalne traktowanie liczy?

- I po co przyprowadziłeś tu staruszkę, młody? Che na Teatralnej chciał zabrać ci zbędny balast, ale ty się uparłeś. A chodzi o to, młody, że...

Rastaman przerwał Fidelowi:

- Babilon zniszczyć powinien człowiek silny charakterem. Taki, jak ja. Albo jak ty. Al bo jak nasz przyjaciel Fidel. Staruszek nie nadawał się do tej roli.

Czyli rastaman chciał zabić budowniczego metra? Tak po prostu, bez wyrzutów sumienia, pozbawić balastu. Zbędnego.

- Babilon? - Sajgon potrząsnął głową. - Czemu Babilon?

- Babilonem jest metro - wyjaśnił Che. - A krajem przodków jest powierzchnia.

- Myślisz, że oszalałem, młody? - przenikliwie spojrzał Sajgonowi w oczy, zapytał Fidel. - Czo ja, świr? To nie tak. To nie tak. Tak, mam cel. Tak, jestem gotów dla tego celu zerować a ludzkim życiu. Ale nie zabijam dla samego zabijania. Jest cel. Jest sens!

- Nie rozumiem...

- Spójrz na siebie, młody. Przypomnij sobie tych ludzi, których widziałeś wokół w czasie naszej krótkiej podróży. Papuasi, liżący ropuchy. Sataniści, pożerający ludzkie dusze. Poważone baby. Biedaki kradnące cudzą własność i mające pretekst. Zabójcy, mordercy i jeszcze raz mordercy. I ty, handlarz chomików, ich zbawca. Kogo chcesz zbawić?! To nie ludzkość! Metro rozłożyło nas. Życie bez słońca i nieba zmieniło nas w szalone zwierzęta, w morloków. Pożeramy się nawzajem i śpimy we własnym gównie, kopulujemy na oczach innych i żremy wszystko, co nam się nawinie pod rękę. To nie ludzkość! Metro pozbawia nas rozumu, zabiera naszą godność! Jeszcze pokolenie i zmienimy się nie do poznania...

Sajgon słuchał Fidela, patrzył w jego połyskujące oczy i prawie się z nim zgadzał. Nagle znowu wydawało mu się, że comandante nie oszalał, że we wszystkich jego działaniach naprawdę jest sens, że ten sens zaraz stanie się dla niego zrozumiały.... Dobrze, prawie powiedział Sajgon, ale co w takim razie robić? Jak żyć?

- I dlatego powinniśmy zniszczyć metro. Nie pozwolić ludziom do reszty przemienić się w krety! Wykurzyć ich z tych szucznych nor na powierzchnię. Niech uczą się oddychać na nowo prawdziwym powietrzem! Niech wszyscy ujrzą niebo! Niech rywalizują z potworami i hartują się w boju! Wystarczy tego gnicia w katakumbach!

- Ale jest za wcześnie! - oprzytomniał Sajgon. - Żyjemy właśnie dlatego, że nosimy kombinezony przeciwradiacyjne - i ty, i ja... Powietrze jest skażone! Woda skażona... Mutanty... Nie ma gdzie żyć... Za wcześnie!

- A jutro będzie za późno - pokręcił z goryczą głową Fidel. - Jutro nie będzie w was człowieka, który sprawi, że opuścicie jaskinie i wyprostujecie się. Jutro wszyscy oślepniecie i będziecie pęłzać na czworakach od urodzenia aż do śmierci, bo pod ziemią tak jest wygodniej... A dziś macie mnie!

- Ty ich nie uratujesz! Ty ich zgubisz! Kobiety... Dzieci! Oni zwyczajnie utoną w radioaktywnym syfie... Ty to nazywasz ratunkiem?! - wrzasnął Sajgon.

Comandante pokręcił głową, niczego nie odpowiadając. Jego czoło pokryły głębokie zmarszczki, a oczy zgasły i teraz wydawały się być dwoma czarnymi otworami w woskowej masce. Ciężko westchnął... Czyżby Sajgon przebił się przez beton przekonania?

Ale wtedy wtrącił się Che.

- Nie waż się go słuchać, Fidel! Pamiętaj, jaką mamy misję! Metro jest Babilonem, miastem zepsucia, miastem bezdusznym i bez serca, skazanym na grad! Tylko na jego zgłiszczach odrodzi się królestwo ducha, Syjon! Ludzkość jest jak feniks - nie odrodzi się i nie powstanie, jeśli najpierw nie obróci się w popiół! Zebraliśmy się, żeby odnowić społeczeństwo! Ten chłopak jest zwyczajnym kretem i próbuje ochronić przed nami innych kretów! Nie zrobisz już z niego człowieka, on nam przeszkadza w zmienieniu w ludzi tych, których można jeszcze uratować! Ocknij się, Fidel! Jah przemawia moimi ustami! Jah woła nas z powrotem, na górę, do kraju przodków!

- Kraj przodków jest martwy! Sami widzieliście! Nikt tam nie przeżyje! - wrzeszczał w odpowiedzi Sajgon, ale comandante już nie słyszał.

- Przez ciebie przemawia strach. Szkoda, młody, myślałem, że jesteś jednym z nas, że jesteś silny duchem. Kiedy metro zatoni, krety będą zdychać nie od wody, a ci, którzy wyjdą na górę - nie od promieniowania! Was zgubi strach. Strach przed nowym, strach przed nieoczekiwanym, otwartymi przestrzeniami, niebem nad głową, strach przed nowym życiem! Filtry metra zawiodły już dawno temu! Całe metro od wielu lat pije zatrutą wodę i oddycha zatrutym powietrzem! Krety już dawno stały się odporne, ale wy boicie się uwierzyć we własne siły!

- Czy nie widziałeś dzieci, które powstały pod wpływem promieniowania? Nie widziałeś ludzi, którzy żyją na niezabezpieczonych stacjach? Pośród nich nie ma zdrowych, tylko upośledzeni! Czemu chcesz wysłać ludzi z metra na pewną śmierć?!

- Upośledzeni?! - Fidel nagle podniósł głos, grzmiał pod sklepieniem, a sam Fidel jakby urósł.

Wydawało się, że jakiś potężny, starożytny bóg, długo i cierpliwie udający człowieka, wyszedł z siebie i zapomniał o konieczności posiadania wyglądu śmiertelnika. - Upośledzeni?! Nie! To będą nowi ludzie! Tacy, jak mój syn, Unkas! Niewrażliwi na promieniowanie! Zdolni pokonać każdego mutantą lub znaleźć z nim wspólny język! Tam, na górze, to, co nazywasz upośledzeniem, będzie wzorem urody!

- Ty... robisz to wszystko z powodu twojego syna? - spytał oszołomiony Sajgon.

- On ocaleje. Kiedy popłynie woda, on wyjdzie na powierzchnię... Pokazałem mu drogę, szyby wentylacyjne... Mój chłopczyk będzie spotykać wszystkich, którzy uciekną z metra. Zabiorę ocalałych pod swoje skrzydła, nauczę ich żyć na powierzchni! A on będzie moim następcą. Ludzkość odrodzi się!

Sajgon nagle przypomniał sobie pożegnalną rozmowę Unkasa z Fidelem:

...Wszystko, co robię, robię dla ciebie!...

To wszystko. Głupio się spierać. Tych dwóch nie przekona...

Sajgon wyobraził sobie rwący potok radioaktywnej wody, przelewający się tunelami i zmywający całe stacje. W wirach wodnych kręcą się ludzie, bezwładnie rzucający kończynami. Chwytają się nawzajem i toną, toną, toną... Możliwe, że kilkaset ludzi wydostanie się na górę, ale wszyscy inni są zgubieni. I Fidel o tym wie. Che także wie, jakie konsekwencje będzie miał jego plan. Krety zwyczajnie nie zdołają wyjść na powierzchnię - utopiwszy się, na zawsze pozostaną w swoich norach, przecież to oczywiste! Ale rastamanowi i comandante nie jest potrzebny wielki tłum. Mniej ludzi - łatwiej rządzić.

Andriuszka nie potrafi pływać. Swietka też nie...

Jakim on, Sajgon, jest idiotą... Boże, jakim jest idiotą! Przecież nie dla harmonijki, nie dla cholera wie kiedy zaginionego ojca Sajgon wyruszył z tymi szaleńcami. Nie, mówili mu, że nie ma innego sposobu powstrzymania wojny, nie ma innej możliwości ocalenia i własnej rodziny, i ochrony przed rzezią ludzi na innych stacjach... On, zagorzały cynik, przesiąknął ich ideami, uwierzył im!

Sajgon sięgnął po karabin, który wisiał na jego ramieniu. Może zdąży. Musi zdążyć!

Fidel wziął go już na muszkę. I z zainteresowaniem przypatrywał się, zupełnie jakby podejmował decyzję, czy strzelić, czy chwilę poczekać.

Musi odwrócić jego uwagę.

- Czyli nie będzie żadnej wojny? - zapytał Sajgon. - Wymyśliliście to wszystko, żeby poszedł z wami? Wymyśliliście, żeby zwerbować do swojego oddziału dodatkowe mięso armatnie?

- Jak nie będzie? Oczywiście, że będzie! - uśmiechnął się zadowolony Fidel. - Wojna jest naszym "planem B". Ostatnim razem za bardzo napaliliśmy się na tę tarczę, a i tak nie zdołaliśmy do niej dotrzeć, utknęliśmy na Arsenalnej. Tym razem przygotowaliśmy dodatkową opcję... Nawet gdyby na Dnieprze nie było żadnego systemu drażenia tuneli, wszystko powinno zadziałać!

- Co? - Sajgon wytrzeszczył oczy.

- Wojna jest świetnym sposobem na wykurzenie kretów. Nie tak wiarygodna jak potop i nie tak elegancka, ale do przestraszenia wystarczy!

Kiedy Fidel mówił, Sajgon milimetr o milimetrze, niezwykle powoli przesunął rękę w stronę karabinu. Jeśli szybko uniesie broń i naciśnie na spust, to...

- Sojusz jest moim pomysłem. Przekonałem Krygę i Kosmosa do konieczności ekspansji.

Działałem ostrożnie. Zajęło trochę czasu, żeby przekupić odpowiednich ludzi z ich otoczenia. Ale dokonałem tego! Szkoda, że na Bieriestiejskiej nieoczekiwanie zmieniła się władza, wtedy sojusz rozszerzyłby się...

Sajgon wspominał nowego cesarza Bieriestiejskiej. Borys odrzucił każdą, nawet najkorzystniejszą ofertę Fidela. A przecież Sajgon prawie zabił grubasa w dresie...

- Pamiętaj, młody, musimy - musimy! - poruszyć ludzi, zmusić ich do wyjścia na powierzchnię. Już czas! Czas budować nowy wspaniały świat!

Jedną ręką Sajgon dotknął uchwyty automatu, palcami drugiej - rękojeści pistoletu. Gdzie jest Che?!... Nie może się obrócić, Fidel zauważył.

- Sojusz za chwilę rozpocznie szturm na Szulawską, a następnie na Bieriestiejską. O ile już się nie zaczął. Ale to już marność nad marnościami!

Bieriestiejska. Stamtąd do Swiatoszyzna jest rzut beretem.

Sajgon musi wrócić do domu!

Niestety Fidel podjął ostateczną decyzję.

I nacisnął na spust.

Ale zdarzył się cud: jego karabin zaciął się.

Za dużo tych cudów w ostatnim czasie. Niech będzie, Sajgon z losem później się rozliczy.

Comandante nie będzie miał kolejnej próby - farmer uniósł swój AK i...

Szczęknęcie. W magazynku jest pusto! A przecież to był ostatni magazynek!...

Sajgon zużył wszystkie naboje na białe małpy. Trudno, poradzi sobie z Fidelem gołymi rękami. Do noża teraz nie sięgnie, wsunął go do plecaka, kiedy się przebierał...

Skoczyć na przeciwnika, będąc ubranym w kombinezon antyradiacyjny ważący ćwierć cetnara i z plecakiem na plecach to jeszcze nic. Lepiej byłoby użyć huku, ale... Za późno. Sajgon powalił comandante i wbił mu się w gardło. Charczący oddech. Bordowa twarz. Palce mocniej wbijają się w napięte mięśnie. Jeszcze całkiem niedawno Lektor prawie udusił Sajgona, teraz wszystko wygląda inaczej. Jeszcze troszkę i...

Jeśli fortuna była po stronie Swiatoszyńczyka, to niedługo.

Głuche uderzenie rozbiło czaszkę na dwie części. Tak wydawało się Sajgonowi.

Rozluźnił palce i padł na Fidela. Ten od razu zepchnął go z siebie.

Sajgon zobaczył nad sobą Che z karabinem w rękach. Czyli kolbą w łeb?

Ostatnim, co usłyszał Sajgon, przed utratą przytomności, był rozkaz rastamana:

- Włączaj maszynę! Jest z nami Jah!

I tyle: mgła, cisza i jedno wielkie nic.

Czemu go nie dobili? Raczej nie z miłosierdzia. Prędzej dlatego, że byli zbyt blisko swojego celu i przyciągał ich, omamiał. Zwyczajnie zapomnieli o Sajgonie.

Nie strzelili mu w głowę. Nawet go nie obszukali. Zabrali tylko plecak, kołczan i karabin. A przecież Sajgon ma jeszcze pistolet, tego samego PM-a, który w magazynku ma amunicję smugową. W ogóle farmer nie przepadał za bronią palną, ale w szczególnych przypadkach nie gardził nią. Tylko że pistolet jest za pasem, pod warstwami kombinezonu...

Obudził się w kałuży krwi ciekącej z rany w głowie.

Czaszka była cała, tylko skóra rozcięta.

Widocznie, przez kałużę, Che uznał, że Sajgonowi jeden cios wystarczył. Nie, bracie. Ta bańka jest mocniejsza od tubingów... Krecia kość.

Próbując załagodzić okropny ból, Sajgon minimalnie uniósł powieki.

System tunelowania wgryzał się w grunt, powoli zmierzając ku wodom Dniepru. Che i Fidel stali na platformie przy panelu sterowania. Zrzuciwszy z siebie ciężkie kombinezony, przyglądali się, jak pierwsze fragmenty skały wpadają po kolei do wagonu. Che podrygiwał w miejscu, potrząsając dredami. Plecak Fidela, pełen materiałów wybuchowych, leżał pod nogami ratowników. Możliwe, że comandante kupił dynamit na ten wypadek, gdyby tarcza okazała się być niesprawna i przyszło wpuścić Dniepr do metra eksplozją?

Sajgonem nikt się nie interesował - jak również Pawłem Terentiewiczem. Trupy jak trupy.

No nic, dziadku Paszo, pokwituję za ciebie. W ręce leży rękojeść pistoletu - broń udało się jakoś wyciągnąć. Naboi w magazynku powinno zostać dwa albo trzy. Założy się, że dwa. Lepsze miłe niespodzianki, niż niemiłe.

Sajgon długo celuje.

Całą wieczność celuje.

I naciska spust.

Dźwięk wystrzału tonie w huku pracującej tarczy.

Ale chybia, kula trafia w nic. Fidel i rastaman niczego nie zauważają, są zbyt zajęci swoim sukcesem.

Szlag! Do diabła! Tym razem Sajgon celuje dokładniej, to znaczy dwukrotnie dłużej. I sama odległość niewielka - dwadzieścia metrów, ale...

Ponownie chybia.

W ustach zaschło, palce drżą. Dwa naboje były czy może jednak trzy?... Waha się, nie zamierza sprawdzić. Wydawałoby się, że może być łatwiej - sprawdzić, czy w komorze znajduje się nabój, ale Sajgon nie może zmusić się do tego!

I wtedy, śmiejąc się, Fidel się obraca. Bez mrugnięcia patrzy prosto w oczy Sajgona. Radość Fidela zamieniła się w gniew. Jak to, podły kret chce przeszkodzić mu w jego wielkiej misji! Niedobity farmer pragnie powstrzymać samego comandante!

Fidel potrząsa ramię rastamana - jeszcze sobie popłasz, mamy problem. Che podnosi broń. Jeszcze ułamek sekundy i w ciało Sajgona wbija się seria kul. I dlatego Swiatoszyńczyk - bez żadnego celowania! - naciska na spust. Pocisk smugowy trafia w plecak Fidela.

Eksplozja.

Huk.

I znów ciemność...

Rozdział 25

As w rękawie

Kiedy Sajgon doszedł do siebie, przez dym drapało w gardle, nie było czy oddychać.

Głowa pulsowała jakby oddzielono ją od szyi, rozdeptano, a następnie, jakkolwiek zlepiony, odłożono na miejsce.

Pod sufitem świeciła tylko jedna długa lampa-cylinder. Najwyraźniej ocalała. W ogóle zaskakujące, że sklepienie nie runęło, w końcu konkretnie wałnęło. Sajgon, zrzuciwszy z siebie kawałek blachy, wygrzebał się spod zgliszczy "Marusi". Jak to się mówi, sprzęt nie podlega wymianie. No i nie trzeba, biorąc pod uwagę, jak zamierzano tarczę wykorzystać.

Kilka metrów od siebie Sajgon znalazł AK z przymocowaną do niego latarką. Rozładowany karabin, oczywiście, do niczego mu się nie przyda - co najwyżej w roli laski albo pałki - za to latarka przy skromnym oświetleniu bardzo się przyda. Do jego jeszcze Sajgon musi wrócić z powrotem, a nie widzi w ciemności, w odróżnieniu do Lektora i świętej pamięci Fidela i Che.

Świętej pamięci?... Ciało ratowników nie widział, co nie jest dziwne, biorąc pod uwagę, jaki bałagan panował w sali po wybuchu. Za blisko od wybuchu stali comandante i rastaman - musiało ich rozerwać na kawałki. Jeśli metal został tak rozrzucony, co dopiero mówić o ludzkim ciele? Fidel i Che nie żyją. Sajgon powtórzył to głośno:

- Oni nie żyją.

I jeszcze raz:

- Nie żyją.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że ci ludzie, z którymi tak bardzo się związał, okazali się skończonymi draniem.

- Już ich nie ma. Zwyczajnie nie mogli przeżyć wybuchu. A to znaczy...

To znaczy, że Sajgon nigdy się nie dowie, co się stało z jego ojcem. Tajemnicę harmonijki Fidel zabrał ze sobą do grobu. Tato, gdzie jesteś? Co się z tobą stało? Jak mogłeś oddać ukochany instrument Fidelowi, temu zakłamanemu gnojkwowi?!...

Myślisz o złych rzeczach, Sieriożeńka. Przypomnij sobie słowa comandante. A on powiedział...

... Sojusz za chwilę rozpocznie szturm na Szulawską, a następnie na Bieriestiejską. O ile już się nie zaczął...

System tunelowania, ostatnia nadzieja mieszkańców metra na świetlaną przyszłość, jest zniszczony. Wojna może rozpocząć się w każdej chwili. A Sajgon wyleguje się na Dnieprze! Musi stąd iść, musi jak najszybciej wrócić do domu! Ostrzec! Uratować! Przygotować się chociaż do pierwszego starcia...

Kogo ty chcesz oszukać, Sieriożeńka?

Siebie, kogoż innego. Nikogo więcej tu nie ma.

A i to nie jest prawdą. Jest.

Najpierw był tylko szelest, jakby szczur przebiegł. Później - wyraźne kroki.

Sajgon objął mętnym wzrokiem przestrzeń wokół siebie - w pomieszczeniu wręcz roilo się od mutantów. Sajgon zamarł, starając się nie zwracać uwagi potworów. Jest kawałkiem metalu, fragmentem systemu kopania tuneli, nikomu nie przeszkadza. Nie jest człowiekiem, nie jest kretem - zwykły kawałek metalu!...

Ścisłej rzecz ujmując: zimnym kawałkiem, bardzo zimnym!

A metal nie powinien się martwić tym, że w pistolecie skończyła się amunicja, że nóż jest w plecaku tak jak zębatki, a gdzie jest plecak - niewiadomo, ale pewnym jest, że razem z kołczanem, łukiem i strzałami. Ale skoro na Fidela Sajgon rzucił się z gołymi rękami, to z jakimiś tam mutantami poradzi sobie jedną, lewą ręką, prawda?

Chciałoby się wierzyć. Tylko nie za bardzo się udawało.

Małpy, wyjąc i krzywiąc się, krążyły wokół Sajgona. Szczerząc oślinione kły, stopniowo zbliżały się. To przypominało ceremonię, którą zamierzali przeprowadzić kanibale przed zjedzeniem Światoszyńczyka. Jak zaczęła się jego przygoda, tak i się skończy. Ponieważ teraz Sajgon nie ma żadnego asa w rękawie. Finita la comedia.

Czy może dopiero się zaczyna?!

- No, chodźcie tu! - Głos był na tyle znajomy, że Sajgon nie mógł uwierzyć w jego realność. Skąd?! To niemożliwe! Znowu ma halucynacje?!...

Przecież to był głos nie kogo innego, jak Swietłany, najukochańszej żony.

Białe mały rozproszyły się.

Lider - wyróżniał się wśród pobratymców masywniejszą posturą - stał na tylnych łapach i krótko, ale głośno zahuczał. Mały, jak na komendę, wyszczerzyły się i zaryczały.

- Witaj, kochanie. Nawet masz towarzystwo. Masz z kim się związać. Kto by nie zechciał takiego przystojniaka? - Głos brzmiał zza granicy strefy oświetlonej przez lampę. Sajgon skierował tam światło latarki.

- Nie cieszysz się na mój widok, kochanie?

Swietłana, przecież to Swietłana! I nie sama, a z Lektorem i Gilzą. I z jeszcze jakimiś dwoma pięknosciami, sądząc po wyniosłych twarzach i długich warkoczach, dziewczyny te są z najnowszego miotu. Ale jak oni się tu znaleźli?!

I nawet nie chodzi o to. A ważniejsze jest...

- Swietka, uciekaj!!! Uciekaj stąd, słyszysz!!! Tu są mutanty!!! Biegnij!!!

Ale zamiast wziąć nogi za pas, Swietka podeszła do Sajgona:

- Zmęczyło mnie czekanie na ciebie, kochanie. Wyciągnę i spod ziemi, rozumiesz?

Sajgon rozumiał. Noc sylwestrowa, on wybiera się na mały, przyjemny spacer po tunelu, nie na długo, na godzinkę, dwie...

- *...Jeśli do jutra nie wrócisz, wygrzebię cię nawet spod ziemi.*

- *Cii! Obudzisz Andriuszkę. - Zamknął za sobą skrzypiące drzwi...*

To było wiele dni temu. Wierzyć się nie chce.

Lider białych mały ponownie krótko zawył.

I mutanty zaatakowały.

Tym razem wszystkie zwały się kupą. Zorganizowały się, mendy.

I tu jest kłopot, musieli się rozdzielić, żeby działać na dwa fronty. I o ile Sajgon nie mógł użyć przeciw nim niczego, za wyjątkiem pięści, to Swietka i jej kompania walili w mutanty z karabinów. Nawet Gilza wołała AK bardziej od swojej torebki.

Walka trwała dwadzieścia sekund, nie więcej. Ledwo padły od serii pierwsze mutanty, pozostałe od razu straciły zainteresowanie ludźmi i chociaż lider huczał, nie udało mu się zewrzeć szeregów. Swietłana posłała mu kulkę w głowę.

- Swiet... Swiet, to ty? To naprawdę ty?

Po policzkach ciekło coś ciepłego. Krew? Sajgona wytarł brudną dłonią, tępo spojrział na nią. Nie, to nie krew. To łzy.

Tyle razy myślał ostatnio o Swietce... Widział ją - i uwodzicielską, i wyginającą się, i wołającą... I zawsze okazywało się to omamem, koszmarem, oszustwem. Jak uwierzyć, że właśnie teraz jest prawdziwa? Może właśnie teraz leży pod kawałkami gruzu, przygnieciony tonami kamieni, a do jego śmierci zostało kilka sekund, a zmiążdżony mózg miłosiernie pokazuje mu fałszywy obraz wybawienia?...

- To naprawdę ja. - Uśmiecha się.

- Jak przeszliście przez Arsenalną? - pyta się jej Sajgon.

Nie, nie może być prawdziwa. Arsenalną Fidel i Che szturmowali z karabinami maszynowymi i ponieśli porażkę. Potwory, które na niej mieszkają, nie przepuściłyby przez przeklętą stację korowodu bab...

- Tam nie ma potworów. Jest tylko światło... Lampy migają tak, że prawie każdy dostaje napadu padaczkowego. To jest nauka - mówi ona.

- Ty żyjesz... - stwierdza ze zdziwieniem Sajgon.

- Ty też. - Ona śmieje się i płacze jednocześnie. Sajgon wplata palce w jej włosy, gładzi po głowie, unosi jej wargi do swoich i przywiera do nich. Długo nie może oderwać...

- Ty żyjesz! - w końcu stwierdza pewnie.

Sajgon spojrział na Lektora, który sprawiał wrażenie, że jest zajęty dziurą w spodniach. Gilza sprawdzała swój manicure. Za to Amazonki, z którymi Swiatoszyńczyk się nie znał, wpatrywały się z żywym zainteresowaniem w kochającą się parę.

- Jak dowiedzieliście się o Arsenalnej? - Sajgon nijak nie mógł się uspokoić.

- Powiedział pewien mądry człowiek, przewoźnik-flisak z zalanego odcinka między Niwkami i Bieriestiejską. Ciekawie było z nim porozmawiać. Szczególnie o tym, jak prawie utopił mnie i dziewczyny.

Muskularne Amazonki wyszczerzyły się. Widać było, że one tylko szukały powodu do rozmowy z mężczyznami na temat równości płci pod względem siły.

- Wspomniał, że przewoził dziwne trio - powiedziała jedna z nich. - No a później konkretnie sobie z nimi rozmawialiśmy. Ze strachu wyznał wszystko, co wiedział o życiu w metrze. Wliczając w to Arsenalną. To było bardzo pouczające. Ale życiu mu to nie uratowało.

Cóż, Charonowi się należało. Trzeba było wyciągnąć wnioski i zająć się rzemiosłem.

- A wy kim jesteście, piękne damy? - wskazał Amazonki.

Te od razu przyjęły dumną i niezależną postawę.

- To są Masza i Dasza, moje... ochroniarki. Prawda, dziewczyny? - Swietka figlarnie mrugnęła do Amazonek.

Te zaczerwieniły się i odwróciły wzrok. Można było odnieść wrażenie, że chronienie miało miejsce nie tylko za dnia, ale i w nocy. No nic, Sajgon później się o to dopyta.

- Okazało się, że dobrze cię znają na Niwkach. Naina, ta kobieta, która kupiła u nas franczyzę, strasznie się wkurzyła, kiedy dowiedziała się, że musiałeś spędzić trochę czasu w więzieniu. A kiedy przyszedłem na stację, dobrze mnie przyjęła i poprosiła Daszę i Maszę o wyruszenie ze mną. Dziewczyny grzecznie się zgodziły i, mam nadzieję, nie pożałowały tego.

Amazonki poczerwieniały jeszcze bardziej.

Dalej Swietka opowiadała, jak przeszły przez całe metro. Politechnikę i Dworcową przebyły tranzytem, szczęśliwie te stacje mają umowy z Niwkami, a żonie Sajgona nie było ciężko udawać zagorzałą feministkę. Na Uniwersytecie Swietłana zajrzała do rządzącego filią. U niego spotkała Gilzę i Lektora. Para, po dojściu do siebie, ruszyła w ślad za ratownikami. Rządzący - uczony, wytłumaczył Swietłanie, jak ochronić się przed lampami na Arsenalnej i nawet podarował jej kilka par okularów przeciwsłonecznych.

- Przysięgał, że spłaci dług i postawi farmę. Przy okazji, właśnie przez miganie tych lamp te człękokszałtne mutanty - Swietka kiwnęła głową na trupy białych małp, - są odcięte od reszty metra. Ale pewnego dnia lampy zgasną...

Na Chreszczytuku dowiedziała się, że całkiem niedawno przeszli tam ludzie, którzy wykupili niemal cały stacyjny arsenał amunicji. Mówili, że grupę prowadziło dwóch maniaków, którzy swego czasu zachęciła do marszu na Arsenalną trzech młodzieńców, którzy nigdy nie wrócili. Niestety nie rozpoznali szumowin od razu i nie zdołali ich zatrzymać.

- Poczekaj, Swiet...

- Co?

- Ciszej...

Przewidziało się? Z pewnością przewidziało się.

Nie, znowu! Jakby ktoś jęczał... Skąd?

Powoli Sajgon podszedł do zardzewiałego kawałka blachy, części wewnętrznej warstwy "Marusi" - pochylił się, odsunął blachę.

Pod nią leżał Fidel. Żywy!

Niewiele czasu mu zostało. Nie ma ręki, nie ma nogi, z brzucha oderwany jest kawałek, wnętrzości na wierzchu.

A on się uśmiecha.

- Cześć, młody!

- Ciebie też miło widzieć. - Sajgon zawisnął nad umierającym. Jak on jest w stanie mówić? Każda inna osoba już od dawna rozmawiałaby z Jah w kraju przodków, a ten złapał się zębami i pazurami naszego grzesznego świata i za nic nie zdechnie... Musiał teraz odczuwać niesamowity ból. A jednak uśmiechał się.

Na chwilę Sajgon zapomniał, że Fidel chciał go zabić, że zamierzał zatopić całe metro... Nagle obudził się w nim podziw do tego człowieka ze stali, do tego urodziwego niegodziwca. Prawie współczucie...

Sajgon wyciągnął z kieszeni Fidela harmonijkę.

- Ten podpis Boba Dylana jest sporo warty, prawda, comandante? Wypełniłem swoją część umowy, teraz twoja kolej.

- O czym ty gadasz, młody?

Sajgon ścisnął zęby tak mocno, że fragment odpadł. Nawet przed śmiercią Fidel z niego drwi.

- Skąd masz harmonijkę?!

Z tyłu podeszła Swietka, położyła dłoń na ramieniu męża. Odsunął się: nie czas na czułości.

- Skąd?! Skąd ją masz?! Gadaj!!!

Fidel zaśmiał się nie wydając dźwięku, na wargach bulgotała krew:

- Jak to skąd? Jestem twoim ojcem. Zapomniałeś, jak ryczałeś przede mną na Bieriestiejskiej?

...*Jestem twoim synem. Nazywam się Siergiej Kim. Jestem twoim synem! Moja matka...*

Sajgon momentalnie się wściekł, zamachnął się harmonijką, żeby wybić Fidelowi zęby i tylko siłą woli powstrzymał się przed zrobieniem tego. Swietka patrzy, nie może przy niej. Żona nie może go takiego zobaczyć!

- Po prostu powiedz mi, skąd wzięłeś tę pieprzoną harmonijkę?

- I co... za to... będę miał? - Fidel kiął, a jakże.

Sajgon wziął głęboki wdech, wydech i wzruszył ramionami:

- Pozwolę ci spokojnie umrzeć. Nie wystarczy ci?

Fidel uśmiechnął się w odpowiedzi - wiedział, że już po nim. Sajgon niczego nie mógł mu zaproponować. Co najwyżej... Spokojnie umrzeć? A co, to jest myśl. Może zadziałać. Zawołał Lektora:

- Jak myślisz, bracie, będzie ci smakować kawałek wątroby tego gnoja?

Oblicze Fidela, i tak blade od straty krwi, stało się białe jak mleko.

Lektor obiecał nie pozwolić jedzeniu zdechnąć, zanim nie przejdzie ono przez wszystkie męki piekła.

- Dobrze... Zabierz ludożercę... Powiem...

Światoszyńczyk skinął Nigeryjczykowi, żeby na razie się nie nastawiał.

- Nie chciałem mówić, ale ty... Przekonałeś mnie, młody... I teraz będziesz musiał z tym żyć...

Sam jesteś sobie winien...

- Nie przeciągaj - przerwał mu Sajgon. - Nie masz za wiele czasu.

- Mam tę harmonijkę od pewnego człowieka. Kiedyś nazywał się Nikołaj Kim.

Sajgon wzdrygnął się. Spodziewał się usłyszeć coś takiego, ale wciąż...

- Gdzie to było? Kiedy?! - Serce gotowe było wyskoczyć z klatki piersiowej z podniecenia.

Sajgon z jakiegoś powodu wierzył w każde słowo umierającego Fidela, jak samemu sobie.

- Na Pietrowce, taka stacja. A potem Nikołaj przyjął inne imię... Umarł, jak umarł cały stary świat, razem z Gagarinem i fizyką kwantową - wyszeptał Fidel. I podał Sajgonowi małe, wytarte zdjęcie.

Z kolorowego obrazka na Sajgona patrzyła jego własna matka, jeszcze całkiem młoda. Obok, obejmując ją w pasie, stał mężczyzna, bardzo podobny do Fidela. Mężczyznę za szyję obejmował małeńki Sierioża Kim, mający nie więcej, niż cztery lata. Mama uśmiechała się, wręcz promieniała szczęściem. Położyła głowę na ramieniu mężczyzny.

A to właśnie był Fidel. Tylko o trzydzieści lat młodszy.

Fidel jest jego ojcem?!...

Łzy ściekały po twarzy Sajgona. Słyszał, jak Swietka kazała Amazonkom i Lektorowi czekać z boku i nie przeszkadzać.

Fidel jest jego ojcem... Ojcem!!!

- Ty... jesteś moim ojcem?

- Byłem twoim ojcem. Ale tego człowieka już od dawna nie ma. Twój ojciec umarł.

Ach, to tak, Sajgon pamięta: odrzucić próżność, zapomnieć o rodzinie dla wyższych celów. Tak głosił rastaman... A co, gdyby dobrze poszukawszy w gruzie, okazałoby się, że i Che żyje, tylko przyczał się i czeka, aż zostawią go samego z jego szaleństwem?...

Oczy Fidela - Nikołaja Kima! - zeszkliły się. Już. Umarł.

Swiatoszyńczyk położył się obok ciała. Nie miał pojęcia, co myśleć ani co robić. Zbyt wiele spraw na niego spadło na raz. Miłość do ojca i nienawiść do zdrajcy i maniaka. Sajgon zabił ojca, którego od tylu lat marzył znaleźć. Czy może zabił bydlaka, który prawie utopił rodzinę Sajgona, prawie unicestwił metro... Im bardziej o tym myślał, tym bardziej pograżał się w rozpacz. Gdyby w pistolecie znalazła się choć jedna kula, przedziurawiłaby już jego skroń.

- Nie waż się obwiniać! - Swietłana przywarła do męża i wręczyła mu pokryty pyłem plecak. Jego plecak. Następnie poplamiony olejem kołczan.

Tym razem Sajgon jej nie odganiał.

Kopnął harmonijkę. Ta zagięła wśród gruzu.

Fidel - ojciec! - powiedział, że jest z Pietrowki, a to Linia Kurieniowsko-Krasnoarmiejska. Ale przecież wiadomo, że, poza Linią Swiatoszyńsko-Browarską, z kijowskiego metra nic nie zostało. Przez dwadzieścia lat nie było wieści z zielonej i niebieskiej nitki. Czy może jednak przetrwały?!...

Myślisz nie o tym, co trzeba, Sieriożeńka. Naprawdę, nie o tym. Po prostu przyjmij do wiadomości: Pietrowka sobie jest Pietrowką. Teraz należy działać, a nie rozmyślać.

- Hej, Lektor. Potrzebuję twojej pomocy, bracie. - Sajgon podał Nigeryjczykowi nóż i wskazał ciało ojca: - Odetnij mu głowę. Potrzebna mi jest.

- Co?!...

- To, co słyszałeś.

Rozdział 26

Gorgona Meduza

Pamiętacie grecki mit o Gorgonie Meduzie?

Głupiec, który spojrzy bestii w oczy, zamienia się w kamień. Mniej więcej to samo stało się z Krygą, kozackim atamanem, kiedy Sajgon rzucił mu pod nogi głowę Fidela.

...Nad prawą brwią ciemniało maleńkie znamię, a policzek przecinała zauważalna blizna. Dolek na brodzie. Sajgon ma taki sam...

- Ten człowiek... oszukał mnie i o mało nie zatopił metra. Chciał, aby rzeka wpłynęła do tuneli i wszyscy zginęli. Wszyscy. I ty, i ja. Nienawidził metra.

Hetman poderwał się, wąsy nastroszyły się. Długie, kozackie wąsy. Teraz przypominał gigantycznego wilka, który niespodziewanie stał się człowiekiem.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Ponieważ oszukał również ciebie, atamanie. Przegrasz wojnę, sojusz skazany jest na klęskę. Cały wasz plan jest porażką! I jeszcze... Kosmos kazał przekazać, żebyś się nie niego nie gniewał, on odmawia.

Wściekle sapanie w odpowiedzi. Zadbany paznokieć, ku zazdrości dziewczyn z Niwek, przesuwając się po długim wąsie. Wąs nawija się na palec.

- Napijesz się ze mną? Wódki? - Hetman chytrze spojrział na Sajgona, oczekując prawidłowej odpowiedzi.

Sajgon wie jakiej:

- Mówi się, że w Siczy robią niezłą pieprzówkę. Nie ma za co, panie atamanie. Z pierożkami będzie w sam raz.

...Opuszczając Metro-Sicz, Swiatoszyńczyk nie był pewien, czy zdołał przekonać Krygę. To już czas pokaże. Mówi się, że gdzie kozak poszedł, tam nic po dwóch karawanach.

A jeśli interes masz z samym hetmanem?...

Na dzień przed rozmową z Krygą trzeba było spędzić trochę czasu na Dworcowej.

- Słuchaj, bracie, gdzie jest Said?

Znowu tu jest i znowu chce się rozebrać i biegać po dżungli, tracąc rozum. I jakim cudem tylko bandyci przewyciężają otepiałający zapach narkotyku? Zapewne immunitet.

Porozmawiawszy z miejscową hołotą, Amazonki szybko rozwiązały problem przejścia przez Dworcową. Swietka pośmiała się jeszcze: dziewczynom tak się spodobało patrzenie przez okulary przeciwsłoneczne, że soczewki wkrótce przyrosną do ich oczu. Fakt, w półmroku posterunku Amazonki wyglądały dosyć imponująco, chociaż ryzykowały potknięciem się i nabiciem sobie guza.

Broń, skąpe słownictwo, dno społeczeństwa... Amerykańskie kino gangsterskie. Sajgon nagle zachciał pójść do kina i żeby dano mu popcorn. W dzieciństwie bardzo lubił chodzić do kina... Łatwo stłumił to pragnienie. Jest kretem. A kret nie wspomina przeszłości.

Czy łatwo?

Szczerze mówiąc - nie, nie łatwo. Nie można zapomnieć tego, co było. Nie wolno! Inaczej wszystko się powtórzy: i dobre i - co ważne! - złe. Wojna, ból, chaos - wszystko. I dlatego dla przyszłości należy pamiętać przeszłość.

- Czego? Said? Zgłupiałeś, nie? Ej, ręczną? - Wytatuowany po uszy bandyta zachichotał, mocno zaciągając się skrętem.

Zazgrzytawszy zębami, Sajgon powtórzył pytanie.

Bandyta zachwiał się, natknąwszy się na jego spojrzenie:

- Że nasz Said? Nie ma Saida. Jego Lonczik rozrąbał. Mieczem... takim... jak jego... samurajskim, tak! Szlachetny miecz z Japonii, jak to mówią.

Sajgon nie zamierzał poprawiać bandyty. Z Japonii, tak, z Japonii. Bezpośrednia dostawa do kijowskiego metra z tokijskiej kolei podziemnej. Specjalnie wykopanymi tunelami.

- Słuchaj, a wasz stomatolog? Jak przyjmuje? Ile bierze? Zajrzałbym, gdybym jeszcze kiedyś był w tej okolicy...

Złodziej wytrzeszczył oczy na Sajgona, jakby ten palnął niewyobrażalne głupstwo:

- Tak, Said był dentystą. Poprzednik go nauczył, zanim umarł. A Said uczniów nie miał, więc zakończyło się zębowanie.

A więc to tak. Sajgon wspomniał umięsnionego bandziora w skórzanej kurtce, mówiącego z zauważalnym akcentem. Czy używał ręcznego wiertła?

Mógł, tak.

Klasztor smutku.

Przywarłszy do pasiastego pylonu, stary obserwator ciężko oddychał. Wiedział, że jego misja dobiegła końca.

Dziewczyny i Lektor poszli przodem. Ta rozmowa nie jest do postronnych uszu. Jest osobista.

- Witaj, Unkas. Witaj, bracie.

Sajgon objął zniszczone życiem stworzenie, które z początku drżało i chciało się wyrwać, a teraz zwiotczało i szlochało.

- Chodź ze mną, bracie. Co ty tu sam, z tym staruszkiem? Chodźmy. Nie pozwolę cię nikomu skrzywdzić, dobrze?

Unkas skinął.

Oderwawszy się od pylonu, staruszek stanął na drodze braci:

- A mój wnuk? Minęło tyle lat, tak długo boję się o mojego chłopca... Co z nim, wszystko w porządku?

Sajgon wspomniał swoją wizję, w której był w roli comandante, karzącego mieszkańców Szulawskiej.

...zabrał ze sobą rudego chłopca...

Znając Fidela, łatwo jest sobie wyobrazić, że wnuk staruszka nie przeżył za długo.

- Mój chłopiec?...

Sajgon spuścił wzrok i wzruszył ramionami, nie miał pjęcia:

- Przepraszam, czas na nas...

Z tyłu huknął strzał. Dźwięk upadającego ciała.

Bracia nie odwrócili się.

Na Bieriestiejskiej Sajgon dostał osobistej audiencji Borysa Pierwszego. Zgodnie przez wszystkich wybrany dyktator pragnął go widzieć.

Zauważyć można było mniejszą ilość papug na stacji. Nowa władza nie przepadała za ptaszkami, a poddani, żeby pokazać lojalność, przyniosły na dwór maleńkie, wielobarwne zwłoki. Twierdzili, że zagwarantowali sobie łaskę byłego szefa ochrony po takim podarku.

- Fidel?... - ledwie słyszalnie zapytał Borys Pierwszy. Zasiadał na tronie, który udawał biurowy fotel obity szczurzymi skórami.

- Martwy. - Sajgon nie zamierzał podawać grubasowi ręki. A może to surowe złamanie etykiety? A na Bieriestiejskiej, jak wiadomo, za każdy występki groziła tylko jedna kara - śmierć.

- Dziękuję. - Gestem Borys poskazał, że audiencja zakończyła się.

Sajgon nie zamierzał precyzować, za co mu dziękują. I tak wiedział.

Na odchodnym rzucił:

- Sprzedają jeszcze u was zabawki?

Pytanie zaskoczyło Borysa:

- Tak. A co?

- Chcę kupić synowi prezent. Pożyczysz żetonów, co? Spłukałem się po drodze.

Rodzinna stacja.

Wreszcie dotarli. Wierzyć się nie chce...

Sajgon nie mógł sobie wyobrazić, że tak będzie znudzony białymi płytkami z ornamentem na

środku ścian przy torach. Rozgrabione dawno temu bankomaty wywołały o niego przyływ emocji. Na widok łóżek zasłanych króliczą pościelą, w oczach pojawiły się łzy.

Szczęśliwa, piszcząca bryłka pędziła do niego ze wszystkich sił. Sajgon złapał syna, objął.

- To dla ciebie. - Wręczył Andriuszce zabawkowego "Hummera" z otwieranymi drzwiczkami.

Następnie przedstawił synowi Unkasa, z lękiem rozglądającego się po bokach: - To twój wujek Unkas, mój brat. Zaprzyjaźnicie się.

Andriuszka powoli podał wujkowi rękę, w odpowiedzi ten niezgrabnie ją uściśnił.

Cóż, naucz się ze sobą dogadywać. A jeśli ktoś powie choć słowo złego o bracie lub krzywo się spojrzy... Sajgon zerknął na napotkany tłum. Ludzie instynktownie cofnęli się. Już wcześniej Siergiej Kim miał ciężki wzrok, a teraz szczególnie...

Lektor niepewnie odchodził w bok, zdecydowanie nie wiedząc, co ze sobą dalej zrobić. Gilza trzymała go za rękę i odwracała wzrok, natrafiając na spojrzenie Sajgona. Amazonka i Nigeryjczyk są teraz razem. Para, rozumiesz. Zdrowie państwa młodych. Amazonki wołały Gilzę ze sobą, ale ona nie chciała rozstawać się z Lektorem. Zapraszam, zamieszkajcie na Swiatoszynie - Sajgon zaproponował już szepnąć o nich słówko Matwiejowi Aleksiejewiczowi, naczelnikowi stacji.

- Sierioga, może się trochę? - Niedoszły szabrownik Mitka Kompas uderzył się po szyi. Trochę?! Sajgon uśmiechnął się: jestem w domu, tak? W domu!!!

- Dziękuję, Mitka. Jestem zmęczony. Może jutro?

Kompas ucieszony pokiwał głową: jak jutro, to jutro, dobrze.

Sajgon wszedł do swojego domu. Do swojego! Domu! Skrzypnęła pancerna siatka.

Można się już cieszyć - wrócił, uratował metro przed wielką powodzią, ale... Problem przeludnienia nie został rozwiązany. Linii wciąż grożą wojny o terytorium: Kryga nie jest taki pros ty, a i Kosmosowi nie można dać wiary. A system drażenia tuneli, jedyny sposób poszerzenia metra, wyleciał w powietrze. I zniszczył go nie kto inny, jak Sajgon...

Nawet nie podniósł się, a podskoczył. Jak można, znając to wszystko, spokojnie wylegiwać się na łóżku? A może jednak troszkę dla uspokojenia nerwów?

Przymknął za sobą skrzypiące drzwi, przydałoby się naoliwić, ale nie ma kiedy. Ruszywszy na poszukiwanie Kompas, wsunął ręce do kieszeni. Co to? Wyciągnął kartkę pamieru.

Kartka z notesu niemego budowniczego metra. Przecież to wiadomość od Pawła Terentiewicza! Z tamtego świata! Sajgon przypomniał sobie, jak staruszek wsunął mu coś pod kombinezon na stacji Dniepr.

Odręczne pismo! Długo poruszał wargami, aż rozszyfrował litery.

"Nie tylko Dniepr. Jeszcze jest Bohater."

Sajgon zafascynowany patrzył na notatkę martwego człowieka i nijak nie mógł wymyślić, co ona znaczy. Co znowu za Bohater i dlaczego dużą literą?... I nagle go olśniło.

Wpadł do małego pokoiku syna. Andriuszka spojrział na niego z niepokojem:

- Coś się stało, tato?

Z górnego łóżka błysnęły oczy Unkasa.

W ślad za Sajgonem w koszuli nocnej wbiegła Swietka. Zjawiała się na hałas, chwyciła nóż. Kto wie, kto się włamał do pokoju dziecięcego?...

- Wszystko dobrze, kochanie. Przepraszam, synku. Unkas, nie bój się. Ja teraz, ja szybko... -

Sajgon przesunął wzrokiem po planie kijowskiego metra, który wisiał na ścianie przy piętrowym łóżku. - Czyli Bohater? - mrugnął do syna.

Andriuszka niepewnie przytaknęła:

- No pewnie, tato.

- Dokładnie, synku! Dokładnie, niech mnie paciuk zeżre!

Teraz Sajgon widział, że nie wszystko stracone. Jest jeszcze jeden system drażenia tuneli! Jest! Właśnie o tym wspominał stary budowniczy metra! Na stacji Bohaterów Dniepru ukryta jest tarcza! Wystarczy tylko odpocząć dzień czy dwa - i wyruszyć w drogę.

- Dlaczego, kochanie? - Swietka pokręciła głową.

- Jak to dlaczego? Rozejrzeć się i w ogóle... Jakby nie patrzeć na Linii Swiatoszyńsko-Browarskiej nie mamy gdzie się rozwijać, wszędzie są filie mięsnej korporacji "Kim i syn". No i wojna... Może, samemu tego nie chcąc, Fidel miał rację i rzezi można zapobiec? - Sajgon objął żonę. - Jeśli istnieje

przejdzie na Linie Kurieniowsko-Krasnoarmiejska, obiecuję je odnalezc.

Swietka ponownie pokręciła głowa, patrząc na niego z lekkim niepokojem. A potem uśmiechnęła się tak promiennie, jak tylko ona potrafiła:

- Zmieniłeś się, Sierioza.

Sajgon wzruszył ramionami:

- Może jednak stanę się człowiekiem?

* * *
* * *
* * *
* * *
* * *